matt
1952

10

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

TWÓRCZOŚĆ

PAŹDZIERNIK 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 10

WARSZAWA PAŹDZIERNIK 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 1899 z dn. 11.9.51 r. nakład 6860. Druk ukończono 11.X.51 r. 2-B-40298

Odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta „Prawdy“ w sprawie broni atomowej

MOSKWA (PAP). Dnia 6 października br. dziennik „Prawda“ zamieścił następujące odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta tego dziennika w sprawie broni atomowej:

PYTANIE: Co sądzicie o wrzawie, jaką wszczęła w tych dniach prasa zagraniczna w związku z próbą bomby atomowej w Związku Radzieckim?

ODPOWIEDŹ: Istotnie, dokonano u nas niedawno próby jednego z rodzajów bomby atomowej. Próby bomb atomowych różnych kalibrów będą dokonywane również nadal zgodnie z planem obrony naszego kraju przed napaścią agresywnego bloku anglo-amerykańskiego.

PYTANIE: W związku z próbą bomby atomowej rozmaici działacze USA biją na alarm i krzyczą o zagrożeniu bezpieczeństwa USA. Czy istnieje jakakolwiek podstawa do takiego alarmu?

ODPOWIEDŹ: Do takiego alarmu nie ma żadnych podstaw.

Działacze USA nie mogą nie wiedzieć, że Związek Radziecki jest nie tylko przeciwny stosowaniu broni atomowej, lecz jest również za jej zakazem, za zaprzestaniem jej produkcji. Jak wiadomo, Związek Radziecki kilkakrotnie żądał zakazu broni atomowej, lecz za każdym razem spotykał się z odmową mocarstw bloku atlantyckiego. Znaczy to, że w wypadku napaści USA na nasz kraj, koła rządzące USA będą stosowały bombę atomową. Ta właśnie okoliczność zmusiła Związek Radziecki do posiadania broni atomowej, ażeby spotkać agresorów w pełnym uzbrojeniu.

Agresorzy chcą oczywiście, ażeby Związek Radziecki był bezbronny w wypadku ich napaści na Związek Radziecki. Ale Związek Radziecki z tym się nie zgadza i sądzi, że agresora należy spotkać w pełnym uzbrojeniu.

A zatem, jeżeli Stany Zjednoczone nie zamierzają dokonać napaści na Związek Radziecki, alarm wszczęty przez działaczy USA uznać należy za bezprzedmiotowy i fałszywy, albowiem Związek Radziecki nie myśli nawet o tym, ażeby kiedykolwiek napaść na USA lub którykolwiek inny kraj.

Działacze USA niezadowoleni są z tego, że tajemnicę broni atomowej posiadają nie tylko Stany Zjednoczone, lecz także inne kraje,

a przede wszystkim Związek Radziecki. Chcieliby oni, ażeby Stany Zjednoczone posiadały monopol w zakresie produkcji bomby atomowej, ażeby Stany Zjednoczone miały nieograniczone możliwości straszenia i szantażowania innych krajów. Ale na jakiej właściwie podstawie myślą oni w ten sposób, z jakiego tytułu? Czy monopol tego rodzaju leży w interesie zachowania pokoju? Czy nie będzie słuszniejsze, jeżeli powiemy, że sprawy mają się akurat odwrotnie, że właśnie w interesie zachowania pokoju potrzeba przede wszystkim likwidacji takiego monopolu, a następnie bezwzględnego zakazu broni atomowej. Sądzę, że zwolennicy bomby atomowej mogą się zgodzić na zakaz broni atomowej tylko w wypadku, gdy zobaczą, że nie są już więcej monopolistami.

PYTANIE: Co sądzicie o międzynarodowej kontroli w dziedzinie broni atomowej?

ODPOWIEDŹ: Związek Radziecki wypowiada się za zakazem broni atomowej i za zaprzestaniem produkcji broni atomowej. Związek Radziecki wypowiada się za ustanowieniem kontroli międzynarodowej nad tym, ażeby decyzja o zakazie broni atomowej, o zaprzestaniu produkcji broni atomowej i o wykorzystaniu już wyprodukowanych bomb atomowych wyłącznie dla celów cywilnych — wykonywana była jak najściślej i jak najsumienniej. Związek Radziecki wypowiada się za taką właśnie kontrolą międzynarodową.

Działacze amerykańscy również mówią o „kontroli", ale ich „kontrola" bierze za punkt wyjścia nie zaprzestanie produkcji broni atomowej, lecz kontynuowanie takiej produkcji, i to w ilościach, odpowiadających ilości surowców, jakimi rozporządzają te czy inne kraje. A zatem „kontrola" amerykańska bierze za punkt wyjścia nie zakaz broni atomowej, lecz jej legalizację i usankcjonowanie. W ten sposób sankcjonuje się prawo podżegaczy wojennych do mordowania za pomocą broni atomowej dziesiątków i setek tysięcy spokojnej ludności. Nie trudno zrozumieć, że nie jest to kontrola, lecz naigrawanie się z kontroli, oszukiwanie pokojowych dążeń narodów. Rzecz zrozumiała, że taka „kontrola" nie może zadowolić narodów miłujących pokój, które żądają zakazu broni atomowej i zaprzestania jej produkcji.

DNI PRZEŁOMU

Niedawne jeszcze chwile. Tylko ów krąg ziemi,
który budząc się widziałem oczyma swymi,
zdawał mi się bliski. Kochałem go boleśnie.
Do dziś zdarzenia tamtych lat udźwigam we śnie.

Wierzyłem, że żyję uczciwie, żem jest czysty.
Wstrząsany marzeniem, błąkałem się noc całą,
a tymczasem nad Europą miecz faszysty
już legł — i niejedno młode życie konało.

Czasy nieszczęść, spływały w naród strugi jadu.
Aż ów styczeń — śniegi szamotały się w wietrze.
Upadłem na krew dymiącego Stalingradu,
tuliłem do rąk pełnych nadziei przestrzeń.

Tak kocham, że z lęku słabnę o kraj znad Wisły.
Lecz dziś dręczę się i o inne strony ziemi.
Gdzie tylko ludy walczą o byt niezawisły,
tam jestem i wroga umiem nazwać usty swymi.

PO LATACH

Moje serce, moje wzruszenie ciągle młode!
Wspominają się dzieciństwa lata. Na prostym
wozie jadę przez łąki, lasy — i za brodem
staję, tam chronią chłód w leszczynie polne mosty.

Słyszałem nieraz o ludzkich czynach gawędy,
a jednak drżałem długo, zachwyt serce ściskał.
Wyrosły dawne dzieci jak wierzb mocne pędy
i szła wieś z nimi inna, a tak myślom bliska...

Na placu muzyka, gwar. Na placu pokazy.
Młody chłopiec biegł, przyklękał w tańcu i śpiewał.
Szli za nim koledzy ławą. Bił śmiech z ich twarzy
i stojących w polu zasłuchanych olśniewał.

Wsparty o wóz, jam chwilę jak wierną dłoń tulił.
Nazajutrz chłopcy cegłę na budowę nieśli
i stwardniałą glinę na piach rydlami kuli.
Łomotała we mnie jak młot krew przyszłej pieśni.

DLA TYCH...

Dla tych, co zaledwie pierwsze kroki stawiają,
i oczu matek jak chleba i we śnie szukają.
Dla tych, co pochyleni nad ławkami w szkole,
tropią kształt ziemi i nieba i jak na kole
oczyma wyobraźni mkną w kraje i wieki.
Wychodzą na szczyty gór, przepływają rzeki...

Dla tych, co noszą w myśli już postanowienia —
i jeszcze noc tuła się po dróg mokrych cieniach,
budzą się, chwytają pędzel, cyrkiel, pióro
i tworzą szczęśliwym rytmom serca ku wtórom...

Dla tych i dla przyszłych. O, nie ma wybaczenia —
chrońmy pokój i czas budowy bez wytchnienia.
Nasze dzieci niech cieszą się w wiosennych gajach.
Niech biegną w słońcu, kąpią się w górskich ruczajach.
Kiedyś, gdy sprostuje ich życie dojrzałe,
wspomną dni naszej młodości w lęku zetlałej.

WYCIECZKA NAD MORZEM

Może od Sanu, od Pilicy przyszła.
Jakby pragnęła klęknąć, twarz jej zwisła.
Na plecach czy to koszyk, czy tornister,
w oczach wiernie wpatrzonych łzy ziarniste.

A dokoła morze uciszone stało.
Zapach sośniny, piasku chłodził ciało.
Słońce jak ognisko traw na nizinie
drgało, łudziło myśli, że płynie.

Dziewczyna głośno westchnęła w tej chwili.
Usta i oczy, ręce jej ożyły.
Surowym gestem zdjęła z nóg buciki
i płakała już, witała mew krzyki.

Stanisław Piętak

GABRIEL PERI

Zginął za to, co daje nam życie...

(Paul Eluard)

I

W liściach zagnieździł się
wrześniowy mrok
spadają owoce
na ziemię

Słoneczniki
odwracają złote twarze
z czarnymi wnętrzami
Ostatni motyl
zamknął skrzydła
nad pociemniałą łąką

W ciszy
wymawiam to imię
Imię rozstrzelanego
w twierdzy Mont-Valerien

II

Ziemia jest jak kość
i drze lecące zasłony śniegu
ziemia jest jak ostra kość
a niebo jest senne

ziarno jest martwe
ptaki odleciały

Ściana jest zamknięta
krata jest założona
na oblicze nieba
jak kaganiec
Mur jest zamknięty
lecz życie otacza go i unosi

Piętnastego grudnia
Jak co dzień
matki przyniosły o świcie chleb

i podzieliły
para wyciekła z otwartego wnętrza
pachnąca i ciepła

„Zginął ten co za całą obronę
miał ramiona otwarte do życia"

III

Wymawiam jego imię
w mojej ojczyźnie
w moim czarnym mieście

Tu robotnice
idąc do pracy
odnoszą dzieci
do jasnych domów
do domów ciepłych białych
jak śnieg w promieniach słońca

Tu pod czułym okiem
rosną dzieci
śpiewają dzieci
rozkwitają
tu zasypiają z czerwonym konikiem
w ramionach
Tu dobrzy ludzie czuwają
nad ich równym oddechem

Tu gdzie małe światła
lampek górniczych
są słońcami
ojczyzny
Tu
Wymawiam imię rozstrzelanego
w twierdzy Mont-Valerien

IV

Wśród ogni sztucznych
i grzmotu okrzyków
Pośród tańczących
w parkach i na placach
W środku zabawy
co się tak rozwija

jak barwny dywan
na zielonej łące
wymawiam to imię

Gabriel Peri

Cień umarłego nie pada na światło
cień odeszłego nie pada na twarze
wymawiam imię Człowieka
który przelał krew
za szczęście na ziemi

SEN I PRZEBUDZENIE

Julianowi Tuwimowi

Z Cyganami z Cyganami
szeroką drogą

Dzwonią dzwoneczki
skaczą dzwoneczki
księżyc jak czapa
lisia
to znów jak kita
ruda pomyka
bokiem

Cyganka tęcza
w koło w obręczach
miedzianym świeci warkoczem
i niedźwiedzica
skacze jak świeca
czarna

Dzieci cygańskie
i psy kosmate
z czerwonym okiem
płyną niesione
wiosłem miesiąca
I wozy białe
trzepią płachtami
oślepłe krążą

Okręty białe
wbite na skałę
przez deszcze płyną
przez kłosy płyną
przez śniegi łąki
i lasy
W świetle się topią
w ciemności giną

Jaśnieją guzy
u czarnej bluzy
w kredowym kole
cygański książę
— „Państwo wielmożni
rzućcie do czapki"
srebrny pieniążek

Z pieniążkiem w dłoni
w sto karych koni
po nocy jazda
jazda po gwiazdach

Po tej zabawie
na stawie
koła

Oczy przeciera
piąstką brązową
dziecko cygańskie
Całe niebiosa
drżące jak rosa
leżą na trawie
potrącisz
spadnie
świt
się przekradnie

Świt

o Boże wielki
żono
czy nie wiesz
u kamizelki
skąd srebrny
guzik?

Tadeusz Różewic

PAMIĘTNIK Z CELULOZY

I

„Urodziłem się w Rzekuciu w latach 1908-10 — dokładnie nie wiem"...

Tak napisał, i to wtedy, na komisji, wszystkich uderzyło. Ktoś, pamiętam, nawet burknął:

— Przepraszam, co to znaczy „w latach"? Dwa lata rodził się czy jak?

Dopiero kiedyśmy go zaprosili na komisję od pamiętników, to się wyjaśniło, że wojna zniszczyła Rzekucie i parafia spłonęła ze wszystkimi papierami. A skoro został bez metryki przy rodzicach niepiśmiennych, wśród siedmiorga drobiazgu, na wygnaniu, gdzie stare prędzej ściera się i gmatwa, to jak potem dojść, z którego on roku?

Ja bym o tej drobnostce nie wspominał, gdyby cały pamiętnik nie był jak to pierwsze zdanie, dziwne z początku, a potem wcale proste, nieraz nawet spotykane. Na każdym kroku potykamy się tam o fragmenty napoczęte i porzucone. Nie tłumaczy, jeśli są dla niego oczywiste, i rzeczy niesamowite podaje jak chleb razowy — taki ma sposób pisania. Wolno mu — we własnym życiorysie.

Ale czy my, pisząc w zastępstwie, tak możemy? Czy nam wolno czegoś nie wiedzieć i białe plamy zostawiać w powierzonej opowieści? — tym bardziej że jest to opowieść o człowieku, który ma starczyć za tysiące — ten właśnie Szczęsny, pseudo „Bida", jeden z wielu, co nie chcą albo nie umieją uszykować życia do druku.

Moim zdaniem powinniśmy się co do tego od razu umówić, żeby potem nie było sporów, w jakim stopniu i w jakim celu to jedno, to Szczęsne życie odtwarzamy.

Nie dla rozrywki, ani dla sztuki — to jasne, o tym u nas już się mówiło. Pamiątka po czasach, które przeminęły. Dokument, budowla zabytkowa... Trzeba zatem możliwie najdokładniej i z największą oględnością. Jeśli czegoś brakuje, a nie wiemy, jak było naprawdę, to raczej puste miejsce zostawić, najwyżej jakimś ornamentem w tamtym stylu przesłonić. W każdym razie nic od siebie. Własnym domysłem możemy tylko strzaskane części pospawać albo dziury dla niepoznaki zakapać.

Ja to wszystko bardzo dobrze rozumiem, tylko — wiecie — człowiek nie kamień. Wprawdzie mówimy — „oto nasza cegła, odbudujemy", ale ta cegła miewa przecież chwile szczęścia i rozterki, cierpi, kocha

i walczy. Czy można tak sobie brać i kłaść bez czucia, byle gładko, byle równo? Nie wzruszyć się, nie zacząć cudze przeżywać? A przeżywając jak swoje, czy można opowiadać za tamtym, na jego sposób — nie po swojemu? Tego się najwięcej obawiam: co będzie, jeśli wypadnie u nas na dwa głosy?

Jużci lepiej byłoby, gdyby on sam opowiedział.

— Żebyście to wszystko napisali od nowa — namawiano go w komisji konkursowej. — Ze wszystkimi szczegółami i tak właśnie, jak teraz mówicie.

— Nie, ja drugi raz pisać nie będę. Szkoda czasu. Róbcie z tym, co wam się podoba.

Rzeczywiście sprawiał wrażenie człowieka, któremu się śpieszy — nie ma głowy ani czasu na ten cmentarz młodości, na groby klęsk i zwycięstw prawie zapoznanych.

Tak oto został sam budulec: pokaźny brulion, stron 53, pożółkłe druki jako załączniki i luźne kartki notatek z ustnych jego uzupełnień. W razie czego można poprosić o jeszcze, i taka potrzeba na pewno zajdzie. Weźmy na przykład dzieciństwo. Ważne czy nie? A co o nim wiemy?

Sam Bida zbył lata wczesnego dzieciństwa jak przykre pytanie:

„Ojciec mój — napisał w pamiętniku — cieśla wsiowy, miał siedmioro dzieci, dwie morgi i chałupę, w której mieszkaliśmy do wybuchu pierwszej wojny światowej. Wojska carskie, odchodząc, pognały nas przed siebie do Mińska. Potem z transportem innych „bieżeńców" przybyliśmy do Symbirska nad Wołgą, gdzie mieszkaliśmy u Tatara jednego, a ja z bratem czas jakiś byłem w ochronce..."

Później, już w rozmowach, dorzucił ważny szczegół — o tym obrazie, co wisiał nad łóżkiem rodziców w Rzekuciu: modra Wisła, dołem płynąca, a górą, po wysokich brzegach, łany zboża falując ścielą się pod kopulastą katedrę w Płocku z jednej strony, a z drugiej — pod strzelistą bazylikę we Włocławku, najeżoną poczwarami, które w przelocie snać wieże obsiadły.

Wędrowny obraźnik, który mieszkał u nich parę tygodni, miał tylko jeden oleodruczek nieświęty i na pożegnanie podarował. Jeszcze ich domek domalował, a po kolacji nawet gruszę przed domkiem jednym maźnięciem i wciąż gratis — tak był z mieszkania zadowolony.

W tym świecie zamkniętym włocławską i płocką świątynią, w tej rodzinie, gdzie bieda chowała się cicha, zawstydzona — on był dzieckiem trzecim z kolei, a pierwszym przy życiu. Niby to imię, jakie mu dali, poskutkowało: Szczęsny!

Gdy car rosyjski z królem pruskim wzięli się do wojny, rzekuccy ludzie woleliby z żadnym nie trzymać.

— Co mi tam — powiedział ojciec — moje dwie morgi opłotkami obejdą.

Ale nie obeszli.

Kozacy, zamykający odwrót, podpalili Rzekucie i mieszkańców z dobytkiem, jaki kto zdołał rzucić na furę, popędzili płockim traktem do Warszawy i dalej. Matka w ostatniej chwili wpadła do chaty po obraz święty, ale że tam już się zajęło, złapała bodaj ten nieświęty.

Obraz Wisły, zboża i starodawnych wież kościelnych wisiał potem u nich zawsze nad każdym posłaniem: w Mińsku i w Symbirsku, w Połtawie i Kijowie, i wreszcie w wagonie towarowym, którym cały miesiąc jechali do kraju.

Na pozór drobny szczegół — ten obraz — a warto o nim pomyśleć. Gdy było im źle na wygnaniu, i głodno, i strasznie obco, kto wie, czy nie tulili się do niego?

Może dzieci wypytywały, może dotykały palcami:

— A to co?

— To grusza. Ogromna grusza rosła u nas w ogrodzie.

Młodsze rodzeństwo nie pamiętało, ale Szczęsny pamiętał: w Rzekuciu mieli oni swój domek, krowę i ogród.

— Mamo, a czy to dużo — dwie morgi?

— Dla nas dużo.

— A może myśmy mieli więcej niż dwie morgi? Może dwie z kawałkiem?

— A kto by tam mierzył kawałki...

Tak być musiało, chociaż Bida tego nie mówił, tak było na pewno: własne morgi w oczach im rosły z latami, i obraz Polski jak na druczku olejnym, i żrąca tęsknota za domkiem w Rzekuciu.

Bida wspominał jeszcze w komisji o Tatarze, u którego mieszkali w Symbirsku. Wydaje się, że i Tatar patrzył na ten obraz, musieli mu pokazywać, jak wysokie buduje się wieże u nich na Mazowszu, wyższe niż minarety w Kazaniu, jak ta Polska jest piękna i bogata!

— Ojciec z nim nawet dobrze żył. Achmed Bek-Mechmandarow się nazywał — dobrze pamiętam... Z rana brał worek i obchodził podwórza. „Szurum-burum — wołał — stare rzeczy kupuję!" Odczekał, ile trzeba, zadarłszy rzadką, ryżą brodę, i szedł dalej, chyba że z okna pokazano mu buty albo spodnie, wołając: „Stój, książę, ile dajesz?" (tam na każdego Tatara wołano wtedy „książę!"). Na tej starzyźnie on się domku dorobił i trzech żon...

Musimy się na tym nieco zatrzymać, bo z tego, co Szczęsny opowiedział, wynika niezbicie, że przeżycia symbirskie zaważyły na dalszych jego losach i że właśnie wtedy przezwano go Bidą.

Otóż parterowy drewniak, o którym mowa, Bek-Mechmandarow postawił na łaskę Allacha, nad urwiskiem, gdzie nikt już budowy nie ryzykował, bo grunt się co roku obsuwał: to był sam szczyt Starego Wieńca.

Dzielnica ta leżała na krawędzi stromej góry panując nad miastem i Wołgą.

Miasto było nie duże, ale i nie małe — średniej wielkości miasto rosyjskie, budowane nie tyle przez kupiectwo, ile przez szlachtę. Dlatego mniejsze tu były hale targowe i uboższe cerkwie niż w innych miastach gubernialnych na lewym brzegu Wołgi, ale okazalsze zimowe rezydencje ziemiaństwa, ładniejszy teatr i konserwatorium, więcej młodzieży, bo aż kilka gimnazjów i korpus kadetów.

Na Starym Wieńcu, w tej dzielnicy na wysokiej górze, okolonej rzeczywiście wieńcem sadów, stała kanarkowa willa kupca Gołubcowa. Gdy kupiec uciekł za admirałem Kołczakiem, sąsiedzi podzielili się płotem, dobierali się już do willi, ale zjawiła się pani Teresa i z polecenia Ludowego Komisariatu Oświaty wywiesiła szyld w dwóch językach: Dom Dzieci Polskich i po rosyjsku *Polskij Dietskij Dom*.

Okna wychodziły na Wołgę, płynącą wysoką wodą do ostatniego przełomu w kredowym Górach Żegulowskich. Tamten brzeg, żółtawy i płaski, podcieniony gdzieniegdzie lasami, widziało się w lecie. Ale gdy przychodziła wiosna, odurzająca wiosna nadwołżańska, która trwa tydzień i mija jak upojenie, wtedy nic się nie widziało prócz żywiołu. Wołga rozlana na dwadzieścia pięć kilometrów pędziła z głuchym rykiem stada żółto-białej kry, niosła zielonkawe złomy lodu, chałupy i drzewa. Lada chwila, zdawało się, podmyje górę i miasto, kołując katedralną dzwonnicą popłynie jak kępka do Morza Kaspijskiego i dalej do samej Persji. Ludzie zbijali się wówczas w gromadki nad krawędzią Starego Wieńca, godzinami bez słowa patrzyli w dół na rzekę piękną i straszną.

Tak samo płynęły lata rewolucji, lata wojny domowej. Miasto przechodziło z rąk do rąk. Był car, był rząd tymczasowy, potem byli czerwoni, biali, Czesi, Kappel, Hajda, Czapajew — kto tu kiedy słyszał o takich? W Moskwie dwa razy trafiono kulą Lenina, to czerwoni poszli jak wariaci w biały dzień przez Wołgę, znów wzięli Symbirsk i posłali depeszę: „Za jedną ranę masz, Iljiczu, twe miasto rodzinne, a za drugą przyrzekamy ci Samarę!"

Pękały okowy starego porządku. Rozlewała się szeroko „razrucha" i nowa pieśń „powstańcie, których dręczy głód!" A było wtedy głodno i chłodno po miastach, straszno i zachłystliwie jak od gwizdu ulicznej „czastuszki": „gdzie się toczysz, jabłuszko małe?"

Za oknami kanarkowej willi ruski świat wezbrany kołował jak kra, i gromadka dzieci polskich wyglądała brzegu: kiedyż nareszcie dobijemy do Warszawy, do Siedlec, Kutna czy Rzekucia?

Dwóch tam było z Rzekucia: Szczęsny i Waluś.

Odnalazła ich naturalnie pani Teresa.

Zaraz po przeprowadzce sąsiedzi ją objaśnili, że dzielnica niczego sobie, żyje się cicho i bez ścisku, dzieci będą miały plażę na dole i kąpiel w zatoczce, po całym zboczu też mogą chodzić bez obawy, tylko na górę, do Mechmandary, niech nie chodzą. Banda Tatarczuków tam siedzi, skaranie boskie, a przewodzi nimi zbój jeden, też — za przeproszeniem — Polak...

Oczywiście pani Teresa tam poszła i dobrze, że przyszła, bo naprawdę w ostatniej chwili.

Cieśla leżał w gorączce, z opuchniętą ręką. Żona, kobieta wysoka, wyschnięta, zamorzona, powiedziała, że skaleczył się przy robocie. Jak już raz trafiła się robota — bo któż teraz buduje? — to właśnie musiał się skaleczyć! Czy były panie z Komitetu Polskiego? Nie, żadnej pani nie było. Mąż latoś chodził i do inżyniera Zdzitowieckiego, i do doktora Wiórka, od klamki do klamki, ale nic nie wyklamkował. Może inny by co wskórał, ale on? On umie tylko swoją ciesielkę, a poza tym to jest jak Helcia, którą trzeba za rączkę...

Dwuletnia Helcia wyglądała zza matczynej nogi, z drugiej strony tuliła się starsza nieco Kachna, blady Waluś uśmiechał się z zapiecka, Weronka lat chyba dziesięciu klęczała, szorując podłogę, a najstarszy — ten zbój osławiony — garbonosy, czarny i chmurny, z głową omotaną szmatami, stał na podwórzu przy oknie.

— Czy dzieci chodzą do szkoły?

— Paniusiu droga... — westchnęła tylko matka.

I po chwili, litując się nad nieświadomą, wyjaśniła, że gdy tu przybyli, jeszcze za cara, to najstarszego posłali do szkoły i nawet nauczycielowi dali pół rubla. Ale Szczęsny tylko dzień tam chodził. Bo dzieci akurat stłukły piłką szybę u nauczyciela. Uciekły naturalnie do klasy, a Szczęsny wcale się nie śpieszył, bo po co? Przecież to nie on stłukł. Przyszedł ostatni i jego nauczyciel posądził, jemu kazał wypiąć kuper! Szczęsny wypiął, ale potem, po egzekucji, powiedział, że całą ich

szkołę ma tam właśnie — i wyskoczył przez okno. Tyle go tylko widzieli, a pół rubla przepadło.

— A więc on się nie uczy — wałęsa?

— Niech pani tak ostro nie mówi. To dobry chłopak, stara się dla rodziny. Ja nie wiem, cobyśmy bez niego... Teraz na ten przykład morelową konfiturą nas ratował...

Konfitury — jak się dowiedziała pani Teresa z dalszych słów cieślowej — leżą w pięknych puszkach na dnie Wołgi, niedaleko brzegu. Białogwardziści, uciekając szkutę zatopili. Szkutę z resztkami po luksusowych magazynach komitetu cesarzowej — podarki dla frontu kaukaskiego. Gdy woda opadła, Szczęsny z Tatarczukami zaczął nurkować do kabiny, wyławiając puszki konserw. Przeważnie trafiały się morelowe. Można je dobrze sprzedać na wałówce, a można też pyzy zalać. Cóż kiedy i to się skończyło. Zwiedzieli się o szkucie chłopcy z Posiołka i zrobili sobie monopol z tego nurkowania. Nie dopuszczają. Szczęsny poszedł na nich całą Mechmandarą, ale tamtych było więcej. Przegrał. Głowę mu rozbili, pokaleczyli Saidkę z Machmudką, a Mamaja wzięli do niewoli i żądają teraz dwóch paczek machorki wykupnego.

— A co na to Mechmandarow? — obruszyła się pani Teresa. — Wasz mąż, widzę, chory. Ale Mechmandarow? Jak on może swoim pozwalać na takie rzeczy?

— Ii, on tych synów swoich teraz chyba nawet zliczyć nie potrafi. Nic już nie znaczy Mechmandarow — odkąd biali poszli. Całkiem zdziadział, oklapnął pośród kupy dzieci i już nie wie, której żony słuchać!

Wróciła z tych odwiedzin pani Teresa nie sama, ale z Walusiem. W dwa tygodnie później przybył do Domu Dziecka Szczęsny.

Waluś prędko oswoił się z internatem. Był miłym dzieckiem, dawał się lubić. Ale Szczęsnego z miejsca przezwano Zbójem. Dziki, władczy i w gniewie niepohamowany, z nikim się nie liczył i nikogo się nie bał. Szanował tylko drobną panią Teresę, która ojca mu uratowała okładami z siemienia lnianego, gdy felczer powiedział, że nie ma ratunku, i której syn, Jurek, nieco starszy, stał się jego przyjacielem — ale o tym później.

„Karmiono w tej ochronce możliwie, złodziejstwa ani bicia nie było, na religię szliśmy do księdza, bo on do nas nie mógł przychodzić, a Polskę współczesną wykładał porucznik z jeńców, tak że atmosfera panowała legionowa. Ale największy wpływ na nas miała kierowniczka, bo to była z gruntu uczciwa kobieta i sama wierzyła, że czeka nas ojczyzna odrodzona po niewoli i sprawiedliwa. Takie zresztą było nastawie-

nie całej kolonii, z wyjątkiem kilku, którzy już wtedy przejrzeli, ale tych miano za zdrajców".

Ten ustęp znów musimy rozwinąć.

A więc porucznik zjawił się w dwudziestym roku, gdy przybyli polscy jeńcy wojenni. Skoszarowano ich, ale mogli za przepustką wychodzić na miasto i jeden z nich właśnie udzielał dziatwie polskiej „mowy ojczystej", na co władze wprawdzie zezwolenia nie dały, ale i nie zakazały. Autonomii, o którą pomawiano polski dom, nie było, ale pewne względy miał on rzeczywiście w gubernialnym wydziale oświaty, gdzie panią Teresę ceniono jako pedagoga i szanowano jako człowieka. Sam Tkaczow, komisarz, w dniach rozterki, gdy brakło żywności, nieraz decydował: „dajcie wpierw sierotom polskim, bo to podwójne sieroty". Panią Teresę żałował („taki człowiek marnuje się na mieszczańskich pozycjach!") i wykłócał się z nią od pierwszego spotkania.

O tym spotkaniu Szczęsny, rozgadawszy się, powiedział — warto przytoczyć.

Otóż Tkaczow nastał w osiemnastym roku, wkrótce po tym, jak czerwonogwardziści dali Symbirsk Leninowi zamiast opatrunku na tę jego pierwszą ranę. Dobroczynne panie z kolonii polskiej, odczekawszy parę tygodni, postanowiły wysłać do czerwonych delegację, żeby prosiła o żywność dla dzieci i jakiś dom na ochronkę. Na czele delegacji stanął, rzecz jasna, inż. Zdzitowiecki, wytrawny znawca kraju i stosunków, bo „na wygnanie" zgodził się już przed dwudziestu laty — za pięćset rubli miesięcznie. Budował most na Wołdze i tu się pomylił czy też przedsiębiorcy mu doradzili, żeby się pomylił, dość że w obliczeniach przecinek, gdzie trzeba, przesunięto o jedną cyfrę w prawo, i nitów wypadło dziesięć razy więcej. Most, podziurkowany na drobne sitko, zawalił się w tydzień po wybudowaniu, ale Zdzitowiecki wyszedł na tym przecinku z dobrą forsą i osiadł sobie w Symbirsku.

Dawniej chodzili do kuratora okręgu szkolnego we trójkę: on, ksiądz i dr Wiórek. Teraz także wybrał się we trójkę wziąwszy z sobą pedagoga, panią Teresę, która dopiero co przybyła do Symbirska, i ojca Szczęsnego na wzruszenie, bo „gorszej nędzy nie można było znaleźć".

Zapukał. Nic. Zapukał drugi raz — żadnej odpowiedzi. Uchyliwszy tedy drzwi, zajrzał przez szparę do prześwietnego niegdyś gabinetu. Nie było dywanów ani portier. Jakieś skrzynie piętrzyły się przy oknach pod sufit. Panował półmrok i mróz oblodzonej jaskini. Nie poznałby sali, gdyby nie fotel głęboki, wyniosły, tronowy. W fotelu jego ekscelencji siedział jakiś chłop i pisał przy biurku ogromnym na

kształt bilardu. Był w kożuchu i czapce futrzanej, lewą rękę grzał za pazuchą, a na prawą chuchał pisząc ołówkiem.

Zdzitowiecki podszedł do niego jak za dawnych czasów, jak się w ogóle podchodzi grubego zwierza albo dygnitarza: na palcach, bezszelestnie, pląsającym krokiem bajadery. Cieśla za nim, stąpając tak samo po czerwonej zda się blasze.

— Czego wy się do mnie skradacie, czego? — mruknął nagle komisarz.

Stanęli jak wryci. Zdzitowieckiemu nawet noga w powietrzu zamarła na chwilę.

A komisarz:

— Chodzić trzeba po ludzku, całą stopą!

Cieśla zląkł się, Zdzitowiecki zrobił stójkę merdającą, na przeproszenie, i tylko pani Teresa czuła się tu jak u siebie.

— To najtrudniejsze, towarzyszu — chodzić po ludzku — odcięła się zdecydowanie. — To cała rewolucja.

— *Wot umnica* — pochwalił Tkaczow. — W lot uchwyciła. Nauczycielka?

— Pedagog — znacząco poprawił Zdzitowiecki zniżając głos, jak gdyby zdradzał tajemnicę. — Specjalistka, wybitna siła fachowa.

— To się, wiecie, cieszę. Potrzebujemy specjalistów, och, jak bardzo potrzebujemy. Jedni uciekli, drudzy sabotują... W szkołach czort wie, co się dzieje. Weźcie chociażby taki fant — przytknął w uniesione nad głową kartki — list: „stopnie znieść, egzaminy znieść, nauczycieli upolitycznić przydzielając politruków", i różne takie fidrygałki, a na zakończenie: „kamerjunkier carski i karmazyn Puszkin zostaje z naszej proletariackiej imienia Karola Marksa szkoły wydalony". No i co wy na to? Jak tu pedagogicznie Puszkina obronić?

— Puszkin sam się obroni. Ja bym zrobiła puszkinowski wieczorek artystyczny, potem — dyskusja.

— Racja. Też tak myślałem, chociażem nie pedagog. Jesteście, widzę z nami, zgadzacie się...

— Niezupełnie — wyznała szczerze pani Teresa.

— Masz ci! Przecież nie powiecie, że stary porządek wam odpowiada?

— Nie, ani trochę. Ale ja bym wpierw nauczyła chodzić, jak mówicie, po ludzku, swobodnie, a potem robiła rewolucję.

— E, ja tę melodię skądciś znam — powiedział poważniejąc Tkaczow. — Słyszałem! Jednej tylko rzeczy nie mogę zrozumieć, może mi

wytłumaczycie: czy może chodzić dziecko spętane? W jaki sposób ono się rozwinie, jeśli jest trzymane przemocą w łóżku?

Zaczęli się spierać o te pęty, kiedy zdjąć, od razu czy powoli, i tak się oboje zaperzyli, że dopiero w jakiś kwadrans Tkaczow oprzytomniał:

— A wy, obywatelko, kto właściwie jesteście? W jakiej sprawie do nnie?

Szczęsny przezimował w domu dziecka, przerobił elementarz, ale z wiosną stanął na progu pokoju pani Teresy — smagły, wyrośnięty jak zwykle chmurny.

— Pani kierowniczko, ja przyszedłem podziękować.

Pani Teresa, zajęta poprawianiem zeszytów, w pierwszej chwili nie zrozumiała.

— Za co mi dziękujesz?

— Za wszystko. I przepraszam, że pani miała ze mną tyle kłopotu. Więc ja sobie teraz pójdę.

— Dokąd?

— W stepy.

Pani Teresa odwróciła się do niego z krzesłem, bo to było obracane czarne krzesełko od pianina.

— A po co ty tam pójdziesz?

— Po sól. Sól będziemy warzyć. Są takie źródła, słone źródła. Mamaj wie. Konia już mamy i wóz. Tatarzy z ich rodziny pożyczyli. Solą odwdzięczymy się, a resztę wymienimy na żyto. Ojciec nie daje sobie rady, pani wie, więc ja muszę, niech się pani nie gniewa.

— Czy to ojciec tak postanowił?

— Nie, ojciec nie wie. Ja sam... A Waluś tu zostanie. Niech pani będzie dla niego dobra. To jeszcze cielak... I może by pani przyjęła na moje miejsce Kachnę?

— Nikogo nie przyjmę i nigdzie cię nie puszczę. Jesteś pod moją opieką. Szczęsny, ja nie pozwalam!

— A ja o pozwolenie nie proszę. Odchodzę i już. Chciałem odejść po dobremu, bez złości. Ale jak pani krzyczy, to trudno...

Odwrócił się i wyszedł. Pani Teresa wybiegła za nim. Szczęsny przyśpieszył kroku, wyskoczył na taras i zapadł w mrok.

Nazajutrz gruchnęła wieść po całym internacie:

— Mechmandary nie ma! Mechmandara poszła w step, ze Szczęsnym poszła, całą ordą!

Co śmielsi pobiegli na górę i nikt ich tam kamieniem nie przywitał. Obejście było dziwnie puste i milczące: żadnego Tatarczuka w wieku od 10 do 16 lat! A takich był tam przecie dobry tuzin...

Dzień minął pod wrażeniem ucieczki Szczęsnego. Coraz to spoglądano w górę, na gniazdo Mechmandary, czy nie wyjrzy zza uskoku kudłata głowa Zbója obok kulkowatych w płaskich haftowanych „tybetejkach" główek tatarskich. A gdy wieczorem Witkowski, ten sam którego Szczęsny przed tygodniem o mało nie zatłukł za złe słowo o komendancie, a więc gdy Witkowski w sypialni oznajmił: — Dziś będę wam czytał o zbójniku, książkę pana Tetmajera J a n o s i k N ę d z a, h e t m a n L i t m a n o w s k i — to kilku naraz zobaczyło przed oczyma zamiast Janosika — swego zbója, Szczęsnego. Wybuchł hałas zbiorowej twórczości, gdy jeden drugiemu wyrywa i podaje, mocując się z opornym słowem, aż ukręcili z niego bicz i strzelili na całą sypialnię:

— Bida Szczęsny, hetman Mechmandary!

Nawet nie bieda, ale bida, bo to ubożuchniej... Tyle gryzącej ironii włożyli w ten przydomek, że powinien łzawić jak chrzan, a parzyć jak pokrzywa.

— Prawda, jakie to śmieszne? — pytali się nazajutrz pani Teresy pewni jej uśmiechu, bo przecież musi być zła na Szczęsnego za jego ucieczkę.

Ale pani Teresa, odgarniając z czoła włosy jak złoty puch, odrzekła niechętnie:

— Wcale... To brzmi tragicznie.

Dziwili się też, że Kachnę przyjęła. Uciekł, podobno nawet naurągał jej na ostatku, ona go goniła, i teraz co? Siostrę bierze do domu!

Pozostała po nim w domu dziecka legenda, że był taki czarny czort, brat pieszczocha Walusia — Szczęsny. Bida Szczęsny, bo z samego dna nędzy. Hetman Mechmandary, bo z Mechmandarą poszedł w step.

Pod oknami narożnego pokoju pani Teresy nie rozlegało się ciche gwizdnięcie i Jurek wciąż był sam, jeszcze bardziej zamyślony z tym swoim trochę dziecinnym wyrazem skupienia, jak gdyby przez dziurkę od klucza podglądał tajemnicę wszechświata.

Jak wiadomo w życie Szczęsnego Jurek wpadł z nazwiskiem i kamieniem wielkiego filozofa, falujące kręgi długo rozchodziły się potem, wiążąc oba brzegi, początek i koniec naszej opowieści, poświęćmy tedy Jurkowi jedną stroniczkę — nie więcej.

Jurek wchodził w parny okres dojrzewania. Nabrzmiewały w nim różne opory i tęsknoty, budziły się niepokoje myślenia, łuszczyła mu

się świeżutka własna osobowość, cała jeszcze w strzępach oderwanych pojęć.

Bez przyjaciela, na którym wypróbowywał siłę własnej myśli, częściej teraz chodził do miejskiej czytelni i brał trzy książki naraz: Kapitał Marksa, Etykę Spinozy i Trzech muszkieterów Dumasa. Marksa czytał po to, by zostać marksistą, Spinozę — przez snobizm, dla samego nazwiska, o którym w szkole nikt nie słyszał, a które trąciło najgłębszą filozofią, Trzech muszkieterów wreszcie czytał dla przyjemności.

Wejdzie, bywało, na salę naukową. Zielone abażury na lampach — cisza — szelest odwracanych kartek... Nastrój prawie świątyni, pochylone w skupieniu głowy wokoło; wszystko jest tu takie znaczące i on też. Bardzo przyjemnie jest tak siedzieć wśród poważnych ludzi, z których żaden nie zapyta: „a co ten pistolet tutaj robi?“ Czy oni wszyscy też tak się męczyli nad filozofią? Rany boskie, jaki ten Spinoza jest mętny! Ciężką geometrią dowodzi na wszystkie sposoby, że Bóg i natura to jedno i to samo. Kręćka można dostać... I co to znaczy: „gdyby kamień, rzucony naszą ręką, mógł myśleć, myślałby na pewno, że leci z własnej woli“. W takim razie nie ma wolnej woli, w takim razie ja nic nie mogę i znaczę tyleż co myślący kamień?!

Zgniewany, rzuca Jurek zatraconą Etykę i przysuwa Kapitał. Szuka, co Marks mu powie: ma on swoją wolę czy nie ma? Ale Marks jakoś nie śpieszy z odpowiedzią w tej sprawie, rozkłada produkcję na wszystkie cząsteczki i pokazuje: tu sama praca, tu surowiec dotarczony przez pracę, a tu zysk, wyciśnięty z cudzej pracy. Tylko co to znaczy: ekwiwalent? Co to znaczy: adekwatny? Tyle słów niezrozumiałych, że trudno się połapać, co do czego i z czym. Ale skoro on tak obnaża zysk, skoro nawołuje do walki z wyzyskiwaczami — to musi uznać wolę: nie ma walki bez silnej woli!

Robi się Jurkowi lżej na duszy, ale czuje się zmęczony. Sięga więc dla odpoczynku po Trzech muszkieterów. Tu dopiero wszystko jak na dłoni: wola — walka — zwycięstwo... D'Artaniak bielany i dumny, d'Artaniak na księżycowym szlaku przygód... Długą szpadą uciera nosy możnym świszczypałom; zawsze kpiący, pomysłowy, wycięski — strusim piórem kapelusza kreśli śmierci w wersalskim pokłonie wyzwanie...

Oczy błyszczą Jurkowi, uszy płoną, wtem... A przecież d'Artaniak — to białogwardzista! Szpadę swoją sprzedaje głupiemu królowi i odważa tak mu się popłaca jak lichwiarzowi chytrość... Czarna reakcja

i karierowicz, a on się nim zachwyca! Gdzie słowo, że będzie hartował wolę, że będzie czytał poważne dzieła!

Z żalem zamyka Dumasa i znów bierze — niech go licho porwie! — Spinozę...

Upływały tygodnie. Szczęsny nie wracał. A o tym czasie rozbito już wojska wszystkich interwentów, bandy Machno na Ukrainie i kułackie powstanie Antonowa w sąsiedztwie, na prawym brzegu Wołgi. Rewolucja leżała skrwawiona i zwycięska, nabierając sił do nowej walki. To nowe czasem brzmiało z ulicy ogłuszającą, marszową piosenką: „Strzeż się, strzeż, Antanto, toć to komsomolcy jadą na budowę!"

— Boże drogi — żegnała się stareńka Zoja Nikoławna, która miała dzieci obszywać, ale mogła najwyżej szwalni doglądać, mieszkając przy internacie niby emerytka. — Ni w dzień, ni w nocy spokoju... A taki to był chłopak grzeczny, spokojny...

— Pani go pamięta? — zapytują dzieci.

— Ale! Spodenki mu kiedyś uszyłam...

I zamyśli się patrząc zmętniałym wzrokiem, w którym wciąż żyje wiek ubiegły i mały Wowa Uljanow.

— Żeby choć wiedzieć na pewno, dokąd ten Wowa prowadzi?

Pewnego wieczora pod oknami pani Teresy rozległo się ciche gwizdnięcie. Jurek odłożył książkę. Pani Teresa udała, że nie widzi.

W parę dni potem przyszedł do niej cieśla tak mały, jasny i cichy, że nie do pojęcia, skąd u niego ten czarny, ten desperacki syn. Wypstnie się czasem porządnej rodzinie dziecko jak nieopatrzne słowo.

— Szczęsny wrócił, proszę pani kierowniczki. Słoniny przywiózł, mąki przywiózł... Wszystko za sól. Sól warzyli oni pod Bugurusłanem, a sprzedawali po wsiach na tamtym brzegu... Ja na taki handel już za stary, proszę pani, za stary czy za głupi — zawsze dołożę. A Szczęsny z pustym workiem nie wraca. Dobry chłopak. Ma on serce, ma... Ze wszystkich moich dzieci, to ja bym najchętniej do niego poszedł na stare lata.

— A czy takie narwane uchowa się na stare lata? — odrzekła w roztargnieniu pani Teresa i połapawszy się, popatrzyła na pana Tomasza zdumiona: — Co też ja mówię! Niech pan nie słucha...

Bywała nietaktowna. Nie umiała uczuć hamować, ani myśli maskować. Nieraz patrzyła na rozmówcę zdumiona i zaraz przepraszała: „Co też ja mówię! Proszę nie słuchać"...

Wkrótce po tej rozmowie, usłyszawszy pogwizdywanie od ulicy, pani Teresa rozwarła okno.

— Czy ty, Szczęsny, naprawdę myślisz, że ja nie wiem, kto tu udaje skowronka? Przestańcie nareszcie spiskować za moimi plecami! Chodź do pokoju. Wolę, żebyście kolegowali otwarcie, chociaż zrozumieć nie mogę, coście właściwie w sobie znaleźli.

Nikt tego nie rozumiał. Wszyscy się dziwili:

— Patrzcie, Hetman Bida idzie ze Spinozą. To się dobrali!

A oni z wędkami schodzili dziką ścieżką przez byłe sady byłego kupca Gołubcowa do rybaczówki Pachoma nad wołżańską odnogą, i wkrótce żagielek koloru i kształtu rogoży odbijał od spróchniałego pomostu.

— Wiesz, nasi są już gotowi do odjazdu, czekają na transport. Ja się chyba urwę...

— Coś ty?! Po cholerę?

— Wiesz, z moimi przekonaniami...

— A rzuć to wszystko! Przekonania! W Polsce możesz gadać, co chcesz, urządzisz się wszędzie, bo kraj potrzebuje ludzi i są kapitały z Ameryki. I każdy sobie pan: marszałek — pan, majster — pan, i gospodarz — pan!

— Powtarzasz za matką, za porucznikiem. Wierzysz im?

— Pewnie, że wolę wierzyć twej matce niż tobie. Porucznik to samo mówi. Tak! On przecież walczył o Polskę, Virtuti ma!

— Ale zrozum...

— Nie chcę! Cośmy tu mieli dobrego? Komu tu jest dobrze? I jakie ty w ogóle możesz mieć pojęcie siedząc spokojnie przy matce? Lepiej mnie spytaj, to ci powiem zaraz: w mieście! Sam widziałem — trupy w nocy wywożą i w Głubokim Owragu palą!

— A co ma zaraza do idei? No, jest głód, razrucha, choroby, oni przecież dotychczas tylko walczyli, dopiero teraz zaczną budować. Zaczekaj trochę, zobaczysz, co tu powstanie!

— Guzik zobaczę. Ojciec ma rację: bez Boga i bez gospodarza nic nie urośnie. A co do ich sprawiedliwości dla biedoty i tej tam idei, to niech ją piorun trzaśnie! Nie zapomnę im tego, nie daruję! Za karabiny ich chwytałem, błagałem: „zostawcie, towarzysze, biedę mamy, ja cały miesiąc w stepie tę sól warzyłem, popatrzcie, towarzysze, ręce mam w ranach!“ Nic, oni wciąż swoje: „*bumagu* z pracy masz? pozwolenie masz? *propusk* masz? No to widzieliśmy już takich, dużo was jest, spekulantów!“ Zabrali, ścierwy, wszystką sól i jeszcze z wagonu wiedli do poprawczaka — *mieszocznik*, śmieli się, tam go nauczą! — szczęściem dało się zwiać... Drugi raz musiałem iść w stepy sam, już bez Mechmandary. Nikomu o tym nie wspominałem, tylko tobie... Nie, nie mamy o czym mówić!

Obaj patrzyli na jedno, a każdy co innego widział: Jurek — same światła, Szczęsny — same cienie. Jeden wierzył w życie socjalistyczne na podstawie najlepszych książek, szczerze chciał tego i bardzo się wstydził, że dziadziuś był jednak generałem. Drugi wierzył w słowa panine, ojcowe, porucznikowe, w obrazek rzekucki na ścianie, no i w duszy nosił pamięć swej krzywdy solnej, kto wie jeszcze jakiej poza tym z wielu doznań na szlaku stepowej włóczęgi. Trudno im było dogadać się z sobą.

Unikali później tego tematu. Szli, nie dyskutując, na kumys do tatarskiej wsi z całą hałaśliwą Mechmandarą albo do kąpieli w Swijażycy.

Ale raz udali się do dawnej resursy obywatelskiej. Na mównicy stał Ksenofontow, cudowne dziecko symbirskiego Komsomołu, z grzywą płowych włosów niczym pop, wzrostu dziesięciolatka, chociaż szło mu na szesnasty, o buzi dziecinnej, wejrzeniu dowódcy i głosie grzmiącym gniewną prawdą, która jak sztandar unosiła się nad tłumem. Na salę upchaną młodzieżą wcisnęli się także ludzie dojrzali. Przyszedł nawet inż. Zdzitowiecki — „popatrzeć na to monstrum"... A Ksenofontow mówił o zadaniach młodzieży w dobie, gdy stary świat się wali w gruzy.

— Może on gdzieś się tam wali — powiedział Szczęsny w drodze powrotnej — ale nie u nas. U nas, w Polsce, inaczej. I w ogóle nie bierz ty mnie więcej na takie zebrania.

Jeśli kiedykolwiek bliscy byli zerwania — to właśnie w ten wieczór. Z trudem rozładowali wzajemne urazy—dlaczego są inni—przyrzekając, że nigdy do tego nie wrócą. Rzeczywiście, nie wrócili. Rozeszła się wieść, że w przyszłym miesiącu nastąpi repatriacja. Szczęsny wybrał się znowu w stepy po sól, by zdobyć żywność na długą drogę do kraju.

Mijali dni bezchmurne, skwarne, coraz skwarniejsze. Kropla deszczu nie spadła od kwietnia i gorącym suchym wiatrem ziała na Wołgę pustynia Kura-Kum. Liście skręcały się w strączki i żółkło wszystko na spękanej ziemi.

— Idzie posucha, jakiej świat nie widział — mówiono. Będzie głód!

Polacy z całej guberni, zbijający się do kupy w Symbirsku, do odlotu — przyśpieszyli wyjazd.

Załadował się Dom Dziecka i cała kolonia, a Szczęsnego wciąż jeszcze nie było. Pociąg stał na dworcu dwie doby. Pod koniec drugiego dnia przybył Tkaczow z grupą wychowanków komuny im. Karola Marksa, by pożegnać się z polskim *dietdomem*. Komendant powiedział, że za pół godziny rusza. Do tej chwili rodzice wyglądali Szczęsnego z wagonu, teraz musieli z płaczem wyrzucić się na peron. Nie mogli przecież odjechać bez syna.

Tym powinniśmy zamknąć rozdział o Szczęsnym na tak zwanym wygnaniu.

Co było dalej, w dniach klęski żywiołowej — Szczęsny przemilczał. Nic pewnego nie możemy wywnioskować ani z życiorysu jego, ani z rozmów, już to w komisji, już to na osobności. Możemy wprawdzie snuć domysły, co człowiek czuje, gdy jest głodny do utraty człowieczeństwa, gdy za krztyną chleba wędruje z tysiącem tak samo głodnych po ziemi spalonej na węgiel, znacząc szlak mogiłami najbliższych... Ale niby po co? Prawdy nam nie przybędzie, a my przecież piszemy nie po to, by ładnie napisać.

„Pochowawszy matkę, która zmarła w Symbirsku — pisze krótko Szczęsny — przeprawiliśmy się na drugi brzeg Wołgi i szliśmy pieszo do Woroneża, skąd miejscowy Komitet Pomocy odstawił nas do Połtawy. W Połtawie zmarła Helcia".

17 września 1923 roku ostatni transport polskich repatriantów z Połtawy przybył do Mołodeczna. W jednym z wagonów znajdował się Szczęsny z ojcem, Weronka, Waluś i Kachna. Nad wyrkiem cieśli widział jak zwykle obrazek z Rzekucia.

II

Póki jechali, to była zgoda, i pomoc wzajemna, i równość. Po równu kładali się wszyscy na maszynistę i rewidentów „eszałonu", jednakowo iskali się wszyscy, kochali tę Polskę jedyną i koła pociągu im grały: Tacy-cacy rodacy...

A jak przyjechali, to się okazało, że nie jednacy. Są lepsi Polacy, są gorsi i tacy wreszcie jak ten cieśla z rodziną — z łaski.

Zaczęli się nagle wstydzić swoich wszy i brudu, i ubogich ciuchów. Pokornie szli do łaźni i na szczepienie w Mołodecznie, jedli zupkę komiecką w Białymstoku, stali godzinami w kolejce po wsparcie przed Św. Łuchem w Warszawie...

W Rzekuciu nie mogli już spojrzeć śmiało w oczy człowiekowi w czerwonej czapce. Ojciec złapał jeden tobół, Szczęsny drugi, Weronka wzięła Walusia z Kachną za ręce i tak chyłkiem przeszli obok władzy, która spoglądała na nich z niemym wyrzutem i odwróciła się w końcu plecami.

Gospodarz jeden podwiózł ich z osiem kilometrów, potem skręcił do przyłęku. Został im jeszcze kawałek ścieżką przez ścierniska. Toboły były wielkie i ciężkie — często przystawali.

Na pagórku ojciec nagle stanął pod zdziczałą gruszą i wskazując ręką w dół, wybełkotał:

— Wi-wi...

Wisełki imienia nie mógł wymówić. Siadł na tobole i płakał.

Płakał, bo przecież o to się modlił co wieczór lat bez mała dziesięć, żeby Bóg dozwolił bodaj przed śmiercią ujrzeć tę rzekę, tę ziemię i gruszę, gdzie stał jego dom, gdzie mu dzieci rodziła kobieta koścista i swarliwa, którą we wsi zwano „suchą Jewą", a która go jednak znała najlepiej ze wszystkich ludzi, zagłodziła się w końcu dla niego i została na polskim cmentarzu nad ruską rzeką.

Najmłodsze, Waluś z Kachną, za ojcem na głos zapłakały, Weronka rogiem chusty rzęsy otarła, a Szczęsny patrzył suchym okiem przed siebie na rzeczne „plosy" i „zatony" — tak się mówiło nad Wołgą, ale jak to-to nazywa się po polsku? — i widział jak na dłoni, że ich obraz jest fałszywy. Malarz ocmanił: nie było tu płockiej ani włocławskiej świątyni, tylko błonia rozległe, pod skraj nieba, i wiechcie wierzb, i Wisła wcale nie modra i nie taka znów wielka. A to bardzo bolało: dlaczego jest mniejsza?

— Ano, przyjechalim — westchnął ojciec. — A tera, co Panbóg da...

Między dwie zielone fałdy, które głęboką miedzą dzielą ziemię dobrzyńską od płockiej, w gęstwie sadów po zboczach — zaprószyło się Rzekucie. Zagrody, prześwitując starym drewnem lub bieloną gliną, pięły się w górę, ale wyleźć z jaru nie mogły, uwikłane na dnie chruścianymi płotkami, co splątane legły wzdłuż miejsca, gdzie według Klonowicza „rzeczka Malusia do Wisły siusia".

Na górze chodził wiatr od Kujaw, z Mazowsza lub Dobrzynia, i przestronnie, w szyku cmentarnych zagonów, z widokiem na świetlisty, prosty w tym miejscu jak rozwora szlak wiślany — leżały nieboszczyki. Żywi w strasznym ścisku dusili się na dole. Chata nad chatą, obora przy oborze, kupą bezładną i zbitą — bedłki jakieś czy opieńki... Wiatru bali się ludzie jarowi, słońca czy przestrzeni — nie wiadomo. Nie wiadomo, dlaczego trzymali się swego parowu aż do cmentarza, nie dalej, najbliżej karczmy, plebanii i sołtysa. Czemu czcili zleżałość, i mrok, i wszelki mursz po wiekach. Biedę mieli za otręt, którego niesposób uniknąć przy pracy. W Białą Niedzielę śmierć wynosili z Rzekucia i uroczyście topili w Malusi, a życie, by przaśnym nie było, zaprawiali z dnia na dzień kwasem krzywd sąsiedzkich.

Rzeczka była wąska i bardzo bystra. Górę przetarła przez wieki na dwoje i wciąż jeszcze ostrym nurtem ryła w głębokim parowie pod

wierzbami, pod olszyną, do samego ujścia, by tłuste iły odłożyć na „szlacheckim“ brzegu.

Na tym brzegu mieszkali zamożniejsi gospodarze, zwani „szlachtą“, bo ich dziadkowie wykupili się z poddaństwa jeszcze przed pańskim powstaniem. Cały folwark wziąwszy za wspólną gotówkę, do podziału, przenieśli się na te iły, z łaski dziedzica szlachetniejsze przybrali nazwiska: nie Żebro ani Krzywoń, ani Butwik, ale Żebrowski, Krzywicki, Butkiewicz...

A biedniejsi zostali na piaskach i do tamtych chodzili na odrobek pańszczyzny. Niedługo to trwało — Bóg zezwolił, car ruski wyzwolił— ale wspomnienia tych lat kilku, gdy chłop nad chłopem był panem, unosiły się jak trujące opary; gorączkowało się tym Rzekucie i bardzo podniecało. „Szlachta“ wołała na „chłopów“, że chamy, a „chłopi“ na „szlachtę“ — że Judasze, i tak sobie przez rzeczkę publiczyli.

„Szlachty“ czyli kułaków było w Rzekuciu zagród dwanaście, „chłopów“ — z pół setki i tyleż „dziadostwa“ — parobków i chałupników, ludzi bez ziemi. Tych najwięcej uchodziło do miasta, na Saksy i na cmentarz. Cmentarz wszyscy mieli wspólny i paśnik, ale las należał do „szlachty“ — „dziadostwu“ i „chłopom“ wolno było najwyżej posusz zbierać i mech.

O ten mech pobił się Szczęsny z rzekuckimi chłopakami, jednego nawet mocno poturbował. Wprawdzie wrócił z lasu, dźwigając pełny wór, ale biegło już za nim nowe przezwisko: „bolszewik!“

Mieszkali u szwagra na „szlacheckim“ brzegu. Szwagier dopiero co postawił dom nowy, duży, o dachu na modłę niemiecką wysokim jak czapa z obu stron ścięta. Na poddaszu właśnie zamieszkali. Z desek, co szwagier dał, zrobili przepierzenie i schodki. Szczęsny z ojcem trzy dni robił, aż się uporali z ciesielką, wszystkie szpary mchem pozatykali, po czym gliną z trocinami całą izbę obrzucili. Weronka worki słomą wypchała, obraz zawiesiła, pasyjkę, wycinanki — i na strychu zrobiło się możliwie.

— A dyć niezgorzej — orzekł szwagier obejrzawszy ich gospodarstwo. — Póki swego nie macie, niech tamuj... Po chrześcijańsku.

Nieruchliwy był, jeśli chodzi o słowa. „Mormul“ — mówiono o nim w Rzekuciu. Myśli dźwigał jak przydrożne kamienie, ale dźwignąwszy, niósł niezmordowanie do jakiejś jemu jednemu znanej kupy i ruszając wiecznie wargami, jak krowa swoją żwakę żwał.

Cieśla wiedział, dlaczego szwagier do siebie ich puścił i co żuje, a przerzuć nie może: te dwie jego morgi, które dotąd uprawiał i w my-

ślach do własnych 15 mórg od dawna przyłączył za cenę mszy żałobnej na Wszystkich Świętych za rodzinę wymarłą w Sowietach.

Stary chciał czym prędzej przejąć od szwagra swój grunt, ale przyszła wiosna, a on wciąż miał partaninę, z której wyżyć niepodobna. Szczęsny poszedł do wikliniarza, gdzie plótł z kilkoma chłopakami te same fotele, które statek następnie zabierał do Warszawy. Jak tu myśleć o gospodarstwie, gdy ani domu, ani grosza, ani żadnego narzędzia?

Szwagier zapytał z głupia frant:

— Będziesz tera sam orał?

Oczywiście zostało, jak było. Szwagier orał, siał i zbierał, nie dzieląc się z nimi, bo przecież mieszkali u niego za darmo, no i czasem, gdy im bieda mocniej dogryzła, dał trochę mąki lub ziemniaków.

Szczęsny z Weronką nieraz ojca namawiali, żeby się szwagrowi postawił i jakoś się z nim o ziemię ułożył, bodaj na co trzeci snopek, a za stryszek można mu te parę złotych zapłacić — lepiej na tym wyjdą... Ale stary tylko się zżymał. Strach pomyśleć, co by z tego wynikło... Gospodarz całą gębą, wszystko może. Jeszcze się rozgniewa i z mieszkania wypędzi. Dokąd pójdą? Lepiej już swoją krzywdę przeczekać. Bogaty zawsze na wierzchu. Prawdę Żebrowski do Żebra krzyczał przez rzeczkę:

— Możeś ty ode mnie i mądrzejszy, ale dziad, więc cham!

Ta prawda zewsząd krzyczała.

Ta prawda gniotła mocniej niż bieda.

Biedę oni i na wygnaniu cierpieli, ale nie była ona tam jak w Rzekuciu kalectwem, nikt ich z tego powodu nie poniżał. Przeciwnie, kto był z chłopów albo z robotników, ten miał się za lepszego. Jurek na przykład swego dziadka zaraz by na jego, Szczęsnego, zamienił! I od Rusków Szczęsny więcej serca zaznał niż od swoich. Ale tam była razrucha, tam matka i Helcia zginęły...

W tamtym, obcym kraju czuł się Szczęsny źle — o swoim myślał, o własnym. A do swoich przybył, to jest jeszcze bardziej samotny i wołają na niego: bolszewik!

— To nie bolszewia, synu, nie można się burzyć — słowa ojca, ciurkiem sącząc się, bezwład niosły i mądrość starczą, pokorną. — Pomaleńku, Bóg da, do czegoś dojdziem z czasem...

Ale czas jak na złość stanął w Rzekuciu.

W Symbirsku przynajmniej był ruch, coś się zawsze stawało, była przestrzeń, ostatecznie poszło się w stepy — po solankę z ciepłych źródeł. Życie miało się chude, ale bystre, potokowe. A tu nic się nie dzieje. Woda stojąca, rzęsą pokryta; kaczeńce kiwają się sennie, ropuchy

echoczą. I nie ma się gdzie podziać. Siedzi człowiek do muru przypar-
y, wije wiklinę od rana do wieczora, do ćmiącej w oczach zieloności —
h, jakże to wszystko się wikła okropnie...

Urzekła widocznie Szczęsnego ojczyzna kochana, bo nic w nim z het-
nana nie zostało. Chodził noga za nogą, bez myśli, bez nadziei i już się
ulić zaczął jak ojciec.

Szczeniaka jednego, Brylka, przygarnął i niekiedy wieczorami siady-
ał z nim nad Wisłą. Ciepłą, wierną mordę trzymał na kolanach, pa-
rząc bezmyślnie, jak słońce powoli opada za szerokie rzeki zakole, chy-
a do Włocławka. Ale po niejakim czasie szwagier uwiązał Brylka do
rutu i głaskać zabronił, bo nie będzie zły.

Minął rok i drugi. Stary wciąż pracował w kratkę: dzień robił, dwa
ni za robotą chodził. Szczęsny nadal wyplatał wikliną siedziska. Wa-
uś z Kachną poszli do szkoły, bo już szkołę otwarto w Rzekuciu. A We-
onka im wszystkim matkowała.

Trafiła się wreszcie grubsza robota: domki kolejowe stawiano przy
tacji. Stary podjął się ciesielskiej roboty i wziął Szczęsnego do po-
mocy.

Przerobili tydzień i poszli ze wszystkimi po wypłatę, ale tu wyszedł
nętlik albo chachmęt, jak mówią w tamtych stronach. Technik odesłał
o kasjera, kasjer do buchaltera i wszędzie podług ksiąg wypadało, że
ieśla jest podprzedsiębiorcą, należność otrzyma po ukończeniu robót.
Umowy przecież nie podpisał, skoro pisać nie umiał.

Jak tu wyżyć tyle czasu?

Udali się do szwagra. Szwagier i owszem, pięćdziesiąt złotych dawał,
le jako zaliczkę za ziemię. Ojciec przestraszył się. Sprzedać ziemię?
Mój ty Boże... Toć człowiek tyle lat tęsknił za tym swoim zagonem
przedzierał się do niego od Wołgi, a chociaż go teraz uprawiać nie mo-
e, to przynajmniej popatrzy, pomyśli: tu buraki zasadzę, a tam kar-
ofle... I różne różności roi sobie o warzywniaku, o drzewkach owoco-
wych, o pasiece... Lęgną się myśli jak pszczoły w ulu weselnym — za-
udować się można, uwierzyć w jakiś tam lepszy koniec. Aby tylko zła-
ać trochę gotówki: mam ja przecie oparcie, mam ziemię! Tego wypuś-
ić nie można. Bo co człowiek wart, gdy grunt straci?

Tak się ojciec zląkł tej straty, że już szwagra o nic nie prosił. Od jed-
nego ze „szlachty" wziął trochę mąki, rzepaku i dwa metry ziemnia-
ów na słowo, że po domkach kolejarzy, najpóźniej przed Janem Kan-
ym, poszerzy mu oborę. Szczęsny chodził w niedzielę na ryby, w ciem-

niejsze noce niekiedy też i do ogrodów. Tym żyli bez mała trzy miesiące, robiąc na budowie od świtu do zachodu.

Skończyli wreszcie i wywiesiwszy wianki na dachach, poszli do inżyniera, a ten im mówi:

— Nic teraz wypłacić nie mogę, dopiero po kolaudacji.

Oni do niego po chleb, a on ich takim słowem: kolaudacja!

— Dopraszam, panie inżynierze — zaczął błagać ojciec — niechże pan cosik da. Dzieci mam. Czworo dzieci.

Był to nawet niezły człowiek, ten inżynier. Tylko zgorzkniał na małych rządowych robotach i o ludziach myślał odnośnie: odnośnie do poborów, do umowy, do okólnika za numerem tym a tym... Po swojemu i po prostu nie umiał.

— Ā conto należności — powtórzył — nic nie mogę przed kolaudacją. Ale stańcie jutro do wyładunku. Akurat wypada sobota. Wieczorem wam wypłacą.

Nazajutrz stanęli o głodnym pysku do wyładunku z wagonu 3.000 kafli. Poszła im ta robota jak krew z nosa: ojciec paznokieć zerwał, stłukli 20 kafli, za które miano im potrącić, i Szczęsnemu cały czas przed oczyma latały ciemne plamy. Ale wciąż nosili i nosili, aż im w krzyżu chrupało od tego dźwigania.

O pomroce dopiero dopadli okienka. Okienko zastali zamknięte: już było po wypłacie. Co robić?

— Ja już listę oddałem — powiedział kasjer — idźcie do starego, on jeszcze pasjans u siebie rozkłada.

Zgarnął ojciec cieślicę, piłę, świder i tak ze skrzynką narzędziową poszli do inżyniera.

Inżynier, ten sam, siedział przy biurku naburmuszony, bo coś mu w kartach źle wypadało. Na ich widok skrzywił się, nastroszył.

— Każdy z was ma fajrant. Ja też chcę mieć fajrant. Przyjdźcie w poniedziałek, może coś dla was wysupłam.

Szczęsny akurat trzymał pod pachą ojcową skrzynkę, a w ręku cieślicę. Postąpił naprzód.

— Pan nam zaraz zapłaci!

— Co za ton! Zaraz? A jak nie zapłacę zaraz?

— To ja pana zarąbię! Mnie już wszystko jedno. Niech pan uważa. Liczę do pięciu: raz.. dwa...

Ojciec, który przed każdym krawatem truchlał, teraz całkiem głowę stracił, a inżynier zbladł. Może z oczu Szczęsnego wyczytał, że naprawdę zarąbie, a może zobaczył taki ból i rozpacz, że poruszyło się w nim

o ludzkie, co spało pod okólnikiem — trudno odgadnąć. Sięgnął po portfel i drżącą ręką wypłacił.

— Macie tu dziesięć złotych. Ze swoich daję, bo potrzebujecie teraz. To wypłacie zwrócicie.

Ojciec kłaniał się, bełkocząc podziękę. Szczęsny stał nieruchomo, zgaszony i oklapnięty po wybuchu, a inżynier patrzył się na stronę, dłubiąc palcami po teczce jak gdyby nie ojciec, ale on przepraszał i wstydził się tego, co zaszło.

Gdy wychodzili, rzucił za nimi:

— Panuj nad sobą, młody człowieku. Inny z miejsca oddałby cię w ręce policji...

Wyszli na dwór. Biorąc ojca pod rękę, Szczęsny poczuł, że stary drży.

— Jak mogłeś, synu, jak mogłeś tak panu naciukać...

— Pies go drapał... Czy ojciec co widzi? Bo ja nic.

Ojciec przystanął, zajrzał mu w oczy.

— Jak to nic? Nic nie widzisz?!

— No mówię przecie, że jakby mi kto oczy wyłupił...

Ojciec, przerażony, zadreptał koło Szczęsnego, posadził na kamieniu.

— To z głodu, synu, zaraz przyniosę chleba i serdelowej, to i przejdzie...

W czas jakiś przyniósł chleb, kiełbasę, słoninę i żywność dla domu, postawił to wszystko Szczęsnemu do potrzymania, a sam pobiegł po ulika. Koniecznie chciał dla syna czegoś ostrego na poruszenie. Może ulik dobrze mu zrobi?

Tymczasem łobuzy, te najgorsze, spod stacji, spostrzegły, że facet na kamieniu — nie widzi. A obok leży worek mąki, worek kaszy, kiełbasa i inne rzeczy w sam raz dla widzących, podkradły się i to wszystko zabrały.

Ojciec wydał już całą pożyczkę, więc poszli do domu z ulikiem.

„Najstarsza siostra, Weronka — pisze Szczęsny w pamiętniku — do późna w nocy okłady mi na oczy robiła z rumianku, twarz miałem mokrą od tych okładów i od jej łez. Niestety, nic nie pomogło. Nazajutrz widziałem normalnie do wieczora, o zmierzchu zaś znowuż wzrok straciłem. Tak się powtarzało dzień w dzień. W Rzekuciu nikogo to nie zdziwiło, małorolni bowiem chorowali nagminnie na ślepego kura, ale wśród budowlanych przy stacji, gdy ojciec opowiedział, nieszczęście nasze wywołało pewne poruszenie".

Inżynier przysłał znajomego lekarza, staruszka. Był długi, łomki śmieszne miał nazwisko: Chrobotek. Powiedział to samo:

— Z głodu. Z wycieńczenia.

Jedno tylko dodał niezrozumiałe słowo:

— Awitaminoza.

Żadnych lekarstw nie zapisał, po prostu zostawił trochę pieniędzy

— Niech się dobrze odżywia, stopniowo samo to przejdzie.

W międzyczasie odbyła się ta — żeby nie powiedzieć złego słowa — kolaudacja. Wypłacono cieśli kupę forsy — aż mu się w głowie zakręciło — ponad tysiąc złotych!

Gdyby wtenczas, po wypłacie, cieśla poszedł, jak zamierzał, do inżyniera w sprawie tego budulca, co na placu został, bo to można było wtedy tanio kupić i domek postawić — pamiętnik Szczęsnego wypadłby zupełnie inaczej i nigdyby nie miała z nim kłopotu komisja związków zawodowych.

Ale ojciec, mijając jatkę, o synu pomyślał: Szczęsnego trza ratować

Kupił wołowiny. Dwa kilo kupił — dla wszystkich. Bo jakby Szczęsny jadł, gdyby Weronka i Kachna, i Waluś palce przy tym z głodu ssali?

Proszę sobie wyobrazić: mięso, które widziało się w Rzekuciu o wielkiego dzwonu i nie u wszystkich — u Bidy w dzień powszedni! I to nie po plasterku, ale kawałami, do syta.

— Jedz, synu, do woli. Na zdrowie. I wy sobie nie żałujcie, niech już tam...

Od urodzenia, z małymi odsapkami, głodowali. Wycieńczeni byli okropnie — u kresu sił. Ten rosół jak wódka ich ściął. Leżeli potem długo na swych wyrkach, oblizując tłuste wargi, z nieznanym uczuciem pełni i ciepłej, leniwej błogości.

Nazajutrz ojciec, nie patrząc na Weronkę, powiedział:

— A możebyś tak rwaki zrobiła? Na słonince... I śmietany weź do tego kwartę. Nie można żałować. Doktór kazał.

Tak się to marnotrawstwo zaczęło — od Szczęsnego, w imię Szczęsnego. Rosół, rwaki, żurek na białej kiełbasie. I potem już coraz rzadziej, aż do kawy z cukrem. Cukier — kto to widział?! Ale cieśla nie mógł się już powstrzymać. Dzieci mu w oczach zdrowiały. Ich śmiech zagłuszał wyrzuty sumienia, że gorącą, smakowitą parą z misek ulatuje tani budulec. I tak pewnie by na ten budulec nie starczyło. Zresztą jest ojcem czy nie jest? Może miał patrzeć, jak mu dzieciaki poślepną? A niech tam, Bóg da, znowu się zarobi...

A skoro mieszek na potrzeby domu rozsupłał, to tych potrzeb teraz cisnęło się a cisnęło!

Spostrzegli nagle, że bielizny nie mają — mniejsza o to, nikt nie widzi — ale są strasznie obłachani. Wciąż we wszystkim bolszewicki

odzą. Jakoś wreszcie czuć się trzeba. Dzieci w ogóle butów nie mają, ojciec ze Szczęsnym do kościoła na zmianę wychodzą: jednej niedzieli ciec te buty wkłada, drugiej — Szczęsny, aż to ludzie zmiarkowali śmieją się — wstyd słuchać.

Człowiek syty, człowiek syty i ubrany — ba, to całkiem inny łowiek.

Po paru tygodniach ojciec nie każdemu pierwszy się kłaniał, bo byli cy, co go uprzedzali czapkując gorliwie nowej bekieszy. W kościele sunął się od ostatnich „dziadów" i stanął nieco bliżej „chłopów" — by wobec Boga wszyscyśmy równi, ale kto się nie szanuje, tego Pan g nie miłuje. Weronkę w ładnej sukience chłopcy zauważyli — patrz-, wcale zgrabna panna.

A gdy wracało się do domu, to szwagier przyłączył się do nich, co się gdy nie zdarzało, i patrząc na nowe buty całej rodziny, sam zaczął zmowę o dzierżawie, proponując co trzeci snopek.

To wszystko najmocniej chyba odczuł Waluś.

— Nie chcę być biedny — powiedział raz przy kolacji.

I gdy wszyscy się roześmieli, on oświadczył z niedziecięcą powagą mocą:

— Ja pójdę na bogacza.

Jak inni mówią — na marynarza, na doktora, na maszynistę... „Za-ód" sobie obierał. Życie bogacza, pańskie życie — tylko to coś warte. tak jak oni dotychczas dziadowali — to lepiej wcale...

Czuli się jak w marszu po krótkim postoju. Trzy miesiące sytości znów ziemniaki nie kraszone albo zupka trochę mąką zatrzepana. Od-ykli. Ciężko im teraz z powrotem w starą biedę wchodzić. Może le-ej byłoby trzymać te pieniądze na budulec? Nie, stary nie żałował. rzecież Szczęsny wyzdrowiał, cała rodzina przy nim dobrze się odży-iała, wzmocniła; ubrali się, obuli, no i szwagier zląkł się tego ich wy-ądu, bo tacy niezależni — mogą sami ziemię uprawiać, toteż czym ędzej podsunął im co trzeci snopek. Dobre i to, zawsze trochę wła-ego chleba będzie... Aby tylko do żniw, aby ten przednówek prze-zymać.

Robota wprawdzie była, ale podła robota. Stodoły i obory stawiali ekuckiej „szlachcie", a ta umiała wykorzystać sytuację. Żeby choć z taki szlachetka słowa dotrzymał i wypłacił, co się należało! Gdzie m. Zawsze żywił ich drobnymi zaliczkami, kapaniną i obiecanką, by robocie coś urwać. Bodaj złotówkę, ale musiał. Siebie nie szanował-, gdyby nie urwał — taka już była ich kułacka natura.

Na tym tle często wynikały awantury, przez Szczęsnego oczywiście, bo ojciec ścierpiałby każdą krzywdę w zadawnionej pokorze, ale syn się rzucał.

Zdarzyło się wreszcie, że jeden naciął ich na grubszą sumę.

— Nie należy się wam i już — mówił ubawiony, jakby im na nosie drumkał. — A chcecie więcej, to od tego jest sąd.

Na sądy oni pieniędzy nie mieli i ten łobuz, ten Butkiewicz, o tym wiedział.

— Dobrze — odrzekł wtedy Szczęsny — niech i tak będzie. My stracimy zarobek, ale pan straci stodołę — pół na pół!

— A czemuż to, kochanie, miałbym stracić, czemu?

— Bo spalę! Moja praca, niezapłacona, więc spalę!

Butkiewicz wtedy w krzyk i do sąsiadów, na świadków, że Szczęsny ogniem mu grozi, żeby w razie czego poświadczyli. I tu wszyscy na Szczęsnego, że podpalacz, że bolszewik, takiemu lepiej od razu ręce, nogi poprzetrącać...

Ledwo od nich uszli. Gdy przechodzili przez podwórze, Szczęsny, wciąż jeszcze wzburzony, głośno ojcu tłumaczył, wymachując ręką, że z takimi draniami inaczej nię można, i Brylek, widocznie tym podniecony, skoczył na niego, łapiąc z tyłu za łydkę. Tak długo psiaka na drucie dręczono, że w końcu zeźlił się do cna i warcząc, na wszystkich krwawym ślepiem łypał.

Szczęsny stał przez chwilkę zdumiony, że go Brylek ugryzł, ten jego dobry Bryluś... I jakby szału dostał, bo chwycił Brylka za kark i o ziemię — prast! A potem kolanem na niego i za gardło! I dusząc, tak szyją kręcił, jak gdyby sam się dusił, jak gdyby nie pies, ale on, Szczęsny miał obrożę.

Ojciec i szwagier z trudem go od Brylka odciągnęli. A gdy potem na górce Weronka pokąsane ręce mu bandażowała, poszli do sadu i do późna chodząc ścieżką tam i nazad, uradzili: nie ma co, trza iść do „Ameryki".

Nieraz już szwagier o tym ojcu napomykał, że tak byłoby najlepiej. Zarobki w „Ameryce" wielkie. Siedem, nawet dziesięć złotych dziennie. Osiem godzin tylko robią. Ładnie robotnicy żyją, każdy sobie domek buduje... Czy to ma sens, żeby taki majster, taki cieśla w Rzekuciu głodował?

Cieśla wtedy słuchał, patrzał na szwagra, jak wargami długo rusza, nim słowo wyrzeknie, i myślał sobie: wiem, co żujesz, ja twoją żwakę znam, i nie pójdę stąd, mego gruntu ci nie zostawię!

Ale teraz szwagier go przekonał. Po zajściu z Butkiewiczem nikt go hyba do roboty nie weźmie. A co ważniejsze — Szczęsny naprawdę noże Butkiewicza spalić, bo się zrobił ostatnio jak Brylek — każdego y szarpał. Furiat. Na psa się rzucił. Widział kto takie rzeczy?

W parę dni potem, wczesnym rankiem, Szczęsny z ojcem opuszczał zekucie.

Przy pożegnaniu szwagier zauważył w ręku Szczęsnego węzełek.

— Z tym do miasta nie pasuje. Czekaj, znajdę coś lepszego.

Przyniósł stary tornister niemiecki.

— Masz ode mnie na drogę.

Ojciec szturchnął Szczęsnego, zaszeptał: „Ucałujże go, ucałuj, o Jezu, o to za cholera!"

Tyle w oczach starego było błagania i troski o dzieci, które przecież ostają pod dachem szwagra, że Szczęsny schylił się i szwagra w rękę moknął.

Gdyby był wiedział, jak bardzo sobie wargi tym sparzy! Że długie ta upłyną, nim się naprawdę wyprostuje po tym pokłonie, przy innej, e to zupełnie innej dłoni...

Wówczas oczywiście niczego nie przeczuwał: dla ojca to zrobił i już. zwagier wymamrotał: „No cóż... Na dobrą drogę. Z Bogiem". Brylek czeknął. Rodzeństwo zabuczało.

Poszli ulicą pod górę i potem gościńcem na prawo, jak Wisła płynie, butami na kijku, krokiem lekkim, nieśpiesznym, bo do „Ameryki" ieli kilometrów trzydzieści z kawałkiem.

III

Zanocowali w Górnym Szpetalu i nazajutrz w niespełna godzinę dro- od dworu wyszli prosto na „Amerykę".

Szosa, opasująca górę szpetalską, wychynęła z lasu nad skraj urwi- a. Z tego niby balkonu ujrzeli nagle Wisłę pod nogami, a przed sobą, a przeciwległym brzegu, miasto biskupie, Włocławek.

Było rzeczywiście, jak im ludzie ze dworu przepowiedzieli: że naj- erw zobaczą komin we Włocławku najwyższy, dymiący, obok niego tery mniejsze razem związane, bez dymu, bo są z drzewa zrobione czym kadzie, a te kominy i budynki stać będą na krawędzi czerwo- awej hałdy przy samej wodzie, i to będzie właśnie pana Sztajnhagena eluloza, którą w okolicy nazywają „Ameryką". Kto się tam dostanie, ć może bez obawy do śmierci, jeszcze dzieciom coś niecoś zostawi.

— Żeby choć dali porobić, Matko Najświętsza, żeby choć dopuścili... — modlił się cieśla, schodząc po ratunek do miasta, do tego miasta wymarzonego, które spichrzami starymi, wieżami, cegłą czerwoną i białą, całym tłumem budowli nadbrzeżnych przeglądało się w lustrze cichej Wisły i dymne smugi z kominów, barwione na różowo, powiewały nad nim jak proporce.

W ten ranek majowy „Ameryka" na tamtym brzegu, „Ameryka" w mieście Włocławku, spryskana blaskiem wschodzącego słońca, drżąca w odbiciu wiślanym i lekką mgiełką osnuta, wydawała się im piękną, zwiewną złudą, która zaraz pryśnie, by ukazać Malusię i zahukane Rzekucie.

Ale ta „Ameryka" trwała i z każdym krokiem rosła. Była tak blisko, mieli ją już na kwitku za 4 grosze, bo przy budce na moście zapłacili myto po 2 grosze od osoby, i włożywszy buty, szli na te dymy z kominów mostem drewnianym, pod którym woda wszystko głucho odbijała: głosy przekrzykujących się mleczarek, śpieszne kroki robotników z Dolnego Szpetala, idących do pracy, poskrzyp wozów — dzień widocznie wstawał targowy.

Pośrodku rzeki statek ryczał, żeby się przystań szykowała na jego przyjęcie.

Tafle drzewa cicho sunęły pod filary. Retman, pomachując czapką w lewo, za most, gdzie stał biały pałac, krzyczał z łódki do przednika:

— Wara śtyborku — kupą do biskupa, kupą!

Wraz z drzewem płynęło Wisłą coś białego jakby mydliny — pełno tego było wokoło — i od wody bił w nos ostry kwaśnawy zapach ługu. A na brzegu, gdy poszli pod górę staroświecką uliczką Matebudy, zaleciało ich nagle czymś tak ciepłym i drażniącym, że przystanąwszy, nosy z wiatrem wystawili, by po chwili spojrzeć po sobie ze zdumieniem: całe miasto pachniało paloną kawą!

Wiekowe domki poutykane jak się dało po obu stronach ciasnej Matebudy zostały u wylotu na ulicę szeroką i zgiełkliwą. Żydzi bowiem po bramach szwargotali, a chrześcijanie skupili się wokół katedry — tej samej, z obrazka, co się przeniosło przez całe wygnanie.

Tym razem obraźnik nie skrewił, to się widziało: katedra u nich na ścianie w Rzekuciu i ta tu, na placu, zgadzały się zupełnie — takie to było uczciwe malowanie! I tu i tam były nawy pod dachówką czerwoną, wieżyczki zamkowe ze strzelnicami po bokach i dwie pod obłoki wieże strzeliste, gdzie lwy skrzydlate na zadach przysiadły, przednimi łapami w powietrzu, i z wysokości rozwartą paszczą na grzechy miasta czyhają. Ale czy one czyhają na to z radością czy ze smutkiem

i przez kogo w ogóle zostały nasłane — tego po ich mordach nie widać, bo wysoko.

Ta świątynia, zwana dziwnie — bazyliką, była dla cieśli zbyt pańska. Przytłaczała. Nie wstąpił. Popatrzył, zdjąwszy czapkę, i poszedł swoją drogą — jak ludzie powiedzieli — za Maślaną, za Wiślaną, do Celulozy pana Sztajnhagena przy ulicy Łęgskiej. Ale przechodząc przez rynek ujrzał kościołek przysadzisty, stareńki i z tą jego kopulastą wieżyczką, można powiedzieć, garbaty. Dziad przy wejściu objaśnił, że to starodawny kościół farny. Rzeczywiście mury miał sfatygowane, a w nich dziury głazami flekowane.

— Chodźmy — powiedział cieśla, pociągając Szczęsnego za sobą w chłód i półmrok fary. — Postoimy tu trochę przed Panem Bogiem, odpoczniem chwilę...

Szczęsny nie mógł się skupić. Słowa modlitwy, jakieś zimne dziś i roztrzęsione, wcale nie koiły. Może za dużo miał ostatnio wrażeń, a może dlatego, że czuł się przywalony tym kościołem.

Kamienia było więcej niż powietrza. Mury tak grube jak gdyby nigdy ich nie stawiano, ale w murowanym kopcu przewiercono otwór na wylot dla ludzi ciągnących jak mrówki...

Chciał się oprzeć o mur, ale natrafił na kant płyty. Obejrzał się. Płyta była marmurowa z gwiazdą u góry i złotą lirą w bluszczu. Z trudem, bo już dawno liter nie widywał, odczytał: „ś. p. Kazimierzowi Ładzie, twórcy kujawiaków"... i jeszcze tam coś, drobniejszym, a potem podpis: „włocławscy wioślarze".

Ojciec wyszedł z kościoła pokrzepiony i nawet kroku przyspieszył jak gdyby tam, na Łęgskiej, już na niego czekano. Dopiero gdy minęli szlaban bocznicy kolejowej i usłyszeli warkot maszyn za długim szarym parkanem, stary znów głowę w ramiona wtulił i niespokojnie zastrzygł rzęsami.

— A przeczytaj no, co tam stoi — wskazał na szyld nad dużym budynkiem z mocno wypalonej cegły. — Może to nie tu?

Rad byłby jak dziecko, że jeszcze nie, że dopiero za godzinę pójdzie do obcych w obcy świat. Ale Szczęsny sylabizując przeczytał:

— Steinhagen i Senger, Fabryka Papieru i Celulozy, Sp. Akc. — Chyba tu.

Zajrzeli za parkan. A tam na podwórzu leżeli ludzie, ze wsi i z miasta, młodzi i starzy — rozmaici. Jedni w karty grali, drudzy spali, inni znów w małych kupkach rozmawiali.

Najbliżej, bo przy samym płocie, siedział oparty o słup człowiek młody jeszcze, lat trzydziestu, w rozchełstanej koszuli i gadał do tych, co wokół niego leżeli.

— Pandera? — mówił skrobiąc się po włochatej piersi jakby na mandolinie z nudów rzępolił. — Pandera, obywatel węgierski, bić go, panie dziejku, za to nie będą. A że mu procent przyrzekli, to on tu szajkę podkręci, łobuz... Niech będzie pochwalony, ojczulku!

To się już odnosiło do cieśli, który właśnie zaglądał do środka. Rad nierad postąpił naprzód i czapkując ludziom na ziemi, odrzekł:

— Na wieki wieków, amen.

To ich widocznie ubawiło — bo się uśmiechnęli.

— A z daleka to was bukszpan prowadzi? — zagadywał włochaty, wskazując na kijaszek, i mrugał przy tym do towarzyszy. Oczy miał wyłupiaste, a twarz gładką, bezwstydną i jak podłoga wytartą.

— Z Rzekucia, panowie, od samego Rzekucia idziem płockim duktem...

— Patrzcie, panie dziejku, duktem od Rzekucia... Na odpust pod wezwaniem św. Celulozy?

Tamci zarechotali, niektórzy nawet na rękach popowstawali. Szczęsny pięści zacisnął. Co on sobie myśli? Z ojca zabawę robi? Ale ten wytarty, twardy w gębie, ozwał się nagle bez kpiny, po ludzku:

— No to siądźcie sobie, ojczulku.

Już mu się szydzić odechciało. Bo to żadna przyjemność, gdy stoi przed tobą człowiek z zakutego Rzekucia, mały, łysawy, z tobołkiem. Płowe sople wąsów ściekają mu w dół po policzkach zapadłych, ziemistych i cały jest on jakiś w dół patrzący, przygarbiony. A tak niewyraźny, bez znaków szczególnych, że byłby nie do zapamiętania, gdyby nie cieślica pod pachą. Tak to przynajmniej wiadomo: cieślica — nic więcej.

— Siądźcie sobie, panie dziejku, zaczekajcie na przedsiębiorców. Może wam się poszczęści.

Obaj, ojciec ze Szczęsnym, przykucnęli przy nim.

— A wiela to ich jest, tych przedsiębiorców?

— Czterech i jeden Iwan.

Znów wszyscy w śmiech.

— Toć ja, ludzie kochane, z daleka. Pytam, bo nie wiem po prawdzie...

— I my wam, ojczulku, prawdę mówimy. A że ona śmichu warta to któż winien? Mówię jak jest: czterech ich, łobuzów, w kantorku pije, a piąty za nich w książkach pisze, bo oni nie umieją.

— Ii, żeby panowie nie umieli...

— Kiedy to całkiem jeszcze nieobeschłe państwo! Myślicie, panie dziejku, że oni tu na placu nie leżeli?

Pytanie rzucone cieśli poruszyło wszystkich do żywego. Podniosły się głowy znad trawy, oczy rozbłysły na wspomnienie czasów, gdy Udałek, Sumczak i Macherski... wszyscy ci dzisiejsi przedsiębiorcy wózki pchali albo obałki na placu strugali. Słowa padały ostre, zgryźliwe, najwięcej o Udałku.

— Pamiętacie, jak go z fabryki wyrzucili?

— Kto wyrzucił? Kiedy wyrzucił? — pytali się młodsi.

— A to było jeszcze za Kokielego — wyjaśnił człowiek starszy, z siwiejącym przedziałkiem. — Udałek celulozę wynosił. Na brzuchu ją miał. Jak go wyrzucili, to Kępiński — o, ten rymarz, co tam siedzi w kantorku przy okienku: po tej stronie przedsiębiorcy urzędują, a po tamtej Kępiński pasy w warsztacie zszywa, drzwi w drzwi, to właśnie Kępiński poszedł wtedy do Udałka. „Po coś kradł?“ — pyta go. A ten powiada: „dla dzieci“. I pokazuje, że nie mają żadnego posłania, więc chciał im chociaż celulozy podłożyć trochę, żeby na gołym nie leżały. Kępiński wtedy do Kokielego: „Panie dyrektorze — mówi — nie można. On to z biedy. Bieda u niego okropna, sam widziałem...“ I ten Udałka z powrotem przyjął. A teraz Udałek jest u nich głównym Michałem. Przedsiębiorstwem trzęsie. Dom ma, młyn...

— I majątek pod Lipnem — dorzucił któryś. — Widziałem. Ładny mająteczek.

— Z takiej biedy się wydźwignął? — dziwił się cieśla obejmując spojrzeniem hale, domy, kominy i place, gdzie Rzekucie zmieściłoby się raz i drugi. — To wszystko tera jego?

— Nie, ojczulku — odrzekł ten wygadany, w rozchełstanej koszuli. — Udałek tyle tu ma, co ja. Mogą go znów wyrzucić w każdej chwili.

— Od zaraz, he?... A kto go na ten przykład może wyrzucić?

— Pandera.

— Ten będzie jeszcze większy przedsiębiorca?

— Pandera, panie dziejku, jest dyrektorem, głównym dyrektorem. Dopiero co nastał... Sztajnhagen go nad wszystkimi postawił. Pandera teraz rządzi.

— A ci co robią?

— Przedsiębiorcy? A oni, panie dziejku, ludzi stręczą: strugaczy, wózkaczy, do wyładunku, do obsługi kotłowni, a nawet i do warsztatów dają ludzi, jak są urlopy. To się nazywa Przedsiębiorstwo Robót Placowych. Taki pacht od dyrekcji na sezonowych.

— To czemu dyrekcja sama ludzi nie przyjmuje?

— Dyrekcja znowuż nie jest taka głupia, ojczulku — dyrekcja ludzi przyjmuje, ale stałych. Sezonowych nie chce brać na siebie, bo to zawracanie głowy, i różne awantury, i po mordzie czasem można oberwać.

— A stały ma się lepiej?

— Ba i no! Stały robi podług ustawy, kasę ma, i ochronę, i urlop, i wymówienie z góry. Ten może żyć. Ale sezonowy?!

— Sezonowy też, jak który — wtrącił starszawy, z siwizną. — Sezon bywa różny.

— Tak jest — przyznał rozchełstany. — Dwa są sezony: „stały" i „czasowy". Jaka różnica? A taka, że jak wyjdzie teraz z kantorku Udałek i zawoła: „Hej tam, pod płotem, ojczulku z siekierą, chodźcie na plac drzewny sęki na obałkach obrąbywać!" I będzie tam rąbać, dzień w dzień, rok czy dwa, z obawą, że może jutro powie: „nie przychodźcie, nie ma dla was obałków" — to będzie „sezon stały". A jak będziecie tak oto leżeć na placu i on was raz wyrwie do roboty, a potem znów leżeć każe — to będzie „sezon czasowy".

Ojciec słuchał, głową kręcąc, wzdychał — „że się to pomieścić nie może, zamoroka jakaś", a Szczęsny patrzył w dołek, który kopał obcasami, zamyślony — daleka jest ta „Ameryka", coraz dalsza i bardzo niewyraźna...

Godziny mijały. Z kantoru nikt nie wychodził. Ludzie leżący pokotem na placu zgadywali: może Pandera wezwał przedsiębiorców do siebie? A może przedsiębiorcy się pobili? Bił się przecież zeszłej soboty Sumczak z Udałkiem o garść pieniędzy, którą tamten zdążył był schować do portek. Mają o co. Pieniądze leżą na stole jak śmiecie — pełna skrzynka, wszystko dniówki i groszówki za 700 „sezonowych". Oni by się w tym pogubili, nie wiedząc, komu, ile i za co, gdyby nie Iwan. Ten wie. Matematyk. Matematykę wykładał w płockim gimnazjum za cara, potem na wojnę go wzięli. Z rewolucji wyskoczył bardzo poparzony i tu się zadekował, w tym kantorku, przy księgowości... Płacą mu czterysta złotych. Ożenił się z krawcową, ma domek i astmę — czy to źle takiemu azylowi w Polsce?

Ten wygadany, o wyłupiastych oczach, co pierwszy ich zaczepił (wiedzieli już, że nazywa się Korbal, bo gdy ojciec wspomniał o noclegu w Górnym Szpetalu, majątku pana Rutkowskiego, to zawołał: „a, to moje strony! Korbal jestem, z fornalów pana Rutkowskiego. Ale dawno już od tego łobuza odszedłem...)" — otóż ten rozchełstany Korbal

wszystko wiedział, a jak nie wiedział, to zełgał, byle mówić. Skrobał się i mówił — podwójną miał przyjemność.

Szczęsny wstał. Pić mu się chciało. Słońce piekło, a wody nie miał w ustach od wczoraj.

Przeszedł przez plac, uważając na ludzi, by nie potrącić. Minął dwa długie, czerwone budynki, gdzie maszyny łomotały, i wyszedł prosto na sadzawkę. Brzegi miała z cementu i jakieś rury w jednym rogu. Za tą sadzawką zauważył w murze kran. Dopadł, i byłby pił bez końca, gdyby z tyłu nie zadudniło.

— Z drogi, bo fruniesz!

W porę uskoczył. Wózek przemknął obok. Za nim jechał drugi i trzeci. Z tyłu każdego wisiał na jednej ręce i nodze robotnik, drugą nogą ziemię kopał i wózek leciał dzwoniąc kołami po spojeniach szyn. Jechały okrąglaki grube, oskrobane do białego drzewa, wszystkie po metrze jak uciął.

Szczęsny poszedł za nimi. Dokąd wiozą? Niedaleko wieźli, do otwartej hali. Tu każdy z wózkarzy przechylił swój ładunek i drzewo chlusnęło do wody, bo tam był dół. A nad tym dołem stało dwóch robotników z bosakami. Wbijali bosaki w okrąglaki i kierowali do otworu w murze, na ruchomą taśmę, która wynosiła drzewo z wody i niosła w górę, na piętro, gdzie coś wyło i trzaskało, że strach, i od tego stukania trząsł się cały dom.

Szczęsny słuchał niezdecydowany: „szatkują tam drzewo czy na kaszkę trą?" W końcu poszedł dalej i stanął pod zbiornikiem jak ogromna gruszka. Tu go uderzył zapach ługu, ten sam, jaki poczuł na moście, gdy patrzał na białą, płynącą z Wisłą piankę. Zrozumiał, że to płynęły jakieś odpadki celulozy, ale co to jest celuloza i jak się z drzewa robi papier — tego w żaden sposób pojąć nie mógł.

Okrążywszy następny budynek, znalazł się z powrotem na placu. Zza rogu ujrzał grupę młodzieży pod murem. Byli starsi od niego, po 18 — 19 lat. Grali w karty, rozmawiając swobodnie. Dwóch właściwie rozmawiało: zgrabny ciemny blondyn ubrany dobrze, z pewną nawet elegancją i krępy białas o pucatej twarzy.

— No, a ty co na to? — pytał się ładny blondyn.

— Towarzyszu, mówię do Maćka, co na was ksiądz Wojda wygaduje — to głupie gadanie. Ja w takie zabombony nie wierzę, co robiący...

— Te, Staszek, grasz czy nie grasz? — zniecierpliwił się któryś. — Bij albo bierz, do cholery jasnej!

— Biorę...

Szczęsny spojrzał na białe rzęsy, białe włosy i czerwone pucki tego, co na słowa księdza powiedział — zabombony!... „Świński blondyn" pomyślał i ruszył w stronę płotu, do ojca.

Gdy był w połowie placu, wszyscy skoczyli na nogi. Jak po wybuchu, jak za podmuchem... Biegli do kantorku, Szczęsny też tam pobiegł.

Przed kantor, za stajnie, wyszło dwóch przedsiębiorców. Jeden grubaśny, czerwony na twarzy, z wąsami. Drugi starszawy, chudy, pochylony. Papier miał w ręku. Podniósł rękę — w tłumie posykiwać zaczęli, potrącać się: „Cicho! Udałek listę ma..."

A ten chrząknął, spojrzał oczami śniętej ryby i odezwał się niegłośno, głuchawo:

— Dwudziestu potrzebuję. Do wyładunku. Sześć godzin na wagon, po osiem i osiem dziesiątych groszy od metra... Do roboty staną: Kalinowski Wojciech, Żywulski Marian, Bucik Stefan...

Ciskał w ludzi pracą — podług listy — masz! masz! Kto złapał — szczęśliwy na stronę odchodził, a ci, co z niczym zostali, których tylko nadzieją drasnął — burzyć się poczęli:

— A dla nas?!

— A piryt hiszpański? Cały pociąg na kogo czeka?

— Piryt dla chadeków chowa!

Ale ten, listę akuratnie we czworo złożywszy, zawrócił nieśpiesznie do kantorku. Wtedy drugi rękę podniósł, nie pomogło. Wrzasnął z całej mocy, aż mu gęba zwątrobiała:

— Cicho! Ja też dla was mam!

— Patrzcie — on też! — śmiali się na placu. — Jak Udałek, to i Sumczak. Na wyprzódki!

— Pietrzak Władysław! Zastępstwo od jutra. Zgłosić się do inż. Ostaszewskiego.

— No, no, dla jednego już ma...

Kpili sobie z Sumczaka, a Sumczak jeszcze głośniej, jeszcze wielmożniej:

— Gabiński Bolesław!

Wystąpił ten ładny goguś, który pod murem grał z białasem w karty.

— Na plac drzewny, do pana Arciucha od jutra! Chrzestny za ciebie prosił, więc przebaczam. Pamiętaj — ostatni raz przyjmuję!

Wypiął się, nadmuchał — przecież przebacza i przyjmuje — chyba to widzą?

Ktoś dobrze w tłumie schowany rzucił zza pleców:

— Panie Sumczak, a co na to Udałek?

Sumczak obrócił się raźno, szukając wzrokiem napastnika, ale rozarło się z tyłu okienko od warsztatu i wyjrzał rymarz w fartuchu:

— To wy, skurczybyki, znów na niego?! Wszyscy na jednego? Daj o, Sumczak, ja im nasobaczę... Pewnie znów czepiali się, durnie, tych wudziestogroszówek od główek?

— A gdzie tam dwudziestki?! — wołał oburzony Sumczak. — Skąd wudziestki? Sześć groszy tylko od każdej jednej godziny? Czy to dużo tyla pracy? A podatki? A Kasa Chorych?

— A Udałek połowę ukradnie, tego nie liczycie? — tym samym nem ciągnął dalej rymarz i głos podnosił jak Sumczak. — Ciemnoto y, ciemnoto, nawet tego nie widzicie, jakiego kupca macie. Toć to nie dne towary mieszane, ani łokciowe, gdzie byle cham potrafi, ale hanel delikatny, żywy towar!

Bezrobotni już się śmiechem zachłystywali. Ale go przerobił! Za całe h bezrobocie, za poniewierkę, za to targowisko... Bili rymarzowi bra- a. Rymarz w oknie im się kłaniał, a Sumczak, zbity z pantałyku, coł się tyłem do kantorku, z twarzą wąsami na tłum wyszczerzoną, lśniąa buraczaną polewą.

— To już po wszystkim, ojczulku, po odpuście. Może jutro wam jakaś obótka podleci...

Cieśla podniósł na Korbala wzrok bezradny, uczepił się nim, uwiesił go ust... Człowiek mądry, oblatany. Niech powie, co tu robić do jutra? okąd pójść?

— Macie tu kogo? Nie. No to będziecie, ojczulku, nocowali w Wesom Miasteczku.

Wyszli za nim na ulicę. Korbal nie tłumaczył dokąd. Wszyscy we łocławku wiedzieli, że Wesołe Miasteczko znajduje się przy ul. Rolczej pod ósmym. Puste podwórze pofabryczne, po Fajansie. Budy tam oją i szałasy, w których mieszkają lepsi bezdomni, a gorsi nocują jak Ewangelii — pod gołym niebem.

Kumpel Korbala miał tam pod murem daszek na własność. Z kilku esek wprawdzie, ale kryty papą i własny: mógł człowieka przyjąć, mógł sam leżeć jak hrabia. Nie zaciekało. Miejsca było właściwie na wóch z luzem, ale jak się ścisnąć, to i we czterech można. Ścisnęli się, tak tam legli: Korbal, jego kolega, Gawlikowski, człowiek nijaki, Szczęsny z ojcem. Przed tym placków kartoflanych, co im Weronka ała na drogę, podjedli i kawą popili. Kawę przyniósł Gawlikowski z faryki — tam była woda gorąca dla robotników.

Korbal z początku certował się, wymawiał. Ale jak uległ namowom, zjadł kilka placków i czosnku pół główki. Był bardzo głodny. Nie

wiodło się ostatnio Korbalowi. Co którą kartą wyszedł, to życie biło i biło. Ale trzymał fason i nadziei nie tracił. Nawłóczył się niemało — wiedział: raz na wozie, raz pod wozem — albo deszczyk, albo nie... Żywy człowiek nie ginie, wierzył Korbal, i cieśla, słuchając go, wierzyć zaczynał w pana Korbala. Chodzi taki poświetnik i patrzysz, coś w końcu wychodzi. Może i oni przy Korbalu prędzej znajdą robotę?

— Do związku trzeba się zapisać.

— Do jakiego związku?

— Do chrześcijańskiego, ojczulku. Ja się już do tych łobuzów zapisałem. Do wszystkich fabryk ludzi dostarczają, z dyrektorami za rękę — bez nich nie można. Sam Pandera ich potrzebuje, bo inaczej to straci.

— A co straci?

— Wszystko, całą Celulozę i swoje abrahamki. Bo to przecie minoga, nerki sfelerowane, wszystkiego jeść nie może, najwyżej knedle ze śliwką w środku. Nawet chleba zwykłego nie może, tylko ciepłe abrahamki smarowane pieskim smalcem. Od tego się najwięcej tyje. Jak on tu nastał, to jego żona, Panderowa znaczy się, zaraz poszła z kucharką na targ. Nakupiły różnych różności na cały tydzień — ledwo dźwigają.

— Ile? — pytała się Panderowa, bo to jedno słowo po polsku umiała „ile?“ i na rynku tylko pokazywała, a kucharka targowała się i płaciła.

Kucharka pokazuje na palcach, że dziesięć złotych.

— Bre-bre — powiada Panderowa — kurły-murły czardasz paratańca — po węgiersku ma się rozumieć, a po polsku wypadnie, że czardasza można tańczyć, taka w Polsce taniocha!

W domu zaraz do męża:

— Kochany mężusiu, a za ile zgodziłeś się u Sztajnhagena?

— Za pięć tysięcy złotych miesięcznie, skarbie mój.

— No, to wystarczy i jeszcze dom postawimy.

— Albo i nie — odpowiada Pandera. — Albo i nie, skarbie mój, bo mogę wszystko stracić.

— Nie rozumiem, dlaczego mamy stracić? — pyta się Panderowa jak wy teraz, ojczulku.

— A bo ty wiesz, pompadurciu, co to jest Celuloza? Celuloza, kochanie, jest niby piękna kobieta, jak ty chociażby, ale bezpłodna, bo dochodu żadnego nie daje.

Panderowa na te słowa trzask drzwiami — jak to zwykle u państwa — i po węgiersku kurły-murły na cały dom, że wyjeżdża, a on niech ma sobie dzieci z Celulozą!

A ten do niej przez drzwi:

— Ależ najdroższa, ani mi to w głowie, żebym zdechł...

I tłumaczy delikatnie:

— Czy ty wiesz, głupia babo, że muszę na uszach stanąć, a zaprowadzić na powrót porządek jak za Kasjerów, bo Polacy nie umieją...

Ona o tym nie wiedziała, jak wy teraz, ojczulku, nie wiecie. Bo Celulozę dawno postawiono, jeszcze za cara, trzydzieści lat temu z czymś. A kto postawił, wiecie? Niemcy z Berlina, bracia Kasjery, bliźniaki, panie dziejku, wykapane bliźniaki. Po zębach ich tylko poznawano, bo jeden miał zęby swoje, a drugi — dukatowe. Wybudowali, puścili w ruch, no i porządek był: Polacy robili, Niemcy zarabiali.

Każdy z braci-bliźniaków miał swój szafes w dyrekcji i co miesiąc przyjeżdżał z Berlina po forsę. Zabrał swoją mamonę, zamknął grzecznie, ale żeby tam przy szafesie brata wytrychem pomajstrować — nie, tego u nich nie było! Dzielili się sprawiedliwie, pół na pół, bez krzywdy. Cicha rodzina.

Tak szło ładnie — pięknie do czternastego roku. Nagle trach — wojna! Potem znów trach — osiemnasty rok — Niemcy rozbite, Polska powstaje!

Bliźniaki czym prędzej do Celulozy, a starosta powiada:

— Wolnego, panowie — fabrykę zabraliśmy na wojenne odszkodowanie!

I bliźniaki poszły można powiedzieć z torbą. Jeden miał tam jeszcze garę deka tego złota, co w zębach uniósł, ale czy się tym podzielili, dobrze nie wiem..."

Słońce przechyliło się już za wysoki mur Wesołego Miasteczka. Zaleciało śmietnikami, które jak maciejkę czuć najmocniej o zachodzie. Gorejący czerwienią kurz, wzbity przez dzieciaki, opadał zwolna. Uciszała się wrzawa, wyraźniej słyszało się teraz czyjeś w boleściach harczenie i Korbala, mówiącego wciąż o Celulozie. Jak ją kupił — „za śmieszne pieniądze, za marki kupił!" — papiernik jeden z Pabianic, Senger, ale żadnego dochodu nie miał z nowego interesu...

— Gryzł się tym, gryzł i na zgryzoty w końcu zmarł. A dzieci po sobie nie zostawił, to cała dalsza rodzina, wszystkie pociotki w płacz — że taki podatek spadkowy: milion złotych! Skąd wziąć na raz milion gotówką? Wtenczas, panie dziejku, zajeżdża do nich Sztajnhagen, limuzyną, ma się rozumieć, zajeżdża — na spólnika! Lepszy łobuz, co? Ba no — od korony polskiej łobuz; Sztajnhagen, ojczulku, dla grosza się zabije, Sztajhagen w domu cukier liczy, czy nie za dużo wychodzi. Miałby się tu dochodu nie doliczyć?!

Głos Korbala był wstrętny, jak wiedźma siedząca u wejścia do budy z przeciwka o twarzy obleśnej, zadowolonej i piersiach obwisłych, bajtałacha jakaś, mówiąc po rzekucku. Wstrętny jak para w bramie, bezmyślnie podrygująca kolanami do taktu obmierzłej piosenki „Czy pani mieszka sama, czy razem z nim?"

Szczęsny chciałby już zasnąć, by tego wszystkiego nie widzieć, nie słyszeć, i żeby Korbal zamknął już gębę! Doprawdy można uwierzyć, że Pan Bóg stworzył niebo, ziemię i łobuzów. Jak on to mówi smakując „łłobuz", to mu to „łło" na tłustych wargach ślinką ocieka! Zwykły łobuz, lepszy łobuz i łobuz od korony polskiej — innych ludzi u niego nie ma, tylko tacy i my też, chyba że ktoś jest tak głupi jak cieśla, albo jeszcze „nie złapał cugu" jak Szczęsny. Bo Korbal już złapał, ale „nie chcą posunąć się, nie dopuszczają, łobuzy"...

IV

W tym mieście pachnącym raz paloną kawą zbożową, gdy wiatr był od Bohma, a raz ługiem, gdy wiatr był od Celulozy — zaczęli wieść żywot słoneczny: ze słonkiem nadzieja na pracę budziła ich i ze słonkiem gasła.

Wychodzili z Wesołego Miasteczka we czwórkę, bo z Korbalem i Gawlikowskim, dzień cały leżeli na placu przed kantorkiem i wieczorem z niczym wracali.

— Swoich ludzi pchają, łobuzy — klął Korbal przedsiębiorców. — Chadeków biorą. Trzeba w łapę dać.

Był przekonany, że cieślę stać na to. U takiego ze wsi, chociaż stęka i skrzypi, zawsze parę groszy się znajdzie. Jak on posmaruje, to z nim razem można się do roboty prześliznąć, i na to własnie Korbal liczył.

Tak oto trzymali się razem i jeden drugiego obtańcowywał: cieśla Korbala, bo wierzył w jego spryt, a Korbal cieślę, bo wietrzył u niego gotówkę.

Dlatego szli razem do Celulozy, dlatego przez dzień cały różne sobie świadczyli przysługi, dlatego wreszcie wieczorem pod murem, jeśli cieśla kichnął, to Korbal zaraz ciepłym słowem go obtarł:

— Na zdrowie, ojczulku.

— Bóg zapłać, panie kochany, Bóg zapłać...

Któregoś dnia — był to ich leżenia na placu dzień trzeci czy czwarty — zaczął Korbal starego przysposabiać.

— Dla was, ojczulku, najlepiej byłoby pójść na plac drzewny. Na ekierę. Strugacze w każdej partii mają takiego, któren obałki dla nich ekierą szykuje. Nazywa się — siekiera. To byście tamuj cieśliczką bie pomachiwali — dla was rzecz zwyczajna, nie trzeba się uczyć, co dzień osiem złotych jak w zegarku cyka.

— Osiem złotych?!

— A tak. Jakem, panie dziejku, tu robił, lat temu pięć, tośmy w sobotę brali po 50 złotych.

— No-no... I cośta z taką forsą robili?

— At, żyło się. Rozmaicie... Ludzie, panie dziejku, dobierają się partiach podług strugania, względem tego na co strugają? Jedni rugają na domki, przeważnie chłopskie partie, żeby odłożyć sobie domek. Inni znów strugają na dzieci, żeby do szkół chodziły. myśmy strugali, żeby się zabawić. Kawalerska partia. W sobotę człoiek umył się, ubrał jak kominiarz we wszystko czarne — garnitur, kierki, sztywniak — i na zabawę! A w niedzielę na noc tośmy do dou nie inaczej wracali ino dwoma dorożkami. Na jednej ja siedzę śpiewam: „jadzie, jadzie sobie pan!" A na drugiej, za mną znaczy się, dzie moja głowa — melonik, ma się rozumieć... Tak się robiło, ojzulku.

— A ci, a te chłopskie partie, powiadasz pan... Czy z tego co było? omki postawili?

— A jakże? Pobudowali się. Na Płockiej, na Cichej, za Białą Cegielią... Proszę obejrzeć, jakie domki stoją. I teraz się budują.

— Mają ludzie szczęście — westchnął cieśla.

— Ii, jakie tam szczęście. Ot, co mają — Korbal palcami pokazał. — ieniądze! Bez tego szkoda gadać... A czy nas by przyjęli? Guzik. Ale nalazł się wtedy jeden taki gospodarz, starszy już, trochę nawet do as podobny. „Słuchajcie, chłopcy, powiada. Ja wyłożę. Zrobimy parę. Ale żebyśta mnie za to uszanowali, żebym ta mniej robił". I tak też yło. On siekierą został, a myśmy strugaczami. On też na całą partię ypłatę brał i rozdzielał. Myśmy po prawdzie wszystko przepuścili, ale n ma. Domek ma z ogrodem na Rakutówku, teraz znowuż inspekta akłada... Po co ja to mówię? Żebyście, ojczulku, na placu nie leżeli. a nic takie leżenie. Musicie wstać, wziąć Udałka czy Sumczaka na ronę i przemówić im do ręki.

— A żebym to ja mógł...

— Jak nie możecie, to nie szkodzi. Ja za was mogę. Dajcie mi to...

— A co?

— No tamto. Co na brzuchu macie. Na brzuchu w woreczku, he?

— Panie, toć jak Boga kocham, nie wiem, o czym mówicie.

— O pieniądzach mówię, ojczulku. Żebyście pieniędzy nie skąpili Skąpy dwa razy traci... Co się tak na mnie patrzycie?

Z oczu starego takie wyzierało zdumienie, jak gdyby Korbalowi nos się trochę przesunął albo z uszu dym buchnął...

— Skąpy, mówicie! A co, czy ja co mam? Czworo dzieci głodnych i tyla.

— Ale z czymciś toście jednak, ojczulku, przyszli. Nie może być, że byście się wybrali do miasta bez niczego. Wieprzka sprzedaliście albo krowę.

— Nie mam wieprzka ani krowy.

I po chwili — z cichym bolesnym zawstydzeniem:

— Biedę mamy, panie. Wielką biedę.

Grdyka staremu drgnęła. Przełknął coś, co parzy — może łzę, a może wspomnienie jakieś.

Korbal uwierzył. I złość go porwała, że się nabrał, że na takiego śla za stawiał!

— To cożeś, łbie rzekucki...

Już nie „ojczulku", ani „panie dziejku"... Po co? Biedaka można zwyczajnie po łbie.

— ... toś, łbie rzekucki, myślał — na darmochę?! I praca, i jedzenie!

Kopnąłby tego niedojdę, tego momota z zakutej wsi, ale synowi ślepia zaszły niedobrym blaskiem i górna warga uniosła się nieco — jeszcze trochę, a kły odsłoni. Zupełnie jak pies. Tacy czarni i zamyśleni co cichcem siedzą — są najgorsi. Milczy, milczy łobuz od korony polskiej, nagle nożem dźgnie niechcący i powie: przepraszam, coś mi się przypomniało...

Toteż Korbal nie kopnął. Położył się na wznak i nogę założywszy na kolano, majtał kapciem na palcu bosej stopy w ich stronę — mam was gnojki, w nosie!

Do końca już, aż do buczka na fajrant, do siebie nie przemówili.

Wychodząc na ulicę, Korbal odezwał się głośno do Gawlikowskiego żeby oni słyszeli:

— Za ciasno już się zrobiło pod daszkiem. Niech sobie poszukają gdzie indziej...

Ojciec swoim zwyczajem głowę w ramiona wtulił. Strach go obleciał. Jak sobie w tym mieście poradzi bez Korbala? I gdzie się schroni jeśli deszcz lunie?

Wysupłał czym prędzej trzy złote z ostatnich pieniędzy.

— Biegnij, synu, do rzeźnika. Kup kaszanki pół kilo. I chleba kup ochenek. I dwie butelki piwa.

Po tej uczcie Korbal długo czuł niesmak i przewracał się z boku na ok, nie wiedząc, jak się do starego odezwać. Bo jeśli kupił kaszankę piwo — to jednak musi mieć pieniądze! Za ostatnie nie postawiłby igdy — toć ze wsi to-to — kutwa i tyle. A więc?

Kiedy więc cieśla kichnął, bo od tego spania pod murem nabawił się ntaru, kiedy zatem kichnął, to Korbal po dawnemu dobrym słowem o otarł:

— Na zdrowie, ojczulku.

— Bóg zapłać, panie kochany. Bóg zapłać...

Siedzieli w swojej gromadce na „bezrobotnej łączce" jak co dzień— ez skutku. Sumczak wywołał kilku do czyszczenia kanałów, a jednego o gliny. Był to właśnie ten Staszek, ten świński blondyn. Do zdunów oszedł jako pomoc niefachowa.

W porze obiadowej, gdy z magazynu powychodzili ludzie na podwó- ze, Korbal skinął głową w stronę barczystego robotnika. Siedział na amieniach pochylony nad rondelkiem, a obok stała młoda, ładna ko- ietą z koszyczkiem.

— To Maciek. Tragarz z ładowni.

Szczęsny już nieraz słyszał to imię na „łączce".

— Marusik?

— Tak. Marusik Maciej [1]). A przez nią właśnie on się wżenił w Ce- ulozę...

Patrzyli, jak idą — Marusik ze swoją kobietą — do bramy, jak ją dprowadza na ulicę...

— No i powiedz, panie dziejku, po co taki komunizuje? Czego mu rak? Forsę ma, żonę, łobuz, ma dzieci i tym podobne. Po jaką chole- ę, pytam, pcha się do ciupy? Byłby sobie plutonowym, potem dostał- y sierżanta szefa, a potem emeryturkę i działkę na Wołyniu, he?

— To on był w wojsku?

— A był. We Włocławku służył. Tu ją poznał. Jak się pobrali, to dy- ekcja ma się rozumieć zaraz ją zwolniła: zamężne zawsze zwalnia, za o mężów przyjmuje. Więc Marusik przyszedł do Celulozy i wlazł tu w komunę. Chociaż kto wie... Gadają, że jeszcze przedtem Perlikowski

[1]) Maciej Marusik, robotnik Celulozy, członek KPP, wydalony z fabryki po trajku 1928 r., aresztowany w końcu 1931 roku, zwolniony z więzienia w 1936 r.— ginął w czasie wojny na białostocczyźnie jako dowódca oddziału AL.

go przerobił. Kiedy Marusik w wojsku służył, to już go widzieli z Perlikowskim...

Korbal odwrócił się, czapką oczy przesłonił, bo słońce ślepiło, i leniwie żując źdźiebełko, strzykał przez szparę w zębach niespiesznie i dokładnie, zdawało się, prosto w Marusika.

— Chusyd. Nie pali, nie pije. „Maciek, daj na jednego!" Nie da. Dopieroż gdy kto powie: „źreć mi się, Maciek, chce". To da. Forsę traci. Co po ojcu dostał, a dostał dobrą forsę, miał przecie ojca gospodarza jak się patrzy — to co zrobił? Samochód kupił! Bo towarzyszów, widzicie, miał wyrzuconych z Celulozy, po sztrejku. „Macie, kochani towarzysze, maszynę. Żebyście się jazdy nauczyli, żebyście zarabiali!" A kochane towarzysze samochód na szmelc mu zajeździli i tyle.

Ulżył sobie strzyknięciem (słupek opluwał akuratnie w miarowych odstępach) i dalej wyrokował:

— Teraz znowuż na Panderę się porywa! Co on, głupi, znaczy naprzeciwko Pandery? Tragarz, panie dziejku, to po prostu wół albo osieł. A z osłów biskup w Jezuralem salami robi. Tyle więc Marusik dla Pandery znaczy. Salami, nic więcej!

Mówił znów o Panderze i tego dnia Szczęsny nareszcie go zobaczył.

Ledwo fajrant odgwizdano, przed kantor schodzić się poczęli sezonowi po wypłatę, bo była sobota — pojedynczo i grupkami — tak, że zeszło się ich mnóstwo, pół tysiąca, a może i więcej.

Iwan okienko otworzył, przedsiębiorcy po bokach stanęli — Udałek z Macherskim — i zaczęła się wypłata. Piekiełko się zaczęło, bo ludzie pchali się jeden przez drugiego, i ręce wyrzucali do Iwana, jakieś świstki wyciągając, i przedsiębiorców klęli.

A z boku — jak zauważył Szczęsny — stał sobie człowiek w szarym garniturze i patyczek scyzorykiem strugał. Wysoki był, chudy i przygarbiony jakby mu pierś do krzyża przyrosła. Szczęsny domyślał się, że to musi być ktoś znaczniejszy, bo ludzie trzymali się nie za blisko niego, i Sumczak obok ciągnął się jak pudel na stójce, oczami by go żarł. A ten głowę przechylił — trochę na bakier ją nosił — zdawał się strugać w zupełnym zapamiętaniu. Oczami tylko niekiedy po stronach błysnął — a oczy miał piękne i bystre, podcienione znużeniem — błysnął i znów je na końcu patyczka przygasił.

Tymczasem tam, przed kantorkiem, wszczęła się awantura. Ludzie nacierali na Udałka zwartą kupą, żądając zapłaty. Udałek krzyczał coś do Iwana, Iwan, wysoko nad głową księgę unioślszy, długim palcem stukał w puste miejsce — że nic nie ma, nie zapisano.

— Na pudełku było zapisane! — wołali z tłumu.

— Przy nas zapisał na pudełku od papierosów! Na Klubach!

— Te, Udałek! — darł się jeden — Jeśli w tej chwili nie zapłacisz, idę do Pandery!

— No dobrze już, dobrze — uspokajał ich Udałek, spoglądając stronę tego, co strugał sobie na uboczu, i Szczęsny zrozumiał, że to m Pandera. — Dobrze już, zaraz dostaniecie...

Trwało to może parę minut: tam — całe targowisko, tu — samotny andera z patyczkiem. Podszedł Sumczak z jakimś robotnikiem. Po-ówili, jakby się nawet o coś posprzeczali i poszli.

Gdy przechodzili obok, Szczęsny usłyszał:

— Oh-oh — mówił Pandera łagodnie jak do dziecka. — Nie mól tak, lopa. Ty nie, to oni tak!

Skinął na „bezrobotną łączkę".

— Oni dwa zlota też by wezbierali i mówili: dżenkujem bardzo, Pan-ra dobry chlopa! Nie, ty pokaż mi swoja robota, teraz pokaż. Będzie-y iść do placa...

Ruszył w stronę placu drzewnego krokiem rozchwianym, jak gdyby rasznie piekły go odciski, a za nim poszli ci dwaj, Sumczak z robot-kiem.

— Widziałeś? — spytał Szczęsnego Korbal. — Postrugać mu się za-ciało akuratnie przy wypłacie. Już on tych przedsiębiorców ostruże, buz!

Niedzielny ranek — co się składa na to, że jest inny?... Tydzień jak wieszone ubranie, dłuższe spanie, czysta koszula, lepsze jedzenie, lep-e ubranie i jakaś w tym całym życia kieracie odsapka. A jeśli zabrać wszystko — co pozostanie? Niedziela bezdomnych, niedziela z zaro-em, biedą kłującą, z przeproszeniem za cały ten wstyd w oczach gło-nych i rozbieganych.

Ludzie z domów wychodzą i czują, że miasto umyte, po deszczu wio-nnym, pachnie niedzielą. Że zieleń trawy i drzew jest dzisiaj jakaś świętna, że nawet wróble świergolą inaczej, na niedzielną nutę... Idą okiem spokojnym, niedzielnym, na dzwony rozkołysane, ulicą tłu-em wezbraną, złączeni uczuciem spólnoty. A co ich tak łączy? Trochę j bozi, co o nich ponoć dba, i dużo sytej niewyżytej próżności.

Tak oni, Szczęsny z ojcem, nie myśleli, idąc do kościoła. Ale że w ta-m właśnie szli nastroju — to pewne!

Z rana ojciec przeliczył, ile zostało w woreczku: 8 złotych i 20 gro-y całego majątku. A więc co: mieszkać tu dalej, póki starczy, po-iedzmy dni dziesięć, czy już ruszyć do Rzekucia?

W drodze do kościoła ojciec był raczej tej myśli, że trzeba wracać To nie dla nich. Może tacy jak Korbal, z miastem obyci, mocni w gębi i w łokciach, wepchną się w końcu za bramę. Ale oni... Cała ta „Amery ka", co dybie na prostego człowieka, „Ameryka" z przedsiębiorcami o parady, z gospodarzem gdzieś u ducha świętego — to sprawy ciemne pogmatwane, zamoroka jakaś.

Ale gdy się pomodlił przy dobrodzieju stareńkim, to z tego kościółk farnego, do którego się zdążył był już przywiązać, wyszedł znów prze jaśniony, z wiarą, że coś się stanie dobrego. Może dziś, może jutro – Bóg nie opuści.

Zaraz przy wyjściu ujrzeli papier. Szczęsny przeczytał najpierw, c było dużymi literami wypisane: „Żydzi a wiara chrystusowa". A po tem — że takie niby kazanie ksiądz Wojda wygłosi w lokalu chrześci jańskich związków zawodowych przy ul. Maślanej. I zupełnie na dole – że wstęp wolny, to znaczy chyba, że nic nie kosztuje.

Postanowili — pójdą, posłuchają. Czasu mieli przeszło godzinę. Al że z bulwarów zapatrzyli się na statek, który zabierał się do Warsza wy, a potem w parku nad Zgłowiączką posiedzieli, to i trochę się w koń cu spóźnili.

Uchyliwszy drzwi, ujrzeli niedużą salę pełną ludzi i młodego księdz za stolikiem na podwyższeniu. Na skrzyp drzwi obróciły się głowy Zaszemrano. Ksiądz na chwilę słowa przerwał, na złotych okularac mignął błysk zniecierpliwienia. Zawahali się: wejść czy uciec? Kto zawołał: „No, prędzej tam!" Na domiar złego drzwi trzasnęły, wię zupełnie już pognębieni siedli czym prędzej na najbliższej ławce.

Widzieli przed sobą głowy i plecy ludzi przeważnie starszych, mło dzieży było niewiele, zaledwie kilku naprzeciwko. Pośród nich Szczęsn znalazł ze zdumieniem Marusika. I ten pucaty białas, Staszek, też by Siedzieli nie na krzesłach jak wszyscy, ale osobno pod ścianą i wszysc coraz to na nich spoglądali z zaciekawieniem czy niepokojem, jakb czegoś oczekując.

Ksiądz miał twarz pociągłą, postną, a czoło wysokie i mądre. Sutann leżała na nim jak ulana, trochę nawet za bardzo w pasie wcięta. Trze wiki lśniły pięknym glancem i biały rąbek kołnierzyka połyskiwał n szyi jak korale. W ogóle młody dobrodziej tchnął jakąś czystą i przy jemną mądrością.

Mówił o jakimś panu Żeromskim. To wstyd mówił, żeby Polak z do brej rodziny pisał o przedwiosennym czasie. Kobiety się psują, mło dzież wierzyć przestaje i w kraju szerzy się zgorszenie. Wszystko z te go buntu, z tej pychy, żeby Stwórcę poprawiać. A tego nawet pan Że

omski nie wie, że z pierwoczasu na świecie walczą z sobą dwa duchy. Duch miłości, zgody i poświęcenia, którym to duchem kościół katolicki jako ciało chrystusowe stoi, i duch nienawiści, zaprzeczenia, nicości — duch żydowski. Dlatego właśnie Żydzi swego państwa nie stworzyli, bo są kłótliwi, zawistni, samolubni. Padli potem w rozproszeniu między narody jako nasiona ziela trującego. I wschodzi posiew niezgody. Biedny chciałby mieć to wszystko co bogaty, kobieta — co mężczyzna, młody — co stary. Państwo jest złe, powiadają, inne trzeba utworzyć państwo. A czy to co pomoże? Biedacy na miejscu bogatych tak samo innych będą krzywdzić, może nawet gorzej, bo dopiero co do źródła dóbr doczesnych dopadną. Zło tkwi nie w urządzeniach, ale w człowieku. Człowieka należy wychować, dbając o to, by była zgoda. Zgoda, która buduje, i wiara, która cuda czyni.

I tak ładnie na koniec opowiedział o dobrym pasterzu i kwitnącej winnicy, że ojcu łzy się w oczach zakręciły, a i Szczęsnego wzruszenie ścisnęło.

— Może ktoś z was, moi kochani, chciałby się teraz wypowiedzieć albo o coś zapytać?

Ludzie na sali po sobie spojrzeli — niby o co się tu pytać? Jeden tylko Marusik rękę podniósł. Po sali szmer jak dreszcz przeleciał.

— Uwaga, ogień!

— Podpalacze swoje zaczynają...

A Marusik wstał, taki mocny, młodzieńczy, i mówić zaczął, trochę zaciągając:

— My to wszystko, co tu tak pięknie ksiądz Wojda przedstawił, rozumiemy. Bo i któż tej zgody pragnąć może jak nie robotnik? Ja tylko jedno chciałbym wiedzieć: ile zgoda kosztuje?

Nikt nie rozumiał, o co mu chodzi, nawet ksiądz brwi uniósł pytająco. Marusik więc, odczekawszy chwilę, ciągnął dalej:

— Ja to wyjaśnię na przykładzie — na węglu. Pracuję u Sztajhajena w ładowni celulozy, ale przedtem robiłem przy wyładunku węgla, więc tym się interesowałem i wiem, że tona węgla kosztuje w Zagłębiu 26 zł 50 groszy. Tu we Włocławku dostajemy od wyładunku po 3 grosze od metra czyli 30 groszy za tonę. Wszyscy zatem — i górnicy w Zagłębiu, i przedsiębiorcy, i kupcy węglowi, i tragarze — pracujemy zgodnie, a więc tona węgla powinna kosztować we Włocławku 26 zł 80 gr. Tymczasem sprzedaje się ją po 44 zł. Ile więc zgoda kosztuje? Siedemnaście złotych dwadzieścia groszy od tony! To dużo, to nawet bardzo dużo dla biedoty, która siedzi w nieopalanych izbach. Toteż was się pytam: kto tę zgodę inkasuje?

Marusik mówił wolno, bez żadnego uniesienia, jakby dzieciom wykładał rachunki. Jasny był, jakiś widny. Oczy mu się świeciły: podoba się to wam czy nie, ale jak to odjąć od tego, to wypadnie tamto, i na to nie ma rady! Gdy wreszcie zapytał „Kto tę zgodę inkasuje?" — to można powiedzieć w łeb ich lekko stuknął.

Patrzyli w osłupieniu na jego usta, czy sam nie odpowie, a gdy on usiadł, to się ocknęli i taki podnieśli wrzask, że nic nie można było zrozumieć. Dopiero jeden dorwał się do głosu krzycząc, że nie wolno kota ogonem odwracać, nie wolno odwracać! Mowa jest o Żydach i wierze chrystusowej, więc mówmy o tym, dlaczego na 11 cechów chrześcijańskich we Włocławku jest 12 żydowskich? Dlaczego wszystkie prawie sklepy są w rękach żydowskich? I co by było, gdyby 14.000 Żydów poszło sobie z Włocławka do Palestyny? Nie byłoby u nas ani „bezrobotnej łączki", ani Wesołego Miasteczka na Rolniczej!

— Nic by nam, robotnikom, z tego nie przyszło — odparł Marusik — Pieniędzy nie mamy, żeby ewentualnie prowadzić sklepy po Żydach albo przedsiębiorstwa, a w tych cechach szewskich, krawieckich i innych, to by się tylko bieda zmieniła! Polska bieda na tę najgorszą — żydowską!

— Ale sklepy byłyby chrześcijańskie!

Na to zerwał się białasek, co siedział obok Marusika.

— O co się rozchodzi — wołał — o Boga czy o sklepik?!

I nie dając im przyjść do siebie, począł wyrzucać z siebie szybko, szybko, żeby mu nie przerwali, słowa nie do wytrzymania:

— Czego chcecie od Żydów, czego chcecie — przecież nasza wiara jest żydowska! Bo Chrystus — to kto? Żyd! Żydowskiego cieśli syn, chałupnik po naszemu. Chodził z ojcem po podwórkach, na dniówki czy na akord, chodził, napatrzył się i związek założył, żeby walczyć z bogaczami. Co robiący, kupców wyrzucił ze świątyni — to przecież w piśmie stoi! To była po prostu walka klasowa, a Chrystus był komunistą!

Tłum już nie krzyczał, ale wył. Trafiony bezbożnymi słowami, skręcał się i wył. Tupał, pięściami wygrażał, a ten bluźnierca dalej wyrzucał im „zabombony jakieś zacofane i znowuż tylko same zabombony", aż poczęli weń ciskać, czym się dało. Ktoś rzucił śmietniczką, ale on nie przestając gadać, odbił łokciem i śmietniczka wyrżnęła księdza w czoło, aż się złapał za głowę obiema rękami.

— Synu, broń! — jęknął ojciec. — Dobrodzieja biją!

Szczęsny skoczył naprzód. Trzasnął szczekacza z całej siły, aż tamtemu — tak pod kostkami poczuł — nos chrupnął. Zwalił się na niego, ale w tej chwili Marusik w ucho go zdzielił. Całe szczęście, że przy-

omnie, nie pięścią, ale dłonią. Szczęsny, wywinąwszy kozła, rąbnął kant stołu i padł u nóg księdza.

Krzyk wtedy buchnął aż na ulicę przez otwarte okna — o pomstę wołanie:

— Naszych biją!

— Marusik napadł! Marusik z komsomołem!

Cały tłum na nich murem runął. Marusik pokrwawiony, w poszarpanej marynarce, odpierał ataki i osłaniając odwrót młodzieży, wyskadł z nią na klatkę schodową, a potem, dudniąc po schodach, na ulicę.

Szczęsny słyszał z daleka gwizdki policji. Przed oczyma mrzyły mu kolorowe iskierki. Za uchem czuł delikatne, chłodne dotknięcia. To ksiądz, otrzymawszy z apteki gazę, watę i jodynę, ranę opatrywał. A bandażując, ojca wypytywał, skąd oni są, bo nigdy przed tym ich tu nie widywał. Później, po opatrunku, gdy się wszystkiego o nich dowiedział, napisał kartkę i ojcu podał.

— Idźcie z tym do pana prezesa Zimińskiego na ul. Litewską, a dostaniecie pracę.

Uszczęśliwieni w rękę księdza uszanowali i wyszli. Po drodze umówili się, że Korbalowi nie powiedzą. Bo to nic pewnego, śmiałby się nich, gdyby się nie udało. Owszem, jeśli pracę dostaną, wtedy dopiero...

Nazajutrz powiedzieli Korbalowi, że najpierw muszą wstąpić w jedno miejsce po adres krewniaka, i poszli na Litewską.

Pan prezes kartkę księdza uważnie przeczytał, schował i od siebie drugą napisał.

— Idźcie do Celulozy, do pana Sumczaka, i bądźcie dobrej myśli, bo jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś z nas ks. Wojdzie odmówił.

Gdy wrócili na „bezrobotną łączkę", to Korbal pod słupkiem zaraz się posunął, robiąc dla nich miejsce, ale oni przeszli obok, powiedziawszy, że do Sumczaka mają sprawę — potem przyjdą.

— A mówiłem! — wołał za nimi uradowany Korbal. — Mówiłem, że tylko tak, do ręki im przemówić...

Poszli prosto do kantorku.

W kantorku zastali Iwana, który pisał, i Sumczaka. Ten stał przy oknie, pogwizdując w zamyśleniu.

Gdy mu dali kartkę od prezesa, długo ją w palcach obracał, zerkając niepewnie na Iwana, wreszcie powiedział:

— No, to chodźmy.

Wyszli. Na „łączce" wszyscy patrzyli z zadrością, jak oni szli: gruby Sumczak po środku, mały kwadratowy cieśla z jednej strony, a z drugiej syn jego — wysoki, chudy, ni to Cygan, ni to Żyd.

— Do roboty prowadzi — mówili. — To się tym dwum upiekło!

A Sumczak, wypytując o to, jak to się stało, że prezes o nich prosi, prowadził na plac drzewny i tu dopiero między rejami przystanął.

— W złą godzinę przychodzicie. Pandera redukuje bez litości. Gdzie trzech robiło, tam jeden teraz musi. To jak tu nowych przyjmować?

— A jakoś tam... Pan nie ostawi. Do kogo pójdziemy?

Sumczak głowę uniósł, brzuchem się wypiął.

— Nie ostawi — prychał w gęste wąsy — to się tak mówi. Ale jak?

Pożuł końce wąsów, a potem:

— Musicie się dobrać. Jednego przyjąć nie mogę, ale całą partię — to się jeszcze da. Dobierzecie sobie ludzi wsiowych, z daleka — taką chłopską partię. Najłatwiej wtedy pójdzie. I stawajcie do strugania na akord: po dwa dwadzieścia od metra. Jak będziecie dobrze śmigać ośnikami, to po 50 złotych na tydzień zarobicie — więcej niźli urzędnik w magistracie — ja wam to gwarantuję!

Jeszcze raz wyrzucił:

— Gwarantuję!

I odsapnąwszy:

— Ale to będzie kosztowało. Trzeba temu — owemu dać, znowuż podatek, związek znowuż... Nie, wpisowe musi być. Po stówce... Robię to tylko dla księdza, bo księdza Wojdę okropnie poważam. Macie już ludzi?

Ojciec rzęsami bezradnie zatrzepotał, ale Szczęsny palnął bez namysłu:

— Mamy. Tylko forsę trzeba zebrać.

— W takim razie ot co... Rozejdźcie się po domach, na wieś czy gdzie, pozbierajcie forsę, a w sobotę, żebyście przynieśli wpisowe za wszystkich dziewięciu. Nikogo prócz was znać nie chcę i to wam mówię kategorycznie, żebyście nikomu, nawet z kantoru nikomu o tym nie mówili, bo z miejsca wywalę! W razie gdyby kto pytał — a no, ksiądz Wojda kartkę dał, to dlatego nas Sumczak przyjął. Rozumiecie?

— Rozumiemy.

— A więc jeżeli w sobotę przyniesiecie mi 900 złotych, to w poniedziałek postawię was do roboty.

Wrócili na łączkę. Zaraz przybiegł do nich Korbal.

— No i jak? Przyjął?

— Przyjął. Powiada, żebyśmy całą partią stawali...

— No-no — zacierał ręce Korbal. — Tośmy teraz górą, to my zna- się...

— Co za my? — ostro przerwał mu Szczęsny. — My — to my, a pan pan!

— Jak to?

— A tak. Nie mamy o czym mówić. Panu na łączkę trzeba, a nam roboty, wiadomo — głupie rzekuckie łby...

Nareszcie doczekał się zemsty. Nareszcie widział, jak Korbal bara- je, jak skomleć gotów o trochę roboty, o parę dniówek nawet na zystko, na wszelkie poniżenie gotów!

Korbal był jednak na to za mądry.

— Nie będę z tobą gadał — odrzekł z godnością — boś naprzeciwko nie szczeniak. Ale was, ojczulku, przepraszam za złe słowo. Trudno, żdemu zdarzyć się może, jeszcze gorsze rzeczy ludzie na siebie wy- dują i dalej żyją. I to wam na ostatku powiem, ojczulku, że jak nie nie weźmiecie, to nic z waszej partii!

— A to niby czemu?

— Bo was ludzie zjedzą. Nawet się nie obejrzycie, a już was łobuzy orządzą. Szkoda gadać... A ja bym wam to wszystko wykompino- ał i do domku pomógł dojść.

— Do domku?

— Tak jęst. Ogródek byłby niewielki, bo tam place nieduże, ale nim kosztem pobudować się można, choćby nawet od zaraz...

Szczęsny czuł, że zemsta mu się wymyka. Na widok własnego dom- ojciec na pewno ulegnie i Szczęsnemu ugiąć się każe wobec podłe- człowieka. Kark zgiąć; jak wtedy do ręki szwagra — bo takie jest cie, synu, nie można się rzucać. I Szczęsny ustąpi. Bo jeden jest łowiek na świecie, któremu zawsze ustąpi choćby i na zgubę swoją:— ten jego ojciec. Niemądry i zastrachany, i nieporadny — to prawda, e może innego ojca Szczęsny nie kochałby wcale, może na każde jego owo mądre a stanowcze miałby swoje dwa.

Stało się, jak Szczęsny przeczuł: ojczulek związał się z Korbalem. Ten łączce się zawinął, z tym i tamtym poszeptał, i w czas niedługi edmiu chłopa przyprowadził.

Wyszli za bramę i udali się na bulwary. Siadłszy tam na krawedzi arpy, twarzą do Wisły, radzić poczęli.

— Idźcie teraz do domów — mówił Korbal. — Sprzedajcie coś czy życzcie — wszystko jedno — bylebyście przynieśli każdy po 113 zł groszy.

— Dlaczego aż tyle? Mówiłeś, że po stówce?

— Po stówce każdy z was da za siebie.

— No?

— A 12 złotych 50 groszy wyłoży za mnie. Pożyczy, znaczy się. Oddam z zarobków. Bo teraz skąd wezmę?

— To się wypchaj! Widzicie go, za niego jeszcze wykładać!

— Czekajcie... A złotówkę każdy z was da na plac.

— Na jaki znów plac?

— A gdzie mieszkać będziecie? Otóż, jeśli mnie na wspólnika przyjmiecie, to wam tanie place wykombinuję. Przychodźcie prosto na Kozłowo...

— Gdzie to jest?

— Przy rogatkach, za nowym cmentarzem. Już tam dużo ludzi mieszka w arkach. I my tak samo tymczasem mieszkać będziemy, aż każdy się na swoim pobuduje.

— Za złotówkę? Korbal, czyś ty zwariował?!

— Jeszcze nie. I pod słowem — place będziecie mieli za złotówkę. No? A więc idźcie, ojczulkowie, po forsę, a my tu ze Szczęsnym arkę dla was zrobiemy.

Igor Newerly

(Dalszy ciąg nastąpi)

ERZY BROSZKIEWICZ

STRAJK

Tego ranka świt był późny. Słoneczne światło powoli odpędzało rok, drogę promieni hamowały ciężkie od deszczu ławice chmur, ad równiną zaś wlokły się w zimnej mżawce nocne jeszcze gły.

Pierwsza syrena kopalni Montigny odezwała się o tej porze, kiedy śród domów leżał głęboki cień. Okna jednak nie poczęły rozbłyskiwać wiatłem lamp. Uprzedniego wieczoru nie nastawiono budzików — ilczały więc. Zaledwie gdzieniegdzie i to na krótką chwilę rozjaśniło ię jakieś okno. Po owej chwili szyby znów odbijały ciemnymi płaszczyznami szare światła świtu.

Oczywiście ludzie nawykli do wstawania o tej godzinie budzili się. W jednych domach były to żony i matki — słuchały oddechów mężów dzieci. Niektóre z głębokim westchnieniem powracały w ciepły, wygodny sen — innym niepokój przyśpieszał bicie serc, odpędzał senność, azał myśleć o nadchodzących dniach i tygodniach. Gdzie indziej budzili się mężczyźni — unosząc głowy znad poduszek nasłuchiwali głosu yreny. Od okien szedł na izby szary, mętny blask. Po pewnym czasie nów odezwała się syrena. Słuchali jej różnie — obojętnie, sennie, gniewnie, niespokojnie, z uśmiechem, z kpiną. Przewracali się na drugi ok, plecami do jasnych już okien. Im sen przychodził łatwiej niż obietom.

Kuba Roullot obudził się przy pierwszej syrenie — słuchał jej dalekiego wycia z nikłym uśmiechem i przyłożył znów głowę do poduszki. Osuwał się już powoli w sen, gdy posłyszał niespokojny ruch Małgosi — uniósł głowę. Spotkał jej spojrzenie i od razu odeszła go senność. Małgosia patrzyła nań swymi szeroko rozwartymi, niezwykłymi w swej wielkości i głębi, czarnymi oczami. Wargi miała blade. W wyzbytej wszelkiej senności, skurczonej bezradnym uśmiechem twarzy wyczuwało się od razu źle skryty, natrętny niepokój — niemal strach.

— No co, Małgośka? — spytał uśmiechając się opiekuńczo — no co?

Milczała. Podźwignął się na łokciu i wyciągnął ku żonie dłoń. Dotknął nią zawiniętego nad czołem kosmyka włosów. Spoważniał.

— Co ci się stało?

Dolna warga Małgosi drgała. Nie mogła dobyć głosu — musiała dopiero raz i drugi przełknąć ślinę.

— A pamiętasz — spytała — pamiętasz ostatni strajk?

— W czterdziestym pierwszym?

— Tak.

Chciał wyśmiać jej strach, przepędzić go dobrodusznym żartem, ale na szczęście przypomniał sobie, że prosto ze strajku w 41 roku Gestapo wzięło jej brata i stryja, a stary Kergol ledwo uszedł — nocą, oknem, już po niego szli. Brat nie wrócił nigdy. Pogłaskał ją więc po policzku ciepłym od snu.

— Małgośka! — mówił z udaną surowością. — A tobie co znowu za strachy w głowie?

Nie chciała się uspokoić. Głos Kuby zbudził Maurice'a — mały zaczął płakać. Wyskoczyła do niego. Zalane łzami orzechowe, o błękitnym białku oczy syna obudziły w niej nowy lęk. Poczęła ruszać kołyską zbyt jednak szybko i gwałtownie, by uśpić malca, Kuba przypatrywał się jej marszcząc niepewnie czoło — gdy zaś odwróciła ku niemu znad kołyski twarz jawnie już pełną rozpaczy i strachu, usiadł w pościeli.

— Przecież — mówiła jeszcze niby spokojnie — przecież mówiłeś sam, że znowu wracają faszystowskie czasy... że do Douai przyjeżdża policja aż z Paryża...

— Małgośka... — zaczął ostro.

Nie dała mu dokończyć. Skoczyła ku niemu z głośnym, nagłym płaczem, objęła go ramionami. Jej długie, bardzo czarne włosy opadły na ramiona, przesłoniły mu twarz, oczy. Nie mógł wpierw zrozumieć, co mówi — dopiero po chwili poprzez gęsty i suchy szloch doszły go prośby:

— Ja wiem — mówiła — ja, Kubusiu, wiem... Ale obiecaj. Obiecaj... że będziesz uważał. Ludzie mówią, że przyjdzie do bitki z policją. Kubusiu... masz małego... masz mnie...

Przyciągnął jej twarz ku swojej twarzy i roześmiał się. Zrobił minę, z której zawsze od pierwszych ich wspólnych dni śmiała się do łez — wydął policzki jak trębacz, czoło skurczył w harmonijkę, oczy w zez, a powiekami mrugał niczym przerażona kura. Chwilę patrzyła ni to z lękiem, ni to gniewnie na błazeńskie grymasy. W końcu jednak, gdy zmarszczył na dodatek nos, Małgosia-śmieszka — nie wytrzymała, Poczęły się wpierw uśmiechać wilgotne oczy, potem usta, w policzkach wystąpiły dołki. Pocałowała go.

— No widzisz — westchnął z ulgą. — Diabeł wie, kto z was chętniej płacze... Ależ ja mam z wami życie.

Pobiegła znów do małego. Darł się energicznie, ze złością. Trzeba go ło przewinąć. Kończąc przewijanie spytała znów poważnie:

— Ale obiecasz?

Nie odpowiedział. Wparł już nos w poduszkę i spał. To ją jednak aśnie najlepiej uspokoiło i po pięciu minutach już wszyscy troje dychali spokojnym rytmem snu.

Ani Rouget jednak, ani Faselli nie spali. Faselli zerwał się już przy rwszej syrenie. Mamma obudziła się, ale machnął ręką, żeby spała lej. Uśmiechnęła się błogo — Mammy do snu nie trzeba było nigdy ecjalnie zapraszać. Paolino jednak, który sypiał w kuchni, posłyszał owskie krzątanie się — zaskrzypiał drzwiami i wsadził do pokoju kudłaną głowę.

Ojciec fuknął nań ostro, ale Paolino właśnie od ojca nauczył się oru — cofnął głowę, po chwili znów ją pokazał. Faselli przygotowywał się śpiesznie do wyjścia — to jasne. Golił się pośpiesznie — nawet dy nie grzał. Paolino aż posapując z przejęcia zamknął za sobą drzwi, stawił przygotowaną jak zwykle z wieczora kawę na maszynce, ukradł chleba dla ojca i siebie — ubrawszy się zaś, chleb owinął w papier, wę zlał do flaszki, upchnął to wszystko po kieszeniach i czekał.

Po kilku minutach skrzypnęły w sieni drzwi. Paolino przeczekał szcze dwie, trzy minuty i stąpając na palcach ruszył ciepłym, ojcowim śladem.

Spotkali się dopiero pod bramą kopalni. Główna furta stała otworem, kt jednak dziś nie przekraczał jej ceglanego progu. Na kopalnię szła tylko delegowana przez komitet kilkunastoosobowa grupa, by bezpieczyć przed zniszczeniem instalacje — trzeba też było pilnować mp odwadniających jedenasty oddział. Poza nimi jednak nikogo nie rzy dziś lampownia. Przez furtę widać było podwórzec — pusty, wydniony, wiało odeń ciszą jak chłodem.

Przed bramą za to zebrało się z dwudziestu górników — co chwila ś w głębi ulicy pokazywały się nowe, przyciemnione mgłą, płaskie lwetki nadchodzących ludzi — grupka przed bramą rosła.

Po cóż tu przyszli? W Montigny nie należało pilnować furty przed mistrajkiem — taki by się tu nie znalazł, jeśli już nawet nie z przenania, jak zapity Saurat, czy porosły w sztygarskie pierze Holte, po prostu ze strachu. Ci jednak, którzy się tu zeszli i powoli schodzili, po prostu nie mogli usiedzieć w domu, jak Faselli z podniecenia radosnego niepokoju, lub jak ojciec Rouget z zawziętej, gniewnej oski.

Faselli właśnie i Rouget byli jednymi z pierwszych. Stary oczywiści dymił już fajkę jak mgła — widząc zaś nadchodzącego szybkim kro kiem przyjaciela rozjaśnił zasępioną twarz, ale tylko na chwilę. Sta oparty o mur, spluwając powoli, co chwila zachodząc się gęstym, po rannym kaszlem.

Faselli nie widział, lub po prostu nie chciał widzieć zasępienia n twarzy ojca Rouget. Już z daleka zaczął wymachiwać rękami, gadać pohukiwać, aż mur kopalni odrzucił stłumione echo.

— Zaczynamy, stary — wołał — zaczynamy, he?

Rouget jednak wcale nie zamierzał poddawać się jego wesołemu humorowi. Byli tu ostatecznie między sobą — grupka zebrała się nie wielka, samych dobrych i doświadczonych towarzyszy partyjnych. Spoj rzał na Giacoma zezem.

— Też... od samego rana, jak ptaszek — burknął. — Może jeszcz zaśpiewasz coś?

Faselli zaperzył się natychmiast.

— A ty czego znów gryziesz od samego rana? Nie wyspałeś się Taki dzień...

— Właśnie — mruczał stary gryząc cybuch — właśnie, taki dzień.

— No i co? — ujął się za Fasellim równie jak Włoch podminowany najstarszy Roullot. — Złościć się nie ma czego.

Rouget wzruszył ramionami, spojrzał mu w oczy.

— Ech, ty — zagderał. — Twoja matka pierwszy warkocz plotła kiedy ja już strajkowałem. Wiesz ty?

Roullot poczerwieniał. Uśmiechnął się jednak szczerbą po wybityc jeszcze przez Gestapo zębach.

— Ojcze Rouget — powiedział na zgodę — ja nic nie mówię.

— Ale czego, stary, znowu chcesz? — protestował Faselli. — Wczo raj sam byłeś wesół jak Małgośka Kuby na zabawie, a dziś od ran ludzi złością karmisz. Kości cię na deszcz łamią?

— Hm — mruknął Rouget — kości...

Ktoś z boku puścił słony dowcip. Kilku się roześmiało, ale star Kergol, równie chmurny jak Rouget, zakaszlał surowo.

— Strajk — powiedział — to nie zabawa...

— Ja nie zając — zapiał swym wysokim tenorkiem zapalczywy Ro bert Lessac, młody człowiek, ale połamany reumatyzmem jak sta rzec. — Mnie strajk nie straszny...

Kergol poczerwieniał i groźnie błysnął w stronę Roberta oczam Cóż to? — zajęcze serce w nim wietrzy? Zamamlał coś gniewnie po spiczastym nosem — w odpowiedzi ubiegł go jednak sam Faselli.

— Ty, Robert, niby świętujesz — krzyknął. — A czemuś gęby na
ięto nie ogolił? Bohater...
— Sam jesteś bohater — zaczął się złościć Lessac, ale stary Rouget
achnął mu ręką przed nosem i uciszył piskliwy tenorek. Uśmiechnął
do Giacoma, ale nie był to zbyt wesoły uśmiech.
— No patrzcie — powiedział. — O co tu się kłócić, Giacomo? Ty
asz gorącą krew i tobie nawet w mróz jest wesoło. Ale mnie akurat,
tylko tu przyszedłem, co się przypomniało...
Jego głos był tak surowy i poważny, że grupka, która przed chwilą
zbiła się na mniejsze grupki i pojedyncze rozmowy, poczęła cichnąć
nów ścieśniać szeregi.
— Przyszedłem tu wcześnie — mówił dokładnie odmierzając sło-
a — zajrzałem w podwórze... dużo rzeczy mi się przypomniało. Ja tu,
oszę was, pierwszy raz strajkowałem w dziewięćdziesiątym siódmym
cu. Równo pięćdziesiąt lat temu. Miałem czterdzieści lat, jak tu
erwszy raz w Montigny żandarmi zaczęli strzelać w piątym dniu straj-
do ludzi...
Słuchano w milczeniu coraz głębszym. Stary Kergol pamiętał widać
brze owe czasy, bo zawzięcie potakiwał głową i mruczał coś do siebie,
rugając zaczerwienionymi powiekami.
— Potem — ciągnął Rouget — przyszły wszystkie inne strajki. Ra-
n dwadzieścia... Tak, dwadzieścia trzy. Rozumiecie?
— Dwadzieścia trzy — przytaknął Kergol.
— Ale ja nie o tym — Rouget machnął ręką. — Właśnie nie o tym
bie przypomniałem, jak tu przyszedłem i zajrzałem za bramę. No,
co? Spokój, cisza... Tak ma być. Tylko proszę was... tylko, wiecie,
zypomniałem sobie lipiec sprzed dwóch lat. Jak ja... proszę was...
k ja sam, pierwszy raz w życiu nawoływałem do roboty, żebyśmy
szyli wszyscy ten węgiel na całą Francję, żeby głodu nie poczuła.
amiętacie, co? No... tak. I wiecie, co wam powiem? To był dla mnie
ękny dzień. Chciało się wierzyć człowiekowi, że jakoś to pójdzie da-
j, że się rozwinie, że damy narodowi siłę i że burżujska kanalia nie
trafi mu tej siły odebrać.
Faselli wzruszył ramionami.
— Bez rewolucji, co? — mruknął złośliwie.
— Ty mi, Giacomo — spojrzał nań Rouget — sprawy rewolucji nie
usisz tłumaczyć. Co mi się przypomniało, to mi się przypomniało.
, proszę was, to był dla mnie piękny dzień. Jakbym się pierwszy
z w życiu poczuł gospodarzem na mojej francuskiej ziemi. No i co?

Nie byliśmy? Własnymi rękami dawaliśmy tej ziemi nową siłę... żeby naród wyszedł na lepsze życie...

Zamyślił się nie po swojemu, bo w trochę nieprzytomny, starczy sposób. Ale po tej krótkiej chwili od razu, jakby jednym wstrząśnię ciem ramion, zrzucił z siebie i zamyślenie, i cały gniewny smutek tamtych słów. Czarne oczy błysnęły spod białych brwi, jeśli nawet nie wesoło, to groźnie.

— Dzisiaj zaczynamy, chłopcy, na nowo. Tamtej kanalii jeszcze się coś tam udało... Zdrada za cudze pieniądze z własną policją i burżuj ską bandą... o, kapitał to jeszcze umie.

— Ostatni raz — krzyknął Rouget.

— Widzisz — ucieszył się nagle stary — teraz dobrze mówi. W Ro sji też naprzód był dziewięćset piąty rok... a potem, siedemnasty...

— Ale! — roześmiał się Faselli — będziesz krócej czekał.

Rouget zaraził się jego wesołym śmiechem.

— A z ciebie zawsze dzieciak wyjdzie, Giacomo — zagderał. — Strach to nie zawsze taka wesoła rzecz, jak pierwszego ranka...

Twarze nieco przygasły. Czym jest strajk, wiedziano dobrze. I tak jak wiedziano, że nie znajdzie się wśród nich człowiek, który by myśla choćby o wycofaniu się z walki ze strachu, słabości czy niewiary w je sens, w jej ostateczne zwycięstwo — tak też wiedziano dobrze, ż żadna walka nie jest lekka... że po ostatnich ciężkich miesiącach przyj dą teraz czasy szczególnie trudne i nie ominą żadnej rodziny ani żad nego domu.

W tej właśnie jednak chwili wzdłuż muru potoczyła się śpiewan wysokimi i jasnymi głosami jak w słoneczny dzień piosenka: środkier drogi szły ująwszy się pod ręce wesołą, strojną dziewiątką dziew częta z sortowni. Wystroiły się wszystkie jak na zabawę — w czerwo ne szaliki, kolorowe spódniczki, więcej: usta i policzki poczerwienił tak kokieteryjnie, jakby tu na nich specjalnie czekali zakochani chłop cy. Prowadziła je wielka i piękna Anna Marais, świecąc wspaniałym zębami w śmiechu i śpiewie.

Stojącym przy bramie rozjaśniły się twarze na ich widok. Grupk rozsypała się — część skoczyła ku dziewczętom, inni podjęli przerwan rozmowy. Ojciec Rouget pozbył się całej uprzedniej powagi. Ujął po ręce Kergola i Fasellego, mrugnął na starego Kergola złośliwym okien

— No, stary... jak ci się ta Marais podoba, co?

Kergol nieoczekiwanie się rozmarzył.

— A jej matkę pamiętasz? Kobieta jak... jak.. jabłoń...

— Ihy — mruknął Rouget — pamiętam. Pamiętam, że miałeś ochotę
a te jabłuszka, co?

Kergol zachichotał, twarz pocięły mu setki drobniutkich zmarszczek.
hciał coś szeptem Rougetowi rzec do ucha, ale ten myślał już o czym
nnym. Twarz miał nawet śmieszną, patrzył jeszcze chwilę na otoczone
rzez mężczyzn dziewczęta, potem szturchnął Fasellego.

— Popatrz. Twój mały też tu przyszedł...

Paolino dotychczas krył się przed ojcowskimi oczami za plecami lu-
zi, którzy nie zwracali nań zresztą uwagi. Teraz jednak, gdy zeszło
ę ich już sporo, ale nie stali zwarcie wokół furty, tworząc luki i przej-
cia, całkiem mimo woli napatoczył się w jedno z takich przejść. Na-
otkawszy groźny wzrok ojca utknął w miejscu — nie starczyło od-
agi, by uskoczyć w bok.

— Paolino — zawołał Faselli — chodź tu...

Paolino czerwieniejąc podszedł powoli, ale zaciął usta i nachmurzył
ę — nie odeślą go do domu, żeby nie wiem co. To jasne.

— Po coś tu przylazł? — padło gniewne pytanie.

Paolino miał jednak swój spryt i dobrze znał ojca. Stał więc bez
owa. Sięgnął tylko do kieszeni, wyjął butelkę z letnią jeszcze
awą, potem chleb i wyciągnął ręce do ojca. Ten zdumiał się.

— A to co znowu?

Paolino nabrał zuchwałości.

— A tak — odezwał się wreszcie naśladując intonację głosu rozgnie-
wanej Mammy — znowu wyszedłeś bez jedzenia.

I co takiemu odpowiedzieć? Faselli mimo wszystko nastroszył się
niewnie, ale śmiech Rougeta i Kergola nie pozwolił zachować powagi.
odebrał flaszkę i chleb, machnął ręką.

— A gdzie Jacek? — spytał już śmiało ojca Rouget.

— Nie budziłem go.

— Aha — Paolino zakręcił się na pięcie. Trzeba pójść po Jacka, nim
eszcze wyjedzie do Douai.

Rouget patrzył za nim — poskrobał się w łysinę. Dziewczęta oto-
zone ciasnym kołem zaczęły nową piosenkę — do ich głosów dołączył
ę ostry, lecz piękny nawet w śpiewie tenor Lessaca. Rouget sapnął
spojrzał na Kergola.

— Trzeba złożyć samokrytykę, Kergol — powiedział z namysłem —
rzeba.

— Co znowu? — obruszył się stary. Ale Faselli zrozumiał widać
myśli Rougeta i parsknął śmiechem.

— Na moje wyszło, co?

Rouget skinął głową.

— Tak i na twoje — przytwierdził z powagą Rouget — tylko że nie wiesz, co wyszło na twoje.

Faselli kręcił papierosa i znad bibułki mruknął kpiąco.

— Właśnie, że wiem. Bo kto widział, żeby w pierwszy dzień strajku starzy towarzysze... starzy komuniści... tacy, co to przetrzymywali dwadzieścia trzy strajki, świecili ludziom w oczy ponurymi gębami.

Rouget syknął, jakby go ząb zabolał.

— Ty znowu nie bądź taki mądry — oburzył się jeszcze głośniej niż Kergol — ponurych myśli nie było. Tylko, że...

— Że co?

— Ech, ty... filozof... — machnął ręką Rouget. — W pierwszy dzień nowego strajku człowiek zawsze wspomina stare dni. Strajk to nie zabawa...

— Nie zabawa — przytwierdził Kergol.

— Ale... nie przerywaj... trzeba złożyć samokrytykę — ciągnął Rouget — bo stary komunista nie ma prawa świecić ludziom w oczy troską, nawet jeśli go zaboli serce. Taka troska może w słabszych głowach narobić zamętu. Tak. Tylko... co ci powiem... kto mnie tu o trosce przekonał... Temu, że nie do śmiechu mi dziś było, nie ma się co dziwić. Nie będzie to — zniżył głos odciągając towarzyszy nieco na bok — łatwa sprawa. Ale... pocieszyli mnie. Pięćdziesiąt lat temu pierwszy dzień strajku, to był sam gniew, sama gorycz. Kobiety płakały po domach... moja matka płakała wpierw całą noc, choć potem poszła w pierwsze szeregi bez strachu przed głodem, bagnetem i kulą. Wtedy ciężko było zaczynać.

Kergol kiwał w zamyśleniu głową, chciał coś wtrącić, ale Rouget znów nie dopuścił go do głosu. Oczy błyskały mu ożywieniem, wesołością niemal.

— Tak — mówił szybko. — Wtedy łatwo było o niepokój w najdzielniejszych nawet sercach... Tamci mieli wielką siłę. Mało to ludzi poginęło? Ale — uśmiechnął się — ale dziś dali mi lekcję tacy, żem nawet się nie spodziewał. Ot, choćby dziewczęta. Wystroiły się jak na zabawę. Albo twój mały. Tak, proszę was, oni już nie znają naszych niepokojów. Czują siłę... czują siłę proletariatu... To nie to, co pięćdziesiąt lat temu...

— No... — mruknął Faselli — czterdzieści pięć lat temu samego towarzysza Stalina prowadzili żandarmi na zesłanie...

— Pamiętasz Manifest? — ucieszył się z przypomnienia Rouget. — Niech drżą klasy panujące przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swych kajdan".

— „Do zdobycia" — poparł go z dumą Kergol — „świat cały".

— Ale śpiewają — śmiał się Rouget.

Faselli uścisnął z nagłą serdecznością ramię Rougeta, którego naszło wzruszenie tak widoczne, że nawet nie starał się go ukryć.

— Samokrytyka, samokrytyka — powiedział Faselli półgłosem — Że od kogo się uczyli? Od was, staruszkowie. Daliście im dobry przykład... piękną szkołę... co?

Przed bramą zebrało się sporo ludzi, między grupkami dorosłych biegało sporo dzieciaków, którym ten dziwaczny dzień odebrał senność i spokój — czternastoletni i piętnastoletni chłopcy, jeżdżący już na dół, rozdzili malców od siebie z surowością starych górników. Starali się pierw zachowywać tak poważnie i rzeczowo jak ich ojcowie — nie łatwo było jednak zachować powagę wobec śpiewających dziewcząt, które zaraziły swą wesołością nawet najpoważniejszych staruszków. Przydreptał przecież przed chwilą stary złośnik Josse — ojciec sekretarza — i choć początkowo gderał na piski i wrzaski, to go jednak wciągnęły w swoje koło. Skończyło się na tym, że uszczypnął Annę w policzek i sam zaintonował drżącym głosem jakąś piosenkę.

Właściwie nikt dobrze nie wiedział, po co tu się schodzą. Był to może nawyk, dzisiaj zbyteczny, strajkowy nawyk pilnowania wejścia przed kontrstrajkami. Może zaś po prostu podniecenie nie dawało usiedzieć w domu. Po godzinie nawet ci, którym tak smakował sen, poczęli się rozchodzić: zaspany Kuba z Małgosią, wesołą już i starym zwyczajem trochę chichoczącą co chwila, przyszła Mamma zaniepokojona nieobecnością Karoliny, przywlókł się Jul, speszony tym, że strajk wypadł akurat na ostatni dzień jego pracy, z której był tak dumny...

Głos automobilowej syreny usłyszano już z daleka. Tłum poruszył się — istotnie, zza zakrętu ukazało się dyskretnie dyrektorskie auto. Dyrektor był nowy. To, że przyszedł już po kwietniu — na miejsce dawnego, z gruntu porządnego człowieka, który, choć „do polityki się nie mieszał", rozumiał wiele spraw — musiało mieć swój sens. Nowy czym się jeszcze nie ujawnił — dokładnie nie wiedziano: kim jest — taki jest. Nie ufano mu jednak na włos: przysłali go tu po zdradzie. Był wysokim, wymuskanym pięknisiem o postawie atlety, manierach dworskiego i filmowo urodziwej twarzy. Bardzo starannie przestrzegał praw uprzejmości — podawał rękę, pierwszy kłaniał się kobietom. Niektóre dziewczęta wodziły nawet za nim wzrokiem jak za pięknym

ptakiem. Faselli jednak od razu dogadał się z inżynierem: za gładki ten dyrektor — za słodki. — Ładnej żmii łatwo gryźć — oświadczył sentencjonalnie na zakończenie owej rozmowy i Millet pokiwał głową, jakby sam nie innymi słowami o tamtym myślał.

Auto zwolniło — na kilka zaś metrów przed bramą przystanęło. Faselli nachmurzył się, obok dyrektora siedział inżynier Millet. Dyrektor był jak zwykle nieskazitelnie elegancki i bardzo uprzejmie uśmiechnięty. Millet natomiast miał na pomiętych policzkach ceglaste koła — sygnały gniewu.

Dyrektor wysiadł pierwszy. Millet jakby nie chcąc iść jego śladem gramolił swą wysoką, ciężką postać przez przeciwległe drzwiczki.

Kłaniano im się w milczeniu, bo dziewczęta od razu ucichły, urwano też gęste rozmowy. Millet wysiadał akurat przy grupce, w której stali Faselli, Kergol, Kuba i Rouget. Przywitał się z nimi bez słowa.

Dyrektora jednak nie speszyło ani to, że Millet od razu się odseparował, ani też to, że nikt do niego się nie zbliżył. Przygładzając okrągłym lecz naturalnym ruchem swe lśniące włosy sam podszedł ku grupce dziewcząt. Trafił wprost na Annę Marais, która wysunęła się o krok przed towarzyszki.

— Dzień dobry pannom — powtórzył ukłon.

Anna skinęła głową. Patrzył na nią nie po raz pierwszy z nietajonym zachwytem. Nie po raz pierwszy też przez głowę przemknęła cichutka myśl — hm, czterdzieści lat temu dyrektorowi kopalni dość nawet byłoby wyprowadzić szereg praktycznych wniosków ze swego zachwytu nad pięknością zwykłej sortowniczki. Dzisiaj jednak... pewny swej męskiej urody uśmiechnął się właśnie prosto w jej chmurne oczy.

— Strajkujemy, co? — spytał poufale.

Któraś zachichotała z kokieterią, inna złośliwie pisnęła.

— Aha... strajkujemy... my, bo chcemy, a pan, bo bez nas musi.

Nie obraził się.

— Ani nie chcę, ani nie muszę — zmarszczył czoło. — Francja potrzebuje węgla.

Anna powoli pokazała zęby, w leniwym uśmiechu.

— Od dawna pan dyrektor tak się opiekuje tą biedulą Francją? Od trzydziestego dziewiątego roku czy od dziś?

Taka była piękna, że nawet gniew zmącił się pod jej spojrzeniem. Wspaniałe ma oczy, myślał leniwie rozglądając się po ludziach, których rozśmieszyło jej pytanie. Wiedziano już tu, że całą wojnę spędził w Szwajcarii.

— Hm — powiedział wesoło — a panna w trzydziestym dziewiątym roku, co robiła? Laleczki w szmatki ubierała? Co?

— Nosiłam — powiedziała Anna — ojcu jedzenie do więzienia. A w czterdziestym pierwszym, panie dyrektorze, już strajkowałam.

Nie udawała się ta rozmowa. Dyrektor nie umiał jednak odmówić sobie jednej odpowiedzi.

— Mój starszy brat, panienko — rzekł surowo — zginął w rok wcześniej pod Dunkierką.

— Musiał być dzielnym człowiekiem, panie dyrektorze — odpowiedziała równie surowo.

Machnął dłonią — rozmowa z tą dziewczyną nie miała najmniejszego sensu. Rozejrzał się dokoła, wyprostował swą postać, by go wszyscy mogli dojrzeć, i podniósł głos:

— Chciałem tylko tyle powiedzieć — uniósł ostrzegawczo dłoń w ręawiczce — że macie prawo do strajku. To fakt. Ale sądzę, że źle zbaliście tę rzecz w swoich sumieniach. Podrywacie siłę Francji, naracie siebie i swoje dzieci na głód.

— Słuchajcie — krzyknął jakiś tenorek — kto tu nam o głodzie powiada? Pewnie go już spróbował... w książce.

Dyrektor zaciął usta.

— Łatwiej krzyczeć niż myśleć — zawołał — nie mówię w swoim interesie, a w interesie państwowych kopalń, rozważcie to.

— Dosyć! — zawołał Rouget.

Dyrektor nawet nie spojrzał w jego stronę. Wrócił do auta. Ludzie nadal milczeli. Gdyby mieli groźne miny, gdyby tłumek zahuczał, zapłysał się — poczucie własnej odwagi pomogłoby łatwiej znieść tę chwilę. Ale ci, jakby się zmówili, za przykładem pięknej sortowniczki przyglądali mu się tylko z milczącymi uśmiechami. Nawet w grupce siłkunastoletnich wyrostków nikomu nie chciało się błaznować. Stali spokojnie, spokojnie, strzykając tylko przez zęby cienkimi pasmami miny jak starzy fajczarze.

Dyrektor przypomniał sobie o Millecie.

— Inżynierze! — zawołał, naciskając równocześnie sygnał, by otwarto bramę.

Inżynier jednak nie zwrócił uwagi na wołanie. Stał rozmawiając widać półgłosem z kilkoma starszymi górnikami. Dyrektor znał ich — komuniści: łysy Rouget, Włoch Faselli...

— Inżynierze! — powtórzył już niecierpliwie.

Millet odwrócił się powoli. Na twarzy miał ten sam uśmiech co wszyscy.

— Ja tu zostanę, dyrektorze — zawołał. Przez tłum przeszedł cichy gwar, ktoś nawet zaklaskał, zerwały się śmiechy. Dyrektor zatrzasnąwszy drzwiczki znów nacisnął sygnał i podjechał przed samą bramę. Po sekundzie jednak zrozumiał, że portier też przecież strajkuje. Czując jak płoną mu policzki, jak serce ogarnia fala krwi nienawiści do wszystkich tych świadków nowego upokorzenia, wyszedł z auta, by samemu sobie otworzyć. Rygle były zardzewiałe, wilgotne — od razu zniszczył rękawiczki, klnąc więc w myślach najgorszymi słowami z wysiłkiem pchnął ciężkie, żelazne skrzydło bramy. Gdy przejeżdżał przez nią, uśmiechy przerodziły się już w jawny śmiech — zabolała go szczególnie szydercza gęba Milleta. W Paryżu ostrzegano dyrektora, że prawie cały zarząd kopalni Montigny sympatyzuje, jeśli już nie z komunistami, to w każdym razie z ruchem zawodowym — szczególnie zaś ów Millet. Jego nominacja miała być pierwszym wyłomem w tej solidarności. Istotnie — zdołał już chyłkiem przeciągnąć na swą stronę głównego buchaltera, wymownego durnia. Myślał, że i Millet nie oprze się jego błyskotliwej inteligencji liberała. Tymczasem — oto Millet! Nie dbając już o rękawiczki zatrzasnął z hukiem bramę. Za bramą śmiano się pełnym głosem.

Millet jednak był poważny.

— W Coubray — rzekł do Rouget — większość poszła dziś jeszcze do pracy. Miałem telefon...

Ku jego zdumieniu stary nie zdziwił się, ani zezłościł.

— Pociągniemy ich za sobą. Strajki nie wybuchają o tej samej godzinie we wszystkich stronach świata — mówił spokojnie, podnosząc nieco tylko głos, bo dziewczęta znów poczęły śpiewać — ale zawsze chodzą tak jak trzeba. Ludzie są różni. Jedni zaczynają... inni dochodzą. Nawet wiatr nie idzie od razu po całym kraju.

— Pójdziemy tam jutro na wiec — rzucił Faselli — Rouget będzie mówił... Będziemy żądać głosowania...

— Coś się tam powie — mruknął z jadowitym uśmieszkiem stary. — Tam siedzą panowie socjaliści... to ich robota. Taaak. Coś się tam powie...

O tej porze Paolino odprowadzał już Jacka na szosę do Douai. Przez ostatnie trzy kwadranse obaj, z rzadka rozmawiając, czyścili i oliwili rower.

Paolino bowiem zastał Jacka przy tej właśnie robocie. Przybiegł do przyjaciela najszybciej jak mógł, by go obudzić i wyciągnąć pod kopalnię — Jacek jednak siedział już w kuchni nad rowerem, zanurzał

dętki w miednicy z wodą, by sprawdzić, czy są całe. Paolino zdumiał się.

— Nie pójdziesz pod kopalnię? — spytał nieśmiało.

— Nie... nie mam czasu — Jacek był zły — za późno wstałem, rower trzeba przygotować, cholera. Tydzień temu go przeglądałem... znów trzeba. Pomożesz?

— Pomogę.

Paolino zasiadł do czyszczenia łańcucha. Nie mógł jednak pojąć, jakim cudem czyszczenie roweru może być ważniejsze od tego, co w tej chwili może się dziać pod bramą kopalni. Złościło go to. Co się dziać mogło — właściwie nie wiedział. W każdym jednak razie nie pojmował Jacka. Łańcuch czyścił solidnie i uczciwie, ale milczał z coraz głębszą goryczą.

Jacek znalazł na dętce ślad przebicia i pogwizdując zabrał się do łatania. Paolino wkońcu nie wytrzymał.

— Po co tak czyścić? Jak na Tour de France... — mruknął.

Jacek spojrzał nań spod oka. Widać zastanawiał się — czy odpowiedzieć, czy nie. W końcu klejąc pedantycznie łatkę zaczął leniwie tłumaczyć.

— Mógłbyś sam zgadnąć. Ale... wkońcu... mogę ci powiedzieć po prostu. — Przygryzł łatkę zębami — teraz maszyna musi chodzić jak złoto. Rozumiesz? Diabeł wie, co tamci będą wyrabiać teraz w Douai...

— Aaa — zrozumiał Paolino i z przerażeniem spojrzał na Jacka. Przypomniał sobie ów powrót Jacka z Douai — teraz przecież już wiedział, czym w istocie było tamto rozbite kolano, zakrwawiony policzek i guzy na czole Jacka. Blednąc pochylił głowę nad łańcuchem — oczyści go teraz tak, by błyszczał jak srebrna tacka.

— Strachu wielkiego nie ma — ciągnął Jacek rzeczywiście zupełnie obojętnym głosem — ale maszyna musi chodzić lepiej od zegarka. No nie?

Przejrzeli ją w trzy kwadranse. Każda śrubka, każdy pręt, szprychy, każdy centymetr kwadratowy dętki został opatrzony z tą uwagą i troską, z jaką przed nadchodzącą bitwą strzelec kaemu, pedant, przegląda swoją maszynę. Gdy przyszła godzina wyjazdu — w tym zaś dniu Louis naznaczył na wszelki wypadek zbiórkę o pół godziny wcześniej niż zwykle — rower był gotów, szedł istotnie lekko, jakby go niosło powietrze tuż nad ziemią.

Paolino pożegnał Jacka na krańcu kolonii. Jacek zgrabnie odbił się jedną nogą i nie odwracając głowy od razu ruszył bardzo szybko. Paolino powoli zawrócił. Koło jeszcze zamkniętego sklepu spotkał

Joannę. Szła śpiesznie w tę stronę, z której on wracał. Wystrojona była jak wszystkie dziewczęta w tym dniu. Spojrzał na nią podejrzliwie: czyżby urżowała wargi?

— Jacek już pojechał? — spytała niespokojnie.

— Tak.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Poprawiła tylko wolnym ruchem opadający na czoło kosmyk włosów. Paolino wodził chwilę wzrokiem po przejaśniającym się niebie. Jacek o niczym nie wspominał, ale Paolino uznał za stosowne uśmiechnąć się do Joanny.

— Kazał cię pozdrowić — kiwał głową z przekonaniem — kazał.

* *

Hasło do strajku w okręgu Douai — a zarazem jako jedna z pierwszych na całym Nordzie — dała właśnie kopalnia Montigny. Tego samego dnia strajk zaczął się również w Waziers i Sallaumines. W Artois i wielu innych kopalniach przerywano pracę często i w połowie szychty. Ojciec Rouget miał rację tłumacząc Milletowi, że nawet wiatr nie idzie od razu po całym kraju — ale miał przede wszystkim rację tłumacząc, że choć strajki nie wybuchają o tej samej godzinie we wszystkich stronach świata, to jednak zawsze chodzą tak jak potrzeba. W Coubray na przykład, choć wybuch strajku opóźnił się nieco, to jednak od pierwszych chwil wiecu wszystko stało się tak jasne, że nawet blumowiec Constant nie ośmielił się szepnąć choćby słówka w odpowiedzi występującemu z apelem związków zawodowych ojcu Rouget. Wiedziano dobrze, że był sprawie przeciwny — że agitował za opóźnieniem właśnie. Gdy go jednak komuniści z Coubray jeszcze przed głosowaniem zaprosili do wystąpienia, po prostu zaczął powtarzać słowo w słowo argumenty Rougeta i powtórzyłby zapewne wszystkie, gdyby nie przerwał mu siny z wściekłości jego własny pomocnik, niemal przyjaciel, mały Blois.

Działo się to na placu przed bramą kopalni. Zebrała się zaś tu nie tylko poranna szychta, ale prawie cała kolonia; przyszły nawet matki z dziećmi. Przy murze stały zapomniane, rdzewiejące w deszczach beczki po ropie. Z nich to właśnie przemawiali kolejno mówcy — sekretarz partii z Coubray i ojciec Rouget. Constant, gdy wypchnięto go naprzód, wpierw zbladł, potem jednak wygramoliwszy się na beczki od razu nabrał śmiałości. Wiedział, że trzeba nabrać wody w usta i powtarzać

wszystko za ojcem Rouget jak za panią matką. Mówił jednak nie dłużej niż pięć minut, gdy mu nagle przerwano.

— Milcz, gadzie! — krzyczał ktoś wysokim falsetem. — Milcz!

Constant gestem doświadczonego mówcy uniósł dumnie głowę, ale, gdy ujrzał Bloisa przedzierającego się ku niemu przez tłum, stracił ze zdumienia głos. Przemknęło mu przez myśl, że Blois się upił. Ale Blois nie był pijany. Nie pozwolił się uciszyć ani zatrzymać. Zdyszany, wściekły dopadł wreszcie muru. Splunął Constantowi pod nogi — wskoczył na drugą beczkę, jakby uniósł go wiatr.

— Co to jest? — wrzasnął Constant.

— Ty milcz, Blois! — ujął się za ojcem młody Constant.

— Ludzie — krzyczał Blois — towarzysze!

Zwolennicy Constanta chcieli bronić sztygara — ale czynili to bez zapału. Brakło im większości — brakło też chęci. Mimo woli uciszali się z prostej ciekawości, nie pojmując, co może oznaczać tak niezwykłe starcie między tymi dwoma bliskimi przecież, jak sądzono, ludźmi. Constant znów podniósł głos, ale Blois znów mu przerwał wymyślaniem. Wypadło po prostu z godnością się obrazić, tym bardziej że stary Rouget, który zasadniczo prowadził wiec, zamiast podług wszelkich honorowanych praw wiecowych uciszyć Bloisa, przyglądał się całej scenie złośliwie zmrużonymi oczami. Constant wydymając wargi schylił się, by godnie — jako obrażony — zejść ze stanowiska. Blois jednak zawołał: „Ludzie! Towarzysze! Ja z nim wczoraj gadałem o tym strajku!" — i Constant znieruchomiał. Taka zdrada ze strony Blois nawet mu przez myśl nie przeszła. Co robić? — co robić? Zejść szybko w tłum — czy nie dopuścić go do głosu? Constant czuł, że w tej chwili jest to już niemożliwe. Mimo to, nie wiedząc właściwie po co, krzyknął:

— To kłamstwo! On łże!

Blois, rozdygotany, stając, by go dobrze widziano, na palcach, roześmiał się szyderczo — i taki sam śmiech od razu poszedł po tłumie. Co łże? — krzyczano do Constanta — jeszcze nic nie zełgał! Constant rozejrzał się błyskawicznie po ludziach. Jego towarzysze milczeli, twarze mieli obojętne lub co najwyżej niespokojne. Inni śmiali się za Bloisem, który przecież też był ich towarzyszem. Nie myśląc już o niczym zsunął się z beczki. Zastąpiono mu jednak drogę. Oblizując suche wargi zajrzał w wąskie oczka starego Rougeta, który uśmiechał się mówił łagodnie:

— Ależ poczekaj... poczekaj tu, przyjacielu Constant!

— Towarzysze! — wołał naprężonym do ostateczności głosem Blois— wiecie sami, że żyłem blisko z Constantem. Tak, blisko. Jeszcze dwa

lata temu... jeszcze rok temu. Jak była sprawa wydobycia, razem z nim pyskowałem, że to zdrada robotniczego interesu! Ale, towarzysze, ja go już poznałem. Tego... tego... socjalistę. Szpicla nie socjalistę!

— Nie obrażaj! — krzyknął młody Constant, pchając się do przodu. Inni też dali się porwać jego gniewowi.

— Nie obrażam! — przekrzykując ich bił się w piersi Blois. — Ja tylko prawdę chcę powiedzieć. Nic... tylko prawdę. Towarzysze! Pierwszy raz poczułem świństwo, jak Constant chciał rozbić manifestację po usunięciu komunistów z rządu. Ja komunistów nie kochałem — co mi tam! Ale rozbijać pochód, jak gaulliści? To już śmierdziało, towarzysze, świństwem! A zaraz trzeciego dnia po tym wszystkim, Constant odmawiał ludzi od pójścia na pogrzeb tego Polaka z Montigny! Mówił, że komuniści będą tylko swoją propagandę robić. A ja...

— To prawda! Mówił! — podniosły się głosy — Prawda!

— Ty kanalio! — rzucił się Faselli. Przytrzymał go jednak za rękę Millet, który przyszedł tu nie mogąc się jakby tego dnia rozejść z tymi ludźmi, z którymi postanowił na czas strajku pozostać przed bramą kopalni.

— ...a ja — wołał Blois — wiedziałem po prostu, że Polaka zabili faszyści. I wszyscy to widzieli. Od tego czasu czekałem na dalszy ciąg. Nie mówiłem nic... czekałem, co jeszcze mój przyjaciel, pan Constant pokaże.

Przerwał na chwilę, patrząc z pogardą na Constanta, który wyminąwszy Rougeta począł przepychać się przez tłum. Rozstępowano się przed nim bardzo opornie — syn próbował przetrzymać ojca za rękę ale stary przymykając oczy odepchnął go.

— Poczekajcie, Constant — szydzono ledwo, ledwo dając przejście.— Dokąd się tak śpieszysz?

Nie śmiano go jednak zatrzymać siłą. Czuło się, że już za chwilę może się objawić jakaś brudna i nędzna prawda o znanym, o lubianym nawet dotychczas człowieku. Mimo wszystko był to przecież jeszcze ten Constant, którego głosu przyzwyczajono się słuchać w Coubray, jeśli nie z szacunkiem, to w każdym razie z uwagą.

— Nie uciekniesz od prawdy, Constant! — krzyknął Blois.

— Milcz! — wrzasnął wyrywając się naprzód młody Constant. Przytrzymano go jednak.

— A ty co? — zdziwił się jadowicie Blois — jakeś wspólnik, to sam milcz. A jak o niczym nie wiesz, to słuchaj. Uważnie słuchaj.

Młody Constant obejrzał się za siebie. Ojciec już gdzieś przepadł za tylnymi szeregami. Blois zaś odetchnął głęboko.

— Dużo nie powiem — mówił już spokojniejszym głosem — to, co powiem, wystarczy. Było tak, towarzysze. Jak zaczęło się mówić o strajku, Constant od razu zaczął pyskować, że to bolszewicka robota. Dopiero potem, kiedy wszyscy już godzili się, że strajk musi być, przychylił. A ja nic. Ja czekałem. I doczekałem się, towarzysze, wczoraj. W niedzielę Constant jeździł do Douai... do naszego... nie — poprawił się czerwieniejąc — do swojego komitetu. A wczoraj przyszedł pod wieczór z pełną butelką. Miał już nawet coś w głowie. Zamknął się ze mną na klucz i mówi: „Trzeba coś zrobić z tym strajkiem, Blois". Spytałem co. Towarzysze, słuchajcie: on powiedział, że strajku już nic nie utrzyma. Ale, że to bolszewicka robota i... i że trzeba ją złamać. Ludzie, mówił, i tak nic nie wygrają. Tylko komuniści wyjdą, mówił, na swoje, jak strajk się utrzyma. Słuchałem. Potem spytałem, jak złamać, noc już mi krew szła do oczu. On niczego nie widział. Powiedział więc, że trzeba wyczekać do pierwszych głodnych dni i potem zacząć agitację za przerwaniem strajku przed czasem.

— Kłamiesz! — krzyknął załamującym się głosem młody Constant.

— Powiedział, że taka będzie instrukcja... jego partii. Złamać strajk przed czasem — ciągnął Blois unosząc ręce w górę, jak do przekleństwa. — Żeby nasz, rozumiecie, nasz strajk nie dał wyników... żeby pokazać słabość komunistów... żeby ich zniszczyć...

Rouget zaśmiał się złym, szczekliwym śmiechem.

— Stara historia — zawołał.

— Powiedział, że policja i tak wszystko złamie — krzyczał znów Blois — słyszycie, ludzie?

Tłum zakołysał się jednym wspólnym odruchem gniewu. Nawet w małych sercach ów gniew obudził odwagę.

— Ja — kończył Blois — nie przepędziłem go wczoraj... nie dałem mu mordzie. Wybaczcie, towarzysze. Ale czekałem, co on dzisiaj powie. Kiedy zaczął... nie wytrzymałem...

Zsunął się blady, wyczerpany na dół. W tłumie gotował się już krzyk wściekłości — ktoś wrzasnął: bić szpiclów! Od tłumu oderwało się biegiem kilka postaci, młody Constant pchnięty nagle zatoczył się w stronę beczek i z przerażeniem osłaniał głowę przed podnoszącymi się w górę pięściami. Przepychał się ku niemu olbrzymi rębacz — Lisle. Zasłonił go jednak sobą Faselli, a na beczki wyskoczył Rouget:

— Cisza! — krzyknął.

Usłuchano. On zaś nieoczekiwanie a szeroko się uśmiechnął. Jeszcze chwilę czekał. Lubił takie chwile. W ową ciszę wpadł jednak od razu histeryczny głos młodego Constanta:

— Towarzysze! Uwierzcie mi! Uwierzcie: nie wiedziałem!

Chłopak zaczął płakać. Któraś z młodych, sądząc po głosie, kobie krzyknęła jakieś niezrozumiałe ale współczujące chyba słowa — kto inny począł się złośliwie śmiać. Przygłuszyła go jednak większość Nikt tu się nie chciał nad nikim znęcać, chłopak mógł nie wiedzieć.

Rouget podniósł rękę, żądając tym gestem spokoju.

— Towarzysze! — rzekł — o tym jeszcze pogadamy. Inne jedna sprawy są ważniejsze. Nie odbyliśmy jeszcze głosowania. Ja tu jeszcz przypomnę nasze główne żądania. A więc: podwyżka płac, od dziesięci do szesnastu procent, rozszerzenie ubezpieczeń, przedłużenie urlopó dla kobiet, wstrzymanie wzrostu cen artykułów pierwszej potrzeby poprawa warunków bezpieczeństwa pracy. Takie są nasze żądania straj kowe. No... — zatrzymał się na moment — towarzysze z Coubray! Kt za strajkiem?

Pierwszy, jakby z tą myślą, by go nikt nie ubiegł, podniósł rękę młc dy Constant. Starano się jednak nie patrzeć na jego twarz, choć ciąg nęła swą bladością ludzkie oczy, jak magnes.

Ojciec Rouget długo stał ponad tłumem, choć głosów nie trzeba był przeliczać. Chyba się wzruszył, bo potarł szybkim ruchem brodę i ski nął głową, jak w podzięce.

— Constantom — dodał już po wszystkim — dajcie spokój. Młod może nic nie winien, a na starego... szkoda...

— Szkoda uczciwej ręki! — krzyknął Blois.

— Ja nie wiedziałem — czepiał się najbliżej stojących ludzi za ręka wy i łokcie młody Constant — uwierzcie, że nie wiedziałem.

Rouget przypomniał jeszcze z naciskiem i już bezosobowo o obowiąz ku unikania jakichkolwiek bójek czy samosądów, które mogłaby wy korzystać policja — potem zaś przystąpiono do wyborów komitetu straj kowego.

Faselli jednak nie miał już ochoty tu dłużej stać. Historia z Constan tami zbrzydziła go — marszczył się, spluwał, w końcu szepnął Rouge towi, gdzie będzie nań czekał, i pociągnął Milleta za rękaw.

— Chodźcie, inżynierze, do kafejki... Tu jeszcze śmierdzi po tamty szczurze.

Kafejka była pusta. Wzięli do siebie na stół pół buletki wina — usia dli wygodnie. Faselli mruczał jeszcze ciągle pod nosem jakieś złe słow krzywił twarz i ze złością kręcił papierosa. W kafejce jednak było c cho, sennie, wino zasmakowało, papieros do wina też — szybko wie odeszła go ta złość. Millet przyglądał mu się z uśmiechem a w zamy śleniu. Upiwszy łyk wina mrugnął do Fasellego.

— Wy sobie nie myślcie, że ja nowicjusz — powiedział niby to nie-ale. — W czterdziestym pierwszym też strajkowałem...

Faselli odpowiedział uśmiechem i mrugnięciem. Oczy mu błysnęły rzybierając nagle pełen napięcia wyraz twarzy pochylił się nieco ku mi. Dłoń stuloną w trąbkę przyłożył do ucha, przymknął powieki — chał. Millet patrzył nań ze zdziwieniem — nawet drzemiąca za bu-em właścicielka wytrzeszczyła swe małe, otłuszczone oczka.

Faselli słuchał nadal, przechylając ucho ku ziemi. Dopiero po chwili pnął:

— Słyszycie, inżynierze?

— Co? — mimo woli odpowiedział też szeptem Millet.

Fasellemu twarz zadrgała rodzącym się uśmiechem, ale do śmiechu doszło. Faselli nawet posmutniał, lekko westchnął. Potem, krzywiąc właściwie z zawstydzeniem, wyjaśnił:

— Chciałem was oszukać. Żeście niby nie nowicjusz, a nie słyszycie, się dzieje pod ziemią... Pod całym Nordem...

Millet nie rozumiał:

— Pod ziemią?

— Tak. Pod ziemią. Że niby nie słyszycie, jak pod ziemią rośnie ajk... rozumiecie?... Jak cisza rośnie.

Upił łyk wina, unikając wzroku Milleta:

— Ale — uśmiechnął się już z wyraźną nieśmiałością — pomyśla-n, że tak chyba jest naprawdę... że pod całym Nordem naprawdę ro-ie cisza... wiertarki nie terkoczą... nikt na ścianach nie strzela... wa-niki stoją. Co? Więc to nie żart.

Millet pochylił się ku niemu.

— Faselli... — zaczął. Ale zabrakło mu słów. Machnął więc tylko ką — rozlał wino do szklanek, upili znów po łyku. Bufetowa znów drzemała. W głębokiej ciszy dzwonił tylko o szybę niespokojny lot motnej muchy.

— Rośnie ta cisza — mruknął Faselli.

Naszły go widać znów gniewne myśli, bo twarz ścięła mu się w su-we, proste a głębokie bruzdy.

Pod Nordem zaś istotnie rosła cisza. Cała ta równina ciągnąca się zez Pas de Calais ku poszarpanym, skalistym brzegom kanału dzień dzień dudniła przecież od wczesnego świtu do późnego wieczora ryt-em podziemnej pracy. Na powierzchni nie słyszało się owego pulsu— ibrował on jednak w głębi calizn skalnych, przebiegał falami stłumio-ych dźwięków przez podziemne jeziora, dudnił wzdłuż węglowych po-adów, przeciekał przez ławice piasków jak woda. Na powierzchni sły-

szało się czasem tylko głos, od którego ustawało bicie serc — głos ka
tastrof; głuche wstrząsy osuwających się skał, wybuchów gazu, zała
mujących się stropów. Natomiast głos powszednich dni podziemnej pra
cy nie dochodził do powierzchni.

W tych jednak dniach można było sobie jak Faselli wyobrazić, ż
oto pod całą ową równiną od Avesnes aż po Calais, rośnie cisza cora
głębsza, coraz doskonalsza i pełniejsza — że rośnie z doby na dob
z godziny na godzinę, by w końcu ostatecznie wyprzeć echa łomocącyc
na ścianach wiertarek, strzałów, warkotu kół wagoników, grzechotli
wego głosu transporterów, rozmów i okrzyków ludzi, telefonicznyc
dzwonków, huku wind.

Czwartego dnia od wybuchu strajku na kopalniach Montigny, Wa
ziers i Artois strajkowały już wszystkie kopalnie — niektóre z nich n
rozkaz dyrektorów co rano dawały swymi syrenami uporczywy sygna
Teraz jednak słuchano ich głosu już tylko z szyderstwem. Tabory tc
warowych pociągów szły w stronę zagłębi węglowych o tych godzinach
jakie nakazywały rozkłady jazdy — na bocznicach stacji i dworców
rosły więc sznury pustych platform, po tygodniu zaś niektóre skład
poczęły wracać tam skąd przybyły — bez ładunku. Kolejarze przesta
wiając heble zwrotnic i patrząc na mijające ich, głucho dudniące pustk
wagony, uśmiechali się: Nord strajkuje.

*

* * *

Wyjazd zapowiedziany na koniec lata przeciągał się. Robak mia
mnóstwo pracy — schudł, spochmurniał. Do Montigny wpadał stosun
kowo rzadko, dwa lub trzy razy w tygodniu. Przyjeżdżał zazwyczaj po
wieczór, zostawał do późna w noc. Spotkania zaś z Jackiem starał s
tak urządzać, by byli sami we dwójkę. Nie rozmawiali zresztą wiele -
Robak mimo zmęczenia, które kleiło mu powieki sennością, po prost
za każdym razem siadał z Jackiem nad polską książką, częściej nad ga
zetą. Prawdopodobnie odezwała się w nim stara nauczycielska żyłk
bo widzenia te miały właściwie wyraźny charakter nauki poprawneg
mówienia i czytania. Równocześnie jednak Robak wtrącał w lektu
krótkie uwagi lub wyjaśnienia—później zaś, gdy na przykład przyjech
w piątek, przypominał to, co czytali we wtorek. Czytania te nie by
zbyt przyjemne dla Jacka — czytał i mówił dość nawet swobodni
myślał po polsku, co chwila jednak musiał poprawiać pod dyktand
Robaka akcent i wymowę. Chłopak chmurzył się, uszy mu czerwieni

często wiedząc nawet, jak powinien wymówić słowo czy ułożyć
anie, popełniał błędy będące wyłącznie wynikiem niepewności czy
enerwowania. Złościł się na siebie, wbijał w głowę poprawki Roba-
— nie łatwo jednak było od razu wyzbyć się wszystkich zestarzałych
dów i nawyków. Robak zresztą był tak łagodny i spokojny, że bez
du osładzał gorycz pomyłek — nie kpił, ani drwił — po prostu znu-
onym jakby, obojętnym głosem poprawiał błąd, tłumaczył niezro-
miałe słowa lub sprawy. Tak więc nie tylko oduczał błędów — lecz
że (szczególnie przy lekturze krajowych gazet) starał się przybli-
chłopcu kraj, wyjaśnić rosnące w nim sprawy, uczłowieczyć i jak
bardziej upowszechnić to wszystko, co w umyśle chłopca było na
ie jeszcze bliższe legendzie i pięknej bajce niż rzeczywistemu, co-
ennemu życiu. Jacek to pojmował. Dlatego też, mimo oporów i zde-
rwowań, które niosła ze sobą każda lekcja, czekał na nie niecierpli-
— poza nimi zaś często zarywał noce, czytając półgłosem wszyst-
co w danej chwili wpadło pod rękę — w gazetach przeglądał nawet
oszenia i jakieś całkiem niezrozumiałe w swej treści notatki czy
etoniki. Przezwyciężając senność, wspierając ciężącą głowę na łok-
ch, walczył ze złością na siebie i z gazeciarską nudą, podkreślał ołów-
em słowa i zdania, których sensu nie był pewien, by o nie później
tać Robaka.

O konkretnej dacie wyjazdu wciąż jeszcze nie było między nimi mo-
. Lato mijało łańcuszkiem dni upalnych lub deszczowych. Minął na-
ktryzowany burzami lipiec — potem powoli, bardzo powoli wlokły
pierwsze dni sierpnia. Kończyło się przecież lato — było zaś po-
edziane, że wyjadą z końcem lata.

W połowie jednak sierpnia Robak oświadczył:

— Trochę się to przeciągnie jeszcze... do jesieni chyba.

Twarz miał jak zwykle w ostatnich czasach bardzo zmęczoną, pełne
zedtem policzki teraz oklapły — Robak postarzał się i zbabiał. Gdy
ejmował okulary, by przetrzeć zaczerwienione powieki, widziało się
gle twarz umęczonego starego człowieka. Ręce mu drżały — spa-
iste ramiona grubasa pochyliły się ku przodowi, a pakowne ubranie
siało jak worek.

Jacek o nic nie wypytywał, ani też nie komentował owego opóźnie-
a. Ustaliły się bowiem między nimi powoli takie mniej więcej sto-
nki jak dawniej z ojcem. Oczywiście nic w nich jeszcze nie było
ojcowskich i synowskich drobnych, jawnych czułości, łatwego obja-
iania myśli i uczuć. Obowiązywało już jednak pełne wzajemne zau-
nie — rzeczowa i prawdziwie męska przyjaźń. Robak był właściwie

wdzięczny Jackowi za ową powściągliwość i milczące zdanie się na jego decyzję. Nie chciał zresztą wyjaśniać chłopcu rzeczywistych powodów nowego opóźnienia, by go nie niepokoić. Istotną bowiem przyczyną nowego opóźnienia stawała się coraz gęstsza i twardsza sieć szykan, utrudniających akcję repatriacyjną — a więc rewizje, zatrzymania na dzień lub dwa, przetrzymywanie dokumentów. Dziesiątki innych jeszcze sposobów i krętactw sprawiały, że wszystko szło jak po grudzie terminy trzeba było odkładać, omówione i załatwione sprawy po kilka razy na nowo omawiać i załatwiać, przegryzać się przez labirynty urzędów i prefektur, gryźć wargi do krwi z wściekłości, gdy znowu nachodziła go rewizja, czy gdy go znów wzywano na komisariat w celu „uzgodnienia jego kompetencji z jego działalnością". Poza tym musiał się bardzo pilnować — raz ledwo wywinął się na dworcu od ciężkiego pobicia przez andersowców w battle-dressach, innym znów razem dokonano nań napadu pod hotelikiem, w którym mieszkał. Oczywiście zawiadamianie policji nie miało sensu — wysłuchanoby go tam z udaną powagą a w gruncie rzeczy z kpiną, może nawet z żalem, że tamtym znów się nie udało przytłamsić „bolchevik polonais". Wiedział o tym aż za dobrze. Był jednak zbyt uparty, by cofać się przed najgorszym nawet trudnościami.

Zaniepokojonemu sytuacją Bąkowskiemu tłumaczył po prostu.

— Ja, wiecie, zazwyczaj jestem wesołek. Lubię pośmiać się i nagadać. Koledzy mnie dawniej nazywali „Patefon", bo pośpiewać też lubię, tyle że zawsze to samo, bo nie mam dobrego ucha i melodii trudno się uczę. Ale... ale proszę was... nazywali mnie także „Buldog". Że niby mały, gruby... ale jak ugryzie — to trzyma. Same szczęki nie chcą puścić. Teraz zaś jeszcze lepiej potrafię trzymać niż dawniej, bo spadło mi sporo słoniny... a ze słoniną zamiłowanie do wygody. Co? A o całej reszcie nie warto nawet mówić.

Chociaż więc Robak o owej całej reszcie nie wspominał, Jacek jednak domyślał się wielu zatajonych przez opiekuna spraw. Mimo to nie przekraczał nakreślonych jego milczeniem granic — nowy zaś niepokój skrył dobrze przed ludzkim okiem. W owym niepokoju nie było już przerażenia, owych po dziecinnemu bezradnych lęków, jakie towarzyszyły ostatnim miesiącom życia ojca. Zastąpiła je gorzka, surowa zawziętość. Niepokój o Robaka mącił myśli, to prawda — czując go jednak Jacek nie poddawał się trosce. Zaciskał pięści i wargi. Nie odbierzecie mi odwagi — myślał.

Szły zresztą dni, w których własne, najważniejsze nawet sprawy nikły w cieniu nadchodzących wielkim krokiem spraw powszechnych

ńcem sierpnia wiadomo już było, że strajk musi wybuchnąć. Mó-
no, że będzie to powszechny górniczy strajk wszystkich zagłębi —
stkich kopalni Francji. Wrzesień zaś stał się już najwyraźniej mie-
em przygotowań — rodziny poczęły oszczędzać, troszczyć się o każ-
franka, centima nawet. Niektóre gospodynie, jeśli mogły sobie na
zwolić, robiły konserwy, kupowały na zapas mąkę i olej — w końcu
oczęła się zbiórka na fundusz strajkowy. Do wybuchu liczono dni.
ostatnich dwu miesiącach Jacek dzięki namowom Paolina a przede
stkim dzięki nie mówionej, lecz zrozumiałej prośbie Joanny wró-
do kółka dawnych towarzyszy zabaw i wraz z nimi co niedziela
ził do szkoły, na próby chóru, które prowadził teraz nowy,
dy nauczyciel. Chór ten zresztą zmienił się ostatnio dzięki nowemu
zycielowi. Dawniej za czasów niezwykle muzykalnego staruszka,
naraisa, który kochał się w starofrancuskich motetach i madryga-
, w tabace i w swej alzackiej ojczyźnie, chór był tylko chórem. Du-
ais jednak został jeszcze w marcu przeniesiony na emeryturę i pod-
pożegnania na stacji płakał jak bóbr, gdy mu jego własny chór na
sięć minut przed odjazdem pociągu odśpiewał czterogłosowy motet
quin des Presa.
ego następca zajął się chórem nie mniej gorliwie jak Dumarais.
dy nauczyciel, choć był może wielkim zwolennikiem muzyki, to
ak nie był jej znawcą. Pod tym względem nie dorastał swemu po-
dnikowi nawet do pięt — dyrygował niezdarnie, słuch miał taki,
robnych fałszów prawie nie słyszał, mało też przywiózł nut, a sta-
muzyki w ogóle nie znał. Poza tym wyglądał dosyć śmiesznie: nie-
kle wysoki, bardzo chudy blondyn, o ptasiej twarzy i trochę nie-
tomnych, ale też trochę złośliwych oczach — wydawało się, iż prze-
dza mu nadmierna długość własnych rąk i nóg, bo poruszał się
oli i niezdarnie, choć należało przyznać, że wszystko robił w istocie
zo szybko, z niedostrzegalną właściwie zręcznością.
szkole przywitała go zasadniczo niechęć uczniów — na chórze zaś,
e przychodziła młodzież, która ukończyła już szkołę, przywitała
nieufność. Młody nauczyciel, Marcel Laprade, postępował wprost
ciwnie niż Dumarais — bardzo zaostrzył dyscyplinę w szkole, na-
iast rozluźnił ją na chórze. Polubiono go jednak szybko. Surowość
ec dzieciaków była surowością przyjazną. Na chórze zaś Laprade
oczył wszystkich — i dzieci, i starszych, osiemnastoletnie nawet
wczęta i dwudziestoletnie tenory czy basy nieznanym dawniej oby-
em. Po prostu w przerwach, a szczególnie po zakończeniu próby
ostrzegalnie zaczynał rozmowy. Początkowo wyglądało to na przy-

padek, później okazało się metodą. Nie wszystkich owe rozmowy intere sowały — tych zresztą Laprade nie starał się zatrzymywać. Po upływi jednak trzech miesięcy, na próby poczynali się schodzić nawet ci, któ rzy dawniej ze względu na ostry głos czy tępawy słuch nie mieli do stępu. Próby trwały coraz krócej — piosenki śpiewało się coraz łat wiejsze. Inaczej działo się z rozmowami — trwały coraz dłużej i cieka wiły coraz bardziej.

O czym gadało się z Laprademem? — trudno byłoby właściwie odpo wiedzieć na takie pytanie. Mógł na przykład zacząć mówić o swoim dzieciństwie, a kończył opowiadaniem o Komunie Paryskiej — bo oka zywało się, że Laprade mieszkał jako dziecko naprzeciw cmentarz Père Lachaise, na którym żołnierze Thiersa rozstrzelali w maju 1871 r dwadzieścia tysięcy ludzi — i to właśnie było dlań w tej rozmowi najważniejsze. Innym razem ktoś wspomniał o pracy na kopalni. La prade wpierw słuchał, potem zaś opowiadał o tym wszystkim, co pisa o radzieckich kopalniach Juliusz Fuczik w swej książce o dziwnym ty tule: „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym". Tłumaczy też sens owego tytułu. Gdy zaś Jacek po raz pierwszy zjawił się na próbie chóru, Laprade, który słyszał co nieco o jego losach, znowu po wrócił do historii Komuny. Opowiedział długą historię o dwóch jej ge nerałach, Polakach. Tłumaczył się z uśmiechem, że jak wszyscy Fran cuzi, źle wymawia nazwiska. Ale historia była tak wzruszająca, ż dziewczęta się popłakały całkiem jawnie. Nie tylko zresztą dziewczę ta — Paolino na przykład z wściekłością, bo daremnie bronił się przed łzami. Więzy milczącej, ale zupełnie jawnej sympatii pomiędzy Jackiem a nauczycielem nawiązały się zresztą o wiele wcześniej — Laprad abonował H u m a.

Ostatniej niedzieli przed strajkiem nie śpiewano w ogóle. Laprad wprawdzie kazał Paolinowi rozdać głosy, ale z boku padło pytanie któ regoś z malców.

— Czy my w szkole też będziemy strajkowali?

Starsi wybuchnęli śmiechem, Laprade jednak był poważny.

— Przecież — powiedział z nieoczekiwaną surowością — dorośli bę dą strajkować w obronie robotniczych praw. A w robotniczych prawach jest także takie prawo, żeby wszystkie robotnicze dzieci mogły się uczy nie tylko w marnej szkółce, ale nawet w liceach, i Ecole Normale. Wam dano tylko takie małe szkółki jak nasza... A nie puszcza się was do większych, do liceów i na Sorbonę, bo oni... wiecie kto... oni boją się mądrego, uczonego robotnika... uczonego proletariusza. W nauce jest taka siła jak w jakiejś broni, w karabinie, w armacie na przykład, i ten

to umie strzelać, zawsze będzie silniejszy od tego, co nie umie. To samo est z nauką. Człowiek uczony zawsze łatwiej wygra swoją sprawę od akiego, co ledwo pisze i czyta. Burżuje o tym wiedzą i dlatego zamyają wam drogę do nauki...

Dzień ów był pogodny, ładny — Jacek więc jeszcze na próbie umówił się z Joanną, że przejdą się we dwójkę łąkami w stronę Artois, albo allaumines. Gdy zeszli już z gościńca na łąki Jacek przypomniał sobie właśnie słowa Laprade'a.

— Wiesz? — mówił ścinając w przejściu patykiem co wyższe trawy — Laprade dobrze powiedział. Nauka, to nasze prawo. U nas w Polsce to takie prawo już jest... we wszystkich krajach, gdzie przyszła wolność, jest takie prawo.

— Będziesz się jeszcze uczył? — spytała.

— Myślę... myślę, że tak. Może na inżyniera...

Umilkła, szli pod słońce, opadające już na linię horyzontu gdzieś okolicach Artois, i pod wiatr, który napływał z zachodu wieszcząc eszcz, burząc włosy, niosąc ze sobą ślad wilgotnego, morskiego zapachu.

Joanna już dawno przyzwyczaiła się do myśli o wyjeździe Jacka — ноć właściwie do smutku przyzwyczaić się nie można. W głębokiej ajemnicy przed samą sobą nawet hodowała nadzieję, że może nie dojzie do owego wyjazdu. Zbyt było jednak trudno wyobrazić sobie colwiek innego. Równie zaś trudno było sobie wyobrazić i to, by mogli ę kiedyś jeszcze po takim rozstaniu ujrzeć.

Joanna kochała książki, przez roztaczaną w nich barwność wyobraźni szczęśliwe zazwyczaj koleje ludzkiego losu — własna jej jednak wyobraźnia była nie tyle uboga, ile jak najściślej związana z życiem rednym, z surowym ocenianiem możliwości naprawdę szczęśliwego egu ludzkich losów. Jej własne życiowe doświadczenie kazało zarówo przyzwyczaić się do myśli o jego wyjeździe — jak do niewiary w powne spotkanie. W tej chwili zaś przybył jeszcze jeden ciężar: on ędzie inżynierem, a ja zwykłą robotnicą — jakże łatwo o mnie zaomni...

Nie zwracała uwagi, gdy dziewczęta śmiały się z niej, że wodzi oczami za smarkaczem, że kocha się w czternastolatku — wprawdzie jej wieśnice nie zwracały w ogóle uwagi na chłopców liczących mniej niż edemnaście lat, Jacek był jednak wyjątkiem. Nieważne nawet stało ę to, że wyglądał na starszego niż jest, że mówił mądrze i poważniej ż Jul, Robert czy nawet dorosły już Leon Michalinki Dupont.

Dziewczęta śmiały się często tylko z zazdrości — Jacek woził H ua, był odważny i mądry. Wszyscy — nawet dorośli tak mówili. A że

nie był najładniejszy, to nikogo nie musiało obchodzić — dla niej był. Zawsze idąc tam, gdzie spodziewała się go spotkać, męczyła się kwadrans lub nawet dłużej przed lustrem — zawsze była w swym rozumieniu dlań za brzydka: włosy nie chciały się wić ani błyszczeć, twarz była zbyt pełna, oczy zbyt ciemne, brwi zbyt jasne, wargi zbyt blade i grube. Wiedziała, że woli ją od wszystkich innych dziewcząt, wiedziała też jednak, że go to lubienie nie zatrzyma w Nordzie. I że nietrudno mu będzie zapomnieć o owych nieciekawych oczach, włosach i brwiach. Gdy zaś zostanie inżynierem...

Ogarnęła rozburzone włosy dłonią i powiedziała powoli:

— Jak zostaniesz inżynierem, to już pewnie nigdy nawet listu nie napiszesz.

Spojrzał na nią szybko i uważnie. Na chwilę zamyślił się, jakby nie pojmując, o czym mowa, a że przechodzili koło obrośniętego trawą kopczyka ziemi, przysiadł na nim niby dla namysłu właśnie. Przystanęła zdziwiona — zdziwienie jej wzrosło, gdy Jacek tak szeroko i głośno się roześmiał, jak po doskonałym żarcie. Patrzyła nań okrągłymi oczami — śmiał się znowu. Zerwał trawkę, zgrzytał zębami.

— A ty głupia jesteś — powiedział poważniejąc — coś ty wymyśliła?

Obraziła się:

— Co? Pstro!

— Nie masz się co obrażać — mówił szybko — a powiedz: czy ty jakbyś mogła pójść na inżyniera, to wyparłabyś się Anki Marais, albo Jula, gdyby był dalej zwyczajnym górnikiem? Bo ja... ja na pewno nie — dodał głosem, który swą czułością miał wytłumaczyć sens jej błędu.

— Tak? — spytała mrużąc pod słońce powieki.

— Tak.

— To... to chodźmy dalej.

Dalej poszli w milczeniu. Słońce przecięła w poprzek czerwono-złota, długa i wąska jak strzała chmura. Łąki, hałdy, kominy i ściany domów sczerwieniały. Jacek ujrzawszy lecące nad Sallaumines również czerwone i ogniste od blasku gołębie przypomniał sobie, że widział już kiedyś taki obraz — nie mógł jednak uzmysłowić sobie kiedy i gdzie. Joanna zaś milczała z radości — nie całkiem jasnej, nie precyzującej się w słowach, ale wypełniającej serce tak ożywczo, jak zmęczone upałem płuca wypełnić może oddech wschodniego, wieczornego wiatru! Że na pewno nie zapomni — bardzo trudno było uwierzyć. Pewność, że zapomni nachodziła ją w chwilach samotności, gdy nie byli razem —

nie widzieli się przez kilka dni. Teraz jednak chciało się wierzyć wszystko, co najlepsze. Radość ta trwała dzień, dwa, trzy... potem iedziała się, że Robak, z którym miał Jacek wyjechać, został wezy do Paryża — wyjazd więc znów się odwlekał.

ierwszy dzień strajku przeżyła w niepokoju sprawiającym, że wszyleciało z rąk. Nie mogła sobie wybaczyć, że nie zdążyła przynajej pożegnać się z nim rano — w oczach miała obrazy wszystkich dni, kiedy wracał z Douai mniej lub więcej posiniaczony, pobity z bojówkarzy lub przez flików. Nie mogła właściwie nic robić — lami dusił ją płacz. Mówiono przecież, że Douai aż czarne jest od durów i peleryn policji. Późnym popołudniem wyszła mu naprzedoszła niemal do Coubray. Na szczęście i tego, i następnego, i trzednia wrócił cały i spokojny. Douai rzeczywiście było czarne od w. Louis mówił nawet, że spodziewają się ściągnięcia do obozu owych departamentów wojska. Na razie jednak był spokój, a żanii z posterunków po koloniach, którzy w gorętszych chwilach z zastarali się nie wchodzić ludziom na oczy, teraz wleźli chyba, jak szczury, pod ziemię.

*
* *

ątego dnia strajku przyszedł z Paryża list ekspresem — od Ro-. Pisał w nim, że wyjeżdża na kilka dni na południe, by zastąpić esztowanego tam pełnomocnika do spraw repatriacji — ale, że k powinien być przygotowany na wyjazd najdalej z końcem trze- (licząc od daty wysłania listu) tygodnia.

anna dowiedziawszy się o tym liście zmrużyła oczy jak przed cem — wieczorem płakała.

ciec Rouget zaś i Faselli słuchając nowiny kiwali w milczeniu ami. Zdarzało się bowiem tak, że obaj nie zamieniając nawet słopomyśleli wspólnie o tej samej sprawie, że obu zdarzyła się chwila tej zazdrości. Faselli stojąc przy oknie kręcił z uwagą papierosa — c Rouget niby to wrócił do czytania H u m a. Myśli ich jednak ły wspólnym torem: jakże dobrze byłoby móc tak teraz dowiese, że lada tydzień wyjedziesz do kraju, w którym, jeśli nawet ze nie jest lekko ani syto, to jednak rządzi w nim twoja klasa ja partia — że to, o co walczyłeś i biłeś się przez całe trudne życie e się dla ciebie lada dzień żywym, prawdziwym faktem.

selli zabębnił palcami po szybie.

— Mnie — powiedział cicho Jacek — bardzo trudno... będzie te jechać.

Faselli błysnął swymi białymi, jak u młodej dziewczyny, zębami

— Giacchino... Nie pleć!

— Nie plotę. Będzie trudno — powtórzył z uporem.

Faselli wzruszył się, ale nie chciał tego okazać. Klepnął Jacka ramieniu.

— Nie zapomnisz o przyjaciołach. Co?

— O towarzyszach — mruknął z uśmiechem Rouget.

Jackowi zatrzęsła się broda, oczy pojaśniały. Nie odpowiedział dopiero po dobrej chwili bąknął, że późno już, więc idzie spać. G wyszedł, podjęli przerwaną jego wejściem rozmowę. Faselli już się ś śmiał.

— Tak — powiedział surowo Rouget, powtarzając już wypowiedzia wcześniej zdanie — teraz dopiero wszystko zacznie się naprawdę. Taak Dopiero teraz.

Tego bowiem dnia rozeszło się z Douai na cały okręg ostrzeże przed przygotowaną przez policję i wojsko akcją obsadzenia kopal Nic na razie nie wskazywało na to, że akcja ta rozwinie się w najbli szych już dniach. Należało się jednak przygotować, ustawić st że, zabezpieczyć bramy kopalni. Akcja miała mieć na celu zorga zowanie produkcji przy pomocy wojska i łamistrajków — był to s ry, wypróbowany sposób najbardziej reakcyjnych rządów. Ocz wiście w komitecie Federacji Górniczej w Douai nie wiedziano, przec którym kopalniom zostaną skierowane pierwsze uderzenia. Należa się jednak spodziewać, że w grę wchodzić będą przede wszystkim osi dla o niewielkiej stosunkowo liczbie ludności — jak na przykład: Mo trouge, Noitiers, Sallaumines, Montigny — względnie osiedla, w który komuniści nie posiadali absolutnej większości. Rouget zresztą sądz że ta druga możliwość jest mniej prawdopodobna.

— Oni — mówił z namysłem, zechcą uderzyć właśnie tam, gd partia jest silna. To jasne... zorganizują prowokację i wyaresztu aktywy. Tak... Stare, znane sposoby.

Faselli potarł brodę.

— Myślisz, że będą specjalnie polować?

— Jasne.

— A — Faselli dalej tarł zarośnięty podbródek — jak myślisz? J steśmy w kartotekach?

— Jasne.

aselli nagle się rozpogodził, jakby właśnie zdanie o kartotekach ekonało go, że wszystko jest w najlepszym, sprawiedliwym porząd- Umówili się na którą godzinę należy zwołać zebranie całego komi- strajkowego, kto kogo ma zawiadomić, kto zaś pójdzie do Coubray llaumines organizować akcję ochronną. Rouget także bardzo się ożyw — a więc idą dni walki. Nie wiadomo było jeszcze, jak dalece zechcie posunąć rząd — jasne stało się jednak, że walka musi przynieść ry, a strajk będzie musiał trwać długo: wciąganie wojska w akcję awiania produkcji oznaczało, że rząd nie zamierza nawiązywać dów. Ci zaś, którzy rozpoczęli strajk, na pewno nie zechcą się kła- żandarmskim pelerynom. Rouget omawiając jutrzejsze plany podł głos, oczy mu ściemniały.

Spróbujemy się — mruczał — dobra: spróbujemy się...

przedniego dnia podobne słowa padły z ust jednego z ministrów dprawie dla nadkomisarzy i prefektów zagłębi węglowych.

inister wypowiadając owe słowa uważnie przyglądał się twarzom hających go w doskonałym milczeniu podwładnych — na wszyst- twarzach pojawił się półuśmiech zrozumienia i gotowości, nie- zy z nadkomisarzy uznali nawet za stosowne przybrać postawę na ność.

inister skinął z zadowoleniem głową i zatarł swe suche, wiecznie rznięte dłonie.

- Zwracam panom jeszcze raz uwagę — mówił — że jest to pierwwielka po wojnie próba całkowitego a zarazem surowego rozbicia unistycznej inicjatywy. Próba ta musi, powtarzam, musi się udać... wszelką cenę.

ie dopowiedział nawet „za cenę krwi". Myśl ta jednak zawierała w określeniu „za wszelką". Obecni rozumieli zatem, że w rozwoju adków policja może zastosować metodę określaną w urzędowej sie jako „obrona konieczna" — czyli że w akcjach mają brać udział ziały z bronią nabitą ostrymi nabojami.

- Mam nadzieję — ciągnął dalej minister — panowie rozumieją rzymie znaczenie całej naszej akcji. Jej olbrzymie znaczenie dla szłości Francji, a także — tu uśmiechnął się bardzo dyskretnie ym kątem ust — a także i jej niemałe znaczenie dla ogólnej oceny zej, drodzy panowie, pracy.

tojący na lewym skrzydle, komiczny grubas o siwych, wyszczotkoych włosach znów wyprężył się na baczność. Minister napotkawszy rzenie jego niebieskich, wypukłych oczu z powagą przymknął poki, by się po prostu nie roześmiać. Nadkomisarz do złudzenia przy-

pominał ministrowi jakiegoś filmowego komika — i to jeszcze z wczesnych chyba lat epoki filmu niemego. Przypomnienie to jednak, choć śmieszne, podsunęło mówcy dobrą końcową przenośnię.

— Równocześnie jednak — zamykał ogólnym wnioskiem swe instrukcje — zwracam panom uwagę, że akcja ma się dziać nie tylko w tempie dobrego filmu, ale że równocześnie ma być prowadzona tak dyskretnie i tak... cicho jak w filmie niemym. Nie życzę sobie, by działalność któregokolwiek z panów nabrała europejskiego rozgłosu — rzekł zniżonym głosem i skłonił głowę na znak, że odprawa jest skończona.

Instrukcje były tak jasne, że nie zadawano żadnych dodatkowych pytań. Minister odetchnął z ulgą — była już późna godzina, on zaś pracował chyba czwartą dobę niemal bez przerwy. Dziś jednak mógł wcześnie stosunkowo wrócić do domu. Kazał przez sekretarza zapowiedzieć w domu, by czekano z kolacją (na dzień ten właśnie wypadały urodziny córki, których zawsze starannie przestrzegał) — potem kazał połączyć się z gabinetem premiera — chciał zażądać od Rady Republiki nowych funduszów na akcję antystrajkową, należało to jednak wpierw uzgodnić z premierem.

Czekając na rozmowę przeszedł się kilka razy po gabinecie — w końcu przystanął przed lustrem. Przyglądał się swemu odbiciu nie bez zadowolenia. Lubił być elegancki — lustro mówiło, że jest. Ciemnowiśniowy krawat w delikatny, biały rzucik, pięknie kontrastował z popielatą flanelą garnituru. Przy jasnej zaś koszuli nawet tak bardzo zmęczona twarz sześćdziesięcioletniego mężczyzny wyglądała dość młodo. Uśmiechnął się.

— Nie jest jeszcze tak źle — mruknął do siebie.

* * *

Warkot motorów, choć cichy, obudził mieszkającego na samym skraju kolonii Montigny Andrzeja Kergola — brata Małgosi. Andrzej spał tuż przy oknie — uniósł się na posłaniu i wyjrzawszy przez szybę krzyknął. Przed domem przejeżdżały kryte brezentami ciężarówki... jedna, druga, trzecia... Kołysząc się ciężko na kocich łbach i wybojach wjazdu, w wylotach brezentowych bud czerniły się mundury, lufy karabinów i hełmów mgliście odbijały światło zaczynającego się dnia, w szoferkach zaś siedzieli mężczyźni ubrani po cywilnemu, ale nie trudno było poznać, co to za cywile.

Andrzeja od razu opuściła cała senność. Serce podbiegło do gardła. Żona obudzona jego pierwszym okrzykiem zerwała się z pościeli zagadawszy coś niezrozumiale i nieprzytomnie, a potem już bez słowa patrzyła okrągłymi z samego strachu oczami na Andrzeja, który klnąc strasznie przez zęby, gorączkowymi ruchami naciągał spodnie, kurtkę, wiązał sznurowadła od butów. Wyrwana z gęstego snu nie mogła niczego zrozumieć. W końcu szepnęła:

— Andrzej! — i szept od razu przeszedł w krzyk — Andrzeju! Co ty...

On już był ubrany — trwało to chyba nie więcej jak pół minuty. Przegarnął zmierzwione włosy palcami, gubiąc w pośpiechu słowa tłumaczył:

— Fliki... fliki jadą... Pewnie na kopalnię... Leć zwołać ludzi!

Widząc zaś, że ciągle jeszcze nie może niczego pojąć, krzyknął z gniewem:

— Słyszałaś? Leć zwołać ludzi. Niech biegną na kopalnię... — i pognał.

Usłyszała śpieszny tupot jego nóg w sieni, potem trzaśnięcie drzwi, tupot przed domem, wreszcie okrzyk i dalekie dudnienie pięścią w szyby. Zerwała się — do pobladłych ze strachu policzków uderzyła teraz krew. Rozumiała już wszystko. Gniew wybuchł w jej sercu od razu wysokim płomieniem. W chwilę potem biła pięścią w drzwi najbliższych domów krzycząc:

— Na kopalnię! Fliki przyjechały! Na kopalnię!

Noc na szczęście była ciepła i w wielu domach okna stały otworem. Andrzej biegnąc ulicą i krzycząc widział z radością, że jego głos budzi całe domy — w oknach ukazywały się głowy, ludzie słysząc jego okrzyk powtarzali zawołanie, w kilku domach trzaskały już drzwi, głowy wysunięte z okien cofały się błyskawicznie, poranna zaspana cisza pogodnego świtu poczęła już z minuty na minutę ustępować groźnie rosnącej fali głosów, okrzyków, zawołań, nad brukiem niósł się coraz gęstszy, pośpieszny tupot. Andrzej po przebiegnięciu jakichś dwustu metrów obejrzał się — środkiem drogi pędziło już kilkunastu młodszych mężczyzn, dwie czy trzy kobiety, wielki jak skała Lisle ciężko przewalał się z nogi na nogę wymachując rękami niczym pływak. Andrzej zatrzymał się na chwilę, przyłożył dłonie do ust:

— Mężczyźni na kopalnię! — wrzasnął. — Baby niech zwołują ludzi!

W głębi ulicy dojrzał drobną sylwetkę żony — powtórzył okrzyk i zacinając usta skoczył dalej. Skręcił w zaułek, w którym mieszkał ojciec Rouget, ale natychmiast zawrócił; w przerwie między domami ujrzał właśnie starego bijącego pięścią w drzwi Fasellich, środkiem uliczki

zaś w spodniach tylko i rozchełstanej koszuli gnał wielkimi susami, przeganiając ciężkiego Lorsa, Jacek Kula.

Dudniące bowiem echo samochodowych motorów ostrzegło i obudziło nie tylko Andrzeja — noc była gorąca jak w lecie, okna pootwierano, poza tym zaś wczoraj rozeszła się już po całym okręgu wieść, że grożą najazdy policji i wojska na kopalnie. Młodzi chłopcy słysząc o tym śmiali się groźnie, lecz beztrosko, jak gotowi do bitwy, młodziutcy żołnierze, których serca pełne są dzielności i bojowego ognia, lecz których oczy nie poznały jeszcze obrazu pobojowisk a nozdrza nie poczuły nigdy mdlącego zapachu krwi.

Starsi nie karcili ich za ten śmiech, tak jak nie karcili kobiet za to, że w ich oczach rodził się lęk. Ojciec Rouget zastanawiał się nawet nad tym, czy nie zebrać pod wieczór ludzi i nie przemówić do nich — Faselli jednak odradzał. Pod wieczór bowiem stało się już jasne, że Montigny nie potrzebuje żadnych słów. A zresztą faktem było to, że właściwie całe Montigny tego wieczoru wiecuje — w domach i przed domami, na skrzyżowaniach ulic, na placyku przed kopalnią, koło „Małgorzatki" i przed sklepami zbierały się mniejsze lub większe grupki. Niektórzy ludzie milczeli, umykając wzrokiem na boki, kobiety zamężne, żony i matki mówiły głosami raczej przyciszonymi — w gęstych, ożywiających całe osiedle rozmowach, przeważał jednak inny ton głosu: szybki, gniewny, zuchwały, zawzięty. Piękna Anna Marais zebrawszy wszystkie swe przyjaciółki chodziła z nimi wzdłuż całej kolonii — znowu śpiewały, jak w pierwszy poranek strajku, piosenki Resistance, piosenki rewolucyjne, piosenki miłosne i nawet weselne — przechodząc zagarniały grupki młodych chłopców, przyplątał się do nich Laprade (szeptano o nim, że kocha się w Annie), który choć głos miał niepiękny i skrzypliwy, to jednak umiał przypomnieć i poddać najlepsze melodie — i te które się dobrze znało, i te, które choć znane, powypadały z pamięci.

Taki więc był ów uprzedni wieczór, gorący od śmiechu chłopców i od pieśni dziewcząt, a zarazem surowy powagą starych górników i nasycony niepokojem kobiet. Noc urosła pięknie — jasna od księżyca i drżących świateł gwiazd. Ludzie jednak usypiali z trudem, nachodziły ich sny krótkie, a niespokojne.

Małgosię obudził właśnie zły sen: szła sama z Mauricem na ręku przez nieznane, wielkie, czerwone łąki. Kuby nie było, odszedł, a równocześnie ze wszystkich stron świata poczęło grozić jakieś nieokreślone, duszące gardło niebezpieczeństwo, strony świata poczęły zbliżać się, dudnić jak daleka burza, jak odległa kanonada...

Małgosia zerwała się — sen przepadł, dudnienie jednak trwało. Przez twarte okno ujrzała skręcające na drogę do kopalni auta. Kuba spał lekko i dziecinnie otwartymi ustami. Zacisnęła powieki: nie zbudzę o, myślała z rozpaczą, nie zbudzę go, niech nie wie, niech śpi! Gdy ozwarła oczy, auta było jeszcze widać — chwyciła Kubę za ramię:

— Kuba — krzyczała — Policja... na kopalnię...

Auta, by dojechać do bram kopalni, musiały przeciąć całą osadę — nego dojazdu nie było. Prowadzący grupę podkomisarz Martin kaał przejechać wobec tego z maksymalną szybkością, okazało się to dnak niemożliwe dzięki szczególnie wyboistej, rozbitej nawierzhni gościńca. Pocieszał się tym, że nikt tu takiej wizyty nie będzie ię spodziewał. Ujrzawszy jednak w jednym, potem w drugim i trzem oknie głowy wyrwanych ze snu ludzi, z pasją wrzasnął, by przypieszyć biegu — motory zadudniły całą mocą, echo poszło wzdłuż omów, auta ruszyły przewalając się ciężko, skrzypiąc resorami...

W tej jednak już chwili osada huczała gniewem krzyków i rozkaów, tupotem biegnących nóg, oddechami zdyszanych piersi. W jednej ronie osady obudzili się Andrzej i Rouget, w innej zwoływał ludzi uba. Cierpiąca na bezsenność wdowa Vailland wybiegła na ulicę dzwonkiem, którym bawił się niegdyś jej syn. Wzdłuż obiegającej ółnocną część osady dróżki biegł w zwolnionym jakby tempie lecz kosalnymi krokami Laprade, a jego wydłużony skośnym światłem cień nigał tylko po sztachetach ogródków. Gdy dobiegał już do północnego rańca muru otaczającego kopalnię, z szybu odezwał się przeraźliwy, widrujący uszy głos alarmowej syreny.

Uprzedniego bowiem dnia komitet strajkowy wyznaczył już grupę artowników na kopalni — oczywiście zamknięto obie bramy i furtę. Większość wartowników nocowała w biurach rozłożywszy na zsuniych stołach koce. Pozostawiono dyżury przy obu bramach — kolejowej wjazdowej — jeden musiał czuwać przy syrenie, by w razie czego ać sygnał całej osadzie. Pod wieczór zaś wpadł na kopalnię Faselli dwoma mechanikami i Jossem i uradzili, że na wszelki wypadek należy a kilkadziesiąt metrów przed bramą kolejową rozkręcić tory. Uwięto się z tą robotą w pół godziny, dyrygował nią Josse. Gdy już zdjęto zyny, Josse splunął z gorzką złością:

— Uch! Czterdziesty drugi mi się przypomniał.

Od północy objął posterunek na portierni przy furcie elektryk i mazyciel, Max Moret. Miał ze sobą książkę, papierosy, kawę w butelce; że lubił samotność, z cichą satysfakcją rozsiadł się przy otwartym knie portierni i albo wyobrażał sobie, że siedzi tu milcząco i czule

z Anną Marais, przyglądając się pięknej nocy, albo czytał opisan przez Balzaka historię klęski wielkiego zbrodniarza Vautrina.

Skończył ją około trzeciej. Niebo już poszarzało, a powieki zaczęł się kleić snem, nie pomogła kawa ani papieros, wstał więc od okn i wyszedł na dwór. Przeszedł go dreszcz, zimno przedświtu jednak cu ciło jak strumień chłodnej wody. Max spacerując po podwórzu przy glądał się niebu — przez dłuższy czas było bezbarwne i szare, poten jednak w kilka minut poczęło odmieniać barwy, mienić się nimi, drże jakby od wylewającej się od wschodu jasności. W pewnej zaś, nie zwykle pięknej chwili, po przeciwległej stronie nieba niemal niewi dzialna do tej pory chmura rozbłysła nagle jak olbrzymia, pędząca tu nad ziemią płomienista gwiazda. Max przyglądał się jej ze zdumionym zachwytem, gdy zaś w końcu zbielała i stała się całkiem zwyczajnym obłokiem, trzeźwy już całkiem, wyzbyty z senności, zawrócił ku bramie Chciał wejść do portierni, gdy zaskoczył go jakiś odgłos. Zamarł z unie sioną nad stopniem nogą, potem skoczył ku furcie i ujrzał auta W pierwszej chwili uczuł pustkę w myślach, za chwilę jednak wszy stko stało się jasne: telefonować do dyżurnego przy syrenie, telefono wać do biur, co jeszcze... co jeszcze... ach, nie sprawdził zamknięci furty. Potrząsnął klamką — zamknięta. Ale na ile spustów? Najważ niejszy jednak był sygnał. Skoczył do dyżurki, telefon w biurze ode brano natychmiast, ten przy syrenie musiał jednak usnąć... Max wrzesz czał w ciągle niemą słuchawkę najgorsze przekleństwa — w końc odezwał się zaspany rzeczywiście głos:

— Kretynie! — krzyczał Max. — Dawaj alarm! Alaaarm!

Cisnął słuchawkę tak, że upadła na ziemię. Nawet się nie obejrza Dopadł z kluczem furty — była zamknięta na oba spusty. Przed bra mą właśnie zatrzymywało się pierwsze auto, słychać było stuk podbi tych gwoździami butów i szczęk broni — policjanci zeskakiwali n ziemię. Z szoferki pośpiesznie a niezdarnie wysiadł jakiś cywil w mię kim kapeluszu, z bródką jak cap. Nie pojmował widać jeszcze ro Maxa, bo z miłym uśmiechem kiwnął mu dłonią:

— Hej tam! Portier, przyjacielu, otwierajcie...

Max stał bez ruchu. Milczał.

Tamten przyjrzał mu się uważniej. Wydał półgłosem jakiś rozkaz – za prętami obok niego ukazało się kilku policjantów. Max uczuł chłó na policzkach — karabiny, hełmy...

Cywil już był zły.

— Słyszeliście? — krzyknął ostro.

Max z udaną bezradnością przestąpił z nogi na nogę:

— Nie mam... e... — jąkał — ...e... klucza. Nie mam...

Tamten zaklął. Max odstąpił krok w tył — krew uderzała mu do głowy z wściekłości na owego idiotę przy syrenie. Czemuż jeszcze milczy?

— A gdzie klucz? — krzyczał tamten już z pasją.

— E... nie wiem... — bąknął Max.

Nagle uczuł, że cała krew odpływa mu z serca i że płucom brak oddechu: w ręku jednego z policjantów dojrzał pęk wielkich wytrychów. Te diabły, myślał z przerażeniem, są jeszcze lepsi od najlepszego złodzieja — znajdą dobry wytrych, otworzą... co robić? Furtki zębami nie obroni, nie obroni jej także leżącym koło jej progu żelaznym prętem.

— Zaraz... zaraz — uśmiechnął się na zgodę — ...ja wam otworzę... — i pokazał klucz.

Cywil patrzył nań podejrzliwie.

— Otwieraj — mruknął.

Z Maxa opadł już cały popłoch. Sprawa przecież była łatwa, prosta, jasna jak słońce. Po prostu należało tylko złamać klucz w zamku furty, bo bramy i tak nie rozwalą. Obejrzał się: z biura wybiegali już chłopcy — za chwilę chyba odezwie się syrena. Byle tylko tamtych nie spłoszyć. Na moment jeszcze się zawahał, nie miał sił w dłoniach. Spojrzenie jego padło jednak na żelazny pręt — a więc wszystko jest w porządku: użyję pręta jako dźwigni.

Podszedł do furtki — schylił się po pręt.

— Klucz ciężko chodzi — wyjaśnił leniwie.

Wsadził pręt w ucho klucza i naprężając z całej siły mięśnie, szarpnął — byle tylko samo ucho nie pękło... Przestraszył się. Zamek zazgrzytał, ale klucz tkwił w zamku po staremu. Max sprężył się do siebie, nabrał oddechu.

Cywil jednak pojął już sens całego podstępu — na jego żółtych policzkach wyskoczyły krwawe plamy.

— Bić go!... — wrzeszczał. — Odepchnąć kolbami!

Max zawisł na pręcie. Pierwsze uderzenie było słabe i niecelne — okuta stopka kolby rozcięła tylko skórę na czole, krople krwi poczęły spływać wąskim wężykiem ku brodzie. Powietrze zawibrowało głosem syreny. Policjant o chmurnej twarzy wziął drugi, szerszy zamach.

— Łotry! Bandyci! — krzyczał i śmiał się z ogromną radością Max czując jak skrzydło klucza puszcza opór i gnie się coraz łatwiej. — Nie dostaniecie się tu! Nie dostaniecie się! Nie dosta...

Klucz pękł z cichym trzaskiem. Max powoli, jakby poziewując z nagłej senności, powoli ukląkł. Drugie uderzenie dosięgło go w tej chwili,

gdy już goły trzonek klucza zakołysał się na pręcie. Pręt wraz z resztką klucza zadzwonił o ceglany próg furty.

Do Maxa podbiegli starszy Roullot i Hud, kryjąc się za załomem muru odciągnęli go na bok. Leciał im przez ręce. Brama i furta dźwięczały od uderzeń kolb. Max słyszał to z bardzo dalekiej odległości, ale uśmiechał się, choć twarz nie chciała się w uśmiech ułożyć — nie dadzą rady... Zdawało mu się nawet, że wypowiedział te słowa.

Głos syreny wznosił się coraz wyżej i wyżej.

* *

Jacek zrównawszy się z ciężko dyszącym Andrzejem uchwycił go za ramię:

— Ojciec Rouget nie kazał bronić bramy... mówił, że warta obroni... — wołał wytrzeszczając rozpalone oczy. — Tak... trzeba tylko przejść boczną furtą do środka... jak najwięcej ludzi musi przejść... i bronić od środka.

Sprawa ta była już wczoraj omawiana i Andrzej pamiętał o niej. Ustalono bowiem, że na wypadek ataku, trzeba ludzi prowadzić boczną dróżką — obejść kopalnię z lewej strony. Mieli zająć się tym Rouget i Josse. Josse wybiegał już ze swego domu — Andrzej widział w głębi ulicy jego krępą, mocną postać.

Nabrał oddechu:

— Tak, tak. Ale.. — ruszył znów biegiem naprzód — ale było też mówione, że część ludzi musi zmylić flików. Trzeba ich na nich... Chodźcie, chłopcy — krzyknął ku najbliższym widząc, że Josse zagarnia już ludzi w bocznicę.

Za Andrzejem skoczyło kilkunastu mężczyzn, kilkunastu młodych chłopców. Ich śladem biegli też ci, którzy wybiegali z okolicznych domków. Przyplątały się też dziewczęta i kobiety, te jednak szybko zostały z tyłu. Któryś z porwanych krzykiem Andrzeja a biegnących przodem chłopców obejrzał się i przystanął. Przestraszył się:

— Czemu tamci biegną w bok?

Andrzej, któremu oddech wydobywał się z piersi głośnym jękiem zmęczenia, wściekł się. Zawrócił kilkadziesiąt metrów i z drgającą twarzą trącił chłopca w ramię:

— Tchórzysz? Nasza droga tędy...

Chłopak zbladł. Ruszył tak, że od razu zostawił Andrzeja daleko z tyłu. W chwilę potem wypadli już z zakrętu. Andrzej kazał się zatrzymać.

Ostrożnie wychylił głowę, by zorientować się w sytuacji — auta stały przy bramie, policjanci ciągle jeszcze tłukli kolbami w zamek furty. Z daleka widać było jakiegoś cywila w kapeluszu i w rozwianym frenczu wytrząsającego z wściekłością rękami. Tuląc się do muru wyjrzał też Jacek. Andrzej uśmiechnął się wydychując z trudem mękę biegu:

— Mamy jeszcze czas... — powiedział.

Podkomisarz Martin istotnie bladł i siniał na przemian z wściekłości. O rozbiciu wielkiej żelaznej bramy kolbami nie było mowy. Popsuty zaś zamek furty trzymał mocno. Nawet łom nie pomógł.

Na rozkaz Martina jedno z aut podjechało tak blisko bramy, by można było z dachu budy dosięgnąć jej szczytu. Dwaj policjanci jednak, którzy znaleźli się już połową ciała na owym szczycie, cofnęli się natychmiast pod gradem kamieni i piasku. Bramy pilnowano — wisząc zaś połową ciała na wąskiej krawędzi o trzy metry ponad ziemią nie można było strzelać. Kilka strzałów na postrach, choć przeraziło ludzi pozostałych w osadzie, za bramą wzbudziło tylko śmiech.

— Macie już słońce! — krzyczały szydercze głosy. — W słońce strzelajcie!

Minuty upływały. Martin wyłamywał palce, aż trzaskały w stawach. Zdobyć mur można było tylko szerokim masowym atakiem, a na to brakło mu ludzi. Dojazdem kolejowym miały wprawdzie przyjechać dwie kompanie żołnierzy, ale na nich nie można było właściwie liczyć. Podczas wczorajszej narady w Douai dowodzący kompaniami kapitan oświadczył Martinowi prosto w oczy, że żołnierzy można użyć wyłącznie w wypadku spokojnego zajmowania obiektu — że on absolutnie odradza wprowadzanie ich do bezpośredniej akcji przeciw ludziom. Omal nie przyszło do ostrej scysji, bo prefekt zapytał kapitana, czy zna swoje instrukcje, a krwisty i obraźliwy kapitan natychmiast odkrzyknął, że niestety zna nie tylko instrukcje, lecz także swoich ludzi.

Mimo to Martin słysząc daleki świst kolejki uśmiechnął się z satysfakcją — może przybywają jeszcze na czas. Posłał w stronę przejazdu kolejowego dwóch ludzi, by przekazali kapitanowi rozkaz rozbicia bramy kolejowej po prostu buforami lokomotywy oraz przysłania dwóch plutonów jako posiłków do bramy wjazdowej. Policjanci pobiegli ciężkim krokiem uzbrojonych ludzi, po chwili znikli za zakrętem muru.

Mocujący się jeszcze ciągle z zamkiem furty policjant nagle ustał w swej pracy:

— Panie podkomisarzu! — powiedział niespokojnie. — Tego bydła coraz więcej...

Istotnie — przez pręty furty mimo ograniczonego pola widzenia można było ujrzeć wyłaniające się zza budynków położonych po prawej stronie podwórza liczne sylwetki ludzkie. Część z nich kierowała się w stronę bramy szybko niknąc za załomem muru — część zaś, daleko w głębi, całkiem już jawnie biegła w stronę nadszybia, obstawiała wejście do hali maszyn.

Martin osłonił oczy od kłujących promieni słońca. W tej chwili wypadł zza rogu jeden z wysłanych do kapitana ludzi. Bez hełmu był i bez karabinu.

— Oni — krzyczał rwącym głosem — wchodzą bocznym wejściem... cała banda... wchodzą...

Nim jeszcze Martin pojął sens swojej klęski — nim pojął, że przy pomocy pięćdziesięciu policjantów i dwóch niepewnych kompanii żołnierzy nie potrafi już opanować sytuacji, zza zakrętu po stronie przeciwnej do tej, z której wrócił uzbrojony policjant, ukazała się grupka mężczyzn. Podkomisarz chciał zadać rozbrojonemu jakieś pytanie, kiedy trącił go lekko sierżant i w milczeniu wskazał palcem na tych, którzy wynużyli się właśnie zza zakrętu — nie było ich wielu, nie więcej niż czterdziestu. Za nimi widać było tłumek kobiet. Podkomisarz zdjął kapelusz, powolnym ruchem otarł czoło z potu. Zrozumiał wreszcie, że ci ludzie ostatecznie uniemożliwiają mu uderzenie na wchodzący do kopalni tłum.

— Uwaga — mruknął przezwyciężając dławienie w gardle. — Tym nie przepuścić na sucho.

*

* *

Gdy Jacek wskazał Andrzejowi nadbiegającego od strony bocznej furtki rozbrojonego policjanta, zorientował się, że niesie on zapewne wiadomość o wchodzących na kopalnię ludziach. Jak należało postąpić? — Oni stali tu już około dziesięciu minut, to zaś, że flika rozbrojono, musiało chyba być dobrą nowiną. A zatem przy furtce zebrał się już zapewne niemały tłumek.

Andrzej uśmiechnął się do tej myśli — następna przygasiła jednak nieco ową radość. Mimo wszystko należy odwrócić uwagę policji od tamtych. Poczuł, że dłonie wilgną mu od potu, zacisnął je. Napotkał

bliska wzrok Jacka, uważny, wyczekujący. Powtórzył więc uśmiech zwrócił się do stojących za nim w milczeniu towarzyszy:

— Teraz — rzekł — nasza kolej. Zachować spokój, chłopcy.

Wyszli od razu całą grupką i poczęli iść w stronę bramy dość równym, spokojnym krokiem. Za nimi ruszyły te kobiety i dziewczęta, óre w przeciągu owych dziesięciu minut zdążyły ich dogonić. Była śród nich Joanna.

Do pierwszego szeregu obok Andrzeja wepchnęło się jeszcze siedmiu: ów zganiony niesprawiedliwie chłopak, trzech starszych górników, esoły zawsze Bouton, ślusarz Dubois i Jacek.

Szli spokojnie, ktoś rzucił jakiś żart. Tak — w tej chwili zaczęło to yglądać już tylko na łatwe, komiczne nawet w swej łatwości, zwyęstwo. Niektórzy nawet zawstydzili się niedawnego uniesienia. derzenia kolb o bramę ustały, zza muru słychać było głosy coraz stsze. Słońce świeciło pięknie. Andrzej zrozumiał, że w tej sytuacji szelka interwencja jest już zbyteczna. Należało więc przekształcić ę w zwykłych widzów. Zwolnił kroku jeszcze bardziej — ujął Boutona d ramię, do poprzedniego żartu dorzucił nowy. Nad grupką podniósł ę już całkiem swobodny szmer śmiechu. Policjanci zebrani wokół aut ali wspierając dłonie na karabinach — wyglądali może groźnie. Nimu jednak nie chciało się już teraz widzieć w owym widoku grozy niebezpieczeństwa: kukły w czarnych mundurach, w hełmach, z kabinami — nie ludzie, a właśnie śmieszne kukły. Szczególnie kobiety dziewczęta, chcąc powetować sobie niedawny strach śmiechem i kpimi, poczęły przepychać się naprzód, pokazywać sobie owe kukły lcami, chichotać cienko, a złośliwie.

Zatrzymali się na kilkanaście metrów przed ostatnim autem — stali półkolem jak widzowie ciekawego przedstawienia. Szmer uwag rozmów rósł coraz weselej. Z grupy policji wyszedł cywil — szedł nim. Za nim, powoli, leniwym krokiem ruszyło kilku umundurowanych. Szmer zastygł na chwilę, ale Bouton nie wytrzymał:

— Ot — powiedział swym cienkim głosikiem. — Ci panowie przyli tu pewnie za pracą.

Splunął i dodał z niezwykłą powagą:

— Tak. Bezrobotni.

W tej zaś chwili właśnie Martin zastanawiał się, czy napad na ową ewielką grupę nie wzburzy zebranych wewnątrz muru ludzi do tego opnia, by biegnąc na pomoc otwarli bramę. Drugi policjant, choć wnież rozbrojony, przedarł się w stronę torów — ostatecznie odsiecz ogła nadejść na czas. A zatem... należałoby...

Z żartu Boutona nie śmiał się właściwie tylko Jacek. Od chwi
w której obudził go okrzyk ojca Rouget, nie upłynęło nawet pół g
dziny. Rouget kazał mu biec w osadę, budzić przede wszystkim zwi
zanych z komitetem strajkowym towarzyszy, i przypomnieć im o plan
ochrony kopalni. Nie spodziewano się przecież, że napad nastąpi t
szybko — sądzono, iż będzie to kwestia dni, tygodni nawet. Dlatego t
Rougeta przerażała w pierwszej chwili możliwość załamania się owe
planu; kazał Jackowi biec, jak o własne życie.

Jacek tak biegł. Gdy ujrzał, że osada budzi się bez jego udział
że z domów wybiegają już ludzie, z radością obudzoną ich widokie
zmieszał się jednak ostry żal: zastąpiono już go.

Potem porwał go okrzyk Andrzeja Kergola. Biegnąc zaciskał pięś
śmiał się, nie czuł zmęczenia. Oto nareszcie stanie twarzą w twa
z wrogiem, ze sprzymierzeńcem tych ludzi, którzy pozbawili go ojc
ze sługami tych, którzy robili zdradę, którzy chcieli złamać Nord, w
głodzić go, upokorzyć. Nie pojmował, jak można śmiać się czuj
w sercu aż tyle nienawiści — śmiał się jednak. Serce uderzało szy
ko, lecz swobodnie. Łatwo odbił się od reszty, ale Andrzej zawró
go krzykiem. Gdy przystanęli przed zakrętem, Jacek przestał się uśmi
chać. Inni w milczeniu wydychiwali z siebie zmęczenie — on go n
czuł. Przywarł do muru i patrzył zza węgła w stronę bramy. Do grup
Andrzeja dobiegali co chwila ludzie. Opadało zmęczenie, opadała t
pierwsza pasja. Jacek jednak bez przerwy patrząc na krzątające s
przy wozach czarne sylwetki policjantów nie chciał się poddać rosnąc
powoli wesołości.

Gdy zaś podeszli do aut i z grupy policjantów wyszedł ów cyw
Jacek wciągnął głęboko powietrze. Nie słyszał właściwie dowcip
Boutona — oto szedł mu naprzeciw jegomość z rudawą bródką, w mi
kim popielatym kapeluszu... znajomy, stary znajomy z dworca w Dou

Jacek szukał wzrokiem jego oczu i nie wiedząc nawet o tym pochy
się ku przodowi, jak do nowego szalonego biegu.

Cywil spytał ostrym głosem:

— Jest tu kto z Komitetu Strajkowego?

Andrzej westchnąwszy ziewnął:

— Tak... a bo co?

— Rozkazuję otworzyć bramę.

— Po pierwsze — mówił Andrzej powoli i słodko — strajk. Po drug
nie ma klucza. A po trzecie... nie ma takiego prawa.

Cywil udał, że nie dosłyszał:

— Czego nie ma?

— Prawa.

— Ach... prawa... — cywil obrócił się wstecz. — Sierżancie, brać go.

Andrzej oblizał szybko wargi. Nastała chwila ciszy. Bouton wystąpił krok naprzód.

— Takiego prawa nie ma.

Jeszcze chwilę słychać było tylko gwar za murem i coraz głośniejsze oddechy skupiających się wokół Andrzeja ludzi. Sierżant uczynił pierwszy krok:

— Ja wam dam prawo — wrzasnął nagle falsetem cywil — dam wam prawo...

Jego krzyk przełamał spokój i ciszę, od razu rozległ się tupot podbitych butów policji, sierżant skoczył ku Andrzejowi, nadbiegli też stojący dotychczas przy autach. Podniósł się cienki wrzask kobiet.

— Odstępować — wołał Andrzej — odstępować...

Jacek wiedział, że nie mogło zdarzyć się inaczej. Nie mogło zdarzyć się inaczej, jeśli stanęli naprzeciw siebie. Jedni przeciw drugim, obrońcy kopalni przeciw jej złodziejom.

W chwili gdy ujrzał biegnących ku sobie ciężkim krokiem policjantów, strach szarpnął nim do tyłu, plecy pokryły się potem. Nadlatujący wprost nań policjant unosił właśnie w górę pałkę, sierżant zczepił się już z Andrzejem, mały Bouton skoczył do szyi wysokiemu, chudemu jak tyka wąsaczowi — zza ich pleców zaś wyskakiwały już nowe mundury, kolby, twarze wyszczerzone grymasem wysiłku i krzyku.

Jacek wrzeszcząc coś wściekle bez ładu i sensu uchylił się przed ciosem pałki i wyciągając przed siebie ręce z rozczapierzonymi szeroko palcami skoczył naprzód. Dłonie oślizgnęły się na hełmie niskiego mężczyzny o nabiegłej krwią twarzy, opadły na ramiona. Jacek zawisł na owych ramionach, policjant wytrzeszczając zdumione oczy, cofnął się, przechylił w bok. Upadli na ziemię. Obok załomotały znów podkute buty. Jacek poczuł tępe uderzenie w plecy... ręka opasująca kark policjanta nagle zdrętwiała.

— Odstępować — wrzeszczał Andrzej — towarzysze... odstępować...

Jacek odrywając się od leżącego uskoczył z jękiem w bok. Uderzenie kolby rzuciło go znów o ziemię. Potoczył się aż na skraj drogi. Wstawał bardzo powoli. Suche łkanie wściekłości rozrywało zaschnięte gardło. Patrzył na wbijające się w zbitą przy murze grupę ludzi rosnące w zamachach uderzeń postacie policjantów. Krzyknął z radością — przed pięściami Lisla otwarła się pustka, potem w dłoniach siłacza zadrżała nagle wyłamywana ze zbielałych od wysiłku palców gumowa pałka, o jakiś hełm zadzwonił kamień.

— Brać ich! — wrzeszczał cywil. — Na auta!

Dwóch policjantów wlokło lecącego im przez ręce Andrzeja — kilku innych wbiwszy się klinem między pierwsze szeregi odłączyło od reszty Boutona i walczących tuż przy nim jego dwu szwagrów. Lisle uderzony nagle kolbą w głowę powoli osuwał się wzdłuż muru na ziemię i nie mrużył już oczu przed następnym ciosem.

Jacek krwawiąc puszkami palców wyrwał z ziemi kamień. Podbiegł ku tym, co wlekli Andrzeja.

— Nie ważcie się — krzyczał — nie ważcie się...

Kamień uderzył w ramię jednego z nich. Tamten jakby przykląkł. Ale w tej samej chwili Jacek miękko załamał się w kolanach i zgiął ku ziemi. Od dojmującego bólu w karku zabrakło sił do obrony przeciw chwytającym pod pachy rękom. Czuł tylko, że ktoś ciągnie go niemal biegiem po kamieniach drogi, gołe kolana piekły jak od ognia.

— Boli — szepnął.

Do najbliższego auta wepchnięto już Andrzeja, Boutona, jego szwagrów, dwie kobiety i Jacka. Lisle był za ciężki, by go udźwignąć. Do drugiego wleczono innych pobitych, Annie Marais ściekała z czoła krew.

Martin obejrzał się, bramy nie otwarto. Natomiast po przeciwnej jej stronie, gdzie stały auta, z wysokiego muru poczęli nagle zeskakiwać ludzie. Wojska nie było widać.

Podkomisarz zorientował się, że w każdej następnej minucie może utracić przewagę.

— Do aut! — krzyknął biegnąc koślawo ku najbliższej maszynie.

Policjanci sypnęli się ku wozom. Niektórzy zapóźnieni wskakiwali już w biegu. Maszyny objeżdżając pętlę zajazdu nabierały szybkości — od murów jednak rzucili się ku nim ludzie, przez powietrze poleciały kamienie. Martin z przerażeniem osłonił twarz dłonią — szyba szoferki poszła w drzazgi. Szofer złapał się za oko i z głuchym stęknięciem wykręcił kierownicą — nieludzkim wysiłkiem ominął słup telegraficzny.

Podkomisarz wychylił się z szoferki; napastnicy jednak zostali już w tyle. Wygarnął więc pełny magazyn browninga w puste okna mijanego domku. Auta nabierały szybkości.

Jacek słysząc trzask strzałów uniósł się na łokciach. Z dalekiej bardzo odległości dobiegł go śmiech Boutona i jego słowa:

— Zawracać! Nie dostali pracy! Nie dostali... co?

Ktoś ujął głowę Jacka szorstkimi dłońmi. Za Boutonem zaczęli się śmiać jacyś jeszcze mężczyźni.

*

* *

Więzienie w Douai przygotowane było do akcji strajkowej. Krymi-
nych przerzucono do lewego skrzydła. Cele środka i prawego
rzydła były puste. Martin kazał więc zabranych z Montigny ludzi
rzucić pojedynczo. Wiedział, że nie łatwo jest znosić samotność
czterech niewielkich ścianach o oknie przesłoniętym po kątach, by
o więźnia niczego poza małym i niewymownym skrawkiem nieba
mogło dojrzeć.

Podczas jazdy autem ból nawet zbytnio nie męczył Jacka. Wszystko,
działo się wokół niego, było dalekie, stłumione. Chwilami osuwał
w półsen. Cucił się całą siłą woli, by powoli i niewyraźnie odpo-
edzieć na jakieś pytania, które gorączkowo zadawała mu przera-
na tymi zapaściami jedna z kobiet. Trzymała jego głowę na własnych
anach, gładząc twardą, szorstką dłonią policzek i włosy chłopca.
powiadał na pytania, uśmiechał się nawet.

Przez cały niemal czas jazdy słyszał wysoki, komiczny głos Boutona.
uton chwalił chełpliwie dzielność bitki, kpił z policji najgorszymi
wami, nie uciszył się, choć policjanci kazali mu milczeć. Jacek
szał nawet kilkakroć wymawiane swoje imię. Czuł ną włosach
jeś dłonie, nachylano się nad nim. Wszystko jednak działo się na
oczu, nie było ani bliskie, ani ważne.

Nie bardzo pamiętał momentu, w którym wyprowadzono go z auta.
tano potem o imię, nazwisko, narodowość, miejsce zamieszkania,
k. Jacek wpierał dłonie w drewniane balaski i spod wpół opuszczo-
ch powiek przyglądał się zadającemu pytania dyżurnemu podofice-
wi. Podoficer miał okrągłą, jakby nieco przypłaszczoną twarz, za-
ując odpowiedzi pochylał głowę ukazując nieskazitelny przedział na
dku głowy, kończący się okrągłą jak mnisza tonsurka łysiną. Wy-
na we wspomnieniu była tylko ta chwila, gdy z kancelarii, w której
sywano więźniów, wyprowadzono równocześnie jako dwu pierw-
ch Jacka i Boutona. Bouton żegnał wszystkich okrzykami — Jacek
ytomniejąc też podniósł rękę:

— Niech żyje! — krzyknął gorąco.

Nie było nawet ważne, na czyją cześć został wzniesiony ów okrzyk —
cześć strajku, zwycięstwa kopalni, wesołego Boutona, skatowanego
drzeja, partii czy Francji. Jasne było bowiem, że wszystko to
zy się i wiąże i że wszyscy pojmują sens owego okrzyku — i podo-

ficer, który wrzasnął — milczeć! — i więźniowie, którzy podjęli go pe
nym głosem.

Potem trzeba było iść po schodach, pustym odbijającym echo kory
tarzem o sklepionym w łuk suficie — na koniec strażnik popchna
lekko Jacka ku pryczy stojącej w pustej, niewielkiej celi. Patrzy
przez chwilę, jak chłopak niezdarnie i powoli przysiada na niej, poki
wał głową, zafrasował się, wzruszył ramionami i wyszedł. Klucz prze
kręcił w zamku dwukrotnie. Za drugim jego obrotem splunął i zakla
szpetnie.

Jacek zaś wyciągnął się na pryczy. W uszach poczęła wpierw dzwo
nić i szumieć cisza celi. Szum przybliżał się i odpływał niczym pły
nący wielkimi falami tuż nad dachem domu północny wiatr. Jace
słuchał go z uwagą. W rytmie owych przypływów i odpływów wszystk
poczęło się łagodnie kołysać, płynąć jakby wraz z owym północnym
wiatrem, kołysanie zaś było nawet przyjemne. Jacek nigdy nie płyna
łodzią ani okrętem, czytał jednak o tym. Pod dłonią czuł chropaw
deskę pryczy. Szum znowu się oddalił.

Jacek wpierw nie wiedział o niczym. Słuchał tylko. Przymykając po
wieki słuchał owego szumu. Potem jednak przez głowę przewinęła si
leniwa i spokojna myśl — że zapewne po prostu umiera. Uniósł dło
pod puszkami palców znalazł się mur chłodny, milczący. Pogłaskał g
jak człowieka. Myślał, że umiera, ale myśl ta nie niosła ze sobą strachu
Poruszywszy tylko głową jęknął lekko z ćmiącego w karku bólu. Poz
tym jednak w sercu panował spokój. Spokojnie wspominał ostatni
dni: rozmowy z Cotem, spacer z Joanną... Męczyło tylko pragnie
nie. Poza tym wszystko dokonało się jak należy. Trudno jest teraz po
rzucać przyjaciół i towarzyszy — ruszać w podróż. Trochę żal.

Dobrze chyba go jednak wspomną. Szedł razem z nimi — ramię prz
ramieniu. Uśmiechnął się, bo gdyby ojciec wiedział o tym wszystkim
nie powiedziałby może ani słowa — ale na pewno skinąłby głową n
znak, że się dobrze rozumieją. Przyszły też na myśl niedawno prze
kogoś — Robaka czy Rougeta — wypowiedziane słowa: ...a życie twoj
warte jest tyle, ile przyczyni się do polepszenia życia innych ludz
Podług owych słów niewiele jest warte to życie — ojciec dokonał ty
siąckroć więcej. Żył jednak dłużej. On zaś, Jacek, starał się w miar
swych sił, lat, zdolności. Tak było! Wie o tym — i dlatego w myśla
i sercu panuje łagodny spokój.

Szum znów przypływał i odpływał. Cela kołysała się tym samym ry
mem. Myśli powoli gubiły się, traciły sens.

Jacek usnął.

*

* *

Obudził go zgrzyt zamka. Od razu wróciła cała przytomność. Poderał się z trudem, bo kark i ręka rwały ostrym bólem. Poza tym jedak całe tamto otumanienie i bezwład przepadło. Nawet ból, głód pragnienie świadczyły o nowej sile i zdrowiu. Wspomnienie myśli śmierci uderzyło do głowy wstydem — jak pamięć przykrego upstwa.

W drzwiach ukazał się strażnik. Niósł dzbanek wody. Widząc, że łopiec stoi obok pryczy, jakby gotów do bójki, roześmiał się szeroko dobrodusznie. W celi panował przedwieczorny już zmrok, Jacek widział jednak wyraźnie okrągłą, pulchną, wygoloną twarz strażnika, yszczące oczka nad policzkami różowymi od zdrowia świeciły przyźnie.

Strażnik ustawił dzbanek przy drzwiach. Stanął wygodnie, szeroko, ce złożył na brzuchu księżowskim ruchem.

— No co? — spytał. Jego gruby bas bulgotał śmiechem — wyspał ę hrabia? Woda będzie smakować...

Jacek milczał. Strażnik z łagodnym ubolewaniem pokiwał głową:

— Kolacja — rzekł — nie przewidziana jeszcze dziś dla państwa... w brzuchu pusto, co?

Jacek obrócił się doń plecami. Strażnik jednak — człowiek równie pokojny jak ciekawy — nie obraził się. Wyjął papierośnicę.

— Zapalisz?

— Nie.

— Hm... niemowa z ciebie. Człowiek po to ma język, żeby pomówić człowiekiem — dodał z łagodnym wyrzutem gaduły. — A może dać kawałek chleba, co? Pojesz... pogadamy...

Jacek spojrzał nań i nabrał oddechu.

— Od kanalii nie będę brał chleba... ani nie będę gadał z kanalią — powiedział powoli.

Strażnik zamrugał oczami.

— Ech... — spytał leniwie — kanalia, to ja?

— Tak.

Czekał naprężając mięśnie. Gotów był na wszystko — półotwarte rzwi ciągnęły oczy, jak magnes. Strażnik jednak nawet się nie poruszył. Wydął policzki, jak do gwizdania i zamiast gwizdnąć, westchnął. Wesoło nawet westchnął.

— Nie, to nie... — mruknął. — Dla takich jak wy głód to dobra rzecz Za łatwo obrażacie człowieka. A jak trochę pogłodujesz, to razem z żo łądkiem i serce ci się trochę skurczy. Pogłodujesz... — uśmiechnął si znowu — ...dadzą ci po mordzie... Potem zechcesz i pojeść, i pogadać Widzieli tu już bohaterów.

— Kanalia — powiedział Jacek.

— Ja nie biję — tłumaczył tamten — chyba, że mnie ktoś zezłości W domu na dziecko ręki nie podniosę. Ale są inni... oni to umieją. A zdumienie człowieka bierze.

— Kanalie.

Strażnik wzruszył ramionami z dobrodusznym niesmakiem.

— Przyniosłem ci wodę... przyszedłem ci powiedzieć, że zaraz bę dziesz miał gości... A ty nic, tylko: kanalie. Powiadam ci, że będzies wisiał, chuda świnio. Jak mnie kto zapyta, sam poradzę: powiesić.

Jacek postąpił krok naprzód. Strażnik bez pośpiechu, powoli, cof nął się ku drzwiom. Troskliwie osadził klucz w zamku.

— Przyjdą tu zaraz tacy durnie jak ty — mówił posapując. — Dur nie i kanalie. Będziecie wszyscy gnili na stryczku...

Jacek skoczył naprzód, ale drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Słycha było wybuch śmiechu, brzęk kluczy. Potem kroki i wesoło pogwizdy waną piosenkę, o trzech wracających z wojny pięknych doboszach.

Woda była czysta i zimna. Nie można było wprost nasycić spieczo nych ust i obolałego gardła jej gładkim chłodem. Jacek nie odrywał us od brzegu dzbanka, póki nie odezwało się ostre przypomnienie słó strażnika o mających przybyć nowych więźniach. Nie miał prawa ta łapczywie pić — tamtych zapewne też męczy pragnienie. Odstawi dzbanek i wrócił na pryczę.

Po kilku minutach posłyszał znajomy, daleki głos ratuszowego ze gara — szósta. Cienie w kątach celi gęstniały coraz bardziej. Tamtyc przyprowadzono już o zmroku. Wpierw błysnęła pod sufitem mętn słabiuchna żarówka — w chwilę potem przypłynęło korytarzem ech licznych i zmieszanych kroków. Więźniów musiało być sporo — trza skały drzwi od innych cel. Słyszał też bas tamtego strażnika wznosząc się teraz do złego krzyku. Na koniec otwarły się drzwi.

Weszło czterech — jednego z nich podpierali towarzysze. Był z nic najmłodszy, mógł mieć około dwudziestu pięciu lat, jego twarz jasne go, wesołego blondyna skrzywiona była bólem, głowa kołysała si bezradnie.

Najstarszy szedł przodem — krępy, tęgi mężczyzna o szoferski brzuchu i całkiem białych od siwizny włosach, ostro odbijających o

pociętej zmarszczkami, ciemnej jak u Hiszpana lub Cygana twarzy. Dwaj pozostali byli niewiele chyba starsi od pobitego towarzysza — na ich twarzach jednak wzdłuż policzków ciągnęły się głębokie bruzdy, pierwsze znaki wczesnej starości, która w wilgotnych kopalniach Nordu dotyka nawet chłopięcych twarzy.

Idący przodem stary ujrzawszy Jacka roześmiał się i wyciągnął rękę:

— A to co znowu? — pytał skrzypiącym głosem. — Witaj.

— Dobry wieczór, towarzyszom — prostował się Jacek.

Tamci dwaj nie zwrócili nań prawie uwagi, układali troskliwie jęczącego cicho blondyna na pryczy, stary natomiast, choć z równą troskliwością pochylił się nad nim, nie chmurzył się jak oni. Mimo swego wieku i potężnej tuszy ani chwili nie mógł ustać na miejscu — chodząc zaś po małej celi, oglądając jej ściany, kąty, cały czas mówił swym skrzypliwym, przerywanym przez zadyszkę głosem. Skręcił sobie papierosa, drugiego wsadził w wargi blondynowi — wyciągnął pudełko z tytoniem w stronę Jacka, cofnął je, zajrzał do dzbanka, a umaczawszy w nim chustkę, złożył ją zręcznie na czole pobitego, potem zaś odsunąwszy tamtych dwóch począł go badać.

— Tak mówił — głowa cała. A co dalej? Tu boli? A tu... a tu... aha, żebro. Kolbą cię poczęstował... tak, widziałem... cud, że tylko jedno żebro. Ułóż tak rękę. Lepiej, co? No, a noga? Nie jęcz synku, nie jęcz. Jęczeniem budzi się ból, a milczeniem... hm, co się budzi milczeniem? No tak — odwagę. Jak Boga kocham, że nie kłamię. Znam to dobrze. Nieraz milczałem i nieraz jęczałem. Tak... masz szczęście jak nikt. Noga cała. Musiał ci trochę nadłupać kość, dlatego tak boli. Boli, co? Ale złamania nie ma. Chodźcie tu — pomóżcie go wyżej podsunąć. Podłóż mu ręce pod głowę, Michel, durniu... Słyszysz? Tak. No, a teraz leż spokojnie, to cię ból nie zaczepi. Zapomni o tobie.

Blondyn zaśmiał się cicho. Tamci dwaj wzdychając siedli pod ścianami spoglądając obojętnie na Jacka, stary zaś znowu zabrał się do oględzin celi.

— Który to numer celi? Aha... czterdziesty pierwszy. Hm, chyba tu jeszcze nigdy nie byłem. Ale dlaczego taka znajoma, co? Dlaczego? A... to proste. Byłem, wiesz mały, o piętro wyżej, w sześćdziesiątce dziewiątce. Odchudzili mnie tam hitlerowcy tak, że mogłem latać w powietrzu. Uczepić się dziecinnego balonika i lecieć. Tfu! Kuracja była szlachetna. A ty — do Jacka — ty skąd?

— Z Montigny.

— Co? Z Montigny? — ożywił się. Tamci trzej też z zainteresowaniem spojrzeli na Jacka. — To ty za co siedzisz?

— Kopalni broniliśmy.

Stary machnął ręką na blondyna, który uniósł głowę.

— Leż, durniu — krzyknął — jak ci dobrze. Ja go będę pytał.

Oparł się plecami o framugę okna. Z bocznej kieszeni wyjął kawałek stłuczonego lusterka, przygładził przed nim włosy, Potem zaś chwilę pomilczał i wreszcie miast pytać powiedział po prostu.

— Opowiadaj.

Jacek zakłopotał się — od czego zacząć? Przezwyciężając zakłopotanie i nieśmiałość zaczął opowiadać. Nim zaczął, wydawało mu się, że opowiadanie będzie niezwykle długie, bogate, barwne. Tymczasem po kilku już zdaniach pojął, że niewiele ma do powiedzenia. Policja przyjechała — odjechała z niczym — kopalnia jest nasza — była bitka... — oto wszystko.

— Po drodze zaaresztowali z bitki kilku naszych. Mnie... mnie też zagarnęli... — zająknął się na koniec i umilkł ze wstydem.

— Biłeś się? — mruknął stary.

— Tak.

— A... tego... Co to chciałem powiedzieć. Aha... Jak się nazywasz?

— Kula.

— Kula? E... tyś nie Francuz?

— Nie. Polak.

— Aaa — stary poruszył się niespokojnie. — Jakże to... czekaj... był taki... Kula się nazywał... co? Towarzysz... dużo o nim mówiono.

— Ojciec.

— Nie żyje, co?

— Nie.

— Słyszałem. To wyście — znowu się zaniepokoił — mieli jechać do Polski?

— Ja pojadę.

W tej chwili zgasła żarówka — wygaszono światła w celach. Stary zaklął z nieoczekiwaną złością. Znał więzienne obyczaje.

— Patrzcie. Światło wygasili. Znaczy, że jeść już dziś nie dadzą.

Blondyn cicho się zaśmiał, za nim tamci dwaj.

— Nie schudniecie przez nockę, Marcelu.

— A was co to obchodzi? — rozzłościł się. — Na mnicha się nie urodziłem. Rozumiem, że nie ma żarcia na froncie. Nad Gwadalajarą przez trzy dni woda mi wystarczyła. Ale tutaj? W republikańskim, sprawiedliwym więzieniu wikt powinien być trochę ciekawszy. Właśnie. Wody też niewiele... a nocka znowu będzie ciepła, chłopcy.

— Ja już nie będę pił — powiedział śpiesznie Jacek.

Stary nagle roześmiał się.
— A... toś ty wyżłopał pół dzbana?
Jeden z tamtych wstał.
— Dajcie chłopcu spokój, Marcelu!
— Ty czego znowu się czepiasz? — obruszył się stary. — Bohater ał prawo do wody. Nas wzięli dopiero pod wieczór... jego rankiem. e jego wina, że noc będzie ciepła i ja o tym wiedziałem zanim tyś jeszcze urodził.
— Widzisz? — stęknął z uśmiechem blondyn. — Nie zaczepiaj.
W tej chwili stary podszedł do Jacka i z taką pewnością, jakby miał ie widzące w mroku oczy, objął go ramieniem. Szedł od niego za- h benzyny i smaru.
— Nie uraziłem cię, chłopcze, towarzyszu... co? — spytał zniżonym, nym gorącej serdeczności głosem. — Mówię dużo i łatwo. Czasem dużo o słowo. Ale nie uraziłem cię, co?
Nie czekając na odpowiedź cofnął rękę — słychać było, jak szeleścił ułkami i stukał w pudełko z tytoniem. Zapaliwszy zaś, począł powcli cerować od okna ku drzwiom. Blondyn zanucił znaną piosenkę — ci dwaj wymieniali szeptem jakieś krótkie zdania. W pewnej chwili rcel zatrzymał się przy drzwiach: korytarzem szedł strażnik — klu- w jego ręku brzęczały jak małe dzwonki. Blondyn dalej nucił.
— Śpiewasz, bo cię boli... czy śpiewasz, bo cię nie boli? — spytał rcel znowu rozpoczynając swój marsz.
— Nie boli.
— To dobrze — sapnął Marcel. W ogniu żarzącego się papierosa snęły jego oczy. Jacek poczuł zmęczenie i, tam gdzie stał, usiadł erając plecy o mur. Mur przyjemnie chłodził obolałe plecy i kark. dając jednak nie mógł powstrzymać stęknięcia.
— Aha — mruknął stary. — Ciebie też ruszyli, co?
— Trochę...
Jeden z siedzących westchnął.
— Kobiety bili. A co dopiero chłopców... Moją sam komisarz ude- ył — obok zmartwienia zadrgała jednak w jego głosie nutka hu- oru — będzie nosił ślady od jej pazurków nie dzień i nie dwa...
— Na tobie tak się wyuczyła? — parsknął blondyn.
— Ajajaj — obraził się tamten — mądrala...
Marcel stuknął nogą w podłogę.
— Kto tu się kłóci? Bohaterowie klasy robotniczej się nie kłócą.
Odpowiedziało mu niemal wrogie milczenie, lecz Marcel znowu chichotał.

— Takie słabe macie nerwy, chłopcy? Tak wam trudno unieść ciężar bohaterstwa?

— Po co kpić? — mruknął jeden z siedzących pod ścianą.

Drugi przytaknął. Nawet blondyn szepnął coś zjadliwie. Marcel nie odpowiedział. Stanął przy oknie, namyślał się.

Oczy Jacka przywykły już do ciemności — poza tym niebo pojaśniało zapewne od księżyca i można było jako tako rozróżnić w ciemnościach ludzkie sylwetki. Siwe włosy Marcela skupiały w sobie światło jak śnieg. Wydawało się, że mają swój własny blask.

Marcel przysiadł na skraju pryczy.

— Ten oto młody, polski towarzysz — zaczął — jest z Montigny. My przyjechaliśmy tu całą paradą z Brouteuil. Na przejściówce były ludzie z Artois, z Montrouge, skąd to jeszcze?

— Z Lavalée...

— Tak. Sporo, co?

Blondyn zaklął.

— Wyłapali, sucze syny, ze dwie setki ludzi...

— A ty głupi jesteś — stwierdził pogodnie stary. — Czekaj... nie rzucaj się. Sam ci wytłumaczę, dlaczego.

— Już wam na filozofię się zebrało, Marcelu? — przemówił niechętnie, ziewając, milczący dotychczas Michel.

Marcel zachichotał, przeciągnął się i znowu zaczął powoli spacerować po celi. Chwilę mruczał coś jeszcze niezrozumiale, posapywał, w końcu stanął przy Michelu.

— Żadna, Michelu, filozofia... — powiedział. — Żadna.

— Gadaj, Marcel — westchnął blondyn.

— Pewnie, że będę gadał... komu nudno niech śpi. Ale ja chcę wam jedną rzecz wytłumaczyć — i wytłumaczę. Takiemu Michelowi to się na pewno przyda, bo za mało sobie mózg wyćwiczył. Nie miał kiedy, co

— A daj mi spokój!...

— Czekaj, nie złość się, ty, Michel, samolotu sam nie wymyślisz, więc słuchaj, kiedy przemawia mądrzejszy. Znam ciebie od ilu lat? Od trzydziestu trzech. Urodziłeś się o ścianę i pokazali mi ciebie, jak miałeś chyba nie więcej jak kilka tygodni; rozwrzeszczaną, czerwoną od wrzasku pokrakę. Potem ganiałeś przez kilka ładnych latek po kolonii w koszuli i dziurawych portkach. Koszulą nos sobie ucierałeś. Co ględzisz. Było tak i kropka. Anim się obejrzał, jak urosłeś. No i myślisz, że coś ważnego z ciebie urosło? Nieprawda. Górnik z ciebie, mówią, ladajaki. Z żoną rady nie umiesz sobie dać. Poeta z ciebie nie jest ani inżynier. A tymczasem... — zaśmiał się cicho — a tymczasem...

— No co? — burknął złym głosem tamten.

— Aaa — mówił Marcel. — Od razu chciałbyś wszystko wiedzieć. Poczekaj. Bo ja tu jeszcze o innych chciałbym powiedzieć kilka słów. O Robercie na przykład...

Drugi z siedzących pod ścianą poruszył się.

— ...i o Karolu też — śmiał się stary. — Też!

— Marcelu... nie chce ci się spać? — spytał słodko blondyn.

— Nie! A ciebie zbiera senność? Poczekaj jeszcze kilka chwil. Nie ubicie, jak się o was mówi? A przecież lubicie. Karol bardzo lubi, kiedy dziewczęta rozpowiadają, jakie to on ma śliczne, niebieskie oczy. Co? Bardzo lubi, kiedy Daniela gładzi go po czole i opowiada cuda o miękkich włosach, o wesołym uśmiechu, o mądrości i piękności jej najdroższego Karola.

— Ej, Marcel — mruknął z pogróżką blondyn.

Marcel umilkł na chwilę. Przystanął przy oknie.

— Słuchajcie, chłopcy — rzekł z nieoczekiwaną powagą. — Pomyślcie chwilę... pomyślcie jak mądrzy ludzie. Jaki jest wasz zwyczajny dzień? Jacy w nim jesteście? Karol przewraca oczami za Danielą... wyleguje się po pracy przed domem... i znowu przewraca oczami... A Robert znowu...

Karol chciał się widać unieść — nie mógł jednak. Stęknął z bólu. Mimo to w jego głosie odezwała się inna nuta.

— No i czego chcesz? — powiedział rozmarzonym głosem. — Jak nam jej nie kochać? Widziałeś jej oczy? Jak nie widziałeś, to się przyjrzyj. Pod słońce są niebieskie i zielone, niby kolorowe, płynne, żywe szkło. A jak ona chodzi, jak śpiewa, jak tańczy... W nocy już nie wiadomo, czy lepiej o niej śnić, czy o niej śpiewać. Stary jesteś, Marcel...

— A ty jesteś głupi — rzekł czule Marcel. — Przecież mówię, że ją kochasz. Takie jest ludzkie najlepsze prawo: kochać. Takie jest także ludzkie prawo, żeby o tym mówić i myśleć. Ale już nie przerywajcie. Przecież chcę wam wytłumaczyć prostą sprawę: jacy to wy jesteście. Michela znam od czasów, kiedy moczył pieluszki. Roberta znam od roku. Ciebie, Karol, uczyłem szoferki. Znam was i wasze życie. Karol goni za dziewczętami i serce nie daje mu spokoju. Robert, gdyby mógł, całe życie przegrałby w belotkę, przesiedziałby w kinie, albo przepałby nad gazetą, a Michel boi się żony i niańczy dzieci. Nic w was niby nie ma ciekawego. I co wy myślicie? Że nieprawdę mówię, jak wam gadam, żeście bohaterowie, co? Że to blaga?

Pochylił się nagle nad Jackiem i oparł mu dłoń na ramieniu.

— A ty, mały, mnie masz uwierzyć. Pojedziesz do siebie, do Polski. Zapamiętaj więc sobie jedno: Jak cię zapytają o Karola, o Roberta czy o Michela masz powiedzieć tak — że żyją sobie na co dzień zwyczajnie. Jeden lubi swoje dziewczęta, drugi swoje bliźnięta, a trzeci karcięta i winko. Jeden umie pracować, a drugi nie ma talentu do ślusarki. Taak. Ale kiedy cię spytają, czy można na nich liczyć — powiedz, że tak. Powiesz?

— Powiem — rzekł Jacek.

— Można to powiedzieć również tak — i tu Marcel nagle podniósł głos unosząc w górę ręce jak na wiecu. — Towarzysze! Francuska klasa robotnicza to, towarzysze, jest bohaterska klasa. Silna, towarzysze, i bohaterska. Umie walczyć... Potrafi też wywalczyć zwycięstwo.

Na korytarzu zastukały buty strażnika.

— Cisza! — zabeczał znajomy głos.

— Ty sam! — wrzasnął wściekłym głosem Karol. — Cisza!

Marcel aż przysiadł ze śmiechu.

— Widzieliście go? — cichotał. — No co? Ledwo dyszy, oni myślą, że dali mu radę, a on wrzeszczy: cisza!

Zaraził ich swoim śmiechem. Nawet milczący, tak dotychczas przygaszony górnik zwany Robertem, począł komicznym wysokim głosem towarzyszyć Marcelowi. Ale Marcel kazał im milczeć.

— Czekajcie... nie skończyłem. Bo co? Myślicie pewnie, że więcej takich bohaterów nie ma na całym świecie. Teraz się już ze mną łaskawie godzicie, co? Chciałem was jednak prosić, żebyście nie zapomnieli o innych. Dobrze?

— Marcel. Kto ci dogodzi? — jęknął Robert.

— Kiedy ci się znudzi gadać? — poparł go Karol.

Marcel splunął.

— Nie przestanę gadać. Tamto bydlę krzyczało o ciszę, a ja mam przestać gadać? Ale... — zastanowił się na moment — ale czekajcie... Ja mu urządzę ciszę...

I nagle, stękając z wysiłku ale z uporem i dziwną jak na swoją tuszę szybkością, chwytając się okiennych krat wylazł na parapet.

— Czyś ty zwariował, stary? — krzyknął Karol.

Ale Marcel nie zwrócił nań uwagi. Po prostu rozchylił górne skrzydła okna i przytulając twarz do krat zaczął pierwszą zwrotkę Międzynarodówki. Zrozumieli. Pierwszy dołączył się Jacek, potem zaraz Karol i tamci dwaj. Starali się natężać głosy jak najbardziej, by ich dobrze posłyszano.

I oto stało się to, czego chciał Marcel. Pierwsza zwrotka obudziła wszystkie okna — po kilku minutach na podwórzec więzienny począł płynąć nieskładny i nierówny, lecz coraz donioślejszy i szerszy głos chóru. Jacek nabierając oddechu słyszał echa owego chóru, było ciemno więc nie wstydził się łez. Potem usłyszał cichy szept Marcela:

— Płaczesz, mały?

— Nie.

Marcel wciągnął go do siebie na parapet okienny, otoczył ramieniem. Więzienie śpiewało. W chórze nikły krzyki biegnących wzdłuż cel strażników.

— Przysłuchaj się, chłopcze, towarzyszu — mówił Marcel. — Przysłuchaj się i zapamiętaj. Cała Francja tak śpiewa. Jej kratami nie opaszą... Przysłuchaj się.

* * *

Robak, który przybył nazajutrz do Douai, zdołał pod wieczór dzięki poparciu konsula uwolnić Jacka. Pozostało bardzo niewiele czasu na pożegnania — wpadli do Montigny zaledwie na godzinę, musieli bowiem zdążyć na nocny pociąg paryski. Jacek pożegnał się z Rougetem, Fasellami, Roullotami i Joanną, która nie płakała nawet.

Potem — już z Paryża — na dwie godziny przed wyjazdem pisał do niej pierwszy list: „Kocham was i nie zapomnę. Karol Robak was też pozdrawia... Całuję ciebie, Joasiu".

Z Paryża — ze wschodniego dworca — wyjechali nocą. A trzeciego dnia o świcie pociąg przystanął w dolinie położonej między lekko sfalowanymi, niskimi wzgórzami. Jacek przytulając czoło do szyby patrzył, jak czernią się na ich zboczach zorane pola.

Była to już Polska.

Jerzy Broszkiewicz

KZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

POCIĄG DO MARSYLII*)

AKT TRZECI

W tym samym pokoju. Noc. Wnętrze nadal nie oświetlone, palą się tylko lampy stacyjne za oknami i błyskają na horyzoncie kolorowe sygnały. W pokoju — Katarzyna, Crottin i Arbois.

ARBOIS: Czy to pani małżonek, madame?

KATARZYNA: Tak, panie oficerze.

ARBOIS: Bardzo mi przykro, ale jeżeli natychmiast nie zaprzestanie tej zabawy, będziemy zmuszeni zastosować nadzwyczajne środki... Do ostrzelania parowozu włącznie...

KATARZYNA: Zabijcie go, proszę bardzo! Tylko kto was powiezie, jak go zabijecie?

ARBOIS: Od pół godziny, madame, ten człowiek — zamiast podprowadzić wagony — jeździ tam i z powrotem po stacji i gwiżdże... Nasza cierpliwość się kończy.

KATARZYNA: To i mówię — zabijcie go! Wtedy dopiero się przekonacie, jacy są francuscy kolejarze! W całym kraju nie znajdziecie maszynisty, który by was pociągnął!

ARBOIS: Milczeć! (*Do Crottina*) To ci zawszona rodzinka, co?

CROTTIN: Jeśli wolno zauważyć, poruczniku — wszystkiemu winien zięć...

(Gwizd parowozu)

ARBOIS: *(Otwiera drzwi do kuchni)* Bregain!

(Wchodzi Bregain)

BREGAIN: Tak jest.

ARBOIS: Długą serię po lokomotywie...

BREGAIN: Rozkaz!

KATARZYNA: Nie, panie oficerze! Nie, nie!...

ARBOIS: Na co czekasz, Bregain?

BREGAIN: Rozkaz! *(Chce wyjść)*

KATARZYNA: *(Przytrzymuje kaprala)* On pojedzie, panie oficerze! Na pewno pojedzie! On jeden!

(Bregain wyrywa się i wychodzi. Dudnienie zbliżającego się parowozu. Katarzyna rzuca się ku drzwiom. Arbois zagradza jej drogę.)

ARBOIS: Stać. *(Szamocą się. Parowóz — coraz bliżej)*

KATARZYNA: Nie, nie.

---

*) Patrz T w ó r c z o ś ć numer poprzedni.

CROTTIN: *(Po dłuższej chwili)* Zwalnia!
ARBOIS: *(Puścił Katarzynę)* Zwalnia?
CROTTIN: Aha. Przystaje.
ARBOIS: Jego szczęście. *(Głośny syk pary)* Co to?
CROTTIN: *(Patrzy przez okno)* Wypuścił parę.
ARBOIS: Cham cuchnący. *(Wyciąga pistolet)*
KATARZYNA: Pan go zastrzeli?
ARBOIS: Jak psa.
KATARZYNA: *(Klęka przed nim)* Panie!

(Za oknami wrzawa. Okrzyki: „Niech żyje Ledoux", „Wiwat Ledoux")

CROTTIN: Niosą go na rękach.

tum skanduje: „Ledoux!". Arbois podchodzi do okna, patrzy. W pewnej chwili chowa pistolet do futerału, odwraca się od okna i krzyczy):

ARBOIS: Bregain, Bregain. *(Wchodzi kapral)* Chodź tutaj. Patrz przez no. Widzisz.
BREGAIN: Widzę. Podrzucają gościa.
ARBOIS: A czemu nie nas podrzucają, kapralu? Przecież jedziemy krew zelewać. Czemu nam nie urządzają owacji?
CROTTIN: Bardzo przepraszam — ale przecież sam mer... rada miejska...
ARBOIS: Pluję na waszego mera i na waszą radę miejską. Głupiego lejarzynę zamknięto i od razu jaki wrzask. Dziesięć tysięcy ludzi się drze: rtin! Martin! Jutro wszystkie departamenty będą znały jego nazwisko... teraz ten drugi, chamidło — na rękach go niosą... Czemu nas nie niosą, oralu! Powinni nas wnieść do pociągu. Chciałem zastrzelić tego starucha, po co? Żeby cała Francja szła za jego pogrzebem?... Okazuje się, że to elkoludy — stukniesz takiego w czapę i z miejsca bohater... A my, kalu? Nie ma bohaterów wśród nas? Chyba nie ma, bo kto? Twoja druna? Jesteście bandą zastrachanych wszarzy, najchętniej bym was powił pod murkiem i szach mach z cekaemu. Nienawidzę was — rozuesz? Wracaj na stanowisko.
BREGAIN: Tak jest *(Wychodzi)*
ARBOIS: Madame, powinszuje pani mężowi w imieniu porucznika bois... Zapamięta pani? — porucznika Arbois... Trzy lata Sorbony, pięć ół — legii kolonialnej... Powie mu pani, że pragnąłbym mieć go w pluie... Tego drugiego też, jak mu tam — Martina... Z takimi żołnierzami szedłbym nawet na Marsa. Brak mi takich żołnierzy... Do widzenia, niech pani chociaż życzy szczęśliwej podróży, przecież — jak by nie było — ię na śmierć...
KATARZYNA: Szczęśliwej podróży.
ARBOIS: Dziękuję, madame... Adieu, panie...
CROTTIN: Crottin.
ARBOIS: Pana nie wziąłbym do mojego plutonu, adieu... *(Wybiega)*
KATARZYNA: Temu także rozum zmąciło... *(Za oknami coraz głośniej okrzyki: Ledoux! Ledoux!)* Wszyscy poszaleli, słyszy pan? Mnie samej głowie się mąci... Z czego tak się cieszą? Czemu hałasują? Jak o prostym

człowieku głośno, to wiadomo, że go spotkało nieszczęście... A oni się radu
O Boże, Boże... Pan tu był wieczorem, panie Crottin, pamięta pan — zbi
raliśmy się emeryturę świętować... po cichu... we dwoje... Nie w porę p
się zjawił... Złe za panem lezie jak cień...

CROTTIN: Co pani, madame Ledoux...

KATARZYNA: Tak, tak... Od pana to się wzięło... Bo jak nie od pan
to skąd? Sołdaci dom mi pustoszą, a przecież wojna — daleko... Życie s
rozsypuje, a przecież wojna — za morzami gdzieś... Nie u nas ta wojna...

(Wchodzi Ledoux)

LEDOUX: No, wyjeździłem się za wszystkie czasy...

KATARZYNA: Wyjeździłeś się... A co z naszym domem, Marcel?

LEDOUX: Nasz dom stoi na ziemi, Catherine... Jak się ziemia trzęs
to i nasz mały domek drży... *(Do Crottina)* Pan już czeka?

CROTTIN: Właśnie. Dwa razy pokazano mi tu dzisiaj drzwi, a ja mir
to... jak pan widzi...

LEDOUX: Widzę...

CROTTIN: Bo mnie obrazić nie można... Nie tacy jak pan próbowali
i nic... Choćby nie wiem jakie obelgi... Nawet gdyby mi pan prosto w twa
napluł — i to się nie obrażę... Nie ma sposobu, żeby mnie obrazić...

LEDOUX: Wierzę.

CROTTIN: Taką już posiadam naturę — niech pan spyta prefekta
Prefekt to jedyny znawca ludzi w tej podłej mieścinie... A prefekt nazyw
mnie pierwszym chrześcijaninem i z każdym delikatnym poruczeniem zwr
ca się do mojej osoby.. Policja przecież nie zawsze bywa brutalna, pan wi

LEDOUX: Wiem. Katarzyno, wyjdź, pan Crottin ma do mnie delikat
poruczenie od pana prefekta...

CROTTIN: Można przy pani.

LEDOUX: Nie, nie można. Wyjdź, Katarzynko.

KATARZYNA: O mało ciebie nie zabili, Marcel.

LEDOUX: Wyjdź.

KATARZYNA: O włos... Jeszcze chwila, a zabiliby ciebie.

LEDOUX: Proszę cię, żebyś wyszła. *(Katarzyna wychodzi)* No?

CROTTIN: Małżonka już napomknęła... To istny cud, Ledoux... Coś pa
chyba tknęło, żeby zatrzymać parowóz... Jeszcze głupich pięćdziesiąt metr
tej jazdy i byłby z pana teraz nieboszczyk... Z karabinu maszynowego
wyobraża pan sobie?

LEDOUX: Do rzeczy, Crottin.

CROTTIN: A czy ja — od rzeczy? Ów oficer, panie Ledoux, to skc
czony idiota... Kogo on myślał zarąbać? Człowieka, który przez tyle lat b
wzorem lojalności i cnót obywatelskich...

LEDOUX: Tego ja sam zakatrupiłem... Bez pomocy...

CROTTIN: O... W takim razie niech pan się położy, Ledoux... Ręce nie
pan splecie na piersiach, oczy przymknie... Ale najpierw należałoby
przebrać w czarny garnitur... Ja tymczasem pójdę po gromnicę... Czy p
przypadkiem nie postradał zmysłów?

LEDOUX: Nie wydaje mi się... Chyba, że pan jedynie łajdaków uwa
za normalnych ludzi... Czym mogę służyć, Crottin?

CROTTIN: Pański zięć już siedzi...

LEDOUX: Co jeszcze?

CROTTIN: To młody, zdrowy mężczyzna... Panu zalecałbym raczej sanatorium...

LEDOUX: Dziękuję. Wszystko?

CROTTIN: Dałem prefektowi słowo, że pan poprowadzi transport.

LEDOUX: No, skoro pan dał słowo... Skoro pan poręczył za moją nieuczciwość — strasz pan dalej... A nuż się zlęknę...

CROTTIN: Dwadzieścia tysięcy franków premii...

LEDOUX: Do widzenia.

CROTTIN: Dwadzieścia tysięcy.

LEDOUX: Do widzenia.

CROTTIN: Ja jeszcze nie odchodzę.

LEDOUX: Ale ja odchodzę. *(Wychodzi. Crottin zapala papierosa.)*

(Wpada Michel)

MICHELE: To pan? A Martin? Martina już nie ma?

CROTTIN: Nie ma. Zabrali go. Ledoux też zabiorą. Nie poszczęściło mi się z pani rodziną, Michele...

MICHELE: Gdzie mój ojciec?

CROTTIN: Jest. Dopóki ja stąd nie wyjdę, pani ojciec również tu będzie...

MICHELE: A co pana... zatrzymuje?

CROTTIN: Ja naprawdę chciałem ratować Martina... Proszę mi wierzyć, że w tym wypadku... Jeśli wolno się tak wyrazić — obowiązek obowiązkiem, a ja ponadto prywatnie... z całego serca... Tyle, że utartymi sposobami — nie znam innych... Naprawdę chciałem go ratować... Dla ciebie, Michele.

MICHELE: O czym pan mówi?

CROTTIN: Dawno już... Bardzo dawno... Michele. To znaczy — ma się zakład jako tako prosperujący, pisze się korespondencję... Pięćdziesiątka na karku... W sobotę wieczorem przychodzi stary Ledoux i powiada: golenie, Crottin, woda kolońska... A teraz ja do niego... Wolałbym do samego mera, niż do niego... Ale o czym była mowa? Aha... W domu patefon, dwie talie kart i nic więcej... Portret mój wisi... A jak na spacer, to z psem... We dwóch... Smutno ci będzie bez męża, Michele... *(Bierze ją za rękę)*

MICHELE: Nie dotykać. *(Chce odejść)*

CROTTIN: Nie odchodź. Ja dlatego, że mi ciebie szkoda... Sama zostajesz...

MICHELE: Nie zostaję sama.

CROTTIN: Męża kto ci zastąpi?

MICHELE: Nikt. Ale sama nie zostanę. O, niech pan posłucha.

(Gwar za oknem)

CROTTIN: Wiwat Martin. On tego nie słyszy, Michele... Jego w tej chwili...

MICHELE: Milczeć.

CROTTIN: Wiwat Martin... Wiesz — powiesiłbym się, gadanoby o mni też... Tylko kto by o tym napisał? Ja jeden opisuję te rzeczy. To co — odejść

MICHELE: Tak.

CROTTIN: Ale prosto na policję... Inaczej nie mogę... Więc jeśli sobi życzysz, to ja jeszcze parę minut...

MICHELE: Nie życzę sobie.

CROTTIN: Żegnaj, kwiatuszku *(Wychodzi. Wraca Ledoux.)*

LEDOUX: Wyniósł się?

MICHELE: On teraz...

LEDOUX: Aha... Przy Katarzynie nic — do czasu... Zgoda?

MICHELE: Bałam się, że nawalisz, staruszku... Od tego gwizdu lokomo tywy aż mnie zmroziło...

LEDOUX: Pomyślałaś, że skrewił emeryt — co? Mnie też się zdawało, ż skrewiłem... Naczelnik mi rękę uścisnął, powiedział: szczęśliwej drogi... Do piero jak się wdrapałem na parowóz, coś się we mnie ocknęło... Rzekłem sobie — masz ochotę przejechać się, Ledoux? No, przyznaj się. Pierońsk masz ochotę, prawda? Więc się przejedź — ostatni raz jakby nie było... Al bez przyczepy... Po kawalersku... z fantazją... A potem wypuść parę, po całuj drabinkę — i do domu, Ledoux... Do domu.... Bądź człowiekiem po koniec życia, niczym więcej przecież nie będziesz...

MICHELE: Jak to dobrze, staruszku... Jak to dobrze... Płakać mi si chce z radości...

LEDOUX: Oj, Michele, Michele... Uczyniłaś sobie z życia święto, ni ma wydarzenia, na którym nie zatknęłabyś sztandaru — wszystko jedn czy to dobre wydarzenie, czy złe... A mnie tak po prawdzie serce się ściska. Katarzyny mi żal... Marzyła o odpoczynku, o spokojnej starości... Ja też — bądź co bądź — sterany jestem porządnie... Spłaciłem mój dług wobe Francji, wszystkie lata małoduszności spłaciłem za jednym zamachem i su mienie mam czyste... Ale na duszy mi ciężko, Michele... Późno zaczynan walczyć, nie jestem pewny, czy mi starczy sił, zdrowia... Gdzież tu radość córeczko?

MICHELE: W twoich oczach, staruszku... Tak ci się błyszczą, taki młode się stały. Patrzę na ciebie i cieszę się... Nie wolno, powiedz? Ni wolno się cieszyć z takiego ojca, z takiego męża? Pomyśl — nieznajom wołają: niech żyje Martin. Cóż oni wiedzą o Martinie? Wielu z nich ni widziało go nigdy, nawet jak wygląda nie wiedzą... Że ja go kocham, to ni dziwnego, ale że takie tłumy go lubią... Jest się z czego cieszyć, nie?

LEDOUX: Przecież ci go zabrali, dziecko. Oderwali go od ciebie...

MICHELE: Ale też on im nagada, przekonasz się... Taką im wygarni porcję, że... że... *(Tłumi szloch)*

LEDOUX: *(Tuli ją do siebie)* Moja mała córeczka...

MICHELE: Co ty... Myślisz, że mi smutno? Ani trochę mi nie smutn André mnie za to polubił, że jestem wesoła i ja przez tych łobuzów nie po smutnieję, żeby nie wiem co... A Martina wypuszczą, cały kraj się przecie o niego upomni... Jak jeszcze Thorez się dowie o wszystkim... I o tym, ż się kochamy i żeśmy się pobrali niedawno... Prawda, że się dowie?

LEDOUX: Prawda.

MICHELE: Oh, gdyby wiedział. Gdyby wiedział... *(Wybucha płaczem. Wybiega)*

(Wchodzi zawiadowca)

ZAWIADOWCA: Najmocniej przepraszam...

LEDOUX: Znowu ty?

ZAWIADOWCA: Nie nachodziłbym cię, Ledoux, gdyby to zależało ode mnie.

LEDOUX: Co cię sprowadza w moje niskie progi?

ZAWIADOWCA: To samo. Uważaj — powtórzę ci teraz dokładnie, co mi zlecił naczelnik. Kropka w kropkę. Ani jednego słowa w tym nie ma mojego, więc nie klnij i nie obrażaj mnie.

LEDOUX: Słucham.

ZAWIADOWCA: Jeśli ten stary osioł natychmiast stawi się w parowozowni, zapomnimy o głupim kawale, jaki nam zrobił...

LEDOUX: Dość.

ZAWIADOWCA: Nie, to jeszcze nie wszystko... I nie tylko nie cofniemy mu dożywotniej renty emerytalnej...

LEDOUX: Dość, mówię.

ZAWIADOWCA: Pozwól mi skończyć... Ale może on ponadto liczyć na jednorazowy zasiłek w wysokości czterdziestu tysięcy franków oraz na specjalne pisemne podziękowanie rady miejskiej...

LEDOUX: Skończyłeś?

ZAWIADOWCA: Jeszcze nie... Nie wątpię, że wspaniałomyślność władz przywróci rozum temu dziadowi... Teraz skończyłem...

LEDOUX: Masz czekać na odpowiedź?

ZAWIADOWCA: Tak.

LEDOUX: Każ im się wypchać. Oto moja odpowiedź.

ZAWIADOWCA: Komu?

LEDOUX: Naczelnikowi, merowi, radnym miejskim — całej tej bandzie.

ZAWIADOWCA: Moje wpływy nie sięgają tak daleko. Ręczę ci, że gdyby to było w mojej mocy, dzisiaj jeszcze całe to towarzystwo kazałbym wypchać trocinami. Ale czy to zależy ode mnie?

LEDOUX: Szkoda, że tak mało od ciebie zależy.

ZAWIADOWCA: A szkoda... Gdybym to ja decydował o losach świata, inaczej by ten świat wyglądał...

LEDOUX: Do widzenia.

ZAWIADOWCA: Co?

LEDOUX: Do widzenia.

ZAWIADOWCA: No to do widzenia. Daj Boże, żebym jeszcze ciebie zobaczył, Ledoux. *(Wychodzi. Wchodzi Katarzyna)*

KATARZYNA: Co teraz, Marcel?

LEDOUX: Podsłuchiwałaś?

KATARZYNA: Co teraz? Gdyby się to stało w rok po ślubie, wróciłabym do rodziców. Uklękłabym na progu, wybłagałabym z powrotem mój panieński kąt; nie znam większego wstydu, niż taki powrót do domu, kiedy się własne gniazdo rozleciało... Ale poszłabym — choćby na hańbę, na po-

niżenie, choćby mnie palcami mieli wytykać... A teraz — dokąd pójdę? N cmentarz? Prochom się pokłonię? Groby poproszę — przygarnijcie mnie ja za młodu?

LEDOUX: Aleś ty dokuczliwa, staruszko...

KATARZYNA: A co — może powinnam wołać: Wiwat Ledoux... Jak teraz przyszłość przed nami? Dużo o tej przyszłości w naszym domu si gadało... Aż za dużo — Michele — ciągle o przyszłości, Martin, jak tylk się przybłąkał — bez ustanku o przyszłości... Ostatnio i ty zacząłeś. A beze mnie z tą waszą przyszłością do pierwszego nigdy byście nie do ciągnęli... Ja jedna naprawdę o przyszłości myślałam...

LEDOUX: Dzięki ci za to, Catherine... Serdeczne dzięki... Dobra z ciebi gospodyni... I żona dobra, i matka... Na te zwyczajne dni najlepsza... Tylk że dzisiaj dzień nie zwyczajny, Catherine... Więc usiadłabyś sobie gdzieś n boczku i nie przeszkadzała — co?

KATARZYNA: Zawadzam? Sam próbujesz żyć... Popróbuj — szczęści na drogę...

LEDOUX: Nic mi więcej nie powiesz?

KATARZYNA: Był tu jeden oficer... Najpierw chciał cię zabić, a pote prosił, żeby ci powinszować... No to ci winszuję...

LEDOUX: Wszystkiego dobrego, staruszko...

KATARZYNA: Dokąd?

LEDOUX: Tam. *(Pokazał ręką na okno. Za oknem pojedyńcze wy strzały.)*

KATARZYNA: Mało ci jeszcze, Marcel? Posłuchaj, co się tam wyrabia. *(Usiłuje go zatrzymać)*

LEDOUX: Puść.

KATARZYNA: Nie puszczę ciebie.

LEDOUX: Znowu się naprzykrzasz?

KATARZYNA: Nie puszczę... Tam strzelają... Już wolę, żebyś prost do kryminału...

LEDOUX: Staruszeczko kochana — wiesz ty co? Idź do diabła. *(Wy chodzi)*

KATARZYNA: *(Woła za nim)* Marcel, zaczekaj. *(Wychodzi, dolatuj jeszcze przez chwilę jej wołanie: Marcel! Marcel! W drzwiach wiodącyc z kuchni zjawia się Bregain. Tuż za nim — Barthelemy i Nicolas, którz ciągną karabin maszynowy, dalej — Charron, Poiret i Rigogne.)*

BREGAIN: Prędzej.

RIGOGNE: Po co ten pośpiech? Na pociąg się spóźnimy, czy co?

BREGAIN: Zamknij się.

NICOLAS: *(Do kaprala)* W tym samym oknie co przedtem?

BREGAIN: Aha.

(Nicolas i Barthelemy ustawiają w oknie karabin)

BARTHELEMY: Na twoją odpowiedzialność, Bregain. Jak Arbois zech drugi raz po gębie praskać, ty podstawisz swoją...

BREGAIN: Przecież jest rozkaz — zmienić stanowisko, ciemniaku... Nowe zadanie, osłaniamy odmarsz pułku...

POIRET: Dokąd odmarsz?

BREGAIN: Nie twoja rzecz.

RIGOGNE: Chyba do Aix. W Aix spróbują nas załadować.

CHARRON: Jednym słowem — odwrót.. Odwrót z rodzinnej ziemi... Żegnajcie Francji ogrody i wy zielone winnice... Żegnajcie nam, żegnajcie... Cofamy się... Jaka dziewczyna wyjdzie na szosę z bukietem świeżych róż? Nie ma dziewczęcia, różyczek nie ma, na szosie tylko kurz...

BARTHELEMY: Co to znaczy — osłaniać odmarsz pułku? Przed kim? Gdzie nieprzyjaciel?

POIRET: Moja matka tam jest.

BREGAIN: Spokojnie, chłopcy — nie denerwować się. Wezwano przecież dwa pułki policji...

RIGOGNE: A po co je wezwano, skarbie?

CHARRON: Aha, po co?

RIGOGNE: Aż dwa pułki — po jaką cholerę? Żeby zamknąć tego staruszka maszynistę? Na to nie trzeba dwóch pułków...

BARTHELEMY: No, gadaj, Bregain — po co te dwa pułki?

RIGOGNE: W takim pośpiechu... Samochodami... Po co? *(Po pauzie)* Milczysz? Więc ja wam powiem, chłopaki... Na nas je wezwano.

BREGAIN: Ażebyś wiedział... Na was. Najmniejszy objaw niesubordynacji — i kasza z was zostanie...

RIGOGNE: Proszę, proszę — dwa pułki żandarmerii i od razu jaki duch w naszym kapralu... *(Zbliża się do Bregaina)* A jak ci się zdaje, Bregain — do Indochin oni za nami też pojadą? *(Napiera na kaprala)* Pojadą czy nie?

BREGAIN: Odsuń się...

RIGOGNE: Widzieliście? Ma pietra pan kapral... Zapamiętajcie sobie, że pan kapral czasami miewa pietra... To niebylejakie odkrycie. Być może — przyda nam się wkrótce...

(Za oknami wrzawa. Radosne okrzyki. Żołnierze rzucają się do okien.)

BREGAIN: Co tam znowu?

NICOLAS: Żołnierze i cywile — razem.

BREGAIN: Co takiego?

NICOLAS: Żołnierze z cywilami — przemieszani...

CHARRON: Idą po torach.

POIRET: Moja matka tam jest.

BREGAIN: Co oni krzyczą?

NICOLAS: Do domu. Idziemy do domu. Wszyscy idziemy do domu.

CHARRON: Wołają także — niech żyje trzecia kompania.

RIGOGNE: Chłopcy, zaczyna się.

BREGAIN: Zanim się zacznie, ty się skończysz — Rigogne... Barthelemy, do karabinu.

POIRET: Moja matka tam jest.

BREGAIN: No to co?

POIRET: I twoja żona, Bregain.

BREGAIN: Dominique? Ano pokaż... *(Przepycha się do okna.)* Rzeczywiście jest i Dominique... Barthelemy, słyszałeś? Do karabinu. Czerwona rakieta — otwierasz ogień...

BARTHELEMY: Czerwona rakieta, mówisz?

BREGAIN: Czerwona. A co?

BARTHELEMY: Nic. Ja ci tylko chciałem rzec, że nikogo jeszcze w moim życiu nie zabiłem... Nikogo... Ale chyba mógłbym zabić... Ot, patrzę na ciebie i zdaje mi się, że mógłbym zabić...

BREGAIN: Grozisz?

BARTHELEMY: Trzeba wiedzieć, za co się zabija.

BREGAIN: Spójrzcie no — prosto od krów, a jaki wrażliwy... Kto by przypuszczał? Rozkaz ci nie wystarczy, śmierdziuchu?

BARTHELEMY: Nie, nie wystarczy...

BREGAIN: Mordę w kubeł, zrozumiano? Nie pora na pogaduszki.

BARTHELEMY: Właśnie, że pora... Ostatnia pora, Bregain... Za dużo się zebrało w człowieku...

BREGAIN: Mordę w troki, powtarzam. I do karabinu.

BARTHELEMY: Najpierw niech wiem, za co...

RIGOGNE: *(Do kaprala)* Wytłumacz chłopcu, skoro się dopomina. A przy okazji — nam wszystkim... Prosimy bardzo...

CHARRON: No, Bregain...

POIRET: On tyle wie, co my.

BREGAIN: *(Do Barthelemy)* Do karabinu, hołoto. Do karabinu.

BARTHELEMY: Sam stawaj przy karabinie.

BREGAIN: Bunt? *(Odbezpiecza pistolet)*

BARTHELEMY: Za pistolet się nie łap, broń każdy tutaj ma... Uważaj lepiej, co ci powiem... Widziałem ja w czterdziestym roku, jak żołnierze całowali karabiny... Żelazo całowali, kapujesz. Coś, znaczy się, w tych karabinach było, kiedy je całowali... Bo do tej tu maszynki ja bym ust nie przytknął... Na tę maszynkę pluję — trzy razy.

BREGAIN: Zuch z ciebie, Barthelemy... Nie spodziewałem się... Zawsze cię miałem za ostatniego cepa, za kurzy pomiot ciebie miałem... Jeszcze z ciebie wyrośnie żołnierz, ty niedolo bita i kopana.

BARTHELEMY: Nie pod twoją komendą, Bregain... Pod twoim dowództwem orderu nie zachylę, nie bój się... Ja, brachu, już stąd krzaczka wypatrywałem, żeby się za nim przyczaić. A jak sobie pomyślałem, że mógłbym kipnąć tam w Indochinach, to mi zęby dzwoniły jak na mszę... Aż sam sobie obrzydłem. Bo czemu tak? Czy ja tchórz od urodzenia? Umierać nie potrafiłbym? Gdyby było za co — potrafiłbym. Rękę bym oddał prawą.

RIGOGNE: *(Do Nicolas, który klęczy przy karabinie)* A ty co — już warujesz przy taśmie? Łapy cię już swędzą?

NICOLAS: Czego chcesz?

RIGOGNE: Żebyś sobie stąd poszedł.

NICOLAS: Nie pójdę.

BARTHELEMY: *(Do Nicolas)* Hej ty — numer drugi. Komu chces taśmę podawać? Ja strzelać nie będę.

NICOLAS: Nie to nie... Twoja sprawa.

RIGOGNE: A może — nasza sprawa, gnoju?
NICOLAS: Mnie do tego nie mieszaj.
CHARRON: Zostawcie go na razie. *(Pokazuje na kaprala)* Ten groźniejszy...
BREGAIN: Chłopaki... Wy... na serio? Barthelemy... Rigogne... Przecież ja bym się pokrajać za was dał... Do piekła bym poszedł za moją drużynę... Chłopaki...
NICOLAS: Oni już są koło budki, Bregain.
POIRET: Moja matka tam jest...

(Słychać śpiew)

CHARRON: Śpiewają.
RIGOGNE: *(Podchwytuje pieśń)*

Po ośmiu dniach na pełnym morzu *)
Odessa wyjrzała z fal,
i wielkim echem po przestworzu
szedł grom powitalnych salw.
Gdy poszliśmy w bój, razem z nami stanął
Junkrów i hrabiów pułk,
a bolszewika nam bić kazano,
choć to nasz brat, a nie wróg.

BREGAIN: Barthelemy — do karabinu. Barthelemy.
CHARRON: Śpiewaj, Rigogne. Śpiewaj dalej.
RIGOGNE: Burżuje, kufry swe bierzcie.
i płyńcie stąd w siną dal,
bo żołnierz, co przejrzał nareszcie,
ma dość bratobójczych walk.

BARTHELEMY: Co to za pieśń? Nie znam tej pieśni.
RIGOGNE: Ciekawi was, skąd się wzięła ta pieśń? No to posłuchajcie... Zdarzyło się to w Odessie. W dniach, kiedy rodził się nowy świat... I posłano przeciw nowemu światu takich jak my... Marynarze to byli... Jeden z nich nazywał się André Marty... A kiedy padł rozkaz „ognia"...

(Czerwona rakieta)

CHARRON: Co wtedy, Rigogne?
BREGAIN: *(Równocześnie)* Barthelemy — do karabinu! *(Barthelemy nie rusza się. Bregain rzuca się do karabinu, ale Rigogne zatrzymuje go).*
RIGOGNE: Chcecie wiedzieć, co wtedy? Wyjmuj zamek Barthelemy. *(Szamoce się z kapralem)* Charron, odbierz mu pistolet. *(Charron ściąga pistolet z Bregaina)* A teraz za mną.
BREGAIN: Nie ruszać się.
CHARRON: Chodź z nami, Bregain.
BREGAIN: Niedoczekanie.
RIGOGNE: To się odwal.

(Rigogne i Barthelemy wychodzą pierwsi)

---

*) Pieśń marynarzy francuskich. Przekład R. Stillera.

CHARRON: Jak wesoło... Nareszcie wesoło... *(Wybiega za nimi. Poiret także zbliża się do drzwi)*

BREGAIN: Poiret — ty parobku, dokąd?

POIRET: Za nimi.

BREGAIN: Wróć.

POIRET: Pokrzycz jeszcze.

BREGAIN: Coś powiedział?

POIRET: Możesz krzyczeć. Ja już się nie boję... już nie... wszyscy idą... *(Wybiega)*

NICOLAS: Bregain, w razie czego... poświadczysz, że stąd nie wychodziłem.

BREGAIN: Poświadczę, że polazłeś pierwszy.

NICOLAS: *(Przerażony)* Przecież jestem tutaj... w środku...

BREGAIN: Prawda. Jeden zdyscyplinowany. Jeden nieugięty. Gardzę tobą, mieszczuchu.

(Wpada Arbois)

ARBOIS: *(Najpierw dopadł do karabinu, zobaczył, że zamek wyjęty, po czym wściekły zbliża się do kaprala)* Gdzie twoi ludzie?

BREGAIN: *(Na baczność)* Melduję skład drużyny: obecnych jeden...

ARBOIS: Reszta na spacerze, tak?

BREGAIN: Melduję...

ARBOIS: Dość. A ty?

BREGAIN: Ja jestem kapral. *(Po chwili, przeniósłszy wzrok na Nicolas)* Wynocha!

NICOLAS: Panie poruczniku... ja... nie biorę udziału...

ARBOIS: Marsz. *(Nicolas wychodzi)* Gdzie twój pistolet, Bregain?

BREGAIN: Zabrali.

ARBOIS: Ściągaj pas. *(Bregain odpina pas i podaje go porucznikowi)* Pod ścianę i odwróć się...

BREGAIN: Panie poruczniku...

ARBOIS: Czego?

BREGAIN: Ja sam...

ARBOIS: Potrafisz?

BREGAIN: Słabi ludzie nie to potrafią... Niech mi pan tylko rewolweru pożyczy... *(Moment wahania u Arbois. W końcu jednak wyjmuje pistolet z futerału i podaje go kapralowi)*

BREGAIN: Ot, jeszcze teraz... Mógłbym przecież pana kropnąć... *(Arbois uśmiecha się. Bregain wychodzi do kuchni. Arbois otwiera drzwi wiodące do sieni)*

ARBOIS: *(Woła)* Hej, szeregowy. *(Prawie natychmiast wchodzi Nicolas)*

NICOLAS: Szeregowy Nicolas melduje się na rozkaz.

ARBOIS: To pięknie. Podejdźmy do okna, niech ci się przypatrzę. Zdaje się, że jesteś istotą pozbawioną charakteru... Ale to nie szkodzi, ja też zacząłem, nie mając charakteru... Zrobię z ciebie kaprala, w końcu — na nas dwóch to się wszystko trzyma...

(Wystrzał obok)

NICOLAS: Co to?

ARBOIS: Nominacja dla ciebie, kapralu... Zaczekaj. *(Wychodzi do kuchni po sekundzie wraca z pistoletem)* No, kapralu — formujemy się na nowo... Jeszcze tylko podkomendnych nam brak... żołnierz odszedł, generałowie zostali... *(wybucha histerycznym śmiechem).* Takiej klęski dotychczas nie było... Póki świat światem, nie było takiej klęski... Niech zanotują kroniki, że porucznik Arbois stracił swój pluton w pogawędkach z ludnością cywilną... A przecież mieliśmy się bić w Indochinach... Czy tu są Indochiny, kapralu?... Chodź, trzeba się zorientować, gdzie jesteśmy...

Wychodzą. Scena przez chwilę pusta. Za oknami — gwar, śpiew, pojedyncze strzały karabinowe. Wchodzi matka Poiret.)

MATKA POIRET: *(Rozgląda się, woła)* Poiret, Poiret.

(Wchodzi Michele) Nie ma go.

MICHELE: Hej, chłopcy... Oni już na pewno tam, mateczko.

MATKA POIRET: Gdzie ja go teraz znajdę?

MICHELE: Znajdziecie go.

MATKA POIRET: Lepiej, żebym ja z nim była... Groźnie tam... Oficerowie strzelają... Poniektórzy — do siebie, a inni — nie do siebie... I policja, mówią, nadjeżdża... A może jemu teraz będzie wstyd, że ja ciągle tak — za nim...

(Wchodzi Dominique)

DOMINIQUE: Poszli?... A mój gdzie? Mój przecież z nimi nie poszedł... *Idzie do kuchni).*

MATKA POIRET: Wszystko jedno — polezę ja... Stanę przy nim... *Wychodzi. Wraca Dominique).*

DOMINIQUE: W kuchni jest. Nieżywy. *(Michele idzie do kuchni, wraca po chwili. Dłuższa pauza).* Przez jeden tydzień było nam dobrze, Michele... Od niedzieli do niedzieli... Całego szczęścia — jeden tydzień... Małej zabawkę kupił, pieścił ją, na rękach nosił... przeklinam ten tydzień... Ten tydzień go zgubił. Ludzie go wtedy zaczęli wytykać palcami — mówili: żółty, łamistrajk... Bo on akurat tego dnia wziął się do pracy, kiedy pół Francji nie pracowało... Oślepiło mnie tych siedem dni, cieszyłam się, że on w sobie ludzkie uczucia odnalazł... A on je właśnie wtedy zatracił... Dopiero wtedy... O, gdyby można było ten tydzień zacząć od nowa... Za mordę bym go przytrzymała w domu. *(Po chwili)* Ci chłopcy go zastrzelili... Przeczytali ulotki, a potem zastrzelili kaprala. Gdyby go nie zastrzelili, to on by... Twarz trzeba obmyć, ułożyć go... *(Wychodzi do kuchni. W tej samej chwili Katarzyna wprowadza słaniającego się Ledoux. Krew cieknie po jego bluzie. Za oknami — pieśń).*

MICHELE: Tatusiu. Co się stało?... Mamo.

LEDOUX: To ty, Michele? Posadź mnie. Catherine.

MICHELE: Co ci jest? Tatusiu. Tatusiu.

LEDOUX: Przemawiałem, Michele... Nie dali... dokończyć...

KATARZYNA: Po doktora leć.

LEDOUX: Nie zdąży... doktór...
KATARZYNA: A prosiłam — nie pchaj się. Głowy nad inne nie wy chylaj.
LEDOUX: Michele...
KATARZYNA: A mówiłam, że cię zabiją. I zabili cię. Zabili cię.

(Za oknami pieśń coraz głośniejsza)

LEDOUX: Michele...
KATARZYNA: Trzeba mnie było słuchać. A tak — nie zobaczymy się ju Nigdy się już nie zobaczymy. Nie pogadamy ze sobą — nigdy. Bo gdzie - na tamtym świecie? Nie ma tamtego świata. Po coś mnie uczył, że nie m tamtego świata?
LEDOUX: Michele...
MICHELE: Co, tatusiu?
LEDOUX: Jak tam — czy wszyscy śpiewają?

KONIEC

Krzysztof Gruszczyński

ARBARA RAFAŁOWSKA

„Żniwa" Nikołajewej

Czwarta pięciolatka stalinowska, cztery etapy rozwoju literatury radzieckiej, cztery ogniwa pogłębiającego się stosunku do rzeczywistości, cztery szczeble rosnącego poczucia odpowiedzialności pisarzy, ich współodpowiedzialności za to wszystko, co się dzieje, co się tworzy w kraju budującym komunizm.

Rok 1946 jest rokiem, w którym Stalin sumując wyniki zwycięstwa i jego znaczenie z punktu widzenia stanu i rozwoju sił wewnętrznych kraju — stwierdził, że jest to zwycięstwo radzieckiego ustroju społecznego, zwycięstwo państwowego ustroju radzieckiego, zwycięstwo radzieckich sił zbrojnych. Stwierdził dalej, że zabezpieczenie kraju radzieckiego „przed wszelkimi niespodziankami" musi być dziełem następnych pięciolatek.

W tym samym 1946 roku Żdanow — mówiąc o czasopismach Gwiezda i Leningrad — stwierdził, że kraj radziecki odrzuca literaturę apolityczną, ale nie tylko apolityczną. Odrzuca również literaturę biernej obserwacji, bezideową literaturę rejestrującą. „Pisarz nie może wlec się w ogonie zdarzeń, powinien kroczyć w pierwszych szeregach narodu, wskazując mu drogę rozwoju. Kierując się metodą realizmu socjalistycznego, badając naszą rzeczywistość rzetelnie i wnikliwie, starając się głębiej wniknąć w istotę procesów naszego rozwoju — pisarz powinien wychowywać naród i uzbrajać go ideowo".

Literatura budującego się komunizmu, literatura, która od roku 1917 stała się w swej olbrzymiej większości czułym sejsmografem nie tylko walki o socjalizm we wszystkich etapach (wojna domowa, okres rekonstrukcji i pięciolatki), nie tylko obrazem osiągnięć, lecz również obrazem odsłaniającym przed człowiekiem radzieckim jutro jego kraju, jutro jego osobiste i jutro ludzkości. Literatura zwrócona ku temu, co rośnie i rozwija się, a więc w istocie swej dynamiczna, twórcza w stosunku do ustawicznie przetwarzającej się, ustawicznie nowej, zmieniającej się rzeczywistości. Literatura świadomie realizująca socjalizm, obca zimnej, obiektywnej beznamiętności, „bezskrzydłemu naturalizmowi".

Zorany ugór Szołochowa, Kawaler Złotej Gwiazdy Babajewskiego, Żniwa Nikołajewej — to trzy etapy przemian, trzy tytuły, które wyrażają w lapidarnym skrócie drogę budowy socjalizmu — od zaorywania ugorów, od kolektywizacji — do tych osiągnięć, tej pełni, która mieści się w słowie „żniwo". W tym kontekście szczególnej wymowy nabiera tytuł Kawaler Złotej Gwiazdy — bohater wojny narodowej, pokazany w twórczej, pokojowej pracy w swoim rodzinnym kołchozie.

Książka Nikołajewej — to dzieje kołchozu, który w roku 47 i 48 kroczy w jednym szeregu z kołchozami przodującymi, chociaż jeszcze w 46 należy do przysłowiowo zaniedbanych. Droga przemian, zdoby-

wanie nowych wartości, przezwyciężanie trudności obiektywnych zwią
zanych z terenem i ludźmi, to zasadnicza linia akcji powieści, któr
zakończenie otwiera nowe perspektywy na przyszłość. Perspektywa -
według Makarenki — warunek konieczny i nieodłączny rozwoju ko
lektywu, wysunięta w Poemacie pedagogicznym ni
jako pojęcie abstrakcyjne lecz pokazane w konkretnych, plastycznyc
i nieodparcie sugestywnych obrazach rozwoju kolektywu kolonijne
go — jest widomym znakiem „wgryzania się" literatury radziecki
w życie, uchwycenia przez nią tego, co stało się trzonem radziecki
rzeczywistości, nastawienia na to, co ustawicznie zmienia się i rozwij
nie na to, co ma pozory trwałości, ale umiera. Jeżeli zestawić właśn
Szołochowa Zorany ugór czy Panfierowa Bruski, w którym
pierwsze zaorane miedze zbroczyła obficie krew komunistów — z obra
zem 26 stanic Babajewskiego, z obrazem Nikołajewej „ziemi nasze
jakby w jedwab odzianej, scalonej, niepodzielnej, bez miedz, be
szachownicy małych poletek, bez jałowych ugorów. Scalonej jak nasz
życie. Nierozdzielnej jak nasz wspólny los" — to widać drogę wall
i drogę zwycięstwa.

Jeżeli zestawić marzenia o pierwszych lampkach elektrycznych, kto
re miały rozświetlić mroki głuchej wsi rosyjskiej, z budową wielkie
elektrowni wodnej, która ma obsłużyć 26 stanic, z marzeniami Wasyl
Bortnikowa o tym „żeby elektrownia tonami ziarno młóciła na tok
żeby wodę pędziła do farmy, żeby drzewo piłowała i polewała ogrody"-
to widać nie tylko to, co stało się zdobyczą rzeczywistości radzieckie
lecz również wytyczne rozwoju. I jeżeli zestawić dalej pierwszy trak
tor, który w Bruskach Panfierowa zaorywuje bujnie pleniąc
się chwasty przeszłości, z obrazem traktorów ciągnących się przez ca
długość stanicy, z obrazem siły, od której „ziemia jęczy, z sufitów tyn
opada", z rzutem w przyszłość, która ma wcielić w życie uchwały lu
towego plenum — to widać, jak realizuje się hasło aktywnego wtar
gnięcia literatury w życie i jaką odgrywa ona rolę w budownictw
komunizmu.

2

Książka Nikołajewej o ugreńskim kołchozie po wojnie, o jego ro
zwoju w ramach nowych pięciolatek, to przekrój radzieckiej rzeczyw
stości. Przekrój przede wszystkim ze względu na najściślejsze powi
zanie wszystkich ogniw pracy, siewu i zniw, wyrębu lasu i produk
cji lnu, uprawy nowych kultur roślinnych i hodowli zwierząt, prac
elektrowni i budownictwa. Przekrój radzieckiego życia, bo każdy czł
wiek przy swoim warsztacie pracy ma świadomość jej celowości i nie
dzowności i nawet „wszystko to, co dla postronnego widza może by
drobiazgiem, jest dla tych, co do niego przyłożyli rękę, źródłem radoś
i dumy". Przekrój radzieckiego życia, bo praca w dalekim niewielki
kołchozie wlewa się w nurt pracy rejonu, w nurt pracy całego kraj
nurt tak głęboki i twórczy, że każdy wysiłek dokonany na dalekiej fe
mie wydaje się jej mieszkańcom niewystarczający. Przekrój radziecki

go życia, bo zarówno osiągnięcia jak i zawody rzutuje się na tło ytuacji międzynarodowej — a zagadnienie niewypełnienia przez Sta- ny Zjednoczone i Anglię uchwał konferencji w Poczdamie i Jałcie, tak amo jak zagadnienie nie zlikwidowanych monopoli niemieckich, jak agadnienie Dardaneli i Grecji — mobilizuje naród radziecki, wytycza irogi jego dnia powszedniego również w niewielkim ugreńskim koł- hozie. Dlatego tak szczególnego znaczenia nabiera spór starszego agro- oma, Wysockiego, z młodszym agronomem, Walentyną, spór o przyję- ie czy odrzucenie przeciętnej, średniej arytmetycznej w planowaniu racy; dlatego zebranie kołchoźników odrzuca tę przeciętną, która za- iera całkowicie różnicę między nierobem Bieławinem a twórczą pracą fasti Ogorodnikowej, dlatego zebranie wyciąga wniosek najistotniejszy, e przeciętna — to „osłanianie naszymi plecami nicponiów". W małym greńskim kołchozie przełamują się wszystkie problemy radzieckiej zeczywistości, a odejście od przeciętnej — to oparcie pracy na głęboko ojętej zasadzie współzawodnictwa, współzawodnictwa socjalistycznego, tóre Stalin nazwał wyrazem rzeczowej, rewolucyjnej samokrytyki as. Opinia zebrania, decyzja na tle toczącej się na tym zebraniu wal- i, pokazanie tych, którzy są „za" i tych którzy są „przeciw", daje obraz spółzawodnictwa jako ruchu narodowego, jako wyrazu komunistycznej etody budownictwa.

Współzawodniczące ze sobą grupy, ogniwa, zespoły w najgorętszym momencie żniw i zlanie się tych grup, ogniw, zespołów w momencie rzekazywania tego wszystkiego, co zostało przez wszystkich osiągnię- e — uwypukla w postaci konkretnego obrazu całą specyfikę pracy w państwie socjalizmu, pracy, która tworzy przyszłość, pracy, która rzetwarza człowieka. Jej nieodłączną cechą jest uczucie, które w rze- zy małej, najmniejszej potrafi dojrzeć wielką, „w rzeczy powszedniej— dświętną". Jej cechą nieodłączną jest uczucie przeżywane przez pro- tych ludzi ugreńskiego kołchozu — wrażenie chwili „niezwykłej", tórą rodzi i musi rodzić twórcze podejście do otaczającej rzeczywi- tości. Na tym gruncie powstaje w ugreńskim kołchozie, tak samo jak w najdalszych zakątkach Związku Radzieckiego, w Zagłębiu Donieckim kubańskich stepach, na Uralu i dalekiej Tajdze — ruch nowatorski, tóry może stać się i staje się ruchem powszechnym, ruchem całego arodu. Który z bohaterów Nikołajewej — Awdotia przy swojej hodowli, Wasyl jako przewodniczący kołchozu, Walentyna — agronom, Nastia Ogorodnikowa — kombajnierka, czy Alosza eksperymentujący nowe atunki ziarna — nie był nowatorem przy swoim warsztacie pracy? Który z nich nie odczuwał niezwykłości chwili, odświętności rodzą- ej się w momentach twórczej pracy, nowych osiągnięć i perspektyw alszego rozwoju, tkwiącego korzeniami w rzeczywistości przez nich udowanej? Ugreński kołchoz Nikołajewej wyrównał swe braki, ale wyrównanie braków nie wystarcza, tak jak nie wystarcza „powtórze- ie starego".

To, co znajduje się na fali rozwoju, musi mieć „podstawę dalszego wzrostu i gwarancję dalszego marszu naprzód".

Zebranie, które odbywa się tutaj, a które skupiło po raz pierwsz ludzi kołchozu i ludzi SMT jest widomym znakiem realizowania s marzeń o wielkich fabrykach chleba, widomym znakiem zacieran się granic między wsią i miastem. Wielkie budowle komunizmu zna dują swój odpowiednik w każdym ogniwie radzieckiej rzeczywistoś w zlewaniu się kołchozów i nowym, ponownym zaorywaniu granic nych miedz między jednym kołchozem i drugim. „Weźcie swoją wi pod pachę i przesiedlajcie się do nas, do naszego kołchozu" — to żart bliwie wyrażona tendencja pięciolatki budowy komunizmu, a wielk kombajny samobieżne jednym kołem zagarniają „zagonki" sąsiadując go kołchozu, który klinem werżnął się w kołchoz Pierwszego Maj Zmienia się pejzaż wielkiego kraju socjalizmu i zmienia się krajobr ugreńskiego kołchozu, a wielkie białe pola przestały być dla Walent ny stronicami ogromnej, nie przeczytanej księgi.

Ugreński kołchoz jest przekrojem radzieckiego życia, bo i tutaj si mobilizującą jest partia i komsomoł. „Było ich tylko troje, troje k munistów, zwykłych ludzi o licznych słabostkach i brakach, ale dąży do jednego wzniosłego celu i szli doń niezachwianie drogami wskaz nymi przez partię. Szli bezlitośnie krytykując, poprawiając i dope niając się wzajemnie i stawali się sami siłą, której na imię partia". ona skupia wokoło siebie ogół, to ona potrafi każdy wysiłek skierow do właściwego łożyska, to ona zdobywa sobie niezachwiany autoryt właśnie przez swą siłę i wytrwałość w dążeniu do celu, przez taką cz stość wewnętrzną, jaką uosabia Alosza.

Partia reprezentowana w Ż n i w a c h przez Strelcowa, Walent nę, Wasyla, Awdotię jest siłą kierującą, wyzwala siły drzemiące w l dziach, jest awangardą, która wskazuje drogi wiodące w przyszło Mierzenie każdego swego postępku wielką miarą: „czy postępuję j komunista?" jest zawsze wytyczną ich działania.

3

„Zbliżało się to, co w dawnych latach nazywano „znojnym trudem co w naszych czasach nazywa się „kampanią żniwną", a co ludzie z ko chozu określili krótkim i radosnym słowem „żniwa".

Radosne słowo „żniwa" — to nie tylko zagadnienie osiągnięć, to j kwestia świadomości. Zestawienie i postawienie obok siebie tych trze pojęć jest przekrojem trzech różnych okresów, skrótem jakże wymow nym! Znojny trud lat przedrewolucyjnych i radosne żniwa budow komunizmu — to obraz tych przemian, które zaszły w ludziach gruncie przetworzonej i przetwarzającej się wciąż rzeczywistości. wyraz zmienionego stosunku do pracy, która staje się nie tylko treść życia ale i jego radością, to wyraz upowszechnienia „święta pierwsze snopa" i „symfonii" młocki, którą pokazał Makarenko w zamknięty kolektywie kolonijnym. To praca wyzwolona, twórcza, której cele jest komunizm, budowa ojczyzny pełnego świadomego człowieczeństw najgłębiej pojętego humanizmu — funkcją zaś tej pracy jest przeż

wany przez ludzi nastrój niezwykłości chwili, ciszy, która zapada w momencie orania pierwszej bruzdy.

Wielkość celu, dźwignięcie kołchozu, który jest ogniwem w łańcuchu poczynań ogólnopaństwowych, jest w kołchozie ugreńskim tak samo jak w każdym ośrodku pracy tym gruntem, na którym wyrosła i wyrosnąć musiała rzeczowa rewolucyjna samokrytyka mas, zasadnicza metoda pracy socjalistycznej — współzawodnictwo. Współzawodnictwo — przejaw przetworzonej świadomości, która zrodziła się z równych szans i równych możliwości wszystkich budujących socjalizm komunizm, z postawy nie ciemnego robota lecz świadomego twórcy. Wspólnota, wielkość celów i zamierzeń, która wzbogaciła świadomość człowieka pracy, która wyprowadziła go z ciasnego kręgu nie tylko osobistych osiągnięć lecz również osiągnięć zespołu, która każe kołchozowi ugreńskiemu okazywać pomoc kołchozom słabszym, która każe grupom silniejszym podciągać słabsze, która grupy silniejsze dzieli, aby stały się one zarodkiem nowych twórczych zespołów. Charakterystyczne, że tę myśl o dzieleniu grup silnych wysuwa właśnie zebranie kołchoźników ugreńskich, że decyduje zbiorowość, dla której osiągnięcie jednego czy kilku zespołów nie jest celem, że dopiero zlanie się poszczególnych osiągnięć w jeden zharmonizowany z całością nurt pracy ogólnopaństwowej — jest równoznaczne z wypełnieniem zadania możliwością wysunięcia nowej „stacji przesiadkowej". Moment, w którym zespół Frosi przezwycięża ambicje własne zespołu i kiedy kombajn zgarnia razem wyniki opartej na współzawodnictwie długotrwałej pracy — ten moment jest równoznaczny ze zdobyciem nowego szczebla świadomości. I czy nie w tym wyjściu z rzeczy małych życia osobistego i ambicji osobistych na szeroki gościniec budowania ojczyzny komunistycznej, z interesów grup, zespołów, kołchozów i ośrodków fabrycznych na twórczą drogę wspólnego budowania nowego pięknego jutra, czy nie w tych jeszcze nie sprecyzowanych, jeszcze nie zawsze uchwytnych ale już zarysowujących się perspektywach rozwoju, którego celem jest szczęście człowieka i szacunek dla jego człowieczeństwa — czy nie tu właśnie tkwi źródło prawdziwego, głębokiego patriotyzmu, który cechuje naród radziecki? I każdy naród, którego wytyczną jest właśnie komunizm? Czy nie w tym właśnie wewnętrznym powiązaniu człowieka z człowiekiem, wszystkich ludzi ze sobą, w przebudzeniu w człowieku niespożytych skarbów zdolności twórczych, w powołaniu każdego do tworzenia rzeczy wielkich, nie przemijających — czy nie w tym właśnie tkwi źródło powszechności tego patriotyzmu? Patriotyzmu w stosunku do ojczyzny, której jest pełnoprawnym gospodarzem, patriotyzmu, który ma na myśli sekretarz partii Strelcow, kiedy mówi: „Istnieją w naszym kołchozie te same siły, które z cudowną szybkością odbudowują z popiołów miasta Ukrainy i Białorusi". I czy nie w tym świadomym patriotyzmie w stosunku do socjalistycznej ojczyzny tkwi z kolei źródło tego szczególnego stosunku do człowieka, stosunku, który broni się przed czysto formalnym, administracyjnym rozwiązywaniem wszystkich i wszelakich trudności? Wykonanie planów, zdobywanie krok za krokiem przyszłości musi być

oparte na świadomym wysiłku i dlatego praca przewodniczącego ko
chozu, Bortnikowa. musi iść nie w kierunku „przymusu i pędzenia", le
zainteresowania kołchoźników, pokazania im perspektyw, to znac
ciągłego zdobywania nowych szczebli świadomości. Budowa kom
nizmu! Świadomy budowniczy to warunek konieczny, a źródłem tej p
głębiającej się świadomości jest jego rozrastający się warsztat prac
źródłem jest nauka, która przestała być przywilejem. Źródłem je
nauka marksizmu-leninizmu. I kiedy na kursie szkoleniowym pada
czytane ze wzruszeniem przez Awdotię słowa „proletariusze nie ma
nic do stracenia prócz swoich kajdan. Do zdobycia mają cały świat
kiedy pokazuje Nikołajewa tę samą Awdotię na kursie dla hodowców
kiedy pokazuje, jak radzi sobie Awdotia z teorią w swojej codzienn
praktyce kołchozowej — to widać, jak nauka i wiedza przenikają
mas, jak powstaje i rozwija się nowa inteligencja.

Czy to znaczy, że zmieniło się całkowicie oblicze duchowe ludzi r
dzieckich w ogóle, że nie ma już wśród nich takich, na których prz
szłość wycisnęła swe piętno i którzy dalecy są i obcy nowej moraln
ści komunistycznej? Nie. „Niełatwo wyplenić instynkt własności, gł
poty, lenistwa i innych kalectw, które są dziedzictwem wieków"
mówi Gorki. I właśnie dziedzictwo wieków pokazuje Nikołajewa na ni
których mieszkańcach ugreńskiego kołchozu. To dom Konopatowć
wymigujący się od pracy i stawiający na podejrzane zarobki, to Kon
patowa, która „do kołchozu należała tylko dlatego, by mieć prawo
działki zagrodowej; która za piecem trzymała starą okutą skrzynk
od której klucz chowała nawet przed swoim mężem, Pawką", to nier
Bieławin, to wielu kołchoźników, którzy skręcają łyko lipowe na sznu
ki, aby je sprzedać na rynku. To Stepanida, która zbudowała swój do
na intratnym handlu i „plackach greczanych".

Ale jak w poemacie Makarenki jest już w kołchozie ugreńskim zdr
wy, piękny kolektyw, który potrafi się bronić, jest sąd ludu — zebr
nie, na którym zapadają wyroki równie sprawiedliwe jak nieprzeje
nane. Świadomość, że wystarczy „wziąć do ręki koniec tego sznureczk
a on cię zaraz oplecie i zrobi z ciebie kłębek", świadomość koniecz
ści walki z jeszcze pokutującym instynktem własności — jest już gw
rancją zwycięstwa. Gwarancją zwycięstwa jest siła etyki komunisty
nej, która stoi ponad sprawami osobistymi, która każe synowi wyst
pić przeciwko ojcu, która w walce o człowieka jest równie bezwzgl
na jak sprawiedliwa: „Ponad całym zgromadzeniem górowali ter
ojciec i syn. Stali wobec wszystkich zebranych twarzą w twarz, jed
naprzeciwko drugiego: syn na miejscu przewodniczącego, ojci
w ostatniej ławce". Gwarancją zwycięstwa jest siła etyki komunisty
nej i wcielanie jej w życie przez takich ludzi jak Awdotia, jak sta
Wasilisa, jak sekretarz partyjny i jego żona Walentyna, jak Stiepa
jak Wasyl, którzy potrafią ocenić swe błędy i stanąć ponad nimi.

Gwarancją zwycięstwa jest rośnięcie takich ludzi jak Frosia, uświ
domienie sobie błędów swego życia przez takich ludzi jak Stepani
a wysunięcie przez wszystkich takiego wzoru jak komsomolec Alos
Gwarancją zwycięstwa jest świadomość wartości piękna ustroju, któ

dał im poczucie pełnego człowieczeństwa, w którym jest im tak dobrze dlatego, „że to wszystko jest ich, wspólne".

A życie rodzinne, „dom" postawiony przez Nikołajewą na szerokim gościńcu płynącego w przyszłość życia jest dopiero tym domem, w którym ludzie poznają się naprawdę, w którym stają się sobie bliscy jak towarzysze partyjni i jak towarzysze partyjni bezkompromisowi. Dom Bortnikowów i Strelcowów — to nieustanny przypływ nowych zainteresowań, zadań, celów. Świadomość, że „nasze życie wyprzedza nas, a my sami wyprzedzamy nasze zamierzenia" — czyni z tego domu jeszcze jedno ogniwo budowy komunizmu, jeszcze jedno ogniwo wykuwające i realizujące zasady komunistycznej moralności.

4

Dzieje kołchozu ugreńskiego w ramach pierwszej powojennej stalinowskiej pięciolatki — rozwój tego kołchozu, którego tętnem są uchwały plenum lutowego 47 roku, perspektywy tego rozwoju, którego rytmem i „stacjami przesiadkowymi" jest rytm i punkty węzłowe całego radzieckiego życia — tworzą fundament, na którym zbudowała Nikołajewa swoją powieść o żniwie. I to właśnie nastawienie na rozwój i perspektywy konkretnego momentu historycznego, na to, co w tym momencie historycznym rośnie i rozwija się, znalazło swój wyraz w konstruowaniu materiału, w kompozycji powieści.

Powieść Nikołajewej — to powieść-działanie, powieść, w której do głosu dopuszczona została sama rzeczywistość, rzeczywistość, w której na ogół roztopiła się osobowość autora, komentarz autorski i interpretacja. Przemawia obraz rzeczywistości, pokazany w dynamice przemian, charakteryzujących zarówno człowieka jak i teren, na którym pracuje.

Książka tętni rytmem pędu naprzód, działania, przejawiającego się w zdobywaniu coraz wyższych szczebli wiodących do komunizmu — rytmu, który swój wyraz artystyczny znalazł nie tylko w zasadniczej konstrukcji całości, lecz w wyprowadzeniu tej konstrukcji z konfliktu, z walki. Część pierwsza książki, wprowadzająca, jest od razu konfliktem — konfliktem w życiu rodzinnym i konfliktem w życiu kołchozu. Oba są funkcją wojny, oba obrazują skrzywienia świadomości ludzkiej i wypaczenia w życiu kołchozu. Rozwój akcji — to poprzez rozładowanie konfliktu — obraz osiągnięć. Ciekawe, że część pierwsza, wprowadzająca, operuje raczej pojęciami dotyczącymi charakterystyki postaci (Troje, Jaszczureczka, Żalejka, W domu Stiepana), że w części II — istotne staje się to, co W a ż n e d l a n a s z e g o k o ł c h o z u, T e m p o, U r o d z a j, że w części III zamykającej — osiągnięcia znalazły swe odzwierciedlenie właśnie w tytułach dynamicznych: P r z e s i a d k a, G o t u j s i ę d o l o t u, N a t r z e c i m b i e g u, których trzonem jest punkt węzłowy wiodący w przyszłość: Z i a r n o i ż e l a z o.

Nastawienie na to, co rośnie i rozwija się, na dialektykę rozwoju znalazło wyraz w metodzie charakterystyki postaci, charakterystyki wyni-

kającej z działania i pokazanej poprzez działanie. Wszystkich bohaterów pozytywnych, a tych jest większość, poznaje czytelnik przy warsztacie pracy, która wyraża w sposób najpełniejszy, najgłębszy stosunek ich do rzeczywistości. I ciekawe: charakterystyka odautorska zjawia się przede wszystkim odnośnie do postaci ujemnych, obcych i dalekich od twórczego nurtu tętniącego dokoła nich życia. „Galaretowata i bezosobowa siedziała Mełania nikomu niepotrzebna, nie umiejąca nikogo rozczulić ani rozweselić". Galaretowatość i bezosobowość jest najlepszym odpowiednikiem podkreślającym obcość w stosunku do zdobywczych i silnych indywidualności innych bohaterów, tak jak pełnym i wystarczającym odpowiednikiem obcości jest jednorazowe pokazanie przez Nikołajewą postaci Pawki: „Pawka nie ruszył się, głowa na piecu ruszyła się bezszelestnie i patrzyła na wychodzących ciemnymi, nieruchomymi oczami". Bezruch, widok samej tylko głowy, nieruchomość oczu — tych kilka pociągnięć wystarczyło, aby postać Pawki została w pamięci czytelnika jako przeciwstawienie pełnych, twórczych ludzi ugreńskiego kołchozu, aby stała się wyrazem oderwania od kolektywu, izolacji i wewnętrznej pustki. Jest głowa, są ciemne nieruchome oczy — nie ma człowieka. Kiedy mowa o Trawnickim — „we drzwiach zjawia się głowa o wydatnych policzkach i wąskich oczach — a wraz z nią w atmosferę uroczystej wzniosłości wkracza coś małego i pospolitego". Kiedy mowa o Konopatowej — pełny jej obraz daje skrzynka zamknięta na kłódkę. Ułamkowa charakterystyka staje się wyrazem skrzywionego, zdeformowanego, sprzecznego z zasadami moralności komunistycznej życia wewnętrznego.

Taka charakterystyka odautorska oparta na zasadzie najściślejszej selekcji jest zgodna z rytmem całej powieści, z jej dynamiką.

Ludzie Ż n i w — to pełni ludzie radzieccy, pogłębiający i wzbogacający swe życie wewnętrzne. Pokazani przez Nikołajewą przy pracy, w domu, w życiu społecznym i osobistym, są ludźmi rozwijającymi się wraz z rozwojem rzeczywistości radzieckiej, której są twórcami. Jeżeli ten człowiek popełnia błąd — to popełnia go zarówno w pracy jak i w domu — tak ścisłe jest powiązanie tych dwóch ogniw. „Napięta i niepokojąca cisza panująca w domu Wasyla" — to obraz nie tylko domu — to również wyraz jego błędów popełnionych przy pracy, a mających swe źródło w tym, że Wasyl stracił wiarę w otaczających go ludzi, „że rozkazem chciał zastąpić proces uświadamiania i przekonywania".

Obraz człowieka w tych dwóch aspektach: pracy i życia rodzinnego jest źródłem tej plastyki, wypukłości, która cechuje bohaterów Nikołajewej. Trzy domy pokazane w części pierwszej: dom Stepanidy, Wasyla, Strelcowów — są przekrojem trzech postaw wobec rzeczywistości — postawy posiadacza, człowieka wykuwającego stopniowo zasady moralności komunistycznej i człowieka, dla którego ta moralność jest już wytyczną działania. Strelcowowie, którym, jak zdawać by się mogło, najbardziej grozi schematyzm, deklaratywność, są żywymi ludźmi; mają momenty słabości, niezdecydowania i wahań. I w ich życiu są konflikty — inny jest tylko charakter tych konfliktów i inne natę-

enie. Jedno ich łączy: źródłem rozwoju jest nurt życia, nurt przemian. tąd równoległość w przedstawianiu osiągnięć kołchozu i rozwoju ludzi. tąd praca i warsztat pracy jako element zasadniczy i podstawowy harakterystyki postaci.

Praca w kraju socjalizmu, praca-twórczość znalazła wyraz artyczny w nimbie poezji, która ją otacza, stąd obraz przędzącej Wasisy, otoczonej jak obłokiem szaro-białą przędzą, stąd tajemniczość yłaniających się z mroku nowych maszyn SMT.

Szczególną cechą Nikołajewej, kontynuującą tradycje wielkieo realizmu rosyjskiego jest nastrój, skonkretyzowany w opisach przydy. Samotność Awdotii, jej smutek wypływający z oderwania się od olektywu, poczucie bezcelowości pracy tylko dla siebie — uwypukliło ę w obrazie „samotnie chwiejącej się na wietrze jarzębiny", zniechęnie Walentyny nie tylko w słowie „Żalejka", ale w obrazie „wlokągo się dnia, mglistego i wilgotnego, sennie i leniwie spoczywających ustych, białych pól". Radość osiągnięć, poczucie wspólnoty — nie tylo w słowach Walentyny: „jest tak dobrze, bo to wszystko jest nasze spólne" — ale w bogactwie barw nieba i ziemi, w promieniach purpuowo zachodzącego słońca, w gwarze i krzątaninie dokoła wzgórza Aloy. Nie jest przypadkiem statyka dwóch pierwszych obrazów, tak jak e jest przypadkiem dynamika ostatniego.

Sztuka selekcji i sztuka syntezy jest źródłem nie tylko plastyki obraw Nikołajewej — to źródło właściwego użycia, właściwego postawienia owa, zmienności akcentu, który pada raz na przymiotnik, raz na czawnik, to źródło bogactwa tego słowa i źródło zmieniającego się rytmu dania.

„Ulica była pełna ludzi. Oblane widmowym światłem postacie snuły ę bezszelestnie, jakby pływały w zielonkawym powietrzu. Wszystkie warze były zwrócone w jedną stronę — tam skąd szła chmura". Zmieona sytuacja, zmiana nastroju — to zmiana tego czułego instrumenu, jakim jest język, użycie tych właśnie a nie innych części mowy, wraz z nimi nieunikniona zmiana rytmu: „deszcz ustał, chmura odynęła, błysnęło słońce, czyste niebo zajaśniało błyskiem. Na każdej awce błyszczały, płonęły, lśniły w kroplach deszczu dziesiątki maleńch słońc".

I ostatnie: książka Nikołajewej — to jak gdyby poemat pedagoczny o budowie, rozwoju i dążeniu kolektywu w określonym moencie budowy komunizmu. To książka o rośnięciu tego kolektywu przez walkę, o pogłębianiu się i krystalizowaniu w jednostkach masie moralności komunistycznej, o potęgującym się poczuciu wspólty, a więc pogłębiającym się i upowszechniającym radzieckim patriozmie. Ta właśnie miłość budującej komunizm ojczyzny, miłość spolonego nierozerwalnymi więzami kolektywu — całego narodu dzieckiego — znalazła swe odzwierciedlenie nie tylko w postaciach haterów, ale również w refrenie powieści: „Gęsto-słone i ciepłe jest sze jezioro, nie zatapiającą ma falę, choćbyś ciężar przywiązała do gi, nie da ci utonąć, na wierzch wyniesie". — Wypowiedzenie tej awdy w formie jakby porzekadła, powtórzenie w formie nie zmie-

nionej — brzmi jak wyraz wspólnoty wszystkich ze wszystkimi, wspó
noty, która jest źródłem powszechności radzieckiego patriotyzmu, je
charakteru ludowego.

I jakże wymowne jest to, że ten charakter ludowy: ton pouczan
i patos, morał i konkretność obrazu uwypuklona przez rytmiczne w
suwanie czasownika pod akcentem i typowe dla pieśni ludowej powi
zania, że to głębokie powiązanie z tradycją, sięgnięcie do źródeł lud
wych — charakteryzuje w książce Nikołajewej również postawę czł
wieka radzieckiego w stosunku do pracy! „Z góry przygotuj sobie br
zent, strzepnij go czyściutko, rozłóż równiusieńko, na nim będziesz kł
dła poszczególne części. Traktor umyj, żeby świecił jak słońce, żeby
nim pyłku nie było, ręce naftą wyszoruj, naftę do przemywania częś
przefiltruj, żeby była przejrzysta jak woda źródlana. Nie skąp dogl
du — traktor ci się odpłaci za wszystko".

Książka Nikołajewej — to nie tylko teraźniejszość i przyszłość,
również przeszłość, nawiązanie do tego, co było w tej przeszłości żyw
i twórcze. Oddanie tego w formie konkretnego obrazu jest jeszcze je
nym dowodem skali artyzmu — jedności treści i formy.

Barbara Rafałowska

Towarzyszu!

Baśń

W tym mieście wszystko było dziwne, wszystko niepojęte. Mnóstwo erkwi wznosiło ku niebu swe różnobarwne, jaskrawe kopuły, ale mu- y i kominy fabryk były wyższe od dzwonnic i świątynie, przytłoczone ięźkimi fasadami domów handlowych, gubiły się w martwych sie- iach ścian z kamienia, niby dziwaczne kwiaty w pyle i w śmieciach iin. I kiedy dzwony cerkwi nawoływały do modlitwy — ich spiżowe rzyki wpełzając na żelazo dachów bezsilne ginęły w ciasnych szczeli- ach między domami.

Domy były ogromne i nieraz ładne, ludzie szpetni i zawsze marni, d rana do nocy skrzętnie, jak szare myszy, biegali po wąskich, krzy- ych ulicach miasta i chciwym wzrokiem szukali, jedni — chleba, ni — rozrywek, jeszcze inni, stojąc na skrzyżowaniach ulic, wrogo bacznie pilnowali, żeby słabi bez szemrania poddawali się silnym. ilnymi nazywano bogatych, wszyscy wierzyli, że tylko pieniądz daje złowiekowi władzę i wolność. Wszyscy chcieli władzy, bo wszyscy byli iewolnikami, przepych bogaczy rodził zawiść i nienawiść biednych, ikt nie znał lepszej muzyki niż brzęk złota i dlatego każdy był wro- iem drugiego, a władcą wszystkich była nieludzkość.

Nad miastem niekiedy jaśniało słońce, ale życie zawsze było ciemne, ludzie — jak cienie. W nocy zapalali dużo wesołych świateł, ale ówczas na ulice wychodziły głodne kobiety sprzedawać za pieniądze we uściski, zewsząd bił w nozdrza ckliwy zapach różnego jadła i wszę- zie, w milczeniu i łapczywie, błyskały złe oczy głodnych, a nad mia- tem cicho płynął stłumiony jęk nieszczęścia i nie miało ono siły gło- nym krzykiem dać znać o sobie.

Wszyscy żyli w nudzie i niepewności, wszyscy byli wrogami i wi- owajcami, rzadko który uważał siebie za niewinnego, ale ci byli tępi ak zwierzęta — ci byli najokrutniejsi.

Wszyscy chcieli żyć, a nikt nie umiał, nikt nie mógł iść swobodnie rogami swych pragnień, i każdy krok w przyszłość mimo woli zmu- zał do zwracania się ku teraźniejszości, a ona władczymi i krzepkimi ękami zachłannego potwora zatrzymywała człowieka na jego drodze wciągała go w swe lepkie objęcia.

Człowiek przybity smutkiem i niepewnością bezsilnie zatrzymywał ię przed ohydnie zeszpeconym obliczem życia. Tysiącami bezradnie

smutnych oczów patrzyło mu ono w serce i o coś prosiło — i wów
czas umierały w duszy jasne obrazy przyszłości i jęk ludzkiej bezsi
ności tonął w bezładnym chórze jęków i krzyków zamęczonych prze
życie, nieszczęsnych, godnych pożałowania ludzi.

Zawsze było smutno, zawsze była trwoga, chwilami bywało strasz
nie, a dokoła ludzi, jak więzienie, stało nieruchomo, odbijając w sobi
żywe promienie słońca to posępne, ciemne miasto, odrażająco regu
larne kamienne masy, co wchłonęły w siebie świątynie.

I muzyka życia była stłumionym krzykiem bólu i złości, cichy
szeptem skrytej nienawiści, groźnym szczekaniem okrucieństwa, lu
bieżnym skowytem gwałtu...

II

W mrocznej krzątaninie zgryzoty i nieszczęścia, w zaciekłym zma
ganiu się chciwości z nędzą, w bagnie nędznego samolubstwa, po su
terynach domów, gdzie żyła biedota, co stwarzała bogactwo miast
niewidocznie chodzili samotni marzyciele, pełni wiary w człowiek
wszystkim obcy i dalecy, głosiciele rebelii, buntownicze iskry daleki
go ognia prawdy. Potajemnie przynosili ze sobą do suteryn zawsz
owocne małe nasiona prostej i wielkiej nauki i bądź surowo, z zim
nym blaskiem w oczach, bądź miękko i miłośnie siali tę jasną paląc
prawdę w ciemnych sercach ludzi-niewolników, ludzi, obróconych si
chciwych, wolą okrutnych w ślepe i nieme narzędzia zysku.

I ci ciemni, zahukani ludzie nieufnie przysłuchiwali się muzyce no
wych słów — muzyce, na którą od dawna i niejasno czekało ich wie
kie serce, zwolna podnosili głowy, rozrywając sieć chytrego kłamstw
jaką opętali ich władczy i chciwi gwałtownicy.

W ich życie pełne głuchej, zduszonej złości, w serca zatrute mno
gością krzywd, w świadomość zaśmieconą barwnym światłem mądroś
silnych — w to ciężkie, smutne życie, nasycone goryczą upokorze
zostało rzucone proste, jasne słowo:

— Towarzyszu!

Nie było ono dla nich nowe, słyszeli i sami je wymawiali, brzmia
ono dotychczas takim samym pustym i tępym dźwiękiem, jak wszys
kie znane, wytarte słowa, które można zapomnieć — i nic się na ty
nie straci.

Ale teraz, jasne i mocne, brzmiało inaczej, śpiewała w nim inna du
sza, i było w nim coś twardego, iskrzącego się i wielościennego ja

diament. Przyjęli je i zaczęli wymawiać ostrożnie, troskliwie, miękko kołysząc je w sercu swoim, jak matka kołysze nowonarodzonego w kolebce, lubując się nim.

I im głębiej patrzyli w jasną duszę tego słowa, tym jaśniejsze, ważniejsze i dobitniejsze zdawało się im.

— Towarzyszu! — mówili.

I czuli, że to słowo przyszło po to, żeby zjednoczyć cały świat, podnieść wszystkich ludzi na wyżynę wolności i związać ich nowymi więzami, mocnymi więzami wzajemnego szacunku, szacunku dla wolności człowieka, gwoli jego wolności.

Kiedy to słowo wrosło w serca niewolników — przestali być niewolnikami i pewnego razu oznajmili miastu i wszystkim jego mocom wielkie ludzkie słowo:

— Nie chcę!

Wówczas życie zatrzymało się, bo to oni byli siłą nadającą mu ruch, oni i nikt więcej. Zatrzymał się dopływ wody, zgasło światło, miasto pogrążyło się w ciemności i silni stali się jak dzieci.

Strach zdjął dusze gwałcicieli i, dusząc się w woni swych wydzielin, stłumili swą wściekłość na buntowników, zdumieni i przerażeni ich siłą.

Widmo głodu stanęło przed nimi i dzieci ich żałośnie płakały w ciemnościach.

Domy i świątynie ogarnięte mrokiem zlały się w bezduszny chaos kamienia i żelaza, złowieszcze milczenie zalało ulice martwą wilgocią, życie się zatrzymało, bo siła, która je rodziła, uświadomiła sobie siebie i niewolny człowiek znalazł magiczne, niezwyciężone słowo dla wyrażenia woli swojej — uwolnił się od ucisku i ujrzał na własne oczy władzę swoją — władzę twórcy.

Dnie były dniami udręki silnych, tych, którzy uważali siebie za władców życia, noce — każda była jakby tysiącem nocy, tak gęsty był mrok, tak żebraczo skąpe i nieśmiałe były światła w martwym mieście, i wówczas ono, stworzone przez stulecia, potwór żywiący się krwią ludzi, stanęło przed nimi w szkaradzie nicości swojej jako nędzna kupa kamienia i drewna. Zimno i mrocznie patrzyły na ulice ślepe okna domów, a po ulicach śmiało chodzili istotni włodarze życia. Oni też byli głodni, i bardziej od innych, ale to było im znane, i cierpienia ich ciał nie osiągały napięcia cierpień dotychczasowych włodarzy życia, nie gasiły ognia ich dusz. Płonęły one świadomością mocy swojej, przeczucie zwycięstwa błyskało w ich oczach.

Chodzili po ulicach miasta, mrocznego i ciasnego więzienia swego, gdzie ich oblewano pogardą, gdzie dusze napełniano im krzywdami, i widzieli wielkie znaczenie pracy swojej, i to wznosiło ich na wyżynę świadomości świętego prawa do tego, żeby być gospodarzami życia, jego prawodawcami i twórcami. I wtedy z nową siłą, z oślepiającą jasnością stanęło przed nimi życiotwórcze, jednoczące słowo:

— Towarzyszu!

Brzmiało ono wśród kłamliwych słów teraźniejszości radosną wieścią o przyszłości, o nowym życiu, otwartym pospólnie dla wszystkich przed każdym — daleko czy blisko? Czuli oni, że to jest sprawa ich woli, że przybliżają się do wolności i że sami oddalają jej przyjście.

III

Prostytutka, jeszcze wczoraj na wpół głodne zwierzę, markotnie wyczekujące na brudnej ulicy, kiedy ktoś przyjdzie do niej i ordynarnie kupi wymuszone uściski za parę groszy — i prostytutka słyszała to słowo, lecz uśmiechając się z zakłopotaniem, sama nie decydowała się go powtórzyć. Podchodził do niej człowiek, jakiego nie spotykała dotychczas, kładł jej rękę na ramieniu i mówił do niej językiem kogoś bliskiego:

— Towarzyszu! *)

I ona śmiała się cicho i wstydliwie, żeby nie zapłakać z radości, po raz pierwszy doznanej przez oplute serce. W jej oczach, wczoraj bezczelnie i głodno patrzących na świat tępym wzrokiem zwierzęcia, błyszczały łzy pierwszej, czystej radości. Owa radość przyłączenia odepchniętych do wielkiej rodziny pracujących całego świata błyskała wszędy na ulicach miasta, i mętne oczy jego domów obserwowały ją coraz bardziej złowrogo i zimno.

Żebrak, któremu wczoraj, żeby się od niego odczepić, rzucano nędzny grosz, cenę litości sytych — on też słyszał to słowo, i ono było dlań pierwszą jałmużną, która wywołała szlachetne drżenie zżartego przez nędzę, biednego serca.

Dorożkarz, śmieszne chłopisko, któremu pasażerowie dawali po karku, żeby przekazał to uderzenie swemu głodnemu, zamęczonemu koniowi — ten nieraz bity człowiek, otępiały od turkotu kół po kamieniach bruku, on również szeroko się uśmiechając, powiedział przechodniowi:

---

*) Tak jest w oryginale (rodzaj męski). Przyp. tłum.

— Może zawieźć, towarzyszu?

Powiedział i zląkł się. Podciągnął lejce, gotów szybko odjechać, i parzył na przechodnia nie umiejąc zetrzeć z szerokiej, czerwonej twarzy wego radosnego uśmiechu.

Przechodzień spojrzał dobrymi oczami i odparł kiwnąwszy głową:

— Dziękuję, towarzyszu! Dojdę, niedaleko.

— Ech ty! — z zapałem zawołał zachwycony dorożkarz, pokręcił się a koźle, szeroko i radośnie mrugając, i gdzieś pojechał z hukiem krzykiem.

Ludzie chodzili zwartymi grupami po chodnikach i jak iskra, coraz częściej wybuchało między nimi wielkie słowo, powołane do zjednoczenia świata:

— Towarzyszu!

Policjant wąsaty, ważny i chmurny, podszedł do tłumu, co zwartą masą otoczył na rogu ulicy starca-mówcę, i posłuchawszy jego mowy, wyrzekł nie śpiesząc się:

— Gromadzić się nie wolno... rozejdźcie się, panowie...

I, po krótkiej chwili, opuścił oczy w ziemię i dodał ciszej:

— Towarzysze...

Na twarzach tych, którzy wypiastowali to słowo w sercach swoich, złożyli w nie ciało i krew, i spiżowy donośny zew ku jednoczeniu się — a ich twarzach jaśniało dumne uczucie młodych twórców, i było oczywiste, że owa moc, którą oni tak szczodrze wkładają w to żywe słowo — jest niezniszczalna, niewyczerpalna.

Już gdzieś tam zbierały się przeciw nim szare, ślepe tłumy uzbrojonych ludzi i w milczeniu ustawiały się w ordynku — to złość gwałcicieli szykowała się do odparcia fali sprawiedliwości.

A w ciasnych, wąskich ulicach ogromnego miasta, wśród jego nienych, zimnych murów, stworzonych rękami nieznanych twórców, wciąż rosła i dojrzewała wielka wiara ludzi w braterstwo wszystkich e wszystkimi.

— Towarzyszu!

To tu, to tam wybuchał ognik, powołany do rozjarzenia się w płomień, który ogarnie ziemię gorącym uczuciem pokrewieństwa wszystich jej mieszkańców. Ogarnie całą ziemię i spali, spopieli złość, niewiść i okrucieństwo, zniekształcające nas, ogarnie wszystkie serca, zleją się one w jedno serce świata — serce szczerych, szlachetnych udzi, w nierozerwalnie zgodną rodzinę wolnych pracowników.

Na ulicach martwego miasta, stworzonego przez niewolników, w któ
rym panowało okrucieństwo, rosła i krzepła wiara w człowieka, w jeg
zwycięstwo nad sobą i nad złem świata.

I w mglistym chaosie niespokojnego życia bez radości, jaskraw
wesołą gwiazdą, światłem przewodnim w drodze do przyszłości świe
ciło proste, pojemne, jak serce, słowo:

— Towarzyszu!

Jak po raz pierwszy usłyszałem o Garibaldi

Po raz pierwszy usłyszałem to wielkie i świetlane imię, kiedy mia
łem 13 lat.

Pracowałem wtedy jako kuchcik na statku pasażerskim i po całyc
dniach myłem naczynia, na wpół ogłuszony łomotem maszyny, na wpo
ogłupiały od woni przypalonej frytury.

Gdy wypadała wolna godzinka, szedłem na jut *).

Tam zbierali się podróżni trzeciej klasy: chłopi i robotnicy.

Ten siedząc, ów stojąc, zwartą gromadką słuchali oni cichego i spo
kojnego opowiadania jednego z podróżnych.

Ja też zacząłem słuchać.

— Na imię miał Giuseppe, po naszemu Osip, a nazwisko jego był
Garibaldi i był on prostym rybakiem. Wielką miał duszę i widzia
gorzkie życie swego narodu, który został pokonany przez wrogów
I zawołał zawołaniem na cały kraj: „Bracia, wolność jest wyższa i droż
sza niż życie! Powstańcie wszyscy na walkę z wrogiem, i będziemy si
bili, póki nie zwyciężymy!" I wszyscy go się posłuchali, bo widzieli, ż
on raczej po trzykroć umrze, niż podda się. Wszyscy poszli za nim
i zwyciężyli.

Był wieczór i słońce opuszczało się do Wołgi.

Różowawe fale całowały się i tajały w pocałunku.

Potem dużo czytałem o Garibaldim, tytanie Włoch.

Ale krótka opowieść nieznanego chłopa głębiej zakorzeniła s
w moim sercu niż wszystkie książki...

Przełożył **Wacław Rogowi**

---

*) W dawnej terminologii morskiej „kasztel tylny" — pokład rufy statk
często wzniesiony nad poziom ogólny pokładu (Przyp. tłum.)

JERZY ŚLIZIŃSKI

Alojzy Jirasek

Dnia 10 listopada 1948 r., prezydent Republiki Czechosłowackiej, Gottwald, zainicjował akcję uczczenia twórcy czeskiej realistycznej powieści historycznej, Alojzego Jiraska (1851 — 1930), którego setną rocznicę urodzin obchodzono dnia 23 sierpnia roku bieżącego.

Wielkie znaczenie twórczości Jiraska dla ludu czeskiego i słowackiego ocenił prezydent Gottwald w następujących słowach: „Budujemy nasze państwo ludowe w oparciu o tradycje Taboru i Odrodzenia Narodowego. I właśnie dlatego lud czechosłowacki zwraca się ku Jiraskowi. Jest on mu bliski — bliższy niż dawnemu społeczeństwu kapitalistycznemu, ponieważ w swojej twórczości ujął po mistrzowsku zagadnienie tradycji, która wiedzie naprzód, do wolności i rozkwitu narodu. Jego utwory uczą właściwego spojrzenia na naszą przeszłość, umacniają naszą świadomość narodową i napełniają nas optymizmem i wiarą w twórcze siły ludu".

Na 69 posiedzeniu Rządu Czechosłowackiego dnia 13 grudnia 1949 r. na wniosek ministra Szkolnictwa, Nauki i Sztuki, Zdenka Nejedlego, powołano komisję rządową obchodu uroczystości jiraskowskich.

Komisji powierzono założenie muzeum historycznego w pałacu Hvezda na Białej Górze, które ma ukazać obraz życia i działalności Alojzego Jiraska, oraz wydanie wyboru dzieł Jiraska w popularnych nakładach, przeznaczonych i przystępnych dla najszerszych warstw społeczeństwa czeskiego.

Alojzy Jirasek, który tak plastycznie przedstawił klasowy antagonizm i rewolucję ludową husytyzmu, zerwał z manierą indywidualnego bohatera romantycznej powieści historycznej. Głównym bohaterem jego utworów, które dodawały otuchy w czasach ucisku nie tylko politycznego lecz i gospodarczo-społecznego, jest zbiorowość, naród, ich tematem — walka o prawdę i wolność.

Jirasek często pisał o sąsiadach Czechów, którzy brali udział w kształtowaniu się historii Czech. Jego twórczość jest więc pomostem do wzajemnego poznania i zbliżenia.

Alojzy Jirasek, syn tkacza, urodził się dnia 23 sierpnia 1851 r. w miasteczku podgórskim niedaleko Nachoda.

W małej piekarni, którą prowadził w późniejszych latach jego ojciec, młody Alojzy zetknął się z ludem podgórskim, słuchał ich opowieści o troskach i radościach życia codziennego, o ciężkiej pracy na kamienistych polach, o tym, jak było przed laty. Ludzie ci stali się z czasem bohaterami jego utworów, które obejmują niemal całe dzieje czeskie — poczynając od najstarszych podań, a kończąc na wieku XIX.

Do gimnazjum uczęszczał Jirasek w Broumowie oraz w Hradci Kralove. Po maturze wstąpił na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Praskiego, aby studiować historię.

W Pradze nawiązał kontakt z młodymi literatami, z których później wyrosła generacja „Lumirovców".

Jesienią 1874 roku Jirasek przyjął posadę nauczyciela gimnazjalnego w Litomyślu, w mieście, gdzie również spędziła najcięższy okres swego życia ulubiona jego pisarka — Bożena Nemcowa.

Biorąc żywy udział w życiu społecznym i politycznym swego kraju, stanął w pierwszych szeregach nieugiętych bo-

jowników o sprawiedliwość i wolność, ucząc naród i wytykając mu bez osłonek jego błędy.

Jirasek — człowiek, którego lud czeski uczcił jako swego wielkiego nauczyciela, zmarł w Pradze dnia 12 marca 1930 r. Pochowano go w jego ukochanym mieście rodzinnym, w Hronowie, niedaleko którego przebiega obecnie granica czesko-polska. Tam rok rocznie urządza się w sierpniu „Hronov teatralny" — festiwal, poświęcony Jiraskowi.

Jirasek rozpoczął swą działalność literacką w latach siedemdziesiątych, kiedy zwycięska burżuazja kostnieje i przechodzi na pozycje wsteczne. Jego studenckie wiersze z tego okresu, opublikowane na łamach Svetozoru, stanowią jakby daninę, złożoną modnej wówczas literaturze, która w przeciwieństwie do świeżych, pełnych energii utworów z lat sześćdziesiątych, była wynikiem politycznych rozczarowań. Wiersze te jednak nie wyrażają światopoglądu Jiraska. Właśnie w czasie gdy w Czechach dominowała liryka osobista, Jirasek pisze realistyczne opowiadania, wydane zbiorowo w 1878 r., Opowiadania z gór.

Malując w tych opowieściach postacie twardych, niewyidealizowanych górali, przeciwstawiając ich zgnuśniałemu mieszczaństwu, odnajduje Jirasek właściwy nurt swojej twórczości. Twórca pesymistycznych wierszy przestał istnieć, zrodził się pisarz, którego zadaniem było odtworzenie najsławniejszych kart historii czeskiej.

Pierwsza jego powieść historyczna — to Skalakowie, opisująca powstanie chłopskie z r. 1775, przeciwko uciskowi pańskiemu.

Jakby jej dalszym ciągiem jest powieść Na książęcym dworze, której akcja toczy się tak jak w Skalakach w rodzinnych stronach autora. Powieść ta doprowadzona jest do czasów narodowego odrodzenia czeskiego.

Lata 1874 — 1888 spędził Jirasek w małych „Atenach czeskich", w uroczym miasteczku Litomyśl, położonym na pograniczu czesko-morawskim.

Pod wpływem osobliwej, biedermayerowskiej atmosfery tego miasteczka, które Zdeněk Nejedlný tak trafnie scharakteryzował w studium Alojzy Jirasek i jego Litomyśl powstał szereg opowieści, które sam autor nazywał: Małomiejskie historyjki. W jednej z nich, pt. Studencka historyjka autor czuje się jednym z tych młodych studentów, zapowiadających nadejście nowego lepszego, wolnego pokolenia. Opowieść ta znana jest czytelnikom polskim aż z trzech przekładów.

Tam w Litomyślu napisał też między innymi obrazki poetyczne, „sielanki" pełne humoru, świeżości i młodości. Najbardziej znana z nich jest Maryla.

W swoich utworach pokazał Jirasek, że historię tworzą nie jednostki, lecz zwarte masy ludowe, lud roboczy. Nawiązując do wszystkiego, co postępowe o co lud czeski walczył w ciągu dziejów i co stworzył, stał się „budzicielem" świadomości narodowej i społecznej, wychowawcą kadry nowych, młodych, zdecydowanych bojowników.

„Budzicielskimi" dziełami w prawdziwym tego słowa znaczeniu, są powieści: W obcych służbach (1883) — dzieje ostatnich potomków sławnych ongiś husytów, służących jako wojsko najemne interesom obcym, oraz Psiogłowcy (1883—1884), najbardziej rewolucyjny utwór Jiraska, obraz buntu ludu z zachodniego pogranicza Czech przeciw uciskowi feudalnemu. Jan Sladky Kozina, przywódca Chodów to postać prawdziwego rewolucjonisty. Wierząc niezłomnie w prawo do wolności i sprawiedliwości, idzie wytknię

tą drogą, chociaż wie, że czeka go na niej śmierć.

Powieść Skały (1886), realistyczny obraz Czech po tragicznej bitwie pod Białą Górą, zamyka drugi etap twórczości Alojzego Jiraska.

W następnym etapie powstają wielkie epopeje obejmujące okres wojen husyckich, najsławniejszej karty dziejów narodu czeskiego, gdy zrewolucjonizowany lud ujął władzę w swoje ręce. Okres ten przedstawiany był w fałszywym świetle, zwłaszcza od czasu ukazania się tendencyjnej kroniki księdza katolickiego, Wacława Hajka z Libocan. Zrewidowany został dopiero po 250 latach przez Gelasiusa Dobnera (zmarł 1790). Poświęcił on niemal 30 lat życia pracy wykazującej na podstawie źródeł błędy kroniki Hajka. Epokę tę przedstawił po mistrzowsku dopiero Franciszek Palacky (1798—1876), autor największego dzieła Odrodzenia czeskiego Dzieje narodu czeskiego w Czechach i na Morawach.

Pierwsze epopeje Jiraska powstały już w latach 90-tych, wtedy kiedy mieszczaństwo czeskie pod wpływem „moderny" odwracało się od przeszłości. Jirasek przeciwstawił się temu odwrotowi, dając obraz dziejów ruchów husyckich.

Tak więc powstają duże dzieła, oparte na ścisłej prawdzie historycznej i dokładnych badaniach źródłowych. W latach 1887 — 1890 powstała trylogia Między prądami, plastyczny obraz powstania ruchu husyckiego. Bohaterem trylogii jest lud, buntujący się przeciwko rygorom religijnym i społecznym. Z tego ludu dopiero wyrosną ci, którzy staną na jego czele — Hus, Żiżka.

Następna powieść Przeciwko wszystkim jest dalszym ciągiem wydarzeń historycznych, przedstawionych w Między prądami. Opisuje ona wojny husyckie, gdy po śmierci Jana Husa lud czeski z Janem Żiżką na czele odpiera zaciekłe ataki wrogów. Prawymi husytami są Jiraskowi taboryci, przedstawiciele najbardziej rewolucyjnego nurtu.

W latach 1899 — 1909 powstała trylogia Braterstwo, w której autor przedstawia schyłek znaczenia, siły i sławy husytów, ongiś niezwyciężonych. W dziele tym podkreśla ideę braterstwa ludu czeskiego z ujarzmionym a tak bliskim narodem słowackim.

Podczas pierwszej wojny światowej rozpoczął Jirasek powieść pt. Husycki król, która jednak pozostała nie dokończona.

Jeszcze przed zakończeniem trylogii Między prądami Jirasek rozpoczął pracę nad obrazem czeskiego odrodzenia F. L. Vek, powieści w pięciu tomach, która ukazała się w latach 1891 — 1906. F. L. Vek, to nie jeden z zasłużonych bojowników, którzy stali na czele tego ruchu, lecz kupiec z prowincjonalnego miasteczka, jeden z tysięcy tych bezimiennych budzicieli, którzy występowali wszędzie, w każdym miasteczku, w każdej wiosce, i dzięki którym dokonał się olbrzymi proces narodowego odrodzenia.

Drugie dzieło, poświęcone Odrodzeniu — to 4-tomowa kronika U nas, (1896 — 1904), opisująca pracę oświatową księdza patrioty i dawne życie w rodzinnym mieście pisarza, w Hronovie.

Jeżeli Między prądami, Przeciwko wszystkim, Braterstwo, F. L. Vek i U nas przedstawiają szczytowe momenty dziejów czeskich — to powieść Ciemność (1912 — 1914) daje ponury obraz z okresu najtragiczniejszego upadku narodu czeskiego.

Okres ten — to dla Jiraska nie epoka pobiałogórska, ale wiek osiemnasty, gdy kontrreformacja dokonała już swego dzieła, gdy ciemiężcami byli już nie

cudzoziemcy, ale Czesi, nie jednostki, ale całe klasy wyzyskiwaczy.

Wspomnijmy jeszcze jedną z najbardziej czytanych i znanych książek Jiraska Stare podania czeskie.

Jirasek jest również autorem licznych sztuk teatralnych: dramatu historycznego Gero (obraz walk Słowian połabskich z Niemcami) oraz trylogii z epoki husyckiej Jan Hus, Jan Żiżka i Jan Rohac. Latarnia — to bajka sceniczna, której tłem jest ucisk chłopów. Sztuki o tematyce współczesnej — to Ojciec i Vojnarka, obrazy realistyczne z czeskiej wsi.

Twórczość Jiraska w latach niewoli austriackiej wychowała niezliczone szeregi bojowników, podczas pierwszej wojny światowej wzywała do walki z c. k. monarchią, podczas okupacji hitlerowskiej (książki jego znalazły się na indeksie) nawoływała do oporu przeciw faszystowskiemu najeźdźcy. Dziś ciągle żywe dzieło Jiraska pomaga w wychowaniu młodzieży, jest czystym źródłem, z którego czerpią naukę najszersze rzesze społeczeństwa czeskiego.

Alojzy Jirasek należał wraz z Edwardem Jelinkiem, Franciszkiem Alojzym Horą, Franciszkiem Kvapilem i Janem Rokytą do najbardziej gorących polonofilów czeskich.

O jego uczuciach do bratniego narodu polskiego, pragnieniu szczerej i owocnej współpracy obu narodów, świadczy zdanie w liście z dnia 19 grudnia 1927 r. do Julii Fischerowej-Dutkowskiej, tłumaczki Maryli oraz Psiogłowców.

Zdanie to, zacytowane przez Bohumila Vydrę w pracy pt. Alojzy Jirasek a Polacy, Praga 1939, brzmi: „Jestem gorliwym zwolennikiem przyjaźni polsko-czeskiej, tak jak od najmłodszych lat jestem wielkim miłośnikiem polskiej literatury".

Już jako uczeń gimnazjum w Hradec Kralove zapoznał się Jirasek z utworami poetów i pisarzy polskich — Brodzińskiego, Malczewskiego, Syrokomli, Słowackiego, Mickiewicza, Korzeniowskiego, Siemieńskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i innych, które czytał bądź w orginale — uczył się bowiem języka polskiego — bądź w przekładach przeważnie F. P. Volaka oraz F. L. Vorlicka. Systematycznie zapoznawał się z literaturą polską za pomocą antologii H. Cegielskiego.

Swoim gorącym uczuciom dla Polski i polskości dał wyraz w licznych utworach.

*

Jasna i równa była droga tego ostatniego „budziciela" swego narodu, który całą twórczość poświęcił walce o wyzwolenie Czech spod ucisku narodowego i społecznego.

Niezachwianie walczył o prawdę i postęp przeciw zakłamaniu i wstecznictwu. W każdej ze swoich książek wskazuje na rewolucyjną rolę, jaką spełnia lud czeski w swojej historii. Wychowuje również dzisiejsze pokolenie, aby zgodnie z tradycją historyczną gotowe było służyć ideom rewolucyjnym, aby stanęło w szeregach budowniczych socjalizmu. Dlatego ukochał Jiraska cały naród, dlatego należał on i należy do najbardziej poczytnych pisarzy czeskich.

Jerzy Śliziński

Oświęcim — Dwory

Wyrosłe wśród ciszy podkarpackich
i miasto przemysłu zaskakuje swym
romem, wzbudza podziw rozrzuco-
mi na wielohektarowym terenie
esiątkami większych i mniejszych o-
któw, gmachami hal fabrycznych,
arsztatów, budynków laboratoryj-
ch. Żelbet i cegła konstrukcji po-
nych masywów hal wytyczają, jak
my w mieście, ulice, które biegną
ostopadle w różnych kierunkach, aż
n, gdzie horyzont zamykają biele-
e świeżymi deskowaniami kratow-
ć rusztowań nowopowstających bu-
wli. Ponad tym wszystkim górują
smukłe wieże destylatorów, potężne
ły skruberów, olbrzymie pęczniejąc
ku podstawie konstrukcje wież
odniczych.

Zakłady chemiczne w Dworach —
pracujące już fabryki i wytwórnie,
jednocześnie wielki plac budowy.

Jeden z oddziałów uruchomionego
mbinatu zajmuje wytwórnia synti-
— sztucznej ropy. Zespół hal, po-
ązanych pomiędzy sobą siecią napo-
etrznych kolektorów, stanowi troskę
lumę całej załogi zakładów. Tu prze-
ż, po raz pierwszy w historii naszej
emii wytwarza się syntetyczne paliwo.
bryły węgla uwielokrotniają swą
rtość zamieniając się w cenny płyn,
uczną benzynę.

Tak jest dzisiaj, kiedy każdy cykl
odukcyjny wypełnia olbrzymie zbior-
ci syntetyczną benzyną, kiedy okres
ób, doświadczeń, mozolnych badań
my już poza sobą, kiedy wysiłki i
dy całej załogi uwieńczone zostały
kcesem.

Tak jest dzisiaj, lecz kilkanaście mie-
cy temu sprawy wyglądały zupełnie
czej. Uruchomiono maszyny, pusz-
czono w ruch agregaty, a strumienie syntetycznej benzyny nie popłynęły. Cóż się okazało? Na posiadanej aparaturze i przy użyciu posiadanych składników nie można było otrzymać właściwego katalizatora — substancji ułatwiającej reakcje chemiczne, substancji, bez której nie można wytwarzać syntetycznej ropy. Produkcja syntiny stanęła więc pod znakiem zapytania.

„Był to okres ciężkiej pracy w naszej wytwórni — mówi o tych czasach inżynier Zieleński. — Przeprowadzone badania i doświadczenia potwierdziły nasze obawy, postawiły przed nami trudne i odpowiedzialne zadanie rozwiązania problemu produkcji właściwego katalizatora".

W gabinecie dyrektora odbyła się narada. Wzięło w niej udział prócz zainteresowanych wielu ludzi z innych działów kombinatu. Obszerny gabinet z trudem mógł pomieścić wszystkich przybyłych.

Naczelny dyrektor zobrazował pokrótce sytuację. „Musimy — mówił — opracować własną metodę otrzymywania katalizatora na tej aparaturze, jaką posiadamy, i przy użyciu tych składników, jakimi rozporządzamy. Na inne urządzenia nie możemy liczyć, a do importu potrzebnych składników nie możemy dopuścić. Produkcja syntiny musi ruszyć możliwie szybko i to oparta na naszych własnych surowcach".

Dyskusja. Padają projekty i pomysły, ustala się plan działania i wyznacza zadania. Rozpoczęła się bitwa o syntinę.

W zespole, który przyjął na siebie trudne zadanie wyprodukowania nowego katalizatora, znaleźli się inż. Konstanty Pędowski, młody absolwent Politechniki Gliwickiej — inż. Zieleński,

majster fabryki — Piechowiak, robotnik Józef Jarosz i wielu innych.

Pierwsze próby produkcji dały wyniki ujemne. Puszczona na pracujący pod próżnią filtr ziemia okrzemkowa— główny składnik katalizatora — wykazywała zbyt duży procent wilgotności. Wskazówka na przyrządzie pomiarowym pokazywała stale o 10% większą wilgotność ziemi okrzemkowej, aniżeli przewidywała recepta produkcyjna. To była pierwsza z najpoważniejszych przeszkód.

Dziesiątki doświadczeń i badań, kilkutygodniowa praca prowadzona z uporczywym zapamiętaniem — i wskazówka przyrządu pomiarowego zaczęła powoli zbliżać się do wymaganej granicy. Załoga pochłonięta pracą zrezygnowała z życia prywatnego. Pracownicy z laboratorium i fabryki — tutaj spędzali niemal cały czas.

Zgodny z receptą stopień wilgotności ziemi okrzemkowej został osiągnięty, ale był to dopiero pierwszy krok naprzód. Praca szła dalej.

Przyszedł wreszcie dzień triumfu. Katalizator otrzymano.

Rozpoczęły się próby. Poddany badaniom wykazywał znikomą aktywność, która go dyskwalifikowała. I znowu nowa seria prób, badań.

Na wielkiej tablicy umieszczonej w wytwórni wykreślono linię aktywności katalizatora zgodnego z receptą — punkt, do którego zmierzały wysiłki całego zespołu. Na tej samej tablicy oznaczono linią aktywność otrzymanego katalizatora. Notowano skrupulatnie każdy najdrobniejszy jej wzrost. Linia ta biegła jednak dużo niżej od tamtej. Dzieliło ją duże białe pole czystego arkusza papieru. „Tamta górująca znacznie nad naszą — powiedział inż. Zieleński — jak gdyby urągała naszej wiedzy, naszym wysiłkom, naszej dotychczasowej pracy".

A czas upływa. Kraj czeka na sy
tinę.

Znowu narada — narada całej załc
Nie rzucano na niej wielkich słów, c
konywano jedynie suchego bilansu c
tychczasowej pracy. A później pono
ne próby, ponowne obliczenia i no
linie na arkuszu białego papieru.

Wreszcie jeden z członków zesp
wystąpił z projektem udoskonale
procesu oczyszczania jednego ze skła
ników katalizatora — toru. I oto kr
wa na tablicy podniosła się.

Od tego momentu zaczął się łańcu
zwycięstw. Krzywa na tablicy pocz
się szybko podnosić. Aktywność ka
lizatora wzrastała z dnia na dzi
Dzień, w którym dorównała akty
ności katalizatora zgodnego z recep
był dniem triumfu. Pierwszy polsk
produkcji katalizator do wyrobu syn
tycznej ropy wprowadzono do reak
rów. Produkcja syntiny mogła rusz
Jeden z odcinków bitwy o Plan 6-le
doniósł o zwycięstwie.

Walka o syntinę trwa. Prowadzi ją
dzień cała załoga fabryki, dążąc
zwiększenia produkcji, do polepsze
jakości, do obniżenia kosztów produk
Każda tona ponadplanowej produk
świadczy, iż załoga w walce z trudn
ściami nauczyła się zwyciężać.

*

Jest w kombinacie w Dworach
kład produkcji „Tri" czyli trójchlo
etylu — podstawowego surowca
wyrobu syntetycznych garbników.

Były urządzenia fabryki, była i ap
ratura, była receptura produkcyj
Cóż kiedy sama produkcja „nie w
chodziła". Ciągłe awarie, przestoje
mowały produkcję, nie pozwalały r
winąć właściwego tempa pracy. P
dukcja nie szła, a tymczasem przem
garbarski wołał o garbniki, na któr
zakup szły zagranicę cenne dewizy.

Rozumieli to ludzie z wytwórni.

nowu walka, badania, eksperymenty, róby inż. Górki, technika Grossera, lusarzy Karcza i Pika. Stwierdzono, ż wydzielający się w toku procesów hemicznych chlorowodór niszczy u-ządzenia, powodując częste awarie. Co robić?

Wyprodukować z odpowiedniego ma-eriału całą aparaturę, która byłaby iewrażliwa na działania niszczyciel-kie tego kwasu? Niestety, młody nasz rzemysł nie produkował wówczas te-o rodzaju urządzeń z materiałów kwa-oodpornych. A więc sprowadzić z za-ranicy? Na to znów nie pozwalała mbicja załogi. Żmudne badania i pró-y zespołu — i oto opracowano nową netodę otrzymywania „Tri" wykluczą-ącą wydzielanie się chlorowodoru.

Do tego jednak potrzebna była nowa paratura. Fabryka mogła wykonać za-nówienie dopiero za kilka miesięcy.

Czekać na wykonanie zamówienia :ilka miesięcy, czekać, a więc nie pro-lukować, czekać, a więc pozwolić na lalszy wywóz dewiz z kraju — nie, na o nie chciała się zgodzić załoga wy-wórni. Zespół ślusarzy z Alojzym Kar-zem i Konstantym Pikiem na czele wy-tąpił na ogólnym zebraniu z wnios-ciem: „Nie będziemy czekali na fabry-kę. Nie będziemy marnowali czasu. Urządzenia wykonamy sami w naszym warsztacie. To będzie nasze zobowiąza-nie dla uczczenia rocznicy Rewolucji Październikowej".

Wkrótce produkcja „Tri" mogła ru-szyć bez przeszkód.

O Wielką Chemię, drugi narodowy nasz przemysł, walczy cała załoga kom-binatu w Dworach. Walczy, bo przecież chemia w okresie przedwojennym — to przemysł, który pracował niemal wy-łącznie nad przeróbką półfabrykatów sprowadzonych z zagranicy, opanowany niemal w całości przez obcy kapitał. A czy w niewielkich zakładach lub fabrykach przedwojennej Polski wy-twarzających najprostsze produkty chemiczne mogły wyrosnąć kadry wła-snych specjalistów, kadry takich fa-chowców, jakich potrzebuje rozbudo-wany z socjalistycznym rozmachem wielki przemysł chemiczny? Czy z nie-wielu istniejących na terenie kra-ju laboratoriów mogły wyjść potrzebne kadry naukowców? Czy wreszcie obcy kapitał, który w Polsce zapewnił sobie jeden z chłonniejszych rynków zbytu na wytwarzane przez rodzimy swój przemysł towary, dopuściłby do roz-woju i rozbudowy jakiejkolwiek gałęzi naszego przemysłu? Dlatego o chemię trzeba było rozpocząć walką.

W Polsce Ludowej w ciągu 5 lat pra-cy, w ciągu 5 lat walki o chemię osią-gnięto w porównaniu z rokiem 1937 wzrost produkcji tej gałęzi przemysłu o blisko 350% .W latach Planu 6-letnie-go poziom produkcji w porównaniu z okresem przedwojennym wzrośnie do 700%. Cały niemal personel tech-niczny kombinatu rekrutuje się z mło-dych, niedawno dopiero wyszkolonych kadr. Jak te kadry dają sobie radę z praktyką, ze stosowaniem znanych czy opracowaniem nowych recept pro-dukcyjnych, świadczy syntina „Tri", świadczy wciąż wzrastająca produkcja zakładów, stale zwiększający się asor-tyment produktów.

Gdyby ktoś pokazał wam kilkunasto-letniego chłopca pasącego krowy na miedzy i powiedział, że za lat 3—4 bę-dzie to jeden z budowniczych nowej, potężnej gałęzi naszego przemysłu — chemii, uważalibyście to być może za dobry żart lub bujną wyobraźnię swego rozmówcy.

Antoni Borkowski, dziś dwudziesto-letni młodzieniec, cztery lata temu pasł krowy w swej rodzinnej wiosce Kręgi w powiecie pułtuskim. Nie był dobrym pastuchem. Za mało interesował się oddanym jego pieczy bydłem, za dużo natomiast zajmowały go książki, co w

pojęciu patriarchów wsi Kręgle przeszkadzało mu w wykonywaniu obowiązków pastucha.

Antoni Borkowski należał do ZWM. Dowiedział się tam, że istnieją szkoły Przysposobienia Przemysłowego, które takim jak on, dają możność zdobycia bardziej interesującego i bardziej pożytecznego zawodu niż ten, jaki zmuszony biedą musiał wykonywać. Dowiedział się tam, że za naukę nie potrzeba płacić, a organizacja młodzieżowa, do której należał, zapewni mu stypendium.

Borkowski poszedł do S. P. Źle wykonywający swe obowiązki pastuch okazał się pilnym, zdolnym i sumiennym uczniem. 3 lata nauki uwieńczone zostały sukcesem. Borkowski otrzymał pierwszą pracę w nowozdobytym zawodzie. Stał się członkiem załogi kombinatu chemicznego w Dworach, jednym z aktywnych współtowarzyszy kolektywu ludzi walczących o — drugi po węglu nasz narodowy przemysł. Osiemdziesiąt procent załogi kombinatu stanowią chłopi. Zarówno ci z blisko położonych wiosek jak również i z dalszych okolic.

Kombinat w Dworach stworzył im nie tylko nowe warunki egzystencji, nie tylko wyszkolił ich w nowym zawodzie, lecz równocześnie pozwolił im spojrzeć na świat nie oczyma ludzi z zacofanej wioski, lecz oczyma robotników z potężnej nowoczesnej fabryki — wielkiej budowy socjalizmu.

*

Gdy ktoś chciał określić ogro zbrodni faszyzmu, ogrom cierpień l dów gnębionych przez najeźdźcę hitl rowskiego, nie musiał używać wiel słów. Nazwa niewielkiego miasteczk jednocześnie nazwa obozu zagłady Oświęcim — spełniał rolę synonimu, s nonimu bezmiaru okrucieństw i p twornych zbrodni hitlerowskich. Budu jąc tu na prawo od miasta komory g zowe i piece krematoryjne faszyz krwią milionów zamordowanych ofia wpisał na kartę historii nazwę mia steczka Oświęcim. Stała się ona odtą symbolem męczeństwa ludów.

Dziś po lewej stronie miasta powst je kombinat chemiczny, rośnie wielk budowla naszego Planu 6-letnieg Zwycięskimi meldunkami o sukcesac załóg w dziele wprzęgania chemii służbę dla naszego narodu, dla jego p tęgi i dobrobytu, meldunkami o wcześ niejszym wykonaniu prac, zwycięstwam w walce z biedą i ciemnotą podkarpac kich wsi, tworzymy nową kartę histor Oświęcimia. Dziś nazwa Oświęcim Dwory kojarzy się z nazwami Nowe Huty, Andrychowa, Dychowa, Częst chowy z nazwami miejscowości, w któ rych powstają wspaniałe budowle na szego Planu Sześcioletniego.

Janusz Weyroch

W ŚRÓD KSIĄŻEK

ENEDYKT HERTZ: *Bajki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 950; str. 256.

Pierwszy utwór w zbiorze bajek Benedykta Hertza nosi datę rok 1900. Jeden z ostatnich utworów — rok 1948. ak wiemy zresztą, tomem tym autor amknął półwiecze swej twórczości, ale ynajmniej z twórczości dalszej nie rezygnował.

A jest to twórczość nienajłatwiejsza, gatunku literackim nakładającym na isarza wyjątkowo ciężkie rygory.

Bajka ma swój rodowód zaczynający ię nie tylko od greckiego Ezopa z VI ieku przed naszą erą. Radziecki pisarz, N. Stiepanow, autor monografii Kryłowie, wywodzi ten gatunek literacki — za innymi radzieckimi historykami literatury — z okresu społeczeństwa przedklasowego, ze współżycia udów pasterskich i koczowniczych z rzyrodą, z epoki oswajania zwierząt la użytku i potrzeb ludzkich. Z obserracji ich cech charakterystycznych, nayków i przyzwyczajeń zrodziło się owo rótkie opowiadanie, pozornie o zwieętach, a w rzeczywistości o ludziach. ypowość cech zwierzęcych, wspólność ech łącząca gatunek, a powstała w wiązku z warunkami bytu, sposobem dżywiania się, klimatem itd., stwaała podstawę dla zrodzenia się owego realistycznego typu opowiadania, owstania szeregu wątków, sytuacji, tóre stały się dziedzictwem literacim pokoleń.

Bajka do dziś posługuje się typem wierzęcym, upatrując w nim cechy łaściwe i człowiekowi lub też pewym grupom ludzkim. Prawdopodobnie w człowiek pierwotny, który wieczoem przy ognisku układał bajkę, nie iał zamiaru ukryć pod nazwą zwierzęcia człowieka, o którym myślał. Prymityw życia ludzkiego, zdobywanie przezeń dopiero wyjątkowej pozycji w przyrodzie nie oddzielało go zbyt głęboko przepaścią od czworonożnych mieszkańców puszcz i kniei. To porównanie zwierzęcia z człowiekiem nie było wówczas tak dalekie jak dziś, nie posiadało cech tak dalekiej przenośni.

W społeczeństwie klasowym charakter bajki zmienia się; staje się ona formą satyry, nieraz niezwykle zawoalowanej, stanowiącej krytykę istniejących stosunków społecznych, aczkolwiek siła tej krytyki nie jest zawsze jednakowa i rzadko tylko sięga do istoty ustrojowego zła. Niewolnik z bajki Ezopa (bo nie zawsze za pośrednictwem zwierzęcia, ale i bezpośrednio człowiek bywa bohaterem bajki), który był na tyle mądry, że w daleką drogę wziął na plecy cięższy worek z jedzeniem zamiast lżejszego ze złotem i przy końcu podróży nie niósł żadnych ciężarów — to tylko moralne pouczenie, życiowa praktyczna rada, a nie oskarżenie niewolniczego ustroju. La Fontaine w wieku XVII we Francji jest wskrzesicielem bajki i twórcą jej nowych tradycji. Ale i on nie sięgnął do głębi ustroju feodalnego. Nie był w bajce ani Diderotem, ani Wolterem, ani tym bardziej Beaumarchais. Podobnie bajka polska, wywodząca się z tradycji, poczynających się od Biernata z Lublina i Reja, w okresie Oświecenia sekundowała innym gatunkom literackim, torującym drogi reformom, przede wszystkim w zakresie oświaty i obyczajów. Tutaj najświetniej błyszczy imię Ignacego Krasickiego.

Nie bez powodu Benedykt Hertz w zakończeniu swojej książki zamieścił kilkanaście swych tłumaczeń z Kryłowa i tylko z Kryłowa, powołując się

nań zresztą i w przedmowie. Nasz współczesny bajkopisarz wyrósł niewątpliwie z tej zasadniczej przemiany, jakiej dokonał w bajce wielki twórca rosyjski. Zwrot ten polegał z jednej strony na głębszym sięgnięciu w istotę panującego ustroju, z drugiej zaś — na przełamaniu istniejących konwencji i na związaniu się z twórczością ludową. To pierwsze było tak zasadniczym nurtem w twórczości Kryłowa, że radzieccy historycy literatury nazywają go ojcem realizmu krytycznego, mającym decydujący wpływ na całą wielką literaturę rosyjską, poczynając od Puszkina i Gribojedowa. W trzecim akcie M ą d r e m u b i a d a Zagoriecki mówi:

Ja, gdybym był cenzorem, bajek
bym zakazał.
Życie mi zatruwają! Bajki — to
zaraza!
Kpią, znęcają się wiecznie nad
lwami, orłami,
A jedno powiem:
Zwierzęta wprawdzie, ale monarchowie.
(przekład Juliana Tuwima)

Sama aforystyczność, tok wiersza komedii Gribojedowa wskazują na wyraźny wpływ Kryłowa. Ścisłość związku bajkopisarza z ludem, jego przysłowiami i przypowieściami, jego sposobem odczuwania i myślenia, znalazła swe potwierdzenie w przejściu w mowę rosyjską niezliczonych ilości jego powiedzeń, zwrotów i przysłów. Ciekawą opinię Mickiewicza zanotował w swych zapiskach Ksenofont Polewoj: „Dowcip Kryłowa wprawiał go w zachwyt i lubił powtarzać anegdoty i wyrażenia, w których tak znakomicie wypowiadała się mądrość naszego bajkopisarza. W ogóle wydawało mu się, że Kryłow stał wyżej aniżeli jego dr kowana sława".

(Z a p i s k i, Leningrad. 1937

Nurt bajki w literaturze polskiej r zanika. Pisze bajki Mickiewicz, aut rem jednej z najpopularniejszych b jek polskich (O J a n k u, c o p s o s z y ł b u t y, którą stary Grzego opowiada Kordianowi) jest Słowac Ale istotny zaczątek tego, co w lit raturze rosyjskiej reprezentował Kr łow, realizmu krytycznego, znajduj my u pomniejszych pisarzy owego kresu jak np. przede wszystkim u A toniego Goreckiego. Podobnie przy p mocy bajki w latach siedemdziesiąty walczy krakowski D i a b e ł, a auto stwo tych bajek pozostaje jeszcze z daniem do odszyfrowania.

Pełnym wyrazicielem owego nur w okresie rozwoju kapitalizmu, prze ścia jego w fazę imperialistyczną i okresie przedrewolucyjnym stał właśnie Benedykt Hertz, czego dow dzi niezbicie jego obecnie wyda książka. Zwraca on sam w przedmow uwagę, iż zbiór jego bajek stanowi ni jako kronikę wydarzeń polityczny na przestrzeni półwiecza. Istotn Hertz wiąże jak najściślej bajkę zadaniami satyry politycznej. Niejedn krotnie, na miejsce końcowego trad cyjnego morału, porzucając zwierzę alegorie, przechodzi wprost do atak wania przeciwnika. Dla przykła przytoczmy zakończenie W i e c p t a s i e g o, odbywającego się c lem zjednoczenia wszystkich ptak dla obrony przed wrogami. W tym z kończeniu Wróbel powiada:

Jeżeli pozwolicie, rodacy łaskaw
ja postawię wniosek taki:
„My, zebrane tutaj ptaki,
żądamy, by nas nikt nie zjadał,
by piskląt nikt nie wykradał,

bo do jedzenia Pan Bóg ziarnka daje,
wreszcie robaczki..."
— A ten co tam baje! —
przerywa nagle Jastrząb rozgniewany. —
Waść nie wiesz chyba, na co wiec zwołany.
Nie idzie o to, co kto będzie jadał,
lecz by ptakami — jedynie ptak władał.
Porządek trzeba zaprowadzić taki,
by ziarnkożerców nie zjadały ssaki...
— A jeśli mi piskle zje Bocian lub Sowa?
— Głupiś! To nie jest, gapiu, kwestia narodowa.

Ta demaskatorska, antynacjonalistyczna postawa znajduje swój wyraz również w bajce pt. I d e a l i s t a, noszącej znamienną i wiele mówiącą datę roku 1905:

Aż Knur jeden, znudzony kwikiem plebsu: „żryć!",
pysk, jadłem uwalany, oparł na korycie
i — mlaskając smakowicie — rzekł:
— Motłochu, wstydź się, wstydź!
Alboż w naszym życiu całem
tylko żarcie — ideałem?...
Czyż nigdy was nie wzrusza żadna myśl wznioślejsza?
Czy głodu cielesnego duchowy nie zmniejsza?...
Wierzaj mi, braci młodsza: nie dla sadła żyjem!

Tu urwał — i w pomyjach znów zatonął ryjem.

Jak z tego widać, burżuazja polska, swym nacjonalizmem i lojalnością obec rządów zaborczych, nie miała Hertzu ani swego przyjaciela ani zwolennika. Sfora psów zbuntowała się przeciwko pańskiemu zakazowi, wydanemu w sprawie merdania ogonem. Ale same psy podsuwają panu pomysł zlikwidowania buntu:

Zamiast prawić morały, cnót bronić kijami,
pozwólcie nam legalnie merdać ogonami.

Oto lapidarnie ujęty program walki burżuazji polskiej o autonomię.

Również pod znamienną datą roku 1919 pisze Benedykt Hertz bajkę o tym, jak zbieranie pszenicy polecono Wróblowi, Wiewiórce opiekę nad ptasimi gniazdami, Niedźwiedziowi czuwanie nad pszczelnymi ulami, Kotu czuwanie nad bezpieczeństwem Szczurów, a Świni zadanie osuszania błota. Wszystko skończyło się buntem Źrebaków przeciwko narzuconej im opiece Wilka i znów typowe zakończenie z satyrycznym przerzutem, już pozbawionym wszelkich obsłonek:

U nas, gdzie spekulację kupcom zwalczać każą,
drożyznę węgla — węglarzom,
a lichwę mieszkaniową — domów gospodarzom;
kogo trzeba, niech bajka moja opamięta,
bo i w Polsce Wilk może trafić na Źrebięta.

Tak ujął bajkopisarz sytuację w Polsce burżuazyjnej. Jesteśmy więc bardzo już daleko od wskazań Krasickiego:

Bajka częstokroć sens moralny mieści,
Stąd Ezop bajką sprawiedliwie słynie,
Źle czyni, który gardzi przypowieści,

Smaczny to owoc, choć w podłej łupinie.
Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści
Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie,
Na ten czas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
I na kształt próchna świecą, a nie grzeją.

Benedykt Hertz należy w literaturze naszej do szeregu tych pisarzy, którym zawdzięczamy rozwinięcie i pogłębienie bajki od moralizatorstwa w stronę satyry, w stronę świadomie krytycznego stosunku do burżuazji i ustroju kapitalistycznego, w stronę użycia bajki jako artystycznej broni w walce politycznej. Już za czasów Kryłowa i po jego śmierci podobna walka rozegrała się w literaturze rosyjskiej, a ostateczne zwycięstwo nad tendencjami ogólnego moralizatorstwa w bajce odniesione zostało przez Demiana Biednego, pisującego bajki na łamach P r a w d y przed Rewolucją Październikową i po jej zwycięstwie, a jego sukcesy rozszerzali inni twórcy radzieccy z Sergiuszem Michałkowem na czele.

Benedykt Hertz w bajkopisarstwie polskim współzawodniczył z Janem Lemańskim i Julianem Ejsmondem. Pierwszy roztapiał bajkę w wielomównym liryzmie, drugi odebrać jej pragnął znaczenie polityczne. Za motto do książki Ejsmonda służyły następujące słowa:

Pytano się raz ptaka, co bujał w lazurze,
czy jest z lewa, czy też z prawa?
„bo to bardzo ważna sprawa..."
odparł na to: „Jestem — w górze..."

Oczywiście ta postawa apolityczności bajkopisarza, głoszona programowo przez Ejsmonda, miała swoją treść polityczną, skierowaną przeciwko stanowisku, reprezentowanemu przez Hertza. Ten, choć popełniał niewątpliwie pomyłki, nie należał — jak Ejsmond — do tych, którzy „nikogo obrażać nigdy nie zamierzali". Stąd wielki życiowy artystyczny sukces. Stąd żywotność bajki Hertza, stąd jej wysoka pozycja w naszej literaturze.

Ten 79-letni młodzieniec, do dziś powodzeniem uprawiający ten rodzaj który już chwalił Kryłow, mówiąc, że „zrozumiały jest dla każdego: czytającego i słudzy i dzieci", jest dziś czarującym fenomenem literatury — klasykiem, którego nie tylko możemy czytać ale i z nim rozmawiać, klasykiem żywym.

Musi być w Benedykcie Hertzu jakaś tajemnica, która pozwoliła mu nie przetrwać, ale przeżyć młodym pewieku twórczości i pozostać zrozumiałym i bliskim nam dzisiaj, w roku 1951. Ta nietajemnicza tajemnica — właśnie ścisły związek z językiem narodu, z ludowymi przypowieściami przysłowiami. Hertz przetrwał i opasię wszystkim złym wpływom literackich okresów, które przemijały, a ze swoimi bajkami pozostawał. Zaczpisać u schyłku pozytywizmu. Nie miała na niego wpływu ani młodopolskczyzna, ani futurystyczne wybryki, aS k a m a n d e r. Zaczął jako realista, jako bajkopisarz nawiązujący najlepszych tradycji bajkopisarstww literaturze polskiej i w literaturświatowej, rozwijając te tradycje związku z rozwojem życia politycznei społecznego. To, co zachwyca czytenika, poza wszystkimi innymi wartociami utworów Hertza, to czystość świeżość jego języka, jego prostota jednoznaczność. Jest on artystą ludwym, nie tylko dlatego, iż czerpie z jzyka i pojęć ludowych, ale dlatego, wzbogaca swoją twórczością język, jego zwroty.

„Czasem upór najlepszą bywa głu-
ich bronią"; „skoro na małe prosię
ak łakomyś ninie — ubij przódziej
am w sobie starą, wielką świnię";
nieraz bywamy szlachetni i czyści,
dy grzech nie daje korzyści"; — te
inne zwroty, a takich w bajkach Her-
za pełno, zasługują na pełne przyswo-
enie do żywego języka naszego, mogą
o wzbogacić i ożywić.

Zawód bajkopisarza — niełatwy.
ajka to chyba najbardziej skondenso-
vany utwór literacki. Bieliński już
auważył, że bajki Kryłowa są nie-
wykle sceniczne, że był w nim mate-
iał na świetnego komediopisarza. Bo
ażda bajka, oczywiście bajka dobra
dobrze napisana, to komedia saty-
yczna, zawarta w kilkudziesięciu
ierszach. Dorobek największych baj-
opisarzy jest wyjątkowo skromny
ościowo w porównaniu z dorobkiem
isarzy innych gatunków. Ot, jeden
om i to wszystko. Ale samotnością
kiego tomu i nawet jego grubością
ie można mierzyć znaczenia bajkopi-
arza. To znaczenie artystyczne, poli-
yczne mierzyć należy innymi katego-
iami. Nie jest przypadkiem, że wśród
ytat literackich, tak często używa-
ych przez Lenina i Stalina, Kryłow
najduje się na jednym z pierwszych
niejsc. Ba, w oficjalnych radzieckich
dokumentach państwowych nie brak
ieraz powoływania się na wielkiego
ajkopisa. W komunikacie Radziec-
iego Biura Informacyjnego, podsu-
nowującego w roku 1944 wyniki trzech
at wojny w obronie Ojczyzny, czyta-
ny:

„Teraz jasne jest dla wszystkich, że
itlerowcy, zamierzający podbić cały
wiat, wzięli się do zadania przewyż-
zającego ich siły. Sytuacja hitlerow-
kiej kliki przypomina los tej żaby z
ajki Kryłowa, która zapragnęła zrów-
nać się z wołem, zaczęła sapać i nady-
mać się, ale z wysiłku pękła i zdechła".

Podobnie napisano między innymi w nocie rządu radzieckiego do rządu jugosłowiańskiego z dnia 29 sierpnia 1949 roku:

„Trzeba, jakkolwiek to smutne, stwierdzić, że ludzie radzieccy i społeczeństwo radzieckie zaliczają rząd jugosłowiański do kategorii dezerterów, nie przypadkowych, lecz złośliwych. Należy dalej zaznaczyć, że złośliwi dezerterzy także bywają różni: są złośliwi dezerterzy, którzy czują swoją winę, ciężko przeżywają swą hańbę, usiłują pozostać nie zauważeni, próbują nie rzucać się w oczy i zachowują się niemalże skromnie. Ale są i tacy złośliwi dezerterzy, którzy z hańby swej robią interes dochodowy, chełpią się krzykliwie swą dezercją, jakby swego rodzaju bohaterstwem, wyskakują raz po raz na widownię, by obszczekać ten sam obóz, z którego zbiegli, chwalą się bezwstydnie tym, że zawsze mogą obszczekać ten obóz i że nie są zatem jakimiś zwykłymi dezerterami, lecz bohaterami. Kropka w kropkę jak w bajce Kryłowa: „Ale piesek chyba silny, bo szczeka na słonia".

Cel tych przytoczeń jest jasny. Przykłady z Kryłowa uplastyczniają myśl polityczną, służą do jeszcze lepszego, głębszego jej wyjaśnienia. Jest to najwyższa ranga i najwyższe wyróżnienie, jakie może być udziałem pisarza. Zwroty te mają szczególne znaczenie dla obywatela radzieckiego, który zna Kryłowa w przekładach na pięćdziesiąt języków narodów radzieckich. Jest to rezultat zarówno dawnej pupularności Kryłowa jak i szerokiego rozpowszechnienia jego bajek w okresie po Rewolucji. Jest to rezultat niezwykle szerokiego upowszechnienia literatury — zarówno rosyjskiej jak i innych narodów radzieckich, jak i obcej — w radziec-

kim społeczeństwie. Jest to nadanie literaturze znaczenia, jakiego nie miała nigdy dotychczas, w żadnym ustroju poza ustrojem socjalistycznym — znaczenia wzbogacającego język najszerszych mas, ich uczucia, myśli i wyobraźnię.

Ludowość i realistyczność bajki, tak nieodłączne od tego gatunku literackiego, w szczególny sposób umożliwiają jej szerokie rozpowszechnienie. Oczywiście warunkiem tej popularności jest żywotność gatunku literackiego i na to właśnie przy okazji Benedykta Hertza zwrócić trzeba uwagę. Kto czyta prasę radziecką, kto czyta K r o k o d y l a zauważy, jak popularna jest w Związku Radzieckim forma bajki. Używają jej nie tylko zawodowi pisarze; i niejeden korespondent wyraża swe myśli i spostrzeżenia w tej formie literackiej. Nie jest to przypadek, że bajka rozkwita i rozwija się dzisiaj wyłącznie chyba tylko w Związku Radzieckim. Jest ona bowiem z natury swojej realistyczna. Z założenia operuje typem, zespołem cech reprezentowanych przez zwierzęta, wyobrażające ludzi. Jest zarazem uogólnieniem satyrycznym pewnych cech i sytuacji. Stąd możliwość jej rozwoju od realizmu krytycznego do — socjalistycznego.

Na naszym etapie historycznym wzór stworzony przez Benedykta Hertza ma niezwykle wielkie znaczenie. W bajkach swoich bowiem, tak jak np. w tych o wiecu ptasim czy o wieprzu-idealiście podniósł on zespół cech zwierzęcych na poziom cech całej klasy społecznej. Wydaje się, że w naszej sytuacji, w naszej toczącej się walce bajka odegrać by mogła w satyrze i w literaturze w ogóle olbrzymią rolę. Historia bajki polskiej nie powinna być zamknięta na tym, czego dokonał Hertz. Trzeba, ażeby młodzi pisarze i satyrycy spróbowali podjąć to, czego dokonał Hertz, rozwinąć świetną tradycję bajki polskiej w dzisiejszych nowych warunkach, napełniając ją bogatą, nową treścią naszych czasów.

Jan Szeląg

JÓZEF PRUTKOWSKI: *Cicha Lip* Awir, Katowice, 1946; str. 62. *Ostry piórem*, Prasa Wojskowa, Warszaw 1950; str. 27. *Do żywego*, Czytelni Warszawa, 1951; str. 80.

Józef Prutkowski zaczął pisać prze wojną, uprawiając równocześnie liryk i satyrę. W tym też czasie wydał pierw sze swe zbiorki poetyckie. Przedwojen na jego satyra zawierając pewne ele menty postępowości, chociażby z względu na swój antyhitlerowski cha rakter, mieściła się całkowicie w ra mach satyry mieszczańskiej. Dopier lata wojny, lata przebywania w Związ ku Radzieckim a potem w szeregac Pierwszej Dywizji zmieniły jego światc pogląd. To, co pisał w wojsku, to, c pisał po wyzwoleniu kraju, niepodobn było do jego poprzedniej twórczośc Nie znaczy jednak, że i potem, w póź niejszych latach nie ulegał wpływo poezji mieszczańskiej, że jako satyry nie lubował się w smaczkach wywo dzących się z atmosfery przedwojenn kawiarni lub kabaretu. Oczywiście był już nurt wtórny, drugorzędny, z któreg wyzwalał się dość szybko. Duży i do datni wpływ na jego twórczość wywarł środowisko robotnicze, z którym zet tknął się w czasie kilkuletniego przeby wania w Katowicach. W tym czasi założył i wydał pismo satyryczne K c y n d e r, którego był jednocześn głównym współpracownikiem pisza wiersze, fraszki i felietony. Łatwoś w pisaniu ujemnie wpłynęła w ty okresie na jego twórczość To, c było dowcipne i wartościowe w po myśle, traciło swoje ostrze wsku tek nieprzemyślenia, pośpiechu i b

atelizowania formy poetyckiej. Sta- dążność do upolitycznienia saty-, zdolność obserwowania zjawisk ży- a, stała współpraca z gazetami (Prut- owski od kilku lat prowadzi dodatek atyryczny w Trybunie Wolno- ci) pozwoliły mu stopniowo wyzwa- ć się z poprzednich błędów.

Po wojnie Prutkowski wydał trzy biorki satyr: Cicha lipa, Os- rym piórem i Do żywego. ajsłabszą pozycją jest Cicha lipa. ie wpływy złej przedwojennej satyry, ośpiech w pisaniu, ślizganie się po po- ierzchni tematu sprawiły, że większość ierszy zawartych w tej książce wy- ląda raczej na szkice. Z książki saty- cznej, która mogła być wklęsłym wierciadłem swoich czasów, czegóż łaściwie dzisiaj można się dowiedzieć? Większość utworów to żarty, nie zaw- ze zresztą udane, na bardzo poważne ematy. Zdawałoby się, że książka, któ- a wyszła w Katowicach w 1946 roku, owie coś o robotniczym środowisku, o go walce i troskach. Niestety i pod m względem czytelnika spotyka za- ód. Jeśli Prutkowski pisze o Śląsku, po to tylko, aby wykpić śląskich li- ratów. Zresztą pod względem tema- cznym książka ta obraca się w dość ąskim kręgu zagadnień. A więc: wal- a z szabrownikami, lizusami, karierо- iczami, ze świętomanią. Satyryk wy- niewa literatów. Żartuje, dowcipkuje iekiedy tylko dla jednej pointy. Źle się ało, że krytyka nasza długo nie uzna- ąca satyry jako gatunku literackiego, zemilczała tę książkę, bynajmniej nie omagając pisarzowi w przezwycięże- iu jego błędów i wad.

Drugi zbiorek, Ostrym piórem, wierający zaledwie 16 krótkich utwo- ów, dodatnio odcina się od poprzedniej siążki. Ton utworów staje się poważ- y. Z bezstroskiego satyryka Prutkowski rzekształca się w uważnego obserwa- tora życia, deklaruje się ideologicznie, walczy o swoją ideologię. To, co roz- pływało się uprzednio, nabiera teraz jednoznaczności. Satyra staje się pozy- tywna. Poruszając niektóre tematy, któ- re dostrzec można w poprzedniej książ- ce, Prutkowski opracowuje je znacznie staranniej. Satyra ukonkretnia się, a równocześnie nabiera ostrości. Podkre- ślić należy, że Prutkowski dużo uwagi poświęca sprawom krajowym. Nie u- cieka, jak to czyni wielu satyryków, nie- malże wyłącznie do tematyki zagra- nicznej, która w wielu wypadkach spro- wadza się do schematycznych uogólnień. Dostrzegając fakt lub zdarzenie godne satyrycznego ujęcia, Prutkowski obudo- wuje utwór swój realiami i to jest zale- tą jego wierszy. Pod tym względem naj- bardziej typowe są tego rodzaju wier- sze, co: Antyszabrownik, Arystokratki lub Cennik i Sennik. Drugą cechą tych wierszy jest ich żartobliwy ton. Nie mając cech satyry patetycznej, podniosłej, poru- szającej szersze zagadnienia, satyra Prut- kowskiego często celnie i trafnie pod- patruje pewne przejawy życia, w które godzi swoim satyrycznym piórem.

Trzecia książka Pruszkowskiego Do żywego ukazuje dalszy rozwój tego poety. Powtarzając co prawda co naj- mniej trzecią część poprzedniej książki Prutkowski rozszerzył znacznie swoją te- matykę, wnosząc szereg nowych elemen- tów. Książka została podzielona na roz- działy, które podkreślają wagę poruszanych zagadnień. Satyry jego nabrały sarkazmu, gorzkiej ironii, i ze względu na swój ton stoją właściwe na pogra- niczu liryki i satyry. Inne wiersze to walka z alkoholizmem, plotkarstwem, ze spekulantami, z biurokratami, z nie- udolnymi dyrektorami odrywającymi się od mas. Zajmuje się również sprawami źle pojętej kultury, este- tyzowaniem i formalizmem. Cykl

Omnibusy przynosi dobrze podpatrzone postaci. Cykl Wiersze sportowe oraz Na budowie poświęcony jest pozytywnej wewnętrznej krytyce. Wymieńmy dla przykładu tytuły: Plan Sześcioletni, Na budowie, Defilada. Nowe kobiety. Wiersze te oparte na jakimś konkretnym fakcie, odzwierciedlają to nowe, które powstaje w naszym życiu. Nie będąc naturalistycznym odbiciem rzeczywistości wiersze te przekonują czytelnika częstokroć swoim jasnym i prostym rysunkiem. Tego rodzaju satyra bezsprzecznie może spełnić swoje konstruktywne zadanie. Nie ośmiesza dla ośmieszenia, nie kpi tylko po to, aby kpić, krytykuje, aby naprawić, agituje, walczy.

Wyszedłszy z wąskich schematów poprzednich wierszy Prutkowski zaczyna zwracać uwagę na formę swoich utworów — z większą już dbałością opracowuje swoje tematy. Prutkowski na ogół mówi prosto używając słów potocznych i zrozumiałych. Wychodząc z postskamandryckiej zwrotki zaczyna już poszukiwać innych wzorów. Dostrzec można oddźwięki poetyki Majakowskiego, zwłaszcza w wierszach antyimperialistycznych. W utworach żartobliwych, ironizujących używa form piosenki, chętnie posługuje się czterowierszem. Operuje humorem, jest dowcipny, wiersz jego jest płynny, dający się łatwo zapamiętać. Prutkowski często jeszcze dla dobrej pointy gotów jest napisać długi wiersz, dla jednego powiedzenia niejedną zwrotkę. Za mało jeszcze zwraca uwagi na styl, który często razi niedbałością. W utworach jego można znaleźć niejednokrotnie cały szereg puszczonych całkowicie zwrotek, które można było i należało przepracować.

Ostatnia książka Prutkowskiego jest krokiem naprzód w rozwoju jego twórczości. W ciągu ostatnich lat dużo si nauczył. Prutkowski jest uzdolnionym satyrykiem i zapewne napisze jeszcz niejeden dobry utwór, oczywiście jeśl jeszcze surowiej ustosunkuje się d własnej twórczości.

Jan Śpiewak

FELIKS DZIERŻYŃSKI: *Pisma wy brane*, Wydział Historii Partii KC PZPR Książka i Wiedza. Warszawa, 1951 str. 494. *Pamiętnik więźnia*, Książk i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 100.

Ważnym ogniwem w rozwoju socja listycznej świadomości naszego narod jest znajomość historii walk rewolu cyjnych polskich mas ludowych, a w szczególności polskiego proletariat i pracującego chłopstwa w w. XI i XX.

Historia naszych walk rewolucyjnyc szczyci się posiadaniem wielkich po staci przywódców, których sława i zna czenie wykraczały zarówno poza gra nice Polski, jak i daleko poza czas ic działalności.

Przedwojenna historiografia i litera tura w większości pozostające na usłu gach burżuazji (nie mówiąc już o „ofi cjalnej" propagandzie prasowej, radio wej i szkolnej) zakłamywała tę stron naszych dziejów; nie dostrzegała, b dostrzegać nie chciała, historii wal mas ludowych o wyzwolenie spod jarz ma feudalnego i obszarniczo-kapitali stycznego. Szkalowała tkwiącą w ma sach pamięć o bohaterach walk klaso wych, zabezpieczając się w ten sposó przed możliwością ich rewolucjonizu jącego wpływu na masy. Burżuazja sta rała się pozbawić ruch rewolucyjny hi storycznych korzeni, rozerwać jego cią głość, a odrywając proletariat od teo retycznego i praktycznego dorobku na rzucić mu swą ideologię.

Walcząc z pozostałościami tej ideologii powinniśmy coraz lepiej i coraz głębiej poznawać piękne karty naszych ruchów społecznych i wiedzieć, jakie miejsce zajmują one w rozwoju naszego narodu; pilnie studiować życie i działalność przywódców proletariatu; uczyć się od nich nie tylko mądrości i przenikliwości w praktycznych zagadnieniach walki, ale również męstwa, bezkompromisowości, ofiarności i wytrwałości.

„Uczmy się żyć tak, jak żył Feliks Dzierżyński" — powiedział Prezydent Bolesław Bierut.

I dlatego uroczysty obchód 25-lecia śmierci Feliksa Dzierżyńskiego był nie tylko hołdem i wyrazem wdzięczności, jaką naród polski składał swemu wielkiemu synowi, ale głównie pragnieniem nauczenia się, jak żyć dla sprawy proletariatu, dla sprawy narodu, dla sprawy ludzkości.

Życie i dorobek myśli Feliksa Dzierżyńskiego stały się własnością całego narodu i będą zawsze źródłem siły i natchnieniem w jego dalszej walce o zwycięstwo socjalizmu.

Uczyć się życia Dzierżyńskiego należy przede wszystkim z jego własnych pism, które pokazują trudny szlak bojowy: od socjaldemokratycznych kółek samokształceniowych, rewolucji 1905 r., poprzez carskie kazamaty i katorgi, do pracy na stanowisku członka KC WKP(b), przewodniczącego WCzK, potem OGPU, ludowego komisarza komunikacji, wreszcie przewodniczącego Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej, walczącego o odbudowę i rozbudowę socjalistycznego przemysłu ZSRR.

Życie Dzierżyńskiego wplecione jest w dzieje socjaldemokratycznego ruchu robotniczego i rewolucji socjalistycznej w okresie 1898—1926. Nie widząc drogi, jaką przeszedł polski, rewolucyjny proletariat, nie można zrozumieć wielkości i znaczenia Feliksa Dzierżyńskiego.

Historia tej drogi, jej trudności i zadania są treścią P i s m w y b r a n y c h i P a m i ę t n i k a nawet w ich najbardziej osobistych fragmentach.

P i s m a w y b r a n e i P a m i ę t n i k pokazują czytelnikowi oblicze Feliksa Dzierżyńskiego, jego głęboko ludzką, wrażliwą i poetycką częstokroć postawę życiową, jego niezwykłą miłość życia i człowieka, szczery zachwyt dla wszystkiego co piękne i ludzkie. Bowiem Feliks Dzierżyński— „karzący miecz rewolucji proletariackiej", śmiertelny postrach dla wrogów socjalizmu — był jednym z najwybitniejszych humanistów, jakich wydała epoka walk o socjalizm. Humanistą tego typu i tej miary, jakiego może zrodzić tylko walczący i zwycięski proletariat.

Pierwszy okres działalności Dzierżyńskiego — to lata 1897—1904.

W wyniku długotrwałej pracy i walki ideologicznej, politycznej i organizacyjnej Lenina powstaje w Rosji „Związek Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej" a potem SDPRR — zalążek rewolucyjnej partii proletariackiej nowego typu.

Wraz z wrostem masowego ruchu proletariackiego i wpływów idei socjalizmu naukowego w masach, wzmaga się atak burżuazji na ruch rewolucyjny. Burżuazja sięga po nową broń politycznego i ideologicznego nacisku na partię proletariatu, czego wyrazem są różne odmiany oportunizmu w ruchu robotniczym, a uwieńczeniem agentura w łonie ruchu robotniczego, jaką był np. trockizm.

W historii polskiego ruchu robotniczego na terenach Królestwa Kongresowego okres ten charakteryzuje z jednej strony powstanie SDKPiL, jedynej re-

wolucyjnej, choć niekonsekwentnie marksistowskiej (ze względu na błędy luksemburgizmu), partii proletariatu i szybkie rozszerzanie się jej wpływów; z drugiej strony utworzenie PPS — będącej od początku agenturą burżuazji wewnątrz ruchu robotniczego, nastawionej na rozbijanie jedności proletariatu polskiego i rosyjskiego przez wszczepianie masom idei nacjonalistycznych.

Ideologiem i organizatorem SDKPiL, obok Róży Luksemburg i Juliana Marchlewskiego, był Feliks Dzierżyński, najgłębiej tkwiący w bezpośredniej pracy z masami, a w związku z tym najbliższy w praktyce bolszewickim zasadom kierowania masami.

Okres 1898—1904 jest w zbiorze P i s m w y b r a n y c h reprezentowany przez: korespondencję prywatną pisaną z więzienia do siostry Aldony, dwa wspomnienia (o Antku Rosole i o ucieczce z zesłania) oraz bezpośrednio ważne dla historii ruchu robotniczego: list W s p r a w i e u c z e s t n i c t w a SDKPiL w II Zjeździe SDPRR i notatka o pracy partyjnej w 1898 r. i inne.

W puściźnie piśmienniczej Dzierżyńskiego już z tego najwcześniejszego okresu uderza to, co później tak rozwinie i spotęguje w nim praca w szeregach WKP(b): hart, wytrwałość, niespożyta energia i wola walki, płynące z głębokiego intelektualnego i moralnego przekonania o historycznej słuszności walki o socjalizm.

21-letni Feliks w listach z więzienia pisanych do siostry tak uzasadnia swą drogę życiową:

„Prawda, mało kto naszej doli zazdrości, lecz i my, widząc jasną przyszłość naszej sprawy, widząc i znając jej potęgę, wiedząc, iż życie wybrało nas na bojowników, widząc siebie walczących o tę lepszą przyszłość — nigdy a nigdy nie zamienilibyśmy swego położenia na filisterskie spędzanie czasu. Nas mnie dręczą przykrości, bo życie nasze zawiera się w pracy dla sprawy, która stoi powyżej przykrości powszednich. Nasza sprawa niedawno się u nas narodziła, lecz rozwój jej jest nieskończony, a ona jest nieśmiertelna". (P i s m a str. 17).

A w dwa lata później ponownie więziony napisze:

„... Cierpienia okupi tysiąckrotnie to poczucie moralne, że spełniasz obowiązek tak, jak go rozumiesz. I trzeba tylko mieć to poczucie, aby zrozumieć, że my, zamknięci w więzieniach, jesteśmy szczęśliwsi od większości tych, co są na wolności, albowiem chociaż ciało nasze zakute — duszę mamy wolną, a tamci duszę mają niewolniczą..." (str. 25).

Z tego także okresu pochodzi W s p o m n i e n i e o A n t k u R o s o l e — jeden z najpiękniejszych, bo tak prostych i ludzkich dokumentów literackich poświęconych pamięci bohatera walczącego proletariatu. We wspomnieniu tym zawarta jest tak charakterystyczna dla Dzierżyńskiego miłość do człowieka i wielki dar ukazywania w człowieku jego najbardziej cennej wartości — jaką jest wierność sprawie rewolucji.

*

Rewolucja 1905 r. otwiera nowy etap w historii ruchu rewolucyjnego w Rosji i w Polsce pasując Dzierżyńskiego na płomiennego przywódcę walczącego proletariatu.

Rewolucja 1905 r. stała się probierzem proletariackiego internacjonalizmu SDKPiL, która właśnie wtedy zbliża się jeszcze bardziej do proletariatu Rosji i jego partii SDPRR.

W ogniu walk bankrutują oportunistyczne linie zdrady rewolucji realizowane przez kierownictwo PPS. Hasł

SDKPiL porywają za sobą w codzienne walce rewolucyjnej proletariackie masy członkowskie PPS.

Listy Feliksa Dzierżyńskiego pisane z centrum rewolucji w Królestwie do Komitetu Zagranicznego SDKPiL odsłaniają wielką dalekowzroczność polityczną Dzierżyńskiego, wyrażającą się między innymi w docenianiu przezeń znaczenia sojuszu robotniczo-chłopskiego dla zwycięstwa rewolucji, agitacji wśród wojska oraz zasadniczej roli partii jako organizatora i wodza mas, idącego zawsze na ich czele. Nie wszyscy działacze SDKPiL posiadali tę dalekowzroczność.

Nie rezygnując ani na chwilę z bezpośredniego, praktycznego kierowania walką mas, Dierżyński — wierny uczeń Lenina — przywiązuje ogromną wagę do rzetelnej agitacji, do rozwijania teoretycznej świadomości socjalistycznej w masach proletariatu. Bez opanowania bowiem przez proletriat „rewolucyjnej teorii niemożliwy jest i ruch rewolucyjny" (Lenin).

„Trzeba pogłębić ruch, dać masom siłę świadomości—pisze w maju 1905 r. — a my tego zaniechaliśmy, wpadliśmy w jednostronność bieżącej polityki i w ton buchalterów ruchu. My tu stwarzamy organizację — wy (tzn. KZ SDKPiL — przyp. A. O) nam dać musicie broszury, zasady, które dadzą tej organizacji życie i siłę... jest to obowiązek zagranicy i jeżeli nam tego nie da, będziemy winni upadku wpływów socjaldemokracji w masach, który nieuchronnie nastąpić musi, jeżeli nie damy tym masom świadomości" (P i s m a... str. 118).

Do cennych pozycji z okresu rewolucji 1905 r., jakie daje wybór pism należą, oprócz L i s t ó w d o K o m i t e t u Z a g r a n i c z n e g o SDKPiL, L i s t y z P e t e r s b u r g a oraz duży fragment ze sprawozdania składanego przez Dzierżyńskiego na V Zjeździe SDKPiL w imieniu Zarządu Głównego Partii.

Dają one czytelnikowi możliwość bezpośredniego zetknięcia się z problemami praktycznymi taktyki i agitacji, jakie przed SDKPiL i proletariatem polskim postawił 1905 r. Pokazują łączność między rosyjskim a polskim ruchem rewolucyjnym, które wyrazem był Feliks Dzierżyński.

Klęska rewolucji 1905 r. — opadnięcie fali rewolucyjnej jako wynik wyczerpania i wykrwawienia mas odstraszył wielu c h w i l o w y c h sprzymierzeńców partii socjaldemokratycznej, rekrutujących się przeważnie spośród inteligentów, którzy walkę o socjalizm — a w tym rewolucję — wyobrażali sobie jako nieprzerwany pochód „od sukcesu do sukcesu".

Lata reakcji stołypinowskiej były niezwykle ciężką szkołą dla rewolucjonistów tak rosyjskich jak i polskich. Wymagały bowiem niezachwianej wiary w rewolucyjne możliwości proletariatu, wymagały wierności dla nauki marksizmu i walki o socjalizm.

Próbę tę chlubnie przebyła partia bolszewicka, przebyła ją także SDKPiL, a spośród tysięcy więźniów po 1905 r., Feliks Dzierżyński, osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej w 1908 r., a następnie w 1909 r. zesłany na Sybir. Tak rozpoczyna się trzeci okres życia Feliksa Dzierżyńskiego.

W więzieniu, z dala od towarzyszy walki pisze Dzierżyński P a m i ę t n i k w i ę ź n i a.

Tylko głębokie zrozumienie istoty rewolucyjnej teorii Marksa i niezwykle mocna więź z ruchem, wykuta w rewolucyjnej praktyce, mogły w tym tak ciężkim dla rewolucji okresie podyktować Dierżyńskiemu słowa, których sugestywny optymizm dzisiaj jeszcze napawa otuchą i wiarą:

„Gdzież wyjście z piekła obecnego życia, w którym panuje wilcze prawo wyzysku, ucisku, gwałtu? Wyjście w idei życia harmonijnego, życia pełnego, obejmującego całe społeczeństwo, całą ludzkość — idei socjalizmu, w idei solidarności mas pracujących. Idea ta już przychodzi, już lud otwarte serce ma dla niej... Trzeba skupić szeregi głosicieli tej miłości i nieść wysoko jej sztandar, by lud go dojrzał i poszedł za nim. I to jest dziś najpilniejsze zadanie socjaldemokracji.

Socjalizm powinien przestać być wyrozumowanym ujęciem przyszłości, i stać się powinien pochodnią, która zapalać będzie w sercach ludzkich wiarę i potęgę niezwalczoną.

Garstka mała, lecz silna ideą swą, skupi masy koło siebie, da im to, czego im brak, co ożywi je i natchnie nową nadzieją. Rząd morderców nie stworzy ładu, nie wtłoczy życia w stare ramy, a krew niewinnych i głód, i cierpienie mas ludowych — płacz dzieci i rozpacz matek — te ofiary, które złożyć musi, by pokonać wroga i by zwyciężyć — nie pójdą na marne."

W okresie, gdy chwilowi sprzymierzeńcy i ideolodzy mieńszewiccy szkalowali rewolucję 1905 r., a proletariat ogłosili niezdolnym do zdobycia władzy — Dzierżyński po leninowsku oceniał znaczenie 1905 r. jako próby sił proletariatu i rewolucyjnego chłopstwa. Pisał on:

„... Jakąż kolosalną pracę wykonała już rewolucja: rozlała się wszędzie, obudziła umysły i dusze, tchnęła w nie nadzieję i tęsknotę i cel im pokazała. Tego żadna siła nie wyrwie. I jeżeli dziś my, widząc, jak zło okrutnie się rozpanoszyło, z jakim cynizmem ludzie zabijają ludzi dla marnej zdobyczy, wpadamy w rozpacz nieraz, to popełniamy błąd straszny, nie widzimy dalej swego nosa, nie czujemy tego procesu zmartwychpowstania ludów". (P i s m a... str. 190—191).

Okres ten w P i s m a c h ... zasługuje w korespondencji prywatnej do siostry Aldony i żony Zofii.

*

Wielka rewolucja socjalistyczna 1917 roku, rozbijając carat i jego więzienia, wyzwoliła Dzierżyńskiego, rozpoczynając następny, niezwykle doniosły okres jego rewolucyjnej walki w szeregach rosyjskiego ruchu robotniczego.

Jako członek komitetu wojskowo-rewolucyjnego a potem przewodniczący WCzK, Dzierżyński broni władzy radzieckiej, służąc tym samym nie tylko sprawie polskiego ale i rosyjskiego proletariatu. Na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad w imieniu SDKPiL Dzierżyński oświadcza:

„Wiemy, że jedyna siła, która może wyzwolić świat, to proletariat walczący o socjalizm. Triumf socjalizmu stworzy wyzwoloną Polskę jako wolną wśród wolnych, równą wśród równych, w braterskiej rodzinie wspierających się nawzajem ludów".

Głęboki internacjonalizm i rzeczywisty patriotyzm, wyniesione z walk polskiego proletariatu pozwoliły Dzierżyńskiemu stanąć na odpowiedzialnym posterunku, jaki wyznaczyła mu partia bolszewicka dla obrony pierwszego kraju socjalizmu.

W okresie najcięższych zmagań z kontrrewolucją, pisze do żony:

„Jestem w ogniu walki — życie żołnierza, który nie ma wypoczynku, bo musi ratować dom nasz. Nie ma czasu by myśleć o swoich i o sobie. Praca walka straszna... Wysunięto mnie na posterunek w pierwszej linii i wola moja — walczyć i patrzeć otwartymi oczyma na całą grozę położenia i samemu być strasznym, by jak pies wierny rozszarpać złodzieja... Lecz serce me

ej walce pozostało żywe, to samo co awniej". (P i s m a ... str. 225).

I to wiecznie żywe, gorące serce bije pod okólników redagowanych przez Dzierżyńskiego, broniących władzy radzieckiej. Na okólniki te zwracał oczy proletariat całego świata, śledząc z naięciem, jak powstaje pierwsze w dziach ludzkości państwo, wywalczone i ządzone przez ludzi pracy.

Tylko niezwykle mocne umiłowanie życia — pięknego i uczciwego życia komunisty — mogło dać Dzierżyńskiemu aką siłę, bewzględność i celność ciosu wymierzonego w kontrrewolucję, która mierzała do przywrócenia niewoli i nędzy dla milionów ludzi pracy.

Pisma Dzierżyńskiego w latach 1917 — 920 tętnią problematyką tego okresu. ą to właściwie zwięzłe komunikaty bowe wydawane w formie krótkich oezw, okólników i sprawozdań. Informujące masy o taktyce wroga i mobilizujące robotników i chłopów do walki a śmierć i życie z wrogiem, do tropienia go aż do ostatecznego dobicia.

Do najciekawszych i najbardziej poczających należą: O b u n c i e „l e w i c o w y c h" e s e r o w c ó w, O d z i a ł a l n o ś c i W C z K. R e f e r a t n a m i e j s k i e j k o n f e r e n c j i m o s k i e w s k i e j WKP(b), W a l k a z k o n t r r e w o l u c j ą n a n o w y m e t a p i e, oraz Z a b ó j s t w o c z ł o n k ó w K C K o m u n i s t y c z n e j P a r t i i F i n l a n d i i.

*

Partia bolszewicka w 1921 r., obroniwszy młode państwo proletariackie przed interwencją wojenną międzynarodowe burżuazji, mobilizuje wszystkie siły do walki o odbudowę zrujnowane gospodarki, a potem o rozbudowę kapitalistycznego przemysłu. Nie chodząc z posterunku bezpośredniej walki z kontrrewolucją, jako przewodniczący OGPU, Feliks Dzierżyński pracuje z powodzeniem nad rozwiązaniem najważniejszych dla gospodarki radzieckiej zagadnień.

W pierwszym okresie jest nim rekonstrukcja i uruchomienie transportu.

W okresie następnym — walka o wzrost wydajności pracy, jako nieodzowny warunek zbudowania socjalizmu.

I w tej pracy Feliks Dzierżyński wykazuje, że koniecznym warunkiem zbudowania socjalizmu — jest zaufanie do mas i więź partii z masami. Myśl ta przenika jego pisma, jak np.:

O d s ł ó w d o c z y n u, C e n t r a l i z a c j a k i e r o w n i c t w a i i n i c j a t y w a p r a c o w n i k a, P r o b l e m y h a n d l u r a d z i e c k i e g o, D o w a l k i z b o l ą c z k a m i a p a r a t u k i e r o w n i c t w a.

Pisma Dzierżyńskiego z tego okresu uczą, jak łączyć gospodarczą rzeczowość i konkretność z wnikliwością politycznego spojrzenia na każdą sprawę, jak rozwijać świadomość mas a jednocześnie jak uczyć się i korzystać z doświadczeń i zdrowego wyczucia klasowego mas tworzących bogactwa narodu.

U podstaw tego bolszewickiego kierownictwa gospodarką socjalistyczną realizowanego w oparciu o masy i przy aktywnym ich udziale była leninowsko-stalinowska teza o roli mas w historii, skrótowo wyrażona przez Dzierżyńskiego.

„Byt określa świadomość, a historię tworzą ręce człowieka; przewrót październikowy już wykazał, czego może dokonać wola, zespolona wola i jedność działania klasy robotniczej" (P i s m a ..., str. 297 — 298).

W umiejętnym wyzwoleniu tej woli i skierowaniu jej w łożysko socjalistycznego budownictwa — tkwiła, wedle Dzierżyńskiego, ta emnica zwycię-

stwa władzy radzieckiej na froncie odbudowy i przebudowy przemysłu.

*

Wielki dorobek życia Feliksa Dzierżyńskiego, który tylko częściowo oddają omawiane powyżej przez nas pisma, ująć by można w dwie klamry: proletariackiego humanizmu i nieubłaganej walki z kontrrewolucją oraz internacjonalizmu i proletariackiego patriotyzmu.

Humanizm Feliksa Dzierżyńskiego jest niezwykle wszechstronny. Wielokrotnie pisze z więzienia, że dla niego walka o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm, to „żądza pełni życia, której, kto zazna, nie przeklnie żadnych cierpień, żadnych ofiar". (P i s m a... str. 191).

Miłość człowieka ujawniająca się w więzieniu ze szczególną mocą w tkliwej trosce o najbliższych towarzyszy-więźniów, znajduje piękny wyraz w słowach:

„Tu odczuliśmy i zrozumieliśmy, czym jest człowiek dla człowieka jako jego konieczna potrzeba... I jeżeli tu tęsknimy za kwiatami, to nauczyliśmy się ludzi tak samo jak kwiaty kochać... (P i s m a... str. 193).

Humanizm Dzierżyńskiego był jednakże nie tylko humanizmem słowa — ale i czynu. Tym się właśnie między innymi różni zasadniczo humanizm proletariacki od humanizmu burżuazyjnego. Prawdziwym humanistą jest ten, kto nie tylko mówi o człowieku, ale kto walczy o człowieka i jego pełny rozwój. Rozwój możliwy tylko w warunkach ustroju pełnej sprawiedliwości społecznej, a więc w ustroju bezklasowym.

Dlatego głęboki sens posiada fakt, iż właśnie przewodniczący WCzK a potem OGPU — zbrojnego ramienia dyktatury proletariatu — stanął na czele walki z bezdomnością dzieci, mówiąc między innymi:

„Część moich sił osobistych i przed wszystkim sił WCzK poświęcić ch walce z bezdomnością dzieci. Przeci widok dzieci przywodzi zawsze myśl że wszystko jest dla nich. Owoce r wolucji przeznaczone są nie dla nas, le dla nich. A tymczasem ile dzieci w kolejonych jest przez wojnę i nędz Trzeba tu po prostu rzucić się na p moc, tak jak to czynimy na widok t nących dzieci!..."

Dlatego też Feliks Dzierżyński, żar wy humanista, był tak bezwzględny gromicielem kontrrewolucji i pozost łości kapitalizmu we wszelkich zwyro niałych jego przejawach.

Wielka miłość do wszystkiego, co pi kne i dobre, czułość i troska o wszys ko, co krzywdzone i bezbronne, pozw liła mu zdobyć się na nieprzejedna nienawiść do wszelkiego zła i wyzysk pozwoliła mu konsekwentnie i be względnie gromić kontrrewolucję.

Był także Dzierżyński jednym z tyc którzy walczyli „za naszą wolność i w szą".

Internacjonalista i patriota — widzi jasno, że sprawa rewolucji socjalistyc nej w Rosji jest ściśle związana ze spr wą niepodległości Polski.

Wiedział, że budując i umacniaj socjalizm w ZSRR tym samym stwar przesłanki dla zwycięstwa socjalizm w naszym kraju.

Do końca swego życia, mimo ogrom obowiązków, interesował się sprawa rozwoju ruchu rewolucyjnego w Pols dając temu wyraz między innymi L i ś c i e d o r o b o t n i k ó D o ł b y s z a, uczestnicząc aktywn w pracach polskie sekcji III Międz narodówki Komunistycznej.

Gdziekolwiek był i z kimkolwiek wa czył — walczył dla Polski i z myślą Polsce.

I gdy się wmyśleć w to życie pełne
niestrudzonej walki i niestygnącej miło-
ci do człowieka, cisną się na usta sło-
va pięknego poematu Feliks —
A. Bezymieńskiego:

Goreje człowiek
i nie zgoreje,
gdy wielkie życie
na barkach dźwiga.
Goreje człowiek
a nie zgoreje
w płomiennym sercu
bolszewika.

Alina Osiadacz

ERZY BROSZKIEWICZ: *Kształt miło-*
ci, Cz. I i II. Czytelnik, Warszawa,
950; str. 192 + 205.

Jakie wymagania należy stawiać po-
ieści obrazującej postać, z której dum-
y jest i którą kocha cały naród? Wy-
aje się, iż odpowiedź na to pytanie
ałaby się ująć w taki postulat: pi-
arz powinien w oparciu o znajomość
raw rozwoju społecznego i doskonałą
najomość materiału faktycznego poka-
ać artystycznie prawdziwe oblicze da-
ej postaci na tle jej epoki poprzez
ryzmat jej dzieła, postępków, atmo-
fery, w której żyła i tworzyła.

Zapewne do tego wymogu można by
odać szereg innych (nie pretenduje on
owiem do przymiotnika doskonały)
ydaje się jednak, że to, co zostało na-
isane, w zasadzie ujmuje istotę zagad-
ienia.

Jak wywiązał się z tego zadania au-
or? O ile Kształt miłości od-
owiada sformułowanemu tu postula-
owi?

Broszkiewiczowi udało się uchwycić
on, przy pomocy którego od pierw-
ych stron książki trafia do czytelnika,
bliża go do postaci Chopina. Brosz-
iewicz jakby mówił: poznam was ze
sobą, jestem pewien, że zrozumiecie się dobrze, że od tej chwili będziecie sobie mieli dużo do powiedzenia. Stąd Chopin Broszkiewicza nie jest ani odzianym w togę marmurowym bohaterem, ani skarykaturowanym „wielkim człowiekiem w pantoflach". Jest po prostu Chopinem bliskim każdemu, kto kocha i rozumie kulturę polską.

Ten bezpośredni ton sprawia również, że Kształt miłości zaciekawia czytelnika.

Ale nie sam tylko bezpośredni ton jest zaletą książki Broszkiewicza, bowiem w oderwaniu od innych cech tej powieści jedynie za zręczny chwyt można by ją poczytać. Bezpośredniość Broszkiewicza — to nie tylko sposób zwrócenia się do czytelnika (rzecz sama przez się nie mało ważna) ale i metoda opisu życia Chopina. Utrzymanie tej bezpośredniości było rzeczą niełatwą. Broszkiewicz dokonał tego, ponieważ potrafił przez całą niemal książkę zachować słuszny stosunek do tego, co w życiu Chopina było przypadkowe, mało istotne; ponieważ obca mu jest postawa estetyzującego mentora, z góry bowiem, i słusznie, zakłada, że i on, i czytelnik równą do Chopina miłość czują. Czy potrafił zachować te proporcje w stosunku do rzeczy u Chopina najważniejszej — to inna sprawa, o której trzeba powiedzieć niestety przy brakach książki. Ale faktem jest, dodatnim faktem i zasługą Broszkiewicza, że wraz z Kształtem miłości zniknął fałszywy zakłamany Chopin-dandys, Chopin widziany w cieniu Delfiny Potockiej.

Jak Broszkiewicz maluje epokę Chopina? Krótko mówiąc — dobrze. Kształt miłości ciekawie i właściwie ukazuje zasadniczy kształt szopenowskiej epoki. Zbyt mało może miejsca, skoro o tym mowa, poświęcone zostało powstaniu listopadowemu, lub ściślej biorąc zespołowi zagadnień ży-

cia i twórczości Chopina, które związane są z rolą poszczególnych klas w powstaniu. Być może Broszkiewicz nie zrozumiał, że problem „Chopin a powstanie" to nie tylko „drażliwa" kwestia udziału w walce zbrojnej, ale przede wszystkim sprawa charakteru patriotyzmu sztuki Chopina.

Jeśli chodzi o tło społeczne życia Chopina, to stronice poświęcone otoczeniu Chopina i wzajemnym stosunkom i wpływom należą bezsprzecznie do najlepszych. Na pierwszym miejscu wymienić tu wypada opis środowiska domowego młodego Chopina. Bardzo słusznie, nie popadając w przesadę, pokazał Broszkiewicz, na czym polegała pozytywna, postępowa rola w życiu Chopina takich ludzi jak Elsner, Brodziński, Kolberg i Linde. Nie byli to rzecz jasna rewolucjoniści, daleko im nawet do Lelewela czy Goszczyńskiego, niemniej jednak z tego właśnie otoczenia wyrosła szopenowska jasność umysłu, która przetrwała wszelkie egzaltacje romantyzmu, w tym środowisku wzrosła świeckość Chopina (o której nie wiadomo czemu zapomniał autor), stąd zapewne i część zamiłowania do tego co w kulturze polskiej ludowe.

Tak więc dom Mikołaja i Justyny Chopinów, jak później atmosfera dyskusji z Mochnackim i Zaleskim czy salon Czartoryskich w Paryżu — wszystko to wypadło znakomicie. Broszkiewicz potrafił pokazać i wpływ poszczególnych środowisk na Chopina i jednocześnie jego samodzielność, która znajduje tak wspaniały wyraz w jego muzyce.

Warszawa, Wiedeń czy Paryż, Linde, Mochnacki czy Matuszyński, Konstancja, Delfina czy George Sand — wszędzie Broszkiewicz pamięta, że Chopin umie sam myśleć, że jest wielki tym, co czuje, co widzi i potrafi przełożyć na język dźwięków. To również zaleta Kształtu miłości, która wyróżnia tę książkę spośród innych hołdujących tak czy inaczej pojętej wpływologii.

Ten sam umiar cechuje książkę Broszkiewicza w opisie stosunku Chopina do kobiet. Nie zapominając ani na chwilę, że ma do czynienia z żywym człowiekiem a nie ze świętym z gotyckiej katedry, Broszkiewicz i w tym wypadku o głowę przerósł tych wszystkich autorów, którzy tematowi „Chopin a kobiety" poświęcili Atlantyk atramentu i Mont Blanc papieru.

Próżno by pisać, ile bzdury zgromadziło się wokół np. stosunku z panią Sand. I znów zaletą Kształtu miłości jest to, że ukazuje i wertherowsko-romantyczną podszewkę romansu z Konstancją Gładkowską i społeczny aspekt krachu zaręczyn z Wodzińską, że wykracza poza ramy plotek o George Sand. Dwie rzeczy są tu może zbyt mało uwypuklone. Pierwsza — to światopoglądowe konsekwencje, jakie musiało dla Chopina mieć zerwanie przez arystokratów Wodzińskich zamierzonego małżeństwa. Broszkiewicz pisze o tym, ale pisze za mało i nie do końca. Druga — to sprawa ewentualnego rewolucjonizującego wpływu George Sand na Chopina. Ten ostatni motyw jest zresztą dyskusyjny, chociażby ze względu na to, że w ostatecznym rachunku Chopin był o wiele większym i prawdziwszym rewolucjonistą od autorki nieszczęsnej Lukrecji Floriani.

W tym wszystkim, o czym dotychczas była mowa, Broszkiewicz, jeśli nie liczyć drobniejszych usterek, sprostał zadaniu. I niemniej... niemniej jednak nie ustrzegł się w Kształcie miłości jednej z głównych chorób naszej bieżącej literatury — deklaratywności.

W dwóch tylko, ale za to w dwóch odstawowych dla książki o Chopinie westiach Kształt miłości razi eklaratywnością. Dzieje się to wtedy, dy Broszkiewicz pisze o muzyce Chopina i o jego stosunku do sztuki ludowej.

Rozpatrzmy po kolei te dwa zasadnize dla książki braki.

W pierwszym rozdziale, niemal na początku książki, Broszkiewicz pisze: My muzycy jesteśmy zdania, że o muzyce pisać nie należy, że w słowach nie zamknie się żadnej z jej piękności. Natomiast my pisarze sądzimy, że pisać należy o wszystkim, o każdej ludzkiej sprawie. A więc o muzyce także". Czy te słowa są prawdziwe? Niewątpliwie tak. Niewątpliwie żaden opis koncertu E-moll, i również niewątpliwie autorowi powieści biograficznej nie wolno pominąć najistotniejszego elementu życia obranej przez siebie postaci. A dla Chopina tym najistotniejszym elementem była muzyka.

Powiadamy, że Chopin był wielkim patriotą i rewolucjonistą. Mamy pełne prawo tak mówić. Nie przypadkowo pisał dwa lata temu Szostakowicz, że Chopin jest najpopularniejszym spośród kompozytorów w Związku Rad — to znaczy w rewolucyjnym, socjalistycznym społeczeństwie. A gdzie szukać rewolucyjności Chopina — rzecz oczywista, że w jego muzyce. Rzecz oczywista, że patriotyzm Chopina — to nie udział w dyskusjach w Dziurce — ale jego muzyka.

Broszkiewicz wystąpił na początku książki ze słuszną tezą, ale nie pozostał jej wierny. W Kształcie miłości mówi o muzyce Chopina stanowczo za mało, a to, co mówi, jest na ogół nieładne. Nie wystarczy bowiem napisać, że muzyka Chopina jest wielka, o tym wie dziś każde dziecko w Polsce bez Broszkiewicza. Pisać o muzyce jest oczywiście bardzo trudno. Trudno, ale można. Bo, że tak jest, udowodnił sam Broszkiewicz w Kształcie miłości np. na stronicy 55, kiedy pisze o Bachu i Mozarcie.

Aby sobie uświadomić, jak mało stosunkowo miejsca zajmuje u Broszkiewicza muzyka, wystarczy zwrócić uwagę, że powieść nie trzyma się właściwie żadnej periodyzacji twórczości Chopina.

Błąd, o którym dopiero co była mowa, mści się na całej książce, obniża jej wartość, sprawia, że odkłada się Kształt miłości z uczuciem zawiedzionej nadziei i wreszcie pociąga za sobą drugie poważne potknięcie. Mowa tu o stosunku Chopina do kultury ludu polskiego, o jego patriotyzmie.

Skoro Broszkiewicz umknął przed muzyką Chopina, to tym samym musiał zrezygnować z tego, co było w jego twórczości ludowe i rewolucyjne. Broszkiewicz pisze o tym, ale po pierwsze pisze za mało a po drugie znów blado. Takie doskonałe sceny jak rozmowa z George Sand, a później z nią i z Delacroix o tendencyjności w sztuce, są rzadkie. A to, co pisze Broszkiewicz o Szafarni, po prostu nie wykracza poza ramy konwenansu. A jak wiadomo konwenans i utwór artystyczny... Stąd stosunek salonu do wsi polskiej jest w książce Broszkiewicza odwrotnie proporcjonalny niż w muzyce Chopina.

Ze wspomnianym brakiem powieści Broszkiewicza łączy się niesłuszna ocena Warszawy, jaką znaleźć można w Kształcie miłości. Pisze Broszkiewicz, że w latach młodości Chopina była Warszawa trochę Paryżem a trochę Berdyczowem. Może się autorowi to porównanie podoba, ale trzeba powiedzieć, że jest ono nieprawdziwe. Warszawa była po prostu Warszawą i to na dodatek w latach, o których pisze

Broszkiewicz, mocno zalatywała feudalną wsią polską. Że tak właśnie było, można się przekonać chociażby patrząc na malarstwo wedutowe przełomu XVIII i XIX w., nie mówiąc już o prostym wniosku, że skoro w Warszawie mieszkała szlachta i bogate mieszczaństwo — to musieli tam być chłopi feudalni i miejski plebs. Nie chodzi tu zresztą o „przyczepianie się" do jednego nieudanego porównania, a o rzecz bardziej zasadniczą, o której szopenolodzy na ogół zapominają. Chopin uczył się Polski nie tylko w czasie krótkich stosunkowo pobytów na wsi, ale przez całe swe życie w Warszawie. Śmieszne więc byłoby przypuszczenie, że polskości można było nabrać w mieście o berdyczowsko-paryskim charakterze.

Na zakończenie trzeba powiedzieć: książkę Broszkiewicza warto przeczytać, warto mimo poważnych błędów. A oto dlaczego: znaliśmy dotychczas dwóch Chopinów. Jednego kreowała jeszcze za życia arystokracja; był on po prostu bawidamkiem, dandysem, no — wirtuozem. Drugim obdarzała nas burżuazja: ten Chopin był inteligenckim neurastenikiem, warszawsko-paryskim Hamletem spod płaczącej wierzby, słowem fałszywym Chopinem z brzydkiego pomnika w Łazienkach.

Był, rzecz jasna, Chopin prawdziwy, rewolucjonista i patriota na zawsze żyjący w sonatach, mazurkach i etiudach. Tego jedynie prawdziwego Chopina znało do niedawna niewielu. Dziś, kiedy wielkość tej muzyki staje się skarbem całego narodu, książka Broszkiewicza jest cenna dlatego, że stanowi pierwszą literacką próbę odnalezienia prawdziwego kształtu życia i wielkości Chopina. Jest to zapewne próba nie bezbłędna, ale cenna i ciekawa.

Roman Zimand

ROMAN HUSSARSKI: *Nowy mu*
Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 224.

Debiut powieściowy Romana Hus
sarskiego stanowi jeszcze jedną nowa
torską pozycję literacką w cyklu po
wieści współczesnych sięgających p
wielki temat budownictwa socjali
stycznego.

N o w y m u r pokazuje pracę ro
botników budowlanych na Muranowi
przy budowie osiedla mieszkaniowego
Książkę cechuje trafność obserwacj
technicznych procesów budownictwa
poszczególnych realiów życia i prac
murarzy. Autor wprowadza nas na te
ren budowy szybkościowca, gdzie pra
cuje brygada starego Balamosa, maj
stra zdolnego, lecz zatwardziałego w
rutynie. Po zainicjowaniu współzawod
nictwa zespołowego między brygada
mi — Balamos porzuca brygadę. Prze
chodzi ona w ręce jego zastępcy Bie
leni, który wykorzystuje „ściganke" w
wąskich celach ambicjonalnych. Bry
gada pozostaje w tyle we współzawod
nictwie — grozi jej całkowite rozprzę
żenie. Robotnicy wysyłają delegacj
do Balamosa. Dowiedziawszy się, ż
Bielenia rządzi się jak szara gęś w jeg
brygadzie, Balamos powraca na budo
wę, „wyrzuca" Bielanię i obejmuje kie
rownictwo brygady, która teraz dzięk
pomysłom racjonalizatorskim i zgodne
mu, zespołowemu wysiłkowi odnos
zwycięstwo.

Balamos i Bielenia — to dobrze u
chwycone typy starych majstrów-ru
tyniarzy. Obaj nie rozumieją współza
wodnictwa, lecz ustosunkowują się d
niego różnie, każdy po swojemu. Bala
mos stchórzy i cofnie się przed „ści
ganką", Bielenia ją wypaczy, skręci
niej bicz dla podkomendnych.

Obok typów majstrów autor poka
zuje dość zindywidualizowane postaci
robotników i inżynierów. Widzimy, ja
pod wpływem współzawodnictwa wy

rabiają się nowi ludzie: Klimek — niewykwalifikowany robotnik, świeżo przybyły ze wsi, oraz Malowaniec, typ warszawskiego cwaniaka, kanciarza i kumelanta. Jednocześnie odsłania Hussarski problemy inteligencji technicznej, gdzie ścierają się dwa poglądy, dwie ideologie, burżuazyjna kosmopolityczna i socjalistyczna.

Podejmie również autor trudną próbę ukazania przekroju szarego dnia murarza i odtworzenia atmosfery społecznej budowy z całą jej tak odrębną niemal jeszcze w naszej literaturze kolorem nie ruszoną specyfikę.

Zasięgu pisarskiego spojrzenia nie ogranicza zresztą Hussarski wyłącznie do terenu budowy, lecz ogarnia nim także w przypadku Balamosa, a zwłaszcza Ostrowca, życie domowe robotnika w pełnym ekspresji migawkowym skrócie.

Do niewątpliwych zalet powieści Hussarskiego należy również język — żywy, prosty, zwięzły, nie nadużywający ani żargonu technicznego narzucającego się przy tego rodzaju tematyce, ani gwary warszawskich przedmieść, do której prowokowały łatwe wzory Wiecha.

Podstawowym zarzutem, jaki można postawić autorowi N o w e g o m u r u, jest brak, mimo pozorów, prawdziwego konfliktu, który mógłby się stać skutecznym motorem akcji i węzłem dramatycznym utworu.

Uderza nas szczególnie statyczne ujęcie postaci czołowych bohaterów pozytywnych powieści: murarza Ostrowca i inżyniera Pierzchalskiego. Ostrowiec jest postacią zupełnie skończoną i „gotową". Autor nie pokazuje przemian i rozwoju Ostrowca, mimo że jego awans społeczny z murarza trzeciej kategorii na inspektora budowlanego wskazywałby na to, że takim przemianom i rozwojowi musiał podlegać.

Dzieje się tak dlatego, że autor poprzestaje na naskórkowej, kronikarskiej relacji.

Przykładem takiego „puszczenia" ważnego problemu jest między innymi sprawa racjonalizatorskiego pomysłu Ostrowca.

„Ostrowiec — cytuję — zatrzymał się i wyprostował. Od pewnej chwili Balamos musiał po nim poprawiać niedbale ułożone pustaki. Spojrzał na niego niechętnie.

— Czego ty?

— Zaczekajcie, myśl mi przyszła".

To wszystko. Za parę minut brygada już pracuje przy pomocy wymyślonego przez Ostrowca przyrządu i odnosi zwycięstwo.

Jest to nawet bardzo prawdopodobne, ale Hussarski nie pokazuje, dlaczego i jak murarz trzeciej kategorii stał się racjonalizatorem, jak nauczył się po nowemu myśleć, dlaczego czuł się odpowiedzialny za wynik współzawodnictwa, dlaczego jego wynalazek znalazł z miejsca poparcie i zastosowanie? Co się stało z rutyną Balamosa? Jaki to miało wpływ na innych robotników, na pilnego Klimka, na ambitnego Malowańca?

Zastrzeżenia budzi także sposób przedstawienia konfliktu między inżynierem Pierzchalskim, pozytywnym przedstawicielem inteligencji a inżynierem Saratem, reakcyjnym kosmopolitą. Konflikt ten został ściszony, zamknięty w czterech ścianach gabinetu, ograniczony przez autora do wymiany poglądów i zdemaskowania ideologicznej postawy Sarata, po czym ten ostatni po prostu opuszcza bez boju Muranów.

Podobnie ma się rzecz ze sprawą współzawodnictwa. Konflikt, w jaki stawia ono ludzi z N o w e g o m u r u, jest tylko pozorny. Sama „ściganka" traktowana wyłącznie jako przezwyciężanie technicznych oporów

nie może stwarzać konfliktów dramatycznych, póki nie stanie się wyrazem przemian zachodzących w świadomości pracującego człowieka. Walka o produkcję, pokonywanie tzw. obiektywnych przeszkód stawianych przez naturę dopiero wtedy nabierze dla nas waloru pisarskiego konfliktu, jeśli stanie się wyrazem i sprawdzianem innej, bardziej zasadniczej walki — walki o człowieka i walki w człowieku.

Tymczasem konflikt, jaki w związku z zapoczątkowaniem na budowie współzawodnictwa przejawia Balamos, nie ma nic wspólnego z przełamywaniem się ideologicznym i moralnym. Konflikt Balamosa — to konflikt rutyny z urażoną ambicją. Zauważmy bowiem, że do powrotu do pracy i podjęcia współzawodnictwa bynajmniej nie skłania go jakiś przełom wewnętrzny, lecz lęk, by Bielenia na dobre nie przywłaszczył sobie brygady.

Nawet jednak i tu nie wykorzystał autor wszystkich możliwości, jakie nastręcza tego rodzaju konflikt. W osobach Balamosa i Bieleni mamy bowiem do czynienia z typowymi postawami starego majstra murarskiego, o którym trzeba pamiętać, że w czasach kapitalistycznych pretendował nierzadko do roli przedsiębiorcy i że z uwagi na charakter rzemiosła murarskiego istniały między nim a robotnikami cechowe, patronalne, a więc inne, ściślejsze stosunki pracy i zależności niż w warunkach fabrycznych. Ten charakter majstra należało więc podkreślić dla uwypuklenia i pełnego naświetlenia zagadnienia.

W sprawie Balamosa i Bieleni dużo jest zresztą momentów niezrozumiałych dla czytelnika. Balamos zbyt łatwo uprawia „bumelanctwo", na które mu kierownictwo robót i organizacja partyjna z dziwnym spokojem zezwala. Po kilku dniach powraca do pracy bez najmniejszego usprawiedliwienia, jak gdyby nie obowiązywały g przepisy o socjalistycznej dyscyplin pracy. Bielenia z kolei zbyt łatwo da się usunąć Balamosowi z brygady, a wszystkie przesunięcia personalne dzi ją się jakoś na własną rękę — autono micznie. Charakterystyczne jest zres tą, że tak istotną dla akcji scenę p wrotu Balamosa i „wykurzenia" Bi leni znamy wyłącznie ze zdawkow relacji osób trzecich.

Nie jest pogłębiona postać Klimk chłopaka ze wsi, który staje się robo nikiem budowlanym. Autor ślizga s po powierzchni zagadnienia, pomijaj wielki problem wchodzenia chłopa klasę robotniczą.

Zanalizowana przez nas wyżej ni umiejętność dostrzegania przez Hu sarskiego dialektycznych sprzeczno w życiu opisywanego środowiska, p woduje w rezultacie zubożenie akc Powieść wyradza się w reportaż l ściślej w kronikę budowy, gdzie z pisuje się chronologicznie proces p wstawania szybkościowca. Świadc o tym także sposób ustawiania osób powieści. Z braku wiążącego ich ko fliktu tkwią one w książce jak ilustr cje poszczególnych zawodów, stan wisk i typów spotykanych na bud wie, przy czym stopień zainteresow nia i uwagi, jaką im autor poświę jest niezależny od ich udziału w prz biegu akcji.

To nam tłumaczy, dlaczego zewnętr ne realia i scenki z życia robotnikó zoabserwowane przez Hussarskiego budowie stanowią w jego książce ja by wartość „samą w sobie".

Gdzie leżą źródła niedostatkó N o w e g o m u r u? Leżą one naskórkowej obserwacji ludzi i spra budowy, i w braku pogłębienia ide logicznego.

Wiąże się z tym najpoważniejs brak książki Hussarskiego — brak rz czywistego bohatera, a ściślej — uk

zania dziejów człowieka kształtowanych przez wielkie przemiany naszego czasu, o co przecież w powieści przede wszystkim chodzi. Miliony budowniczych Planu 6-letniego czekają na pozytywnego bohatera, którego losem mogłyby się przejąć, którego wzór mogłyby naśladować. Tego bohatera książka Hussarskiego im jeszcze nie dała.

Edmund Niziurski

EDMUND OSMAŃCZYK: *Młode Niemcy*, Czytelnik, 1951; str. 162.

W dniach Wielkiego Zlotu Berlińskiego ukazała się u nas niezwykle ciekawa książka — reportaże Edmunda Osmańczyka pt. Młode Niemcy.

Zlot, na którym demokratyczna młodzież niemiecka po raz pierwszy po wojnie gościła w Berlinie młodzież z całej kuli ziemskiej, uczynił sprawę młodego pokolenia Niemiec ośrodkiem uwagi ogólnoświatowej opinii. 12 sierpnia na wielkim stadionie Waltera Ulbrichta przez osiem godzin defilowała wśród nieopisanego entuzjazmu wielka dwumilionowa armia pokoju w niebieskich bluzach FDJ. Zlot Berliński zademonstrował, jaka głęboka przemiana nastąpiła w młodym pokoleniu narodu przez wiele lat zatruwanego jadami hitleryzmu.

Młode Niemcy Osmańczyka są spojrzeniem wstecz na drogi młodzieży niemieckiej po wojnie, odsłaniają źródła i siły, które doprowadziły do zasadniczych przemian wśród tej młodzieży. W naszej powojennej publicystyce rzadko która książka była równie potrzebna i oczekiwana co reportaże Osmańczyka. Jej aktualność nie jest chwilowa: z młodym pokoleniem Niemiec i naród niemiecki i postępowa ludzkość wiążą nadzieje na zjednoczenie całych Niemiec, na utrwalenie pokoju w świecie.

Edmund Osmańczyk zajmował się sprawami niemieckimi od dawna. Pamiętamy jego artykuły i reportaże z pierwszych lat po wojnie — pełne pasji i rzetelności, z których przebijała troska i obawa o dalsze losy Niemiec, o ich postępowy i pokojowy charakter. „Przyznaję szczerze — pisze dzisiaj Osmańczyk — że w tych pierwszych latach powojennych bardzo pesymistycznie patrzyłem na problem młodzieży niemieckiej. Kto i jakim zaklęciem wyzwoli ją wreszcie z wilhelmowsko-hindenburgsko-hitlerowskiej obroży, nauczy ją myśleć politycznie, to znaczy krytycznie i samokrytycznie, i tym samym uczyni ją prawdziwie wolną młodzieżą?"

Lata następne, w czasie których polski publicysta przebywa stale w Niemczech, przyniosły odpowiedź na problemy dręczące nie tylko autora Młodych Niemiec. Z kart nowej książki Osmańczyka bije wymowna prawda o wielkim wyzwolicielskim wysiłku młodzieży niemieckiej. Wraz z wydarzeniami niemieckimi, a niewątpliwie częściowo pod ich właśnie wpływem, zmienia się sceptyczna postawa Osmańczyka sprzed kilku lat, znamienna jeszcze dla „Spraw Polaków", Młode Niemcy są książką niezwykle rzetelną, udokumentowaną, przeżytą. Najbardziej powściągliwy czytelnik nie może autora posądzić ani o blagę, ani o hurra-optymizm. Demokratyczne Niemcy, a zwłaszcza młodzież z FDJ, pozyskały w Osmańczyku prawdziwego przyjaciela i mądrego rzecznika jej spraw.

W powojennym świecie najdramatyczniejsza jest chyba historia Niemiec. Niemiec rozdzielonych granicą dwu światów, jednego — który pragnie z zachodniej części kraju stworzyć przedpole nowej wojny, „buforowe" państwo

przeciwko blokowi pokojowemu; i drugiego — w którym Niemiecka Republika Demokratyczna niszcząc ślady hitlerowskiej przeszłości tworzy podstawy sprawiedliwego, pokojowego bytu. Te rewolucyjne przemiany w Niemczech stały się możliwe dzięki rozgromieniu faszyzmu niemieckiego przez Armię Radziecką, prawdziwą wyzwolicielkę ludów. Gdy jeszcze całe Niemcy znajdowały się pod okupacją, Związek Radziecki wiązał przyszłość Niemiec ze zdrowymi, antyfaszystowskimi żywiołami narodu niemieckiego, a więc przede wszystkim — z klasą robotniczą i z nieskażoną hitleryzmem młodzieżą niemiecką. Zaraz w 1945 roku powstają Antyfaszystowskie Komitety Młodzieży, zawiązywane przez młodzież wyzwoloną z obozów koncentracyjnych. W roku 1946 powstaje *Freie Deutsche Jugend*, która po 10 miesiącach liczy ćwierć miliona członków. Rok 1949 był przełomowym rokiem dla Wolnej Młodzieży Niemieckiej. „Istnieje w Niemczech — z pełnym przekonaniem pisze Osmańczyk z okazji zielonoświątkowego zlotu FDJ — siła, która jest chciwa przemiany, a w przemianie szczera i uczciwa" — tą siłą jest młodzież niemiecka. Jak doszło do tej wielkiej rewolucji w młodym pokoleniu? Reportaże Osmańczyka malują nastroje młodzieży po klęsce hitleryzmu, przedstawiają jej upadek i nihilizm. W zachodnich częściach Niemiec tę powojenną demoralizację i pesymizm podtrzymują i pogłębiają okupanci. Imperialiści tworzą teorie o niezmienności narodu niemieckiego, o nieodwracalnym zhitleryzowaniu młodzieży, o konieczności długotrwałego okupowania Niemiec, ponieważ te teorie mają im ułatwić remilitaryzację, skoszarowanie nowego Wehrmachtu, potrzebnego Ameryce w przygotowaniach do następnej wojny. Osmańczyk operuje najrozmaitszymi materiałami — pamiętnikami młodzieży, głosami prasy, posunięciami politycznymi, żeby zdemaskować treść ówczesnej polityki zachodnich okupantów.

We wschodnich Niemczech stosunek władz radzieckich do młodzieży był z gruntu inny. „Winić młodzież, obarczać ją współodpowiedzialnością za hitleryzm byłoby albo błędem, albo spychaniem młodzieży na dawne pozycje hitleryzmu". Tak Osmańczyk charakteryzuje dalekowzroczną politykę radzieckich władz w stosunku do młodzieży. O ile Związek Radziecki jest stanowczy i bezwzględny w wyrywaniu z korzeniami wszelkich pozostałości hitleryzmu, jest nieubłagany wobec hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, to tenże Związek Radziecki nie przekreśla przyszłości odrodzonego narodu niemieckiego z perspektywami odrodzenia wiąże wyrozumiały i mądry stosunek do młodzieży. Osmańczyk dokumentuje przebudzenie polityczne młodych Niemców wielu konkretnymi przykładami, pokazuje losy Manfreda i Antona, młodych chłopów niemieckich, losy Elisabeth i Roberta, górnika z zachodnich Niemiec i wielu młodych pionierów niemieckich. Z nerwem świetnego reportażysty przedstawia Osmańczyk wyrastanie młodych Niemiec, dorabianie się przez młodych ludzi postępowego światopoglądu, ich walkę z uprzedzeniami i wrogością starego pokolenia, wzrastające zaangażowanie FDJ w walce o postęp i pokój. Gdy nie wystarczają autorowi środki reportażowego stylu, rozdziały Młodych Niemiec stają się pięknymi literackimi szkicami o młodych robotnikach z Jeny, o chłopach z Meklemburgii. Można się starać streścić bogatą zawartość publicystyki politycznej zamkniętej w tej książce, ale nie da się powtórzyć opowiedzianych w

siążce dziejów wielu ludzi, historii udzi, historii rozmaitych spraw zagadnień, które tak świetnie odają dramatyczną atmosferę przeiany. „Gdybym był powieściopisazem — wyznaje autor — napisałbym owieść-rzekę, wieloplanową opoieść o czterech latach przemian nieieckiej młodzieży. W powieści tej poazałbym jak pasjonujące staje się żye ludzi i społeczeństw, kiedy doń targnie idea postępu. Pokazałbym daj, jak w życiu społecznym, ogarniętym ią postępu, nic nie odbywa się mechacznie, natomiast wszystko staje się od ebie współzależne, tak że najdrobniejzy pozytyw czy negatyw każdego człoieka naprawdę coś waży na szali ziejów". Tymi czy innymi środkami Młode Niemcy zapoznają nas i oliżają do tej problematyki. Czerpiemy z tej książki niezachwianą wiarę siły Demokratycznej Republiki Nieieckiej, której młode pokolenie wyowuje się i hartuje w duchu poępu, w duchu słynnych tradycji reolucyjnych narodu niemieckiego, w uchu przyjaźni między narodami.

Siła postępowych idei nie zna koronów, przenika i zdobywa młodzież achodnich stref. Reportaże Osmańczyka nie ograniczają się terytorialnie do RD, idą wszędzie śladami walki toczącej się w całych Niemczech. Reportaże z tamtej strony mówią o samoobronie narodu wobec poczynań przebranego faszyzmu, o ofensywie pokoju, której bohaterami są młodzi górnicy wygwizdujący na wiecu „prezydenta" Heussa, której wysłannikami są dziecięce chóry „Szpaków".

Osmańczyk w swej nowej książce nie jest korespondentem czy najbaczniejszym choćby obserwatorem wypadków niemieckich — jest ich współuczestnikiem. Ferment przemiany, temperatura walki dramatyzuje jego książkę, nadaje jej dużą wartość emocjonalną, mobilizującą. Nasza reportażowa literatura wzbogaciła się o książkę wysokiej klasy. Problemy, fakty, cyfry są tu dobitnie skomentowane, uwierzytelnione przez naocznego świadka, ożywione opisem ludzi, ich życia, ich spraw. Słusznie zadedykował autor swoje reportaże „młodzieży polskiej i niemieckiej z ZMP i FDJ", gdyż ukazują one perspektywy młodości, służą sprawie trwałej przyjaźni, uczą właściwego stosunku do młodych Niemiec. Zlot Berliński był wspaniałym wyrazem postępowości, internacjonalizmu i przyjaźni młodego pokolenia niemieckiego. Reportaże Osmańczyka mówią, jak zrodziła się ta przyjaźń.

Tadeusz Drewnowski

NA SCENACH WARSZAWSKICH

Mamy do zanotowania z okresu ostatnich miesięcy — niezależnie od przedstawień festiwalowych — pozycje następujące: Gribojedowa M ą d r e m u b i a d a, Żeromskiego G r z e c h (w opracowaniu dramaturgicznym Leona Kruczkowskiego) oraz S u ł k o w s k i, Gorkiego M i e s z c z a n i e, Moliera S z e l m o s t w a S k a p e n a, Ostrowskiego P a n n a b e z p o s a g u, Leńskiego (w adaptacji Bondyego) O j c i e c d e b i u t a n t k i, Shawa S z c z y g l i z a u ł e k, Sławina I n t e r w e n c j a — no i wreszcie jedną zupełnie nową (pofestiwalową) polską sztukę współczesną, a mianowicie Lutowskiego W z g ó r z e 35.

Gribojedowa M ą d r e m u b i a d a pokazano na scenie Teatru Polskiego w pięknym i świeżym przekładzie poetyckim Juliana Tuwima. Zdawałoby się, że taki przekład powinien zachęcić inscenizatorów do koncepcji jak najbardziej zdecydowanie opartej właśnie na tekście. Jednak inscenizacja Bronisława Dąbrowskiego — jak gdyby nie ufając tekstowi w dostatecznym stopniu — podparła go nadmiarem czysto „widowiskowych" efektów, zacierając w rezultacie wiele z polemicznej pasji autora.

Zalet przedstawienia nie będę tu wyliczał. Wykazane zostały aktem przyznania reżyserowi Nagrody Państwowej. Ale ten akt uznania dla zalet nie przekreśla pewnych dość istotnych błędów, z których należy dobrze zdać sobie sprawę dla wzbogacenia doświadczeń. Nieumiarkowane rozbudowanie owych efektów widowiskowych (a już szczególnie bezładnej i przecharakteryzowanej sceny balu, w której tonęła sprawa Czackiego niby kamień rzucony w musującą studnię) zakłóciło pro porcje utworu. Zburzyło skonstruowaną tam wprawnym piórem autora równowagę pomiędzy kołtuńskim światem feudalno-urzędniczo-carskim a przeciwstawnym mu rozumem, przyćmiło i przesłoniło twardą chociaż samotną rolę Czackiego. A przecież w konstrukcji utworu, którego cały sens polega na ostrym wypadzie polemicznym przeciwko ówczesnej rzeczywistości społecznej i obyczajowej, wszystkie postaci sceniczne i wszystko, co się dzieje, to obóz wrogi osaczonemu człowiekowi, który się rządzi rozumem i który w sytuacji ukazanej przez autora posiada jedną jedyną tylko broń — słowo. Ale ta jego broń jest potężna, dominuje w tej ście, powinna na scenie uderzać w kołtuński świat jak taranem. Dla zachowania naczelnej idei utworu słowo Czackiego powinny górować nad wszystkim, co się na scenie dzieje a nie na odwrót. W sytuacji, jaką pokazano nam na scenie, w nastroju wyolbrzymionej widowiskowo i przebarwionej groteski — Czacki, z wielkiego oskarżyciela, spadał zbyt często do roli równie śmiesznego, wałęsającego się mędrka.

Uwagi te, być może, przejaskrawiają nieco. Ale robię to dlatego, aby wyraźniej i zwięźlej — w szczupłych ramach kroniki — swój zarzut sprecyzować.

Nie mniejszej wagi wydarzeniem teatralnym w omawianym tu okresie stała się inscenizacja G r z e c h u Żeromskiego. Sprawie tej poświęcono osobną kronikę w n-rze 7 T w ó r c z o ś c i. Warto tu jednak zsumować najpoważniejsze wypowiedzi krytyczne a przynajmniej najciekawsze uwagi dotyczące opracowania dramaturgicznego. Odnoszą się one oczywiście przede wszystkim do aktu ostatniego, zreko

struowanego z drobnych tylko urywków wskazówek autora. Zastanawiano się, czy akt ten w dostatecznie pełny i właściwy sposób zamyka całość dramatu, rozważano, czy autor opracowania słusznie postąpił rezygnując w całości z aktu poprzedniego. Skłonny jestem solidaryzować się z uwagami, które próbowały wskazać, że wraz z całkowitym wyrzeczeniem się sceny spotkania Anny z wędrownym aktorem zabrakło ważnego ogniwa, pogłębiającego logikę tej sytuacji w akcie ostatnim. Bo przecież ta sytuacja—praca wśród robotników na budowie, zbliżenie się do proletariatu — to świadomy wybór Anny, a nie jedyna możliwa konieczność. I gdyby to zostało pokazane — świadomy wybór tej właśnie drogi z odrzuceniem dróg innych (dróg wówczas obyczajowo tak utartych) — wtedy jej dzieje stałyby się niewątpliwie bardziej znaczące, pełniejsze, a zamknięcie dramatu nie byłoby tak oderwane od jej tragedii w domu siostry, nie byłoby tak niedomówione.

Wydaje mi się, że to właśnie ów nagły przeskok, ów brak pośredniego ogniwa w łańcuchu doświadczeń i w rozwoju świadomości społecznej Anny od jej ucieczki z domu do fizycznej pracy na budowie sprawia, że jej nowe życie wśród robotników nie wyznacza dla niej w wyobraźni i logicznym rozumowaniu widza żadnej drogi naprzód, co stało się źródłem frasunku wielu już krytyków teatralnych. Rozbudowanie w inscenizacji Bohdana Korzeniewskiego „tła" politycznego — co miało wesprzeć niedomówioną postać Anny — nie pomaga sprawie. Anna w tym akcie pozostaje do końca obca wszystkiemu i obca nam. Ponieważ nie wiemy, co myśli.

Sułkowski Żeromskiego wszedł na scenę Teatru Narodowego w nowym opracowaniu reżyserskim Leona Schillera. Przed inscenizatorami stanęło zadanie przełamania przedwojennych tradycji scenicznych tego utworu, tradycji romantyczno-romansowych, które — według ówczesnych recept „hamletyzując" postać Sułkowskiego — zacierały jednoznaczną treść rewolucyjną, jaką Żeromski wypełnił swój dramat.

Pod tym względem inscenizacja Schillera przywróciła sztuce jej realizm, mocno podkreśliła — zgodnie z tekstem — gorący i bezkompromisowy jakobinizm Sułkowskiego (w doskonałej kreacji Szczepkowskiego), wydobyła i słusznie zaakcentowała to wszystko, o czym mówi się tam na temat stosunków społecznych i politycznych w Polsce owego czasu, to wszystko, co ukazuje sytuację europejską pomiędzy Rewolucją a epoką napoleońską i polityczne perspektywy tej sytuacji, to wszystko, co w tej sztuce jest zajęciem wyraźnego rewolucyjnego stanowiska w sprawie społecznej i narodowej.

W ten sposób inscenizator — dając nowe przedstawienie utworu w oparciu o tekst na nowo rzetelnie odczytany — rzeczywiście wzbogacił nasz repertuar realistyczny o dzieło, dotychczas w pamięci naszej paczone na scenach, pozbawiane swych realnych treści społecznych, ukazywane — jakże wygodnie dla naszych przedwojennych stosunków politycznych — jako burzliwy romans, w którym sprawa Sułkowskiego — to indywidualna tragedia romantycznego utopisty. Niestety jednak, przedstawienie w Teatrze Narodowym — przy wszystkich swoich zaletach i osiągnięciach w sprawie przywrócenia dziełu jego właściwych treści — w wykonaniu nie spełniło swoich realistycznych zadań do końca. Przy całym słusznym założeniu — jakiś opar niedobrych, nierealistycznych ujęć formalnych przewionął poprzez szereg mocnych w zasadzie i żywych scen, aby w obrazie ostatnim zgęstnieć już niepokojąco. Nadmierny „konceptualizm" w

zaplanowaniu i rozłożeniu działań aktu V, a szczególnie jego sytuacji końcowej, sprowadził na scenę niepożądanego, a najjadowitszego z morderców realizmu: sztuczność, schematyzm, pustą machinalność tych działań, którym w rezultacie nie można było dać wiary. Bonaparte, ukazujący się w ostatniej scenie, jest już tylko lalką z teatru kukiełek. A przecież tak wiernie na tekście budowana interpretacja realistyczna — ustawiająca bohaterów dramatu w konkretnych warunkach historyczno-społecznych i uwypuklająca ich polityczną rolę, jaką w tych warunkach spełniają — ułatwia pokazanie w ramach widowiska ludzi tym bardziej żywych i prawdziwych w sposobie reagowania, co zresztą w wielu scenach znalazło pełne potwierdzenie.

Teatr Współczesny wystawił M i e s z c z a n w przekładzie Pawła Hertza i Seweryna Pollaka — i w reżyserii Erwina Axera. Przedstawienie bardzo poprawne, bardzo jednolite, odznaczające się — jak na pełen gwałtownej pasji tekst Gorkiego — stosunkowo dużym spokojem w sposobie ustawienia ról i prowadzenia rozwijających się spraw.

Ów tkwiący w założeniu reżyserskim „spokój" (daleki od nazbyt już histerycznych emocjonalności przedstawienia katowickiego, które widzieliśmy w czasie Festiwalu Sztuk Radzieckich), zbliżający M i e s z c z a n w pewnym stopniu do atmosfery sztuk Czechowa, przyniósł widowisku jednak i dodatnie, i ujemne rezultaty. Pozwolił na dokładniejsze, bardziej precyzyjne zróżnicowanie typów, wyraźniej uwidocznił bogatą ich różnorodność, uchronił aktorów przed błędnymi ścieżkami psychologizmu, a więc ułatwił zachowanie realności przedstawianych postaci. Ale z drugiej strony doprowadził tu i ówdzie do pewnego zatarcia ostrości konfliktu, zachwiania jednoznacznej sytuacji społecznej i moralnej. Obawa przed zbytnim uproszczeniem zadań poszczególnych postaci w sztuce zaprowadziła inscenizatorów trochę za daleko. Aż do takiego nieporozumienia chociażby — nieporozumienia godzącego niestety wprost w naczelną tendencję utworu — że najczarniejszy przedstawiciel wstecznictwa „straszny mieszczanin" Biezsiemionow budzi chwilami współczucie.

Współczucie to jednak — i na szczęście — nie towarzyszy mu stale, nie wywołuje aż tak serdecznego wzruszenia, aby mogło ono poważnie podkopać rzeczywistą poprawność i wiele rzetelnych zalet przedstawienia.

Gorzej z Molierem. Z S z e l m o s t w a m i S k a p e n a na scenie Ludowego Teatru Muzycznego w inscenizacji Zbigniewa Sawana. Bo po obejrzeniu przedstawienia miałem niepokojący sen. Mianowicie przyśniło mi się że otrzymałem z zaświatów od wyżej wymienionego autora telegram następującej treści: Zwiedzając wczoraj Warszawę zaszedłem przypadkiem do cyrku stop zauważyłem, że wykorzystano tam szereg moich pomysłów stop proszę Pana Kolegę (a jakże! — przyp. mój) aby Pan był łaskaw zawiadomić Zaiks stop Pański Molier.

A na jawie wygląda to tak: Scena Teatru Ludowego przedstawia wnętrze cyrku z widocznymi ścianami namiotu z areną, z wszelkimi przyborami i skrawkiem widowni. Argant i Geron — to dwaj klowni ze wszystkimi związanymi z tą funkcją uświęconymi rekwizytami, gestami, gierkami. Skapen — prestidigitator i pogromca zwierząt co konsekwentnie stara się ilustrować każdym swym ruchem, aby nikt nie przeoczył aluzji. Oktaw i Leander — to pewnie tresowane konie. I tak dalej.

Nie wiem tylko po co? Aby taką tę łatwą parodią wykręcić się od odpowie-

dzialnej pracy nad wystawieniem komedii Moliera? Chyba tylko w tym celu. Ale taki cel nie usprawiedliwia dyrekcji i nie zwalnia teatru z roli, jaką ma dziś spełniać wobec nowej widowni. Wolne żarty, panowie! Na afiszach w programach wypisano wyraźnie: „Molier — Szelmostwa Skapena — komedia w 3 aktach". Tak samo byłoby napisane w wypadku rzetelnego, odpowiedzialnego, naprawdę ambitnego wystawienia w jakimkolwiek teatrze komedii Moliera z całym ładunkiem jej społecznych znaczeń. A tymczasem to widowisko nie posiadało żadnych cech molierowskiej komedii. Był to rzeczywiście cyrk — z tekstem komedii Moliera. Prosimy nie wprowadzać w błąd publiczności — dla własnej rozrywki. Prosimy w przyszłości nie kształcić publiczności praskiej na takim „Molierze".

W porównaniu z tą bezsensowną „zgrywą" — wystawiony przez ten sam teatr na scenie Teatru Letniego dziewiętnastowieczny wodewil Leńskiego O j c i e c d e b i u t a n t k i we współczesnej adaptacji radzieckiej Bondyego — wydaje się być w inscenizacji Witolda Rychtera ósmym cudem świata — chociaż nim nie jest. Widowisko to — w dobrym przekładzie Aleksandra Maliszewskiego — jest jednak bez wulgarności zabawne i miejscami pełne pogodnego wdzięku. Tę optymistyczną satyrę na stosunki teatralne połowy minionego wieku wystawiono w sposób barwny i żywy. Należało jednakże całość skondensować nieco, poskracać przydługie obrazy sceny. Rzecz jest dość błaha — i jej nadmierna rozwlekłość zamiast bawić zaczyna nużyć po trosze.

A teraz pierwszy występ odbudowanego Teatru Ateneum — teatru Stefana Jaracza...

Rozpoczęto I n t e r w e n c j ą Sławina w przekładzie Adama Galisa, w adaptacji Krystyny Konopackiej i Ludwika René — i w inscenizacji tego ostatniego. Jest to utwór dramatyczny lat trzydziestych — owego romantycznego okresu dramaturgii radzieckiej, w którym tyle serdecznej uwagi i pasji pisarskiej poświęcano żywym wspomnieniom pierwszych lat Rewolucji. Rzecz dzieje się w okupowanej przez wojska interwencyjne Odessie w roku 1919. Działacze bolszewiccy z ofiarną odwagą prowadzą robotę uświadamiającą wśród obcych wojsk — prości żołnierze francuscy coraz wyraźniej widzą haniebną rolę, jaką mają pełnić rzuceni przeciw towarzyszom robotnikom rosyjskim. Sztuka Sławina ukazuje rzeczywistą linię podziału: z jednej strony wspólne kapitalistyczne, imperialistyczne interesy rządów zachodnich i rosyjskiej reakcji, z drugiej zaś strony rosnącą solidarność międzynarodową proletariatu.

Nowe Ateneum zgromadziło naszą najlepszą młodzież aktorską, oparło się na zespole wyrobionym politycznie, na zespole ideologicznie i artystycznie bojowym. Praca tego zespołu budzić będzie coraz żywszą uwagę. Dlatego też na start teatru spojrzeć chciałbym w kronice niniejszej od strony zamiarów, towarzyszących wystawieniu przez zespół pierwszej z wybranych sztuk. I zastanowić się, czy w samym sprecyzowaniu tych zamiarów nie popełniono jakiegoś błędu, którego wykrycie uzbroiłoby ten zespół w jedno z przydatnych doświadczeń.

Postanowiono dokonać adaptacji sztuki Sławina. Następnie — po całej serii przedstawień — znowu zmieniono jej wygląd, przywracając niektóre sceny z oryginalnego tekstu. Chciałbym znaleźć klucz do zrozumienia tych widocznych wahań, które świadczą być może o zbyt pochopnym przeprowadzeniu tej adaptacji.

W pierwszym programie teatralnym, poświęconym I n t e r w e n c j i, czy-

tamy: „W naszej adaptacji staraliśmy się rozszerzyć wymowę konkretnego faktu historycznego na dzisiejszą międzynarodową sytuację polityczną". I nieco dalej: „Dla uaktualnienia sztuki, dla ukazania typowości i historycznego potwierdzenia zjawiska zbrojnej interwencji obcej, zrezygnowaliśmy z tych scen sztuki Sławina, które malują specyficzny koloryt lokalny ówczesnego środowiska odeskiego".

Wydaje mi się, że wiele usterek przedstawienia, wskazywanych już przez krytykę (chociaż nie wszystkie zarzuty uważam za słuszne) — to nieuchronny rezultat oparcia pracy na sformułowanym wyżej, z gruntu błędnym zamiarze. Przedłużona aktualność istoty jakiegoś zagadnienia rzeczywiście istnieje tam, gdzie istnieje i trwa podobieństwo istoty zagadnień, podobieństwo przyczyn i skutków. Interwencja imperialistyczna w Korei ma zupełnie podobne źródła, co i interwencja imperialistyczna na ziemiach radzieckich w roku 1919. Sztuka Sławina od razu to podobieństwo istoty zagadnienia jasno przypomina, pozwala świadomości dzisiejszego widza logicznie wiązać i porównywać historyczne fakty. Ale dlatego właśnie, że jest sama mocno osadzona w materiale realnych faktów tego momentu historycznego, o którym opowiada. Nic dobrego wyjść nie może z „uaktualniania sztuki", z pozbawiania jej „specyficznego kolorytu lokalnego", z „rozszerzania wymowy konkretnego faktu historycznego" piórem adaptatora. Czynić tak — znaczy odzierać utwór dramatyczny z całego jego realizmu, bez żadnej praktycznej możliwości urealnienia go przydaną aktualnością. Wszelkie mechaniczne, sztuczne „uaktualnianie" może tylko zawiesić go w powietrzu, uczynić go zupełnie — mimo całkiem na pozór racjonalnych zabiegów — niewiarygodnym.

Nie stało się aż tak źle ze sztuką Sławina. Należy jednak życzyć sobie, aby realistyczny teatr raczej niechętnie rezygnował ze „specyficznego kolorytu środowiska" inscenizowanych sztuk.

I wreszcie — z ważniejszych spektakli — pozostaje jeszcze do zanotowania nowy utwór dramatyczny polskiego autora. Teatr Domu Wojska Polskiego wystawił W z g ó r z e 35 Jerzego Lutowskiego w reżyserii zespołowej pod kierownictwem Józefa Wyszomirskiego. Utwór pokazuje społeczeństwo śląskie i tamtejszą sytuację społeczno-polityczną w ściśle określonym momencie historycznym, a mianowicie w okresie trzeciego śląskiego powstania. Jasno i mocno postawiona tu została sprzeczność interesów klasowych, patriotyzm ludu śląskiego, konfrontacja ślepego antagonizmu narodowościowego z proletariacką międzynarodową solidarnością, konszachty reakcji polskiej z kapitałem zagranicznym, obłuda i jawne antypolskie intrygi rządów zachodnich.

Jest to poważny utwór, napisany interesująco, z dużym talentem scenicznym, stanowiący w rozwoju dojrzałości pisarskiej autora olbrzymi krok naprzód od tak chwiejnej jeszcze w swej konstrukcji artystycznej i ideologicznej P r ó b y s i ł. Pewne wątpliwości budzi tu jedynie obranie w końcowych scenach nieco zbyt „tanich" środków i efektów dla rozwiązania postawionych zagadnień. Gonitwa wśród chodników kopalni, tlejący lont, strzały rewolwerowe — to chyba nie jedyny sposób ostatecznego wyjaśnienia spraw, których rozwój i los nie powinien być zależny od tak mechanicznych działań.

Dzięki swoim zaletom jednak, dzięki realistycznie, szeroko i śmiało zarysowanej problematyce, której aktualność tkwi tak mocno w materiale faktów historycznych — W z g ó r z e 35 jest niewątpliwie cenną zdobyczą nowej dramaturgii polskiej.

Juliusz Żuławski

) H. K. STELLE DO INTELLIGENCE SERVICE

Trudno, bardzo trudno określić dokładnie, kiedy to się zaczęło. Czy w 04 roku, kiedy Piłsudski jechał do kio, ofiarując usługi japońskiemu abowi generalnemu. Czy w 1906 ku, kiedy tenże Piłsudski wraz z dką-Narkiewiczem zgłosili się jako nfidenci do placówki austriackiego wiadu — *H. K. Stelle* — w b. Gaji. Czy w tych samych latach, kiedy wna liberalna Liga Narodowa przeztałciła się w endecką odnogę polii caratu w Polsce. Czy też wtedy, dy inne z kolei odłamy burżuazyjch stronnictw nawiązywały inne z lei kontakty z innymi mocarstwami. ć może kiedyś historycy ustalą dodną datę. Dla nas dziś wystarczy dno stwierdzenie: od półwiecza niej więcej żadna burżuazyjna partia lska, żaden odłam reakcji nie prodził całkowicie samodzielnej polity-

Trójlojalizm wobec zaborców ze ony różnych grup burżuazyjnych i szarniczych był polityczną fasadą ęzów łączących kierownicze ośrodki ch grup z obcymi wywiadami. Oczyście, więzy te uległy zmianom w gu dziesięcioleci. Oczywiście, stoń samodzielności burżuazji polskiej lał stale, z roku na rok i dno upadosiągnął po drugiej wojnie świavej, kiedy w wyniku utraty władzy Polsce wszystkie odłamy reakcji ły się wyłącznie tworami agentunymi. Oczywiście, różnica między eżnością Piłsudskiego od Weyganda 1920 r. a zależnością Mikołajczyka jakiegoś trzeciorzędnego pracowniDepartamentu Stanu dziś — jest rdzo duża. Ale różnice te określają ko kamienie milowe na drodze dengolady dawnych polskich klas posiadających; nie naruszają one pewnej ciągłości linii rozwojowej od *H. K. Stelle* do *Intelligence Service*.

Nie tu miejsce na analizę historycznych źródeł tej zależności. Niewątpliwie składała się na to — i to w znacznym stopniu — słabość burżuazji polskiej, wynikająca z nikłego i późnego rozwoju kapitalizmu w Polsce; składała się na to i tchórzliwość klas posiadających, które na długo jeszcze przed pierwszą wojną światową zrezygnowały właściwie z walki narodowo-wyzwoleńczej, obawiając się, że walka ta może przynieść wraz z niepodległością rewolucję; niewątpliwie w dziedzinie ideologicznej poważną rolę odegrały tu złe tradycje kosmopolityczne („pawiem narodów..."), które burżuazja przejęła od szlachty — i wiele jeszcze innych czynników.

Wnioskiem zasadniczym, wypływającym z tej historii, jest fakt, że burżuazja polska nie miała i nie mogła mieć w XX wieku żadnej koncepcji Polski, która nie byłaby związana z jakimś mocarstwem imperialistycznym. Faktem jest, że jakakolwiek w programach partii burżuazyjnych przed pierwszą wojną światową miała być Polska — wilhelmińska, austro - węgierska czy carska — nie miała i nie mogła to być Polska naprawdę niepodległa. Faktem jest, że — aczkolwiek międzywojenna Polska była sama państwem imperialistycznym, uciskającym mniejszości narodowe i organizującym zaborcze wyprawy na wschód — była ona zarazem funkcją dominującego w danej chwili na arenie międzynarodowej imperializmu, piłką w rozgrywkach innych mocarstw. Ten zasadniczy fakt określał całą międzywojenną politykę wewnętrzną i zagraniczną sanacyjnych i

przedsanacyjnych rządów. Ten zasadniczy fakt tłumaczy, dlaczego tak szybko i bez reszty wszystkie odłamy reakcji polskiej znalazły się już u schyłku drugiej wojny światowej na służbie obcych wywiadów.

Genealogia procesu Tatara i towarzyszy jest więc całkowicie jasna i nieskomplikowana; w środowisku klasowym i politycznym, w którym doskonale łączono frazesy o „niepodległości" z memoriałami do Wilhelma, Franciszka Józefa i Mikołaja na nutkę „Przy Tobie, Panie, wiernie stoimy..." — nie widziano żadnej sprzeczności między racją stanu Polski a racją stanu anglosaskich imperialistów. W środowisku klasowym i politycznym, w którym uważano za rzecz normalną, że mężowie stanu, generałowie, wybitni działacze są dawnymi agentami obcego wywiadu — uważano za rzecz naturalną, że takie właśnie koneksje poprowadzić mogą znowu na fotele ministerialne.

*

Specyfika procesu Tatara i towarzyszy polega przede wszystkim na tym, że jest to pierwsza sądzona u nas grupa, która walczyła przeciwko władzy ludowej nie z zewnątrz, z lasu czy podziemia, lecz drogą penetracji i dywersji od wewnątrz. Te metody w polskim życiu politycznym dawno już zasiała piłsudczyzna. Przez nią właśnie w okresie międzywojennym opanowane były kierownictwa wszystkich stronnictw burżuazyjnych. Jej to ludzie rządzili w PPS, zarówno ujawnieni np. Moraczewski jak i nieujawnieni — Arciszewski, Pużak, Kwapiński czy Tomaszewski. Jej ludzie kierowali SL — co wychodziło na jaw przy periodycznych rozłamach dokonywanych przez „kadzichłopów". U progu wojny sanacyjne wtyczki opanowały poważne ogniwa endecji, przede wszyst kim na odcinku oenerowskim. Kon cepcja ONZ — stworzenia polskieg odpowiednika NSDAP, masowej faszy stowskiej partii — opierała się przed wszystkim na perspektywie rozbici wszystkich innych partii drogą dy wersji od wewnątrz, przy zachowani jedynie możliwie obłaskawionej opo zycji, również kierowanej przez „swo ich" ludzi. Tym właśnie dodatkow tłumaczy się całkowity bezwład tzw „demokratycznej opozycji" w okresi przedwrześniowym wobec zbliżające się katastrofy. Tym dodatkowo tłuma czy się zaciekła antyradziecka polityk i zaciekły anty-komunizm kierowni czych ogniw PPS i SL; w grę tu wcho dził nie tylko „normalny" reformizm i „normalny" nacjonalizm jak w in nych krajach burżuazyjnych — lec również bezpośrednie inspirowani linii danej partii przez faszystowsk ośrodek dyspozycyjny.

Na tych wzorach budowali swoj koncepcje Tatar, Kirchmayer, Mosso Herman i inni. A raczej — na to sta wiali ich brytyjscy i amerykańscy mo codawcy. W Londynie bowiem i Wa szyngtonie rodziły się kolejne „polskie rozwiązania, czyli kolejne próby kontr rewolucji połączonej z utratą prze Polskę niepodległości. Obszernie o róż nych tych „rozwiązaniach" zeznawa oskarżeni spiskowcy w niedawnym procesie warszawskim. Wiele o tyc próbach wiemy również z dziejów statniego okresu wojny i pierwszyc lat powojennych.

*

Można powiedzieć, że datą przeł mową dla „polskich" koncepcji *Inte ligence Service* był rok 1943 — r Stalingradu. Do tego czasu wszystk było proste i jasne, nie tylko w odni sieniu do Polski, ale i w stosunku

łej Europy wschodniej. ZSRR i Trze-a Rzesza miały się wzajemnie wy-wawić, po czym rola oswobodziciela iała przypaść Anglosasom, co oczy-iście z góry przesądziłoby nie tylko ustrojowym obliczu Europy wschod-ej, ale również i o jej zależności po-ycznej od Wall Street i od City. Do jęcia rządów gotowe były w Londy-e ekipy polityczne zgrupowane w ądzie emigracyjnym. Z drugiej stro-, aby nie było niespodzianek i by kt zbyt poważnie nie próbował rea-ować „demokratycznych" reform pla-wanych na eksport w Londynie — erownicza rola w kraju, w ZWZ, po-m w AK oraz w politycznym podzie-iu — zarezerwowana została dla sa-cji i dla najbardziej jej oddanych upek politycznych w innych stron-twach. Tragifarsa z „rządem ludo-m" z listopada 1918 r. — miała być wtórzona, niemal z tym samym roz-dem jazdy.

Ale Stalingrad przekreślił te rachu-. Dla najbardziej trzeźwych poliły-w anglosaskich stało się jasne, że zwolenie Polski i innych krajów ropy wschodniej przyjdzie ze strony mii Radzieckiej. Tym samym wyłą-ona będzie możność zbrojnej kontr-wolucji z zewnątrz. Tym samym na-stające w Polsce i w innych krajach stroje rewolucyjne mogą doprowa-ić do powstania władzy ludowej. zeciwdziałać takiej sytuacji można ko przez przygotowanie z góry pływów politycznych w wykluwają-ch się nowych ustrojach. I tę drogę ugofalowej dywersji obierają decy-jące czynniki anglosaskie.

Ich działalność, przede wszystkim wiadu brytyjskiego, mającego dłuż-rutynę i lepsze powiązania w tej ęści świata — obejmuje całą Europę upowaną, łącznie z Trzecią Rzeszą. każdym kraju, oczywiście, jest ona zystosowana do lokalnych warun-ków. W Niemczech hitlerowskich wywiady anglosaskie nawiązują poprzez Abwehrę kontakty z grupami oficerów i arystokratów celem przygotowania zamachu przeciw Hitlerowi. Koncepcja uratowania hitleryzmu drogą likwidacji Hitlera — była od dawna marzeniem tych kół anglosaskich, które niemiecki faszyzm powołały do życia i które za największe nieporozumienie XX wieku uważały fakt, że państwa imperialistyczne znalazły się ze sobą w wojnie, miast stworzyć wspólną koalicję antyradziecką. Uwieńczeniem tego spisku w Niemczech był słynny „pucz 20 lipca", który został bardzo szybko stłumiony, a jego autorzy zlikwidowani przez SS.

Znacznie więcej szczęścia miały wywiady anglosaskie w Jugosławii, gdzie w kierownictwie partii komunistycznej i ruchu oporu od dawna już zagnieździły się różne dywersyjne elementy. Już w 1943 r. Churchill, zaciekły wróg wszystkich postępowych ruchów oporu — uznaje Tito i cofa pomoc dla Michajłowicza, którego jawna kolaboracja z hitlerowcami zbytnio skompromitowała w oczach własnego społeczeństwa i całego świata.

Przy pomocy brytyjskich i amerykańskich „misji łącznikowych" grupa titowska realizuje konsekwentnie plan eliminacji wszystkich oddanych partii elementów (trzy czwarte komunistów przedwojennych zginęło w czasie wojny na skutek wysuwania najlepszych ludzi na najbardziej zagrożone i beznadziejne stanowiska) i opanowania wszystkich ogniw ruchu oporu. Równocześnie titowszczyzna, przy pomocy swoich agentów, pomaga Anglosasom w realizacji ich planów opanowania Bałkanów. Robota agentów titowskich w Albanii, Grecji czy Bułgarii w latach 1943 — 1944 zmierzała do podporządkowania titowskiemu ośrodkowi kierownictwa ruchu oporu w tych kra-

jach, a tym samym do podporządkowania tych krajów po wyzwoleniu — Anglosasom. Niezależnie od tego wywiad brytyjski bezpośrednio nawiązuje stosunki w Bułgarii z Trajczo Kostowem.

Plany te udały się całkowicie, jeśli chodzi o Jugosławię, natomiast spaliły na panewce, jeśli chodzi o inne kraje bałkańskie — poza Grecją, gdzie zbrojna kontrrewolucja anglosaska powaliła ludowy ruch oporu, przy czynnej współpracy titowców. Ale plany te nie ograniczały się do Bałkanów. W tym samym okresie bliska *Foreign Office* prasa brytyjska zaczyna kampanię przeciwko jawnie faszystowskim elementom polskim w Londynie, a zarazem rząd brytyjski naciska w kierunku wysunięcia na czoło bardziej „demokratycznych" polityków. Zaczyna się w Londynie era mikołajczykowska. I zaczyna się nowy rozdział „polskich" koncepcji *Intelligence Service*, o których właśnie tyle ciekawych rzeczy mieli do opowiedzenia na procesie Tatar i współoskarżeni.

*

Mikołajczyk miał być tą pierwszą „demokratyczną" fasadą. Odpowiadali mu w innych krajach leżących na linii postępów Armii Radzieckiej — inni tego pokroju „demokraci": Petkow w Bułgarii, Maniu w Rumunii, Nagy na Węgrzech itp. Poprzez Mikołajczyka wywiad brytyjski penetruje do kierowniczych ogniw londyńskiego podziemia w kraju. Tzw. „lewicowa" opozycja w łonie Komendy Głównej AK — zarówno w BIP-ie pod kierownictwem Rzepeckiego jak i w innych ośrodkach — jest właśnie krajowym odblaskiem postalingradzkiej polityki Anglosasów. Oczywiście nie odbyło się bez walki. Albowiem podczas gdy Anglosasów interesowało jedynie, by ich ludzie zajęli kluczowe stanowisk bez względu na to, kim ci ludzie są poszczególne grupki i kliczki zamie rzały uchwycić władzę dla siebie. 2 przy tym często posługiwano się Ge stapo dla wzajemnego wytępieni się — jak mówiono na procesie Tatar i jak wiemy z wielu innych źródeł - to ostatecznie niczyich delikatnych su mień nie raziło. Przeciwnie, takie fak ty jak np. likwidacja „Grota" — Ro weckiego czy też komórki BIP- z Handelsmanem, Widerszalem i inny mi — były o tyle na rękę Anglosason że przedstawiały ich ludzi jako rzeczy wistych postępowców padających ofia rą z rąk faszystów z NSZ.

Wywiad brytyjski nie ogranicza s jednak do „demokratów" typu miko łajczykowskiego. W miarę marszu na przód Armii Radzieckiej, w miarę ra dykalizacji nastrojów i aktywizac walki partyzanckiej — czynniki an glosaskie próbują wedrzeć się do sa mego obozu demokratycznego. Szcze gólnie jaskrawo sprawa ta uwidoczn się w czasie powstania i po powstani KRN. Wtedy to właśnie przy pomoc części prawicowych elementów RPP stojących na gruncie antyradziecki i antykomunistycznym powołany życia zostaje dywersyjny twór, tz CKL. Wtedy też nasyłane są różne po dejrzane elementy do obozu demokra tyczno - ludowego. Wtedy też po r pierwszy ujawnia się w łonie PPR o chylenie prawicowe, czego przejawe była próba rezygnacji z ośrodka wł dzy klasy robotniczej, jakim była KR i „dogadania się" z londyńskim po ziemiem poprzez CKL (mówiono o szernie o tych sprawach na Plenu Sierpniowym KC PPR w 1948 r.).

Gdy wyzwolony zostaje w lip 1944 r. pierwszy skrawek ziemi po skiej, koniem trojańskim nr 1 jest M kołajczyk. Wielu reakcyjnych oficer otrzymuje wtedy dyrektywę wstąpi

ia do odrodzonego Wojska Polskiego. nne kadry zachowane zostają do ro- oty podziemnej, którą zresztą w ra- nach WIN-u kieruje „demokrata" i opozycjonista" Rzepecki. Ta sytuacja rwa przez długi czas już po wyzwole- iu całego kraju. Kiedy utworzony zo- taje Rząd Jedności Narodowej — Mi- ołajczyk zostaje wicepremierem. U- rawia on wtedy przy pomocy podzie- ia polityczną dywersję, inspiruje ak- y terroru, a zarazem — jak napisał iedawno londyński działacz reakcyj- y, Lerski, w paryskiej Kulturze— łużył Anglosasom jako „nieocenione ródło informacji o rządzie".

Ale już w 1946 r. Anglosasi zdają obie sprawę, że stawka na Mikołaj- zyka jest przegrana. Tatar, który prze- ywał wtedy w Londynie na procesie, pisał tę sprawę równie plastycznie, ak Kirchmayer, który był w kraju. wtedy właśnie wywiady anglosaskie, ie rezygnując bynajmniej ani z tak ygodnego narzędzia, jakim było PSL, ni z podziemia i terroru — uruchа- iają z kolei następną stawkę: na blok SL z prawicą PPS. W jaki sposób aki blok miał działać — widzieliśmy a przykładzie Czechosłowacji w latach 947 — 1948. Najpierw prawica socjal- emokratyczna opanowała kierownic- wo partii na kongresie w Brnie; po- em w bloku z burżuazyjnymi partia- i prawicowymi dokonany miał zostać amach stanu w lutym 1948 r. Praw- opodobnie takie same były plany od- ośnie do Polski. W każdym razie to, co iemy z historii politycznej tego okre- u w Polsce i to, co dopowiedzieli oskar- eni i świadkowie na procesie Tata- a — całkowicie potwierdza tę linię.

Do takiego bloku, jak wiadomo, nie oszło i Mikołajczyk musiał się kon- entować poparciem malutkiej grupki uławskiego, która — poza zdyskredy- owaną garstką jawnych wuerenow- ów — nic nie przyniosła. Koncepcja ta spaliła na panewce, bo nastroje jed- nolitofrontowe były zbyt silne w ma- sach robotniczych, bo prestiż PPR w kraju był zbyt wielki i jej kierownicza rola powszechnie uznana, bo lewicowe elementy w PPS reprezentowały znacznie więcej, aniżeli pan Mikołajczyk i jego mocodawcy sobie wyobrażali.

Mikołajczykowszczyzna została rozgromiona, podziemie zostało zlikwidowane, zjednoczenie ruchu robotniczego zbliżało się szybkim krokiem.

*

W tym samym okresie — w latach 1946-48 — dwa obozy, ukształtowane nazajutrz po drugiej wojnie światowej krystalizują się coraz bardziej. Z jednej strony obóz krajów pokoju, budujących nowe ustroje w oparciu o Związek Radziecki. Z drugiej strony obóz imperialistyczny, który pod rosnącą hegemonią Stanów Zjednoczonych coraz intensywniej przygotowuje wojnę. W związku z tym zachodzą pewne zmiany również i na odcinku polskiej polityki Anglosasów. Po pierwsze — większy niż dotychczas nacisk kładziony jest na szpiegostwo, służące bezpośrednio przygotowaniu wojny. Po drugie — kierownictwo akcji antypolskiej przejmują Amerykanie; jeżeli jeszcze w 1946 r. dyrektyw Tatarowi i innym udzielał Anglik Hankey— pierwszy chargé d'affaires przy rządzie polskim po wojnie, później naczelnik wydziału Europy wschodniej w *Foreign Office*, a obecnie poseł brytyjski w Budapeszcie — to w późniejszym okresie Kirchmayer kontaktuje się bezpośrednio z amerykańską ambasadą, stamtąd otrzymuje rozkazy i tam przekazuje materiały szpiegowskie. Po trzecie wreszcie — przygotowania do zamachu stanu ulegają przyspieszeniu, szczególnie po klapie puczu

w Czechosłowacji i po pierwszych krokach w kierunku zdemaskowania titowszczyzny na wiosnę 1948 r.

Właśnie wtedy działający w kraju spisek wojskowych, powiązany już wieloma nićmi z przedstawicielem grupy prawicowo - nacjonalistycznej w wojsku, Spychalskim — otrzymuje nowe zadania. Poza wzmożeniem szpiegostwa zadanie to polega na forsowaniu zjednoczenia ruchu robotniczego na bazie bloku odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w PPR z prawicą PPS. Taki sojusz gomułkowszczyzny z wuerenem był ostatnią stawką polityczną anglosaskich wywiadów w Polsce; ostatnią nadzieją, że uda się przy pomocy krajowych, polskich sił politycznych obalić ustrój demokracji ludowej i przeprowadzić kontrrewolucyjny pucz na modłę titowską.

Jakie nadzieje wiązali z gomułkowszczyzną i blokiem gomułkowsko - wuerenowskim imperialiści amerykańscy — wynika jasno z artykułu zamieszczonego w półoficjalnym organie Departamentu Stanu *Foreign Affairs:*

„...Gomułka — pisze ten periodyk — sekretarz generalny PPR, posiadał nacjonalistyczne poglądy podobne do Tito. Istotnie bronił on tych poglądów w Kominformie i kontynuował ich obronę w łonie PPR... Gomułka spodziewał się, że socjaliści wprowadzą ze sobą pewną liczbę prawicowców i umiarkowanych do Zjednoczonej Partii. Sądził on, że jeżeli utworzy się masową partię, w której socjaliści, tradycyjnie polscy najpierw, socjalistyczni potem złączą się z oportunistami i pseudomarksistami z PPR, nacjonalistyczny polski komunizm, w który wierzył — zdobędzie... silną bazę..."

Mniejsza tu o świadomie fałszywe i bałamutne określenie „nacjonalistyczny komunizm", brzmiące dla naszych uszu aż zbyt podobnie do nazwy „narodowy socjalizm". Istotne jest, że Departament Stanu liczył na takie zjednoczenie ruchu robotniczego, które umożliwiłoby antymarksistowskim elementom opanowanie zjednoczonej partii i utorowałoby drogę do obalenia ustroju demokracji ludowej. Realizować tę politykę miała przede wszystkim grupa prawicowo - nacjonalistyczna w PPR — przodującej partii, której kierowniczą rolę amerykańscy imperialiści dobrze znali. Sojusznikiem miała być prawica PPS. A „osłoną wojskową" — jak mówiono na procesie Tatara — miała być grupa spiskowców sądzonych niedawno w Warszawie.

*

I ta koncepcja spaliła na panewce. Zdemaskowanie titowszczyzny, rozgromienie w ślad za tym grupy prawicowo - nacjonalistycznej w PPR, eliminacja z kluczowych stanowisk prawicy PPS — wszystkie te wypadki połowy 1948 roku przekreśliły rachuby Anglosasów na możność dokonania w Polsce puczu. Wtedy stawka na wojnę która zawsze figurowała w planach anglosaskich — staje się stawką dominującą. Czynniki kierownicze w Londynie i Waszyngtonie dochodzą do przekonania, że jedynie drogą inwazji można obalić ustrój w Polsce, a inwazja taka oczywiście nie ograniczałaby się do zmian ustrojowych, lecz obejmowałaby również okrojenie Polski na zachodzie na rzecz Adenauera i przekształcenie reszty kraju w kolonię Wall Street.

Nastawienie dawane spiskowcom zmienia znowu charakter. Przygotowuje się intensywnie akty terroru przeciwko wybitnym działaczom partyjnym i państwowym, wzmaga się robotę szpiegowską z wyraźnym naciskiem na wywiad ofensywny, służący przygotowaniom wojennym (np. plany

esantu na naszym wybrzeżu przekaza-
e przez Kirchmayera amerykańskiemu
ttaché wojskowemu, przy czym warto
aznaczyć, że podobne plany — może
e same — z mapami ukazały się nie-
awno w ultra-reakcyjnym tygodniku
i f e), wzmaga się dywersję i sabo-
aż mający na celu zahamowanie na-
ego rozwoju gospodarczego. Na te
ele płyną z zagranicy dziesiątki ty-
ęcy dolarów; dla tych celów powsta-
ą w Stanach Zjednoczonych specjalne
środki kierownicze; do tych celów
obilizuje się w Polsce — jak zresztą
w innych krajach demokracji ludo-
ej — najbardziej zgangrenowane
esztki dawnych klas posiadających,
ajbardziej zdemoralizowane elementy
awnego reakcyjnego podziemia, róż-
ego rodzaju wyrzutki społeczeństwa.
hodzi już nie o to — bo to okazało
ę niemożliwe — by przy pomocy ro-
zimych sił społeczno - politycznych
mienić ustrój; chodzi o to, by zorga-
zować piątą kolumnę dla wojny.

*

Marks powiedział, że fakt występuje
historii raz jako tragedia, a powtarza
ę jako farsa. Tragedia powiązań pił-
udczyzny z *H. K. Stelle* i wynikłe stąd
agedie międzywojennego okresu —
owtórzyły się w formie farsy w obec-
ym zrośnięciu się wszystkich odła-
ów polskiej reakcji z obcymi wywia-
ami. W miarę bowiem przekształcenia
ę narodu polskiego w naród socjali-
yczny, w miarę jak masy pracujące
ają się narodem — w miarę tego
urczy się zasięg nie tylko ekonomicz-
ego stanu posiadania, ale i politycz-
ego oddziaływania dawnych klas po-
adających. Wypierana jest i ogranicz-
ana baza masowa burżuazji w kraju.
ym samym wypierana, ograniczana
osłabiana jest baza restauracji kapi-
lizmu. W tej sytuacji resztkom reak-
cji nie pozostaje nic innego jak właś-
nie wywiad. W tej sytuacji obcym im-
perialistom nie pozostaje nic innego,
jak stawka na wojnę, która jedynie
mogłaby oddać w ich ręce Polskę. W
tej sytuacji reakcja polska traci reszt-
ki jakiejkolwiek samodzielności poli-
tycznej i staje się jedynie i wyłącznie
wykonawczynią zleceń, dawanych
przez podrzędnych urzędników angło-
saskich ośrodków szpiegowskich.

Mówił Kirchmayer na procesie:
„Każda konspiracja nieuchronnie po-
ciąga za sobą wywiad". Nieprawda,
nie każda. Tylko taka, która nie ma
ani oparcia w masach, ani nadziei na
oparcie w masach. Tylko konspiracja
np. burżuazji polskiej w okresie im-
perializmu. A szczególnie — konspi-
racja w warunkach władzy ludowej.
W tym właśnie leży element farsowy
niedawnego procesu: w megalomanii
garstki faszystowskich oficerów, któ-
rzy wyobrażali sobie, że w Polsce Lu-
dowej możliwe są stosunki à la Pana-
ma czy Honduras — generalskie pucze
inspirowane i finansowane przez ame-
rykańską ambasadę.

Ale to, co z punktu widzenia pers-
pektywy historycznej jest farsą — to
z punktu widzenia kodeksu karnego
jest zbrodnią, a z punktu widzenia na-
rodu — zdradą. Bez względu na nikłe
możliwości oskarżonych dokonania
przewrotu — chęci mieli dobre i szko-
dy w zakresie szpiegostwa i dywersji
wyrządzili wiele.

To wszystko wziął pod uwagę sąd.
Wyrok pokazał siłę państwa ludowe-
go, które stać na to, by nie skazać na-
wet takich ludzi na śmierć, a które
jest zarazem dość potężne, by rozgro-
mić i zniweczyć każdą próbę cofnięcia
wskazówek zegara. Przyjęła ten wy-
rok opinia polska i opinia światowa
nie tylko jako zakończenie dziejów
pewnej garstki zdrajców, ale również
jako gwóźdź do trumny kolejnej „pol-

skiej" koncepcji wywiadów anglosaskich. Przyjęła jako namacalny dowód nowej sytuacji Polski, która nie jest już igraszką w rozgrywkach międzyimperialistycznych, lecz państwem nowego typu, związanym bratnimi sojuszami ze światem socjalizmu i demokracji. Przyjęła to jako zapowiedź, że każdy, kto podniesie rękę na Ludową Ojczyznę znajdzie się na ławie oskarżonych — bez względu na to, jak wysoko uplasowały go ośrodki wywiadowcze zagranicznych imperialistów.

Stanisław Brodzki

PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY

Traktat w San Francisco

8 września minister spraw zagranicznych USA, Acheson, w towarzystwie 47 satelitów dokonał w San Francisco aktu podpisania tzw. traktatu pokojowego z Japonią. Na konferencji, która poprzedziła podpisanie traktatu nieobecni byli przedstawiciele Chin Ludowych, państwa, które najdłużej walczyło z agresją japońską, które wniosło największy wkład w zwycięstwo, które wreszcie reprezentuje 475 milionów ludzi. Chin Ludowych bowiem nie zaproszono. Dlaczego? Wyjaśnił to na konferencji minister spraw zagranicznych Kanady, Pearson — „Komunistyczny rząd Chin jest sam sobie winien". Innymi słowy, gdyby rząd Chin nie był rządem ludowym, zostałby z pewnością zaproszony. Obecny rząd Indii, znajdujący się w rękach wielkiej burżuazji indyjskiej, nie jest na pewno rządem ludowym i nie ma nic wspólnego z komunistami. Rząd Indii został zaproszony na konferencję, ale odmówił przybycia. „Uważamy — oświadczył premier Indii, Nehru — że gdybyśmy wzięli udział w konferencji w San Francisco, narazilibyśmy pokój światowy, gdyż oznaczałoby to rezygnację z niezależnej polityki międzynarodowej. Indie są zdania, że debatowany w San Francisco traktat pokojowy z Japonią może zwiększyć tylko napięcie i niebezpieczeństwo wojny na Dalekim Wschodzie". Podobnie jak Indie postąpiła Burma — na konferencji zabrakło więc przedstawicieli dalszych 400 milionów Azjatów. Nic więc dziwnego, że *New York Times* komentując przebieg obrad nieco ironicznie pisał o wystąpieniach przedstawicieli „niezależnego" państwa Cejlonu iż „był to wymowny głos Azji zabarwiony niestety mocno oxfordzkim akcentem". Na konferencji San Francisco zabrakło więc przedstawicieli największych państw azjatyckich. Nie trudno zrozumieć, że traktat pokojowy z Japonią, krajem azjatyckim, krajem który dopuścił się agresji właśnie w Azji — nie może być istotnym traktatem pokojowym bez udziału najbardziej zainteresowanych sąsiadów Japonii. Toteż faktycznie, traktat podpisany w San Francisco nie jest bynajmniej traktatem pokojowym. Jest to traktat agresji. Dowodzi tego fakt, że nie ma w nim żadnych klauzul, które by zakazywały odrodzenia faszyzmu i militaryzmu w Japonii — natomiast wiadomo, że na rozkaz okupantów amerykańskich w ciągu ostatnich 3 miesięcy do pełni praw politycznych i gospodarczych powróciło w Japonii ponad 170 tys. faszystów i militarystów, czołowa kadra agresywnego imperializmu japońskiego. Dowodzi tego dalej fakt że w traktacie nie ma żadnych klauzul, które by gwarantowały demokratyzację Japonii — natomiast wiadomo że lewica japońska jest przedmiotem najostrzejszych prześladowań, że w czasie trwania konferencji w San Francisco reakcyjny rząd w Tokio zorganizował nową razzię przeciw Komunistycznej Partii Japonii, aresztując nawet korzystających z nietykalności po-

elskiej deputowanych komunistycznych (francuska agencja AFP pisała otabene o tej akcji, iż chodzi o „zdławienie opozycji przeciw traktatowi pokojowemu przez Amerykę"). Traktat odrzuca uprawnione żądania reparacyjne państw azjatyckich, a przecież raty wyrządzone przez agresorów japońskich sięgają 100 milionów dolarów. Dalszym dowodem jest fakt, że traktat odrywa Japonię od jej naturalnego partnera gospodarczego — kontynentu azjatyckiego z całkiem wyraźnym celem skierowania gospodarczej ekspansji japońskiej na tory agresji. Nieszczański dziennik amerykański *New York Daily Compass* pisze: „Japonia będzie się zbroić. Do tego potrzebne są surowce kontrolowane obecnie przez komunistów chińskich. Jeśli program zbrojeń Japonii ma być zrealizowany, musi ona wraz z Czang Kai-szekiem rozpocząć wojnę przeciw Chinom". Jakoż, zgodnie z traktatem, Japonia ma się zbroić i to zbroić intensywnie. Traktat podpisany w San Francisco nie zawiera ani słowa na temat ograniczenia zbrojeń Japonii. Zbrojenia te natomiast nie tylko sankcjonuje, ale otwarcie zaleca drugi dokument podpisany w San Francisco, w kilkanaście godzin po traktacie „pokojowym". Ten drugi dokument to „pakt bezpieczeństwa" między USA i Japonią. Na mocy tego paktu — i to jest najdobitniejszy dowód agresywnego charakteru samego traktatu pokojowego — Japonia zgadza się na kontynuowanie w pełni okupacji swego terytorium przez wojska amerykańskie na czas nieokreślony. Japonia staje się tym samym oficjalnie główną bazą wypadową agresji amerykańskiej na Dalekim Wschodzie. Pod kontrolą okupanta powstać ma podporządkowana Amerykanom wielka armia japońska — rezerwuar mięsa armatniego amerykańskiej agresji w Azji. Komentator wojskowy *New York Times* stwierdzając, że „zbrojenia Japonii w praktyce już się rozpoczęły", określa przyszłą armię japońską jako „pierwszorzędną potęgę wojskową" na Dalekim Wschodzie. Z tym wszystkim traktat „pokojowy" używa, pisząc o Japonii, określenia „suwerenne państwo". Określenie to było niestrawne nawet dla co śmielszych satelitów amerykańskich — np. delegat Egiptu na konferencji stwierdził otwarcie: „Nie można nazwać wolnym i suwerennym kraju, którego terytorium okupowane jest przez obce wojska". Dodajmy wreszcie, że amerykański „traktat pokojowy" obrabowuje Japonię z części rdzennych japońskich terytoriów na Oceanie Spokojnym — między innymi wysp Riu-Kiu i Bonin. W związku z tym warto pamiętać, że na wyspach Riu-Kiu znajduje się największa wojskowa baza amerykańska na Dalekim Wschodzie — Okinawa.

Amerykański traktat został opracowany i przeforsowany na konferencji w San Francisco z pogwałceniem wszelkich reguł obowiązujących w prawie i stosunkach międzynarodowych. Z pogwałceniem porozumienia jałtańskiego i poczdamskiego wyłączono z prac nad traktatem ZSRR i Chiny, odmawiając zwołania — w celu opracowania traktatu — rady ministrów spraw zagranicznych, jak to przewidywały wspomniane układy. Projekt traktatu został opracowany wyłącznie przez Amerykanów i następnie w tajnych rozmowach narzucony poszczególnym satelitom amerykańskim z Wielką Brytanią na czele, narzucony zresztą tak brutalnie i bezceremonialnie, że komentując wyjazd zachodnio - europejskich delegacji do San Francisco, reakcyjny paryski *Combat* pisał, iż „jadą tam ze stryczkiem na szyi" i że mają pełną świadomość „jak ciężkim zawodem jest zawód satelity". Gang-

sterskie oblicze dyplomacji amerykańskiej ujawniło się wreszcie w całej pełni w trakcie samych obrad.

ZSRR, Polska i Czechosłowacja, wbrew amerykańskim oczekiwaniom, przyjęły zaproszenie na konferencję w San Francisco, gdyż nie można było dopuścić, aby świat z trybuny konferencji nie usłyszał słów prawdy o planach amerykańskich. Acheson i Dulles zorganizowali wobec tego niespotykany w historii konferencji międzynarodowych manewr. Amerykańska „większość" przyjęła reguły proceduralne, które nie tylko drakońsko ograniczały czas przemówień, ale wręcz zakazywały wnoszenia poprawek do amerykańskiego projektu. „Trzeba związać ręce Gromyce" — wrzeszczała prasa amerykańska. *New York Herald Tribune*, z bardzo typowym dla Herrenvolku samoupojeniem wielbił swego ministra: „Nareszcie przestaliśmy się przejmować tym, co sobie pomyślą ludzie w Azji, ludzie - neutraliści, ludzie-niekomuniści itd., jeśli zlekceważymy legalistyczne aspekty stanowiska ZSRR". Delegację radziecką próbowano wręcz sterroryzować. Szef policji w San Francisco, Winnell, „delikatnie" ostrzegł delegatów ZSRR, iż „nie powinni za bardzo kręcić się po mieście, bo grozi im niebezpieczeństwo". W trzy dni potem policja w San Francisco rozgłosiła, iż otrzymała „poufne informacje", że samochód delegata ZSRR zostanie w drodze do gmachu konferencji rozbity w sfingowanym „wypadku samochodowym".

Gromyce nie udało się „związać rąk". Delegat radziecki przedłożył miażdżącą krytykę amerykańskiego projektu traktatu i zgłosił szereg poprawek w zasadniczych sprawach tak, aby odebrać projektowi traktatu jego agresywne ostrze, skierowane przeciwko narodom Azji. Gromyko zaproponował wprowadzenie klauzul: o zakazie organizacji faszystowskich i militarnych w Japoni o zakazie prześladowania demokratów japońskich, o spłacie przez Japoni słusznych reparacji krajom azjatyckim o ograniczeniu zbrojeń japońskich, zakazie stacjonowania na terytoriu Japonii jakichkolwiek wojsk obcych o zakazie udziału Japonii w agresyw nych koalicjach, o koniecznym udział Chin Ludowych w traktacie, a wresz cie o uchyleniu wszelkich ograniczeń ciążących na pokojowej gospodarce handlu japońskim oraz o zwrocie Ja ponii wysp Riu-Kiu i Bonin. Amery kańscy gangsterzy na konferencji od mówili nawet przedyskutowania tych poprawek. „Nic nas nie obchodzi, c sobie pomyśli świat"... Jednakże życze nia Achesona mogą być miarodajne dl jego satelitów, ale nie dla walczących o pokój narodów. Propozycje Gromy ki — przyznaje niechętnie reakcyjn AFP — wywołają w Azji „efekt bom by". Konferencja w San Francisco ni czego nie rozstrzygnie — dodaj *Manchester Guardian* — sprawa do piero staje na porządku dzien nym. Sprawa walki o sprawiedliw pokój z Japonią, walki prowadzone przede wszystkim przez wszystkie na rody Azji z narodem japońskim włącz nie. I głosu tych narodów ministe Acheson nie potrafi skreślić z porząd ku dziennego przy pomocy żadnej pro cedury.

Wskrzeszenie armii niemieckiej

W pierwszych dniach września roz poczęła się w Waszyngtonie nowa seri atlantyckich konferencji, których głów nym tematem jest odrodzenie w Trizon armii niemieckiej na żołdzie ame rykańskim. Po rozmowach tzw. eks pertów oraz ściągniętych do stolic USA zachodnich Wysokich Komisarz z Niemiec, nastąpić miały narady p. Achesona, Morrisona i Schumana, p czym w Ottawie zwoła się sesję rad

ministrów spraw zagranicznych paktu tlantyckiego. Po krótkiej przerwie dla apięcia wszystkiego na „ostatni guzik" dbędzie się w połowie października w Rzymie nowa sesja rady paktu poprzedzona konferencją ministrów spraw zagranicznych mocarstw zachodnich z Adenauerem. Na tej właśnie konferencji mają być podpisane dwa układy w sprawie remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Pomniejszym satelitom na radzie paktu nie pozostanie nic innego, jak je „zatwierdzić".

Wspomniane układy to — jak informuje komentator dyplomatyczny *New York Times* — 1) „zastępczy traktat pokojowy", 2) „traktat bezpieczeństwa".

Na mocy pierwszego z wymienionych układów uchylony będzie statut okupacyjny, a Wysoka Komisja przekształci się w Radę Ambasadorów. Kompetencje rządu Adenauera będą rozszerzone. Jednakże mocarstwa zachodnie zachowują sobie prawo powrotu do pełnych kompetencji okupacyjnych „na wypadek potrzeby". Tak więc nie ma rzeczywiście mowy o suwerenności Niemiec zachodnich, jakkolwiek termin ten ma być użyty w traktacie. Nie ma mowy tym bardziej, że wojska okupacyjne pozostają w Niemczech zachodnich na mocy drugiego z wymienionych traktatów. Tyle tylko, że będą się odtąd inaczej nazywały — mianowicie wojskami gwarantującymi bezpieczeństwo" Trzonii. Drugi traktat przewiduje wreszcie, że powoła się natychmiast do życia armię zachodnio - niemiecką, która wejdzie w skład armii atlantyckiej pod dowództwem Eisenhowera.

Francuski *Combat* omawiając wyżej zreferowane projekty amerykańskie używa terminu „San Francisco dla Niemiec". Jakoż faktycznie podobieństwo jest uderzające: tu i tam pseudosuwerenność, tu i tam uwiecznienie okupacji kraju, tu i tam wreszcie powołanie sił zbrojnych mających odegrać rolę rezerwuarów mięsa armatniego dla amerykańskich generałów. W obu wypadkach mamy do czynienia z odradzaniem pokonanych imperializmów, z łaski USA i w imię nowej wojny agresywnej przeciwko ZSRR i jego sojusznikom.

Na VI Plenum KC SED 13 czerwca br. członek Biura Politycznego KC, Fred Oelssner, przeprowadził głęboką analizę aktualnego procesu odradzania imperializmu zachodnio - niemieckiego. Oelssner wskazał na dziesięć specyficznych cech tego procesu, a mianowicie:

I. Odrodzenie imperializmu niemieckiego odbywa się w warunkach niesłychanego pogłębienia ogólnego kryzysu kapitalizmu.

II. Każdy krok naprzód nowego imperializmu niemieckiego nosi z założenia piętno zdrady narodu, zaprzedania interesów narodowych. Jest to mianowicie wynikiem faktu, że każdy taki krok następuje z łaski głównego imperializmu — imperializmu USA.

III. Rozwój imperialistyczny w Niemczech zachodnich odbywa się w obliczu istnienia i sukcesów NRD. Tym samym rozwój ten zagraża jedności narodu niemieckiego, pogłębiając podział Niemiec. W konsekwencji rozwój imperializmu w Trizonii oznacza z całą koniecznością zaostrzenie walki, jaką prowadzi naród niemiecki w obronie swych interesów narodowych.

IV. Samodzielna ekspansja imperialistyczna jest dla imperializmu niemieckiego — w obliczu rozszerzenia obozu socjalizmu po drugiej wojnie światowej i pogłębienia kryzysu kapitalizmu (p. I) — w najwyższym stopniu trudna i może się odbywać tylko

przy poparciu USA. Musi ona prowadzić do wielkich konfliktów.

V. Odrodzenie imperializmu niemieckiego następuje w warunkach nie względnej stabilizacji kapitalizmu jak po 1923 r., ale w okresie trwającego kryzysu, w okresie zaostrzania się walki klasowej.

VI. Burżuazja jest dziś tak słaba, że przystępując do odradzania imperializmu niemieckiego musi od samego początku sięgać do metod faszyzmu — co po roku 1923 uczyniła dopiero w latach 1930/31.

VII. Odrodzenie imperializmu niemieckiego odbywa się w warunkach i jako element wojennej nagonki imperialistycznej.

VIII. Socjaldemokracja od samego początku demaskuje się dziś w przeciwieństwie do okresu po 1923 r. jako partia wojenna.

IX. Na czele walki narodowo - wyzwoleńczej narodu niemieckiego stoi dziś klasa robotnicza i jej partia.

X. Partia robotnicza — SED w Niemczech wschodnich i już w znacznej mierze KPD w zachodnich — jest dziś bojową marksistowsko - leninowską partią nowego typu. Partię taką po r. 1923 trzeba zaś było dopiero tworzyć.

Dla imperialistów amerykańskich, o których planowanym „rozkładzie jazdy" w odbudowie imperializmu niemieckiego pisaliśmy na wstępie, kapitaliści zachodnio - niemieccy reprezentują głównego w Europie sojusznika w przygotowaniu wojny przeciw obozowi socjalizmu. Toteż jedyną perspektywą, jaką odradzający się imperializm niemiecki stawia przed swoim narodem, jest wojna i zniszczenia, wojna i klęska.

Realizacja planów amerykańskich odbudowy militaryzmu zachodnio-niemieckiego odbywać się więc musi w ramach potrójnej ostrej walki. Po pierwsze — jest to narodowo - wyzwoleńcza walka narodu niemieckiego o zawarcie traktatu pokojowego, wycofanie wojsk okupacyjnych i zjednoczenie kraju. W walce tej najpotężniejszą bronią jest trwający nadal w Niemczech zachodnich i rozwijający się pomimo represji okupantów i Adenauerowskiej policji narodowy plebiscyt przeciw militaryzacji. Przeciętna w odpowiedziach wynosi ponad 90% głosów przeciw remilitaryzacji. Nawet reakcyjny instytut badania opinii publicznej *Emnid* w Bielefeld, który przeprowadził w sierpniu br. ankietę w sprawie remilitaryzacji, przyznaje, że na pytanie: „Czy chcesz zostać żołnierzem lub czy uważasz za słuszne, by został nim twój mąż lub syn?" — 75% odpowiedziało „nie", a tylko 20% „tak", 5% nie udzieliło odpowiedzi. Ciekawe że w identycznej ankiecie w czerwcu 1949 r. odpowiedzi „nie" było tylko 60%, odpowiedzi „tak" — 28%. Jednym z głównych zadań w niemieckiej walce o pokój jest zdemaskowanie do reszty demagogii Schumachera, który — jak pisze np. reakcyjny *Hamburger Freie Presse* — „myśli w gruncie rzeczy tak samo jak Adenauer". Realizacji tego zadania służy między innymi sierpniowy list KC SED do towarzyszy z SPD i KPD.

Po drugie — jest to ogólnoświatowa walka o pokój, a specjalnie walka najbardziej zagrożonych wskrzeszeniem imperializmu niemieckiego—jako głównego sojusznika USA—narodów zachodnio - europejskich. Jak skutecznie rozwija się ta walka, wskazują np. wspaniałe wyniki francuskiego plebiscytu przeciw remilitaryzacji Niemiec oraz przebieg obrad wrześniowego kongresu TUC (brytyjskie związki zawodowe) w

lackpool, gdzie mimo manewrów kie-wnictwa rezolucja przeciw remilita-rzacji Niemiec i Japonii zdobyła 35% osów.

Po trzecie wreszcie — jest to za-trzona walka pomiędzy imperialista-i, tocząca się na dwóch płaszczyznach. jednej strony mamy rozpaczliwe pró-y oporu rządu francuskiego wobec dporządkowania jego interesów inte-som Adenauera zgodnie z przodującą lą Trizonii w planach USA. Główna zgrywka dotyczyć będzie tzw. planu evena „armii europejskiej". Rząd ancuski pragnie wydzielenia, w ra-ach armii Eisenhowera, kontyngen-w niemieckich, francuskich, belgij-ich, holenderskich i włoskich jako w. armii europejskiej, licząc na uzy-anie w niej dowództwa i włączenie ę w ten sposób w środek „służbowej rabinki" sięgającej od gen. Eisenho-era do gen. gen. Heusingera, Speidla, anteuffla i Guderiana — szefów przy-łej armii niemieckiej. Według po-szechnych opinii, referowanych mię-zy innymi przez *Daily Telegraph*, lan francuski nie ma żadnych totnych szans realizacji i po-zieli losy opozycji wobec tworzenia iemieckiego sztabu generalnego i jed-ostek wojskowych w rozmiarach dy-izji. Z drugiej strony chodzi o rosną-e wymagania imperialistów niemiec-ich, którzy na hurtowym handlu mię-em armatnim chcieliby jako tako się samodzielnić. Organ reakcyjnej FDP *amburger Freie Presse*, „ostrze-a" sojusznika: „Problem wkła-u zbrojnego Niemiec zachodnich nie a się rozwiązać... bez debaty przede szystkim z Niemcami. Debata ta musi ieć nie formę stawiania gotowych wa-unków, lecz formę rokowań, przy któ-ych powinniśmy mieć pełną swobodę ecyzji". Imperialiści niemieccy żądają ięc uchylenia kontroli nad eksportem ęgla z Ruhry, obciążenia kosztami okupacyjnymi zachodnich aliantów, bezpłatnego uzbrojenia armii niemieckiej przez USA i wreszcie gwarancji, że — jak formułuje *Die Welt* — żołnierze niemieccy „nie będą służyć tylko w obronie obcych krajów". W związku z tym *Die Welt* żąda „ofensywnej taktyki" — „zniszczenia sił radzieckich we wschodnich Niemczech przy jednoczesnym zniszczeniu wszystkich dróg dowozowych na terenie na wschód od Wisły". W Trizonii prowadzona jest wielka kampania pod hasłem „walki o niemiecki wschód" itd. Fakt ten — zasługujący na szczególne podkreślenie — wskazuje, iż odradzający się imperializm niemiecki pretenduje już do forsowania w ramach bloku atlantyckiego takiej taktyki agresji, by zapewnić sobie maksymalnie wpływową pozycję. Taktyka owa — to stara idea generalnej „krucjaty na wschód" wsparta dziś ideą odwetu. Warto o tym pamiętać szczególnie w tych tygodniach, w których amerykańscy mężowie stanu zaleją świat potopem przemówień na temat pokojowości i demokratycznego charakteru rządu Adenauera, w tygodniach, w których podżegacze wojenni oficjalnie powołują do życia Wehrmacht Adenauera, Wehrmacht trzeciej w historii fazy imperializmu niemieckiego.

Przerwanie rokowań w Kaesong

Rozpoczęte 10 lipca rokowania w Kaesong w sprawie zawieszenia broni w Korei zostały — w wyniku prowokacji amerykańskich — w dniu 23 sierpnia przerwane. Bezpośrednim powodem przerwania rokowań był nalot bombowców amerykańskich na neutralną strefę Kaesong i zbombardowanie przez nie rejonu, w którym znajdowała się siedziba delegacji ludowej. To brutalne pogwałcenie porozumienia w sprawie neutralności strefy Kaesong

poprzedzone było szeregiem innych incydentów — między innymi zamordowaniem przez oddziały południowokoreańskie żołnierza ludowego w tejże strefie. Amerykański dowódca, gen. Ridgway, w niesłychanie prowokacyjnej depeszy wysłanej w odpowiedzi na protest gen. gen. Kim Ir-sena i Peng Teh-hueia odmówił w ogóle zbadania zarzutów ludowych. Od czasu przerwania rokowań nastąpiły nowe prowokacje amerykańskie, przy czym np. w okresie od 1 do 9 września nabrały one już całkiem masowego charakteru. Samoloty amerykańskie w tym okresie 139 razy pogwałciły neutralność strefy Kaesong. 10 września lotnictwo USA ostrzelało strefę Kaesong z broni pokładowej. Dowództwo amerykańskie uporczywie odmawia poważnego zbadania wszelkich protestów ludowych. Jednocześnie na froncie trwają gorączkowe przygotowania do nowej ofensywy amerykańskiej. Agencja *Telepress* donosi z kół zbliżonych do ambasady amerykańskiej w Indiach, że gen. Ridgway otrzymał tajny rozkaz wykorzystania okresu rokowań w Kaesong dla przygotowania nowej wielkiej ofensywy w Korei. W tym celu Ridgway przeprowadza masowe bombardowania miast i osiedli Korei północnej oraz koncentrację wojsk. Z Tokio na Koreę przerzucono dodatkowe posiłki amerykańskie uzupełnione oddziałami japońskimi z tzw. korpusu rezerwy policyjnej.

„Nie można wątpić — pisze mieszczański publicysta amerykański, Stone — o obłędnym dążeniu kwatery Ridgwaya do storpedowania rokowań". Dowodem tego dążenia może być zresztą, poza otwartymi prowokacjami zbrojnymi, stanowisko delegacji amerykańskiej w okresie poprzedzającym zawieszenie rozmów. W ciągu 20-dniowych bezskutecznych dyskusji na temat 2 punktu porządku dziennego — tzn. ustalenia linii demarkacyjnej i strefy zneutralizo wanej, Amerykanie uporczywie pod trzymywali żądanie przesunięcia lin demarkacyjnej daleko na północ tak, b zapewnić sobie możliwie jak najlepsz pozycje wypadowe dla nowej ofensyw

Prasa amerykańska pisze coraz czę ściej o rozszerzeniu agresji na Korei o zastosowaniu „recepty Mac Arthura między innymi w postaci bombardowa nia Chin. Organ Labour Party *Peopl* stwierdził 9 września, z okazji przyby cia Morrisona do USA, iż „w społeczeń stwie brytyjskim wzrasta przekonanie że USA zdecydowały się na rozszerze nie wojny na Korei". Dzienniki zachod nie ujawniają jednocześnie motywy ta kiej decyzji. Komentator dyplomatycz ny *New York Times*, Reston, stwier dza, że w obliczu perspektywy zawie szenia działań wojennych na Kore osobistości oficjalne w USA „obawiaj się najbardziej osłabienia tempa zbro jeń zarówno w Stanach Zjednoczonyc jak i w krajach paktu atlantyckiego *Chicago Daily News* cytował opini jednego z wybitnych sztabowców amerykańskich: „Obawiam się bardz że w razie dojścia do skutku t transakcji (mowa o zawieszeniu bro ni) naród amerykański może wrócić d swej śpiączki. Matki będą mogły znó zacząć dyskusję nad sprawą służby woj skowej, a skąpi politykierzy — przysta pić do zmniejszenia kredytów na zbro jenia". Jak groźna dla kapitalistów a merykańskich byłaby taka perspektyw wskazywać może zasadniczy artykuł o ganu giełdy nowojorskiej *Journal Commerce* napisany przez redak tora naczelnego pisma, Luedeck a stwierdzający, że „gospodarka US jest obecnie i będzie w ciągu najbli szych 2 — 3 lat całkowicie oparta zbrojeniach". Luedecke martwi się ju na zapas, co będzie po zrealizowani aktualnego programu zbrojeniowego

dkreśla, że „jeśli nie będzie wielkiej ojny, USA znajdą się w obliczu nie-ykle poważnego kryzysu".

W świetle polityki amerykańskiej na rei niedwuznacznej wymowy nabie- historia wymiany w lipcu br. orę- między Trumanem a przewodniczą- m Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, wernikiem. W orędziu swym Truman ierdził, jakoby Stany Zjednoczone agnęły pokoju i przyjaznych stosun- w z ZSRR. Kiedy jednak Prezydium dy Najwyższej ZSRR uchwaliło w od- wiedzi rezolucję proponującą zawar- paktu pokoju pomiędzy pięcioma carstwami, do którego mogłyby się yłączyć również inne państwa dą- e do utrwalenia pokoju — prasa a- rykańska przemilczała tę odpowiedź, Departament Stanu w oficjalnej de- racji stanowczo ją odrzucił. *New rk Times* uzasadnił krótko i szcze- tę decyzję Departamentu Sta- : „Pakt pięciu mocarstw spowodo- łby, że mocarstwa zachodnie miały- związane ręce. Pakt taki przeciw- iałałby gotowości mocarstw zachod- h do zastosowania siły w celu stłu- enia agresji". Jeśli przypomnimy, że gresją" nazywają zachodni imperia- ci również bohaterską walkę o wol- ść narodu koreańskiego — argumen- cja *New York Times* stanie się pełnie jasna.

Krzysztof Wolicki

SPRAWA WIELKICH BUDOWLI KOMUNIZMU W LITERATURZE RADZIECKIEJ

Niedawno upłynął rok od wydania storycznych uchwał Rządu Radziec- go o rozpoczęciu gigantycznych bu- wli komunizmu. Zaledwie kilkanaście esięcy minęło od chwili, gdy setki sięcy ludzi radzieckich z niezwykłym entuzjazmem i ofiarnością przystąpiło do ich realizacji. Wielkie budowle komunizmu — prócz ludzi bezpośrednio z nimi związanych — wciągają w swoją orbitę miliony ludzi radzieckich, którzy pracują i tworzą w zaciszu laboratoriów i gabinetów, w biurach konstruktorskich i w halach fabrycznych, w dalekiej tajdze i w podziemiach kopalń. Budowle komunizmu — to sprawa ogólnonarodowa, to sprawa głębokich przemian duchowych, sprawa kształtowania charakteru, hartowania woli, pobudzenia inicjatywy twórczej milionów budowniczych komunizmu.

W obliczu tych wielkich przemian literatura radziecka, literatura realizmu socjalistycznego, która przecież sama stanowi nieodłączną część składową budownictwa komunistycznego nie może pozostać na uboczu. Już 5 października ubiegłego roku pisarze moskiewscy zebrali się dla zapoznania się z planami wielkich budowli komunizmu i omówienia udziału literatów radzieckich w tym gigantycznym dziele. W dyskusji, jaka nastąpiła po referacie informacyjnym prof. Kowdy wypowiedzieli się powieściopisarze i reportażyści, poeci i dramaturgowie.

Z ciekawszych wypowiedzi, które bynajmniej nie straciły na aktualności w ciągu tego roku, wymienię wywody pisarza W. Iwanowa, jaki rodzaj literacki najbardziej odpowiada wielkiej tematyce. „Nie mogę powiedzieć — mówi Iwanow — zresztą któż to powie? — w jakiej formie: powieści, sztuki, poematu, reportażu, czy jeszcze innej — ten lub ów pisarz odtworzy wielkie budowle stalinowskie. Jedno jest jasne: literatura radziecka nie może istnieć bez tego, by każdy z nas — z całą swoją mocą twórczą nie opisał tych budowli".

Poeta M. Gribaczew wezwał pisarzy do zapoznania się z literaturą technicz-

ną, gdyż bez znajomości podstawowych zasad techniki bardzo trudno będzie pisarzowi pisać utwory związane z wielkimi budowlami komunizmu. „Minął czas — wywodził Gribaczew — kiedy pisarzowi wystarczało wykształcenie humanistyczne. Teraz naród nasz nabył znajomości techniczne. Przecież inżynierowie ludzkich dusz nie mogą pozostawać w tyle za narodem".

Wezwanie do udziału w wielkich budowlach komunizmu — nie trafiło w próżnię. Setki reportażystów, nowelistów, powieściopisarzy, poetów, dramaturgów, scenarzystów — udało się na tereny wielkich budowli komunizmu. Ze Stalingradu i Kujbyszewa, z Kałacza i Cymlańskiej, z Kachowki i Tachia-Taszu nieprzerwanym potokiem popłynęły korespondencje, notatki, reportaże, szkice i opowiadania. W prasie i czasopismach literackich otworzono specjalne działy i kolumny poświęcone utworom o wielkich budowlach komunizmu.

Widzimy więc, że cała niemal literatura pierwszego roku wielkiego budownictwa — to literatura dokumentarna, reportażowa. Reportaże piszą wszyscy — bez względu na stale uprawiany rodzaj literacki. Jest to zupełnie zrozumiałe. Reportaż jest gatunkiem literackim najbardziej operatywnym, chwyta życie na gorąco, utrwala literacko zjawiska w procesie ich powstawania.

Minęła zima. Wiosną br. roboty na wszystkich budowlach przybrały na sile. Szybko postępowały roboty na kanale Wołga—Don; ukończono pierwszą przygotowawczą, badawczo-geologiczną fazę robót dla budowy zapory wodnej pod Stalingradem. W kwietniu br. na posiedzeniu Prezydium Związku Pisarzy Radzieckich w Moskwie była obszernie omawiana sprawa bardziej planowego i zorganizowanego udziału literatów w wielkich budowlach komunizmu. W ki ka tygodni później sprawa ta by przedmiotem obrad organizacji party nej pisarzy moskiewskich. Zastępca g neralnego sekretarza Związku Pisarz Radzieckich, Aleksy Surkow, wygłos referat pt. P i s a r z e a w i e l k i b u d o w l e.

Po fazie wstępnego gromadzenia d świadczeń w opracowaniu twórczej t matyki lat powojennych — wywodz Surkow — pisarze radzieccy zbliżyli s do rozwiązania na szerszej i głębsz podstawie nowych zadań literatur wypływających z nowej sytuacji, jak stwarza przystąpienie do wielkiego bu downictwa komunistycznego.

„Wydaje mi się — snuł swoją my Surkow — że w świetle tego wszyst kiego wielkie budowle komunizmu za wierają klucz do zrozumienia zakresu głębokości tych zadań, jakie stoją dz siaj przed literaturą radziecką".

Na dwa bardzo ważne aspekty wie kiego budownictwa komunistyczneg zwrócił Surkow uwagę pisarzy: zrozu mienie ich ułatwi literatom wniknięc w ogrom zagadnienia, umożliwi ujęc i opanowanie kompleksu tematów l terackich związanych z wielkimi bu dowlami komunizmu. Po pierwsz Wielkie budowle komunizmu powsta dzięki wysiłkom całego narodu radzie kiego, są sprawą ogólnonarodow wszechzwiązkową. Pisarze radziecc muszą wyczuć, uświadomić sobie ca głębię wszechzwiązkowego frontu wa ki o realizację gigantycznych plano stalinowskich. Tę „przestrzenną skal wielkich robót pogłębia twórczy wy dźwięk wielkich budowli komunizmu - podobnie jak wielkich planów zalesie nia — w państwach demokracji lud wej.

Po drugie: Zasadnicze historycz znaczenie wielkich budowli komunizm tkwi w tym, że są odzwierciedlenie

amej natury społeczeństwa radzieckie-
o — przeciwstawnej naturze społeczeń-
twa kapitalistycznego. Pisząc o wiel-
ich budowlach komunizmu pisarze po-
vinni pamiętać o ich międzynarodo-
vym znaczeniu — również jako waż-
iego argumentu w walce o pokój. Zna-
zenie to ujął jasno i lapidarnie Stalin
v rozmowie z korespondentem P r a w-
y w lutym br. mówiąc, że gigantycz-
e budownictwo pokojowe dowodzi po-
ojowości polityki Związku Radzieckie-
o.

W dalszym ciągu referatu Surkow za-
naczył, że — jeżeli literatura ma speł-
ić pokładane w niej nadzieje — pisa-
ze nie mogą ograniczyć się do roli wy-
elegowanych na krótko w teren — ob-
erwatorów i kronikarzy. Literaci mu-
zą stać się aktywnymi współuczestni-
ami wielkich budowli. Różne są mo-
liwości zatrudnienia literata na budo-
vie: może on pracować jako propagan-
zista lub jako redaktor gazetek, które
vydaje się na każdej budowie. Do-
wiadczenie pracy literackiej w okresie
ierwszych pięciolatek stalinowskich,
oświadczenie służby pisarzy w groź-
ych chwilach Wielkiej Wojny Narodo-
vej — uczą, jakie formy ma przybrać
raca literacka w chwilach przełomo-
vych dla narodu. Właśnie praca w ga-
ecie — wywodzi Surkow — wytwarza
ajsilniejszą więź z życiem, z żywymi
udźmi, a to jest najistotniejsze.

„O stylu wielkich budowli — konty-
uował Surkow — stanowią nie ma-
zyny — chociażby nawet najdoskonal-
ze — lecz ludzie. Właśnie z nimi, z ko-
ektywem budowniczym danej budowli,
nusi więc najmocniej zespolić się pi-
arz".

W ożywionej dyskusji nad referatem
ypowiedzieli się pisarze oraz uczest-
iczący w zebraniu uczeni i konstruk-
orzy związani swą pracą z wielkimi
udowlami komunizmu. Padło wiele uwag i pomysłów dotyczących zagadnień ideowych, artystycznych i organizacyjnych. Pisarz A. Kożewnikow zaproponował, by przy Związku Pisarzy Radzieckich stworzono gabinet konsultacyjny. Wybitna reportażystka M. Szaginian opowiedziała o swojej pracy nad H y d r o c e n t r a l ą — powieścią z okresu pierwszej pięciolatki stalinowskiej. W roku 1927 Szaginian udała się do ojczystej Armenii. Tam przez 4 lata pracowała w jednym z zespołów budowniczych wielkiej elektrowni wodnej w miejscowości Dzorag, przebywała też na innych budowach elektrowni wodnych. Pisarka prowadziła na budowie kółko dramatyczne, zajmowała się pracą kulturalno-polityczną, brała czynny udział w robotach ziemnych, w układaniu torów, w pracach kreślarskich, niwelacyjnych, instalacyjnych, nie zadawalając się rolą biernego widza i obserwatora. Szaginian zaapelowała do pisarzy, by na wielkich budowlach byli nie świadkami, lecz aktywnymi uczestnikami ich powszednich i wielkich spraw.

Reportażysta G. Fisz omówił sprawę udziału wszystkich gałęzi nauki w wielkim dziele przeobrażenia przyrody. Jeśli pisarz chce uniknąć bladych, bezbarwnych utworów — wywodził Fisz — musi dobrze orientować się w tym, jak rozliczne gałęzie nauki rozwiązują problemy i trudności wielkiego budownictwa komunistycznego.

O tym, czego oczekuje od pisarzy czytelnik, dowiedzieli się zebrani z wypowiedzi jednego z twórców „kroczącej kopaczki" prof. Dombrowskiego: „Reportaże, artykuły, opowiadania poświęcone wielkim budowlom — to pięknie. Lecz pragnęłoby się, ażebyście nam dali monumentalne płótna, odtworzyli pełny obraz w całości. A to powinny być płótna o ludziach, twórcach naszych budowli. Istota sprawy przede wszyst-

kim — w nich, budowniczych wielkich urządzeń".

W nr 6 czasopisma Znamia ukazał się pierwszy większy utwór prozą — opowieść dokumentarna pt. Ranek wielkiej budowli, pióra oryginalnej spółki autorskiej: głównego geologa na budowie Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej, W. Gałaktionowa, i dziennikarza-reportażysty, A. Agranowskiego. Opowieść oparta jest na materiale faktycznym pierwszej przygotowawczej fazy budowy (stąd tytuł utworu), to jest geologicznego zbadania dna i brzegu Wołgi w pobliżu Stalingradu.

W przedmowie do opowieści autorzy jej piszą:

„W notatkach tych sporządzonych na gorąco, pod świeżym wrażeniem wydarzeń, mowa jest o tym, co rzeczywiście odbywało się na brzegach nadwołżańskich, mowa — o żywych ludziach, o ich prawdziwych wzruszeniach i radościach, trudnościach i zwycięstwach. Nie pretendując do pełnego opisu całego biegu robót, autorzy starali się wybrać to, co typowe w wydarzeniach i ludzkich charakterach, starali się zbadać los „głównego bohatera" — wielkiego nadwołżańskiego węzła wodnego".

Utwór Gałaktionowa i Agranowskiego wywołał duże zainteresowanie. O poczytności i znaczeniu tej pierwszej jaskółki literatury związanej z wielkimi budowlami komunizmu świadczy fakt, że w kilka tygodni po ogłoszeniu — opowieść była omawiana na wspólnym zebraniu sekcji prozy i sekcji reportażu Związku Pisarzy Radzieckich i była przychylnie przyjęta.

W tym samym numerze czasopisma Znamia, w którym ogłoszono Ranek wielkiej budowli, Aleksy Surkow opublikował artykuł pt. Literatura radziecka a wielkie budowle komunizmu. Artykuł ten rozwija szerze tezy omówionego wyżej referatu poet na zebraniu pisarzy moskiewskich, ni będę więc ich powtarzał. Pragnę jednak zwrócić uwagę czytelnika na kilka innych spraw poruszonych w artykule Surkowa.

Surkow wskazał na ścisłe związki istniejące między etapami rozwojowym literatury radzieckiej z etapami rozwojowymi społeczeństwa radzieckiego Każdy decydujący, przełomowy okre budownictwa socjalistycznego wyciska silne piętno na żywym procesie rozwoju literatury radzieckiej. Każdy taki eta wysuwał nową tematykę. W konsekwencji każdy nowy etap rozwojowy w społeczeństwie radzieckim i jego literaturze wpływał jakościowo, podnosił n wyższy poziom proces twórczy u poszczególnych pisarzy, wciągając ich w nurt nowych zadań twórczych. N przykładach twórczości I. Erenburga W. Katajewa, M. Szołochowa — poświęconej budownictwu socjalistyczne mu w okresie pierwszych pięciolate stalinowskich (Jednym tchen Erenburga, Czasie naprzód Katajewa, Zorany ugor Szoło chowa) Surkow wykazał dobroczynn wpływ tematyki budownictwa socjali stycznego na rozwój pisarzy.

Podobnie jak to było w wielkic dniach budownictwa socjalistyczneg teraz — w obliczu wielkich budowli ko munizmu — miejsce pisarzy stanowią cych drużynę ideologiczną budowniczyc komunizmu jest w kolektywach budow niczych. Artykuł swój Surkow zakoń czył określeniem zadań stojących prze pisarzami i organizacjami pisarskimi w stosunku do tych pisarzy, którzy ju zrozumieli konieczność bezpośrednieg udziału w wielkim budownictwie." Na sze zadanie — konkluduje Surkow — pomóc tym ludziom w znalezieniu o biektu według ich upodobania, pomó

znalezieniu na takim obiekcie, w zespole jego budowniczych — miejsca godnie z charakterem, umysłowością, temperamentem, dążeniami — pomóc rzeszcie w uogólnieniu ich spostrzeżeń, robku — w utworach, które swoją ałą twórczą mają się zbliżyć do skasamych obiektów".

W N-rze 99 Literaturnej aziety z 21.8. br. ukazał się arkuł pt. Jacy właściwie są budowniczowie Kahowki? pióra W. Drużynina, inruktura KC WKP(b) na budowie Kanowskiej Elektrowni Wodnej. Drużyn — na podstawie spostrzeżeń własch i dobrej znajomości ludzi — wyka autorom niektórych reportaży o udowie elektrowni w Kachowce brak najomości opisywanych osób, poierzchowną i szablonową charakteryykę, niewnikanie w złożoną psychikę udowniczych komunizmu. Mówiąc o udnościach stworzenia z ludzi różych, poznających się, rosnących krzepnących na budowie — zwartego olektywu, Drużynin apeluje do pisay i dziennikarzy: „Przyjeżdżajcie do achowki, pomóżcie nam poznać naych budowniczych!".

W końcu pragnę poinformować, że ównież w poezji radzieckiej zaczynają ę pojawiać większe cykle poetyckie wiązane tematycznie z wielkimi budolami komunizmu. Wiera Inber pisze kl pt. Droga wody, poświęcony gadnieniu nawodnienia pustynnych szarów środkowo-azjatyckich; wiersz tego cyklu pt. Przyszła tra (Wielkiego Kanału Turkmeńskiego) mieściła *Zwiezda* w numerze lipcoym. Aleksander Jaszyn ogłasza cykl złowiek radziecki, poięcony budowniczym elektrowni nadołżańskich — w Kujbyszewie i Stalinadzie (*Literaturnaja Gazieta* Nr 55 maja br., *Znamia* Nr 7/1951). Poeta ukraiński M. Nagnibeda pisze cykl wierszy pt. Stepy ożyją; wiersz z tego cyklu pt. Na trasie przyszłych kanałów w przekładzie A. Sofronowa — zamieściło czasopismo *Znamia* w numerze czerwcowym.

Józef Spinc

OCENA Z TAMTEJ STRONY

I

Harold Stassen, niedoszły republikański prezydent USA, Wysoki Komisarz USA w Niemczech, John McCloy, oraz generałowie ze „sztabu atlantyckiego" Eisenhowera kolejno wsiadali do autożyra i lecąc nad granicą podwładnych sektorów faszystowskich z sektorem demokratycznym Berlina obserwowali z ciekawością i melancholią olbrzymie mrowisko młodych bo owników o pokój, przybyłych na III Światowy Zlot.

We wschodnim Berlinie, mającym obszar większy od Wielkiej Warszawy, do miliona trzystu tysięcy stałych mieszkańców tej części stolicy Rzeszy przybyło 26 000 delegatów postępowej młodzieży z całego świata oraz dwa miliony młodzieży niemieckiej, zarówno z Niemieckiej Republiki Demokratycznej jak i— na przekór zakazom i mimo obstawienia granicy stref żołdakami i psami Adenauera — z Niemiec zachodnich. Panowie Stassen i McCloy oraz generałowie Eisenhowera ogromnie zainteresowani w młodym niemieckim mięsie armatnim, mieli zatem co oglądać. Z lotu ptaka widok mrowia młodych, rozśpiewanych, roztańczonych ludzi przedstawiał się imponująco i zmuszał do poważnych refleksji.

Dwa miliony młodzieży, to już wielka wyrwa w potencjale nowego Wehrmachtu. Wiadomo jednak, że wyrwa ta jest daleko większa, bowiem wśród nieobecnej w Berlinie młodzieży nie-

mieckiej przeważa nastawienie wrogie do wojny i wojennego rzemiosła. Zachodnio-niemieckie gallupowskie instytuty stwierdzają wciąż na nowo, że 80—90% młodzieży Trizonii nie chce służyć w hitlerowskim nowym Wehrmachcie.

Konferencja, którą po przejażdżkach autożyrem odbyli panowie Stassen, Mc Cloy i generałowie Eisenhowera, wzbogacona została raportami agentów, którzy przeprowadzali rozmowy z młodzieżą FDJ obecną na Zlocie. Raporty te nie były pocieszające, wobec powyższego wysocy dygnitarze amerykańscy postanowili osobiście porozmawiać z jakimiś autentycznymi Młodymi Pionierami czy członkami FDJ. Ponieważ granica sektoru demokratycznego z sektorami amerykańskim, brytyjskim i francuskim biegnie około 60 km, przecinając wzdłuż jezdnie ulic, nic dziwnego, że zdarzały się wypadki, że grupki Młodych Pionierów czy FDJ-otowców przechodziły bezwiednie na drugą stronę jezdni i trafiały do sektorów zachodnich. Oczywiście byli też i tacy, którzy żądni przygód poszli samowolnie powałęsać się trochę po „amerykańskim Berlinie". O ile w stosunku do grup większych, które posądzono o próbę zorganizowania demonstracji za pokojem, policja zachodnio-berlińska na rozkaz McCloy'a z niesamowitą brutalnością używała pałek i kolb karabinów „do rozpędzania zakłócicieli pokoju", o tyle w stosunku do małych grupek czy indywidualnych wycieczkowiczów — również na zlecenie Amerykanów — stosowano inną metodę: mianowicie ugaszczano „wygłodniałych dzieciaków" bułkami z masłem, bananami i Coca Colą, pokazywano luksusowe sklepy na *Kurfürstendammie*, po czym wieziono „na rozmowę" do specjalnie na ten cel przygotowanych sal, gdzie amerykańscy i niemieccy „badacze opinii" starali się poznać mentalność przesłuchiwanych i ustalić, jakimi argumentami można by podważyć wiarę tej młodzieży w skuteczność walki o pokój.

W jednej z takich rozmów Mr McCloy obiecał FDJ-otowcom (za opowiedzeniem się po amerykańskiej stronie) ziemie leżące na wschód od Odry i Nysy, ale i ten znany skądinąd trick, przypominający ofiarowanie Niderlandów przez Zagłobę, nie wywarł żadnego wrażenia.

II

Wszelkie próby jakiejkolwiek propagandy, która by wprowadziła dywersję wśród uczestników Zlotu, zawiodły całkowicie. Hanowerski tygodnik *Der Spiegel* z 15.8.51, redagowany na wzór amerykańskich pism, jak *Newsweek* czy *Time*, z wielką irytacją pisał:

„... zachodnio-berlińscy politycy, którzy usypiali się stałym powtarzaniem „wcale nie jest tak źle", teraz nagle ze strachem stwierdzają: „Czas pracuje dla Wschodu".

Wschodni ideolodzy, propagandyści i agitatorzy nie spali w ciągu minionych 12 miesięcy. „Wasze pełne sklepy macie tylko przez zadłużanie się" — argumentowali 12-letni Młodzi Pionierzy spacerujący po *Kurfürstendammie*.

Zachodnio-berlińscy politycy, którzy w zachodnio-berlińskich schroniskach młodzieżowych stawali do dyskusji z malcami Ericha Honeckera (Przewodniczący FDJ p. m.), wychodzili pobici kompletnie argumentami Młodych Pionierów. „Przyjmując nawet — mówili malcy — że wy macie dziś lepiej, nie zmienicie decydującego faktu, że u was wszystko idzie ku gorszemu, a my natomiast dźwigamy się wciąż w górę".

Herbert Scheffler, członek kuratorium dla spraw młodzieży przy rządzie w Bonn, wyciągnął z tych spotkań smutny wniosek: „Coś musi nastąpić do czasu

iedy starsze pokolenie odejdzie, a Mło-
zi Pionierzy osiągną 25 lat. Inaczej
owiem nie będziemy mieli żadnych
ięcej szans..."

Tyle anglo-amerykański *Der Spiegel.*
podobny sposób oceniało Zlot wiele
sm reakcyjnych na zachodzie Europy
w Ameryce.

Spośród tego rodzaju wypowiedzi za-
tuję jeszcze jedną zachodnio-niemiec-
, głos tygodnika rewizjonistów w
efie amerykańskiej *Der Schläsier* (Nr
z 25.8.51):

„Berliński Zlot Młodych Bojowników
Pokój zakończył się. Byłoby rzeczą
erozsądną bagatelizować znaczenie i
e doceniać wpływu, jaki na młodzież
ywrze odbyty właśnie Zlot...

Prawdopodobieństwo, że stracimy
zawsze tę młodzież, staje się coraz
rdziej pewnością. Przy tym najbar-
iej godnym zastanowienia się jest
kt, że promieniowanie strefy radziec-
ej na młodzież Niemiec zachodnich
najmniej nie jest tak nikłe, jak to
m chcą wmówić czynniki rządowe.
śli tysiące młodzieży usiłowało prze-
stać się z Zachodu do Berlina mimo
kazu i obstawionej policją granicy,
z tego wyciągnąć trzeba niewesołe
nioski...

Skoro rząd w Bonn nie zna innych
odków poza policyjnymi zakazami, to
edobrze przedstawia się nasza spra-
a..."

III

Odpowiedź pośrednią na pytanie, co
k wielką wywołuje troskę amerykań-
ich imperialistów i ich melancholij-
ch agentów, odnalazłem w dwu pis-
ach: w *Sonntagsblatt* (z 25.8.51) i w
Monde (z 14.8.51).

Sonntagsblatt, tygodnik Rady Kościo-
Ewangelickiego w Niemczech za-
odnich, odkrył bolesne miejsce
wierdzając na marginesie Zlotu:

„Jedno jednak propaganda Wschodu osiągnęła: wszyscy ci młodzi ludzie odrzucają całkowicie ustrój kapitalistyczny..."

Le Monde natomiast poruszył sprawę równie groźną: odrzucanie przez młodzież... nacjonalizmu:

„Rozmawiałem z wieloma Francuzami w wieku od 20 do 30 lat — donosił korespondent berliński *Le Monde* — Wszyscy byli zafascynowani podróżą i wspaniałym przyjęciem, jakie im zgotowano. Odnieśli wrażenie, że delegację francuską witano ze szczególną przyjaźnią. I niewątpliwie nie ma dziś w Niemczech wschodnich Niemca, który by nie znał nazwisk Henri Martina i Raymonde Dien. Lecz to, co ich uderzyło najbardziej *(ce qui les frappe le plus...)* to przekonanie się naoczne, jak wielu Niemców wschodnich po pięciu latach ustroju komunistycznego wyzbyło się całkowicie tradycyjnego nacjonalizmu, który wciąż jest żywy w Niemczech zachodnich..."

To są te bolesne punkty: młodzież niemiecka, która wyzbyła się nacjonalizmu, nie pójdzie już więcej ślepo bić się o ustrój kapitalistyczny, który poza tym odrzuca.

IV

Minęły bezpowrotnie czasy, w których Truman czy McCloy mogliby powtórzyć za Hitlerem:

„Was für Glück für die Regierenden, dass die Menschen nicht denken. Denken gibt es nur in der Erteilung oder im Vollzug eines Befehls". („Cóż za szczęście dla rządzących, że ludzie nie myślą. Myślenie wyraża się tylko w wydawaniu lub wykonywaniu rozkazu").

To zdanie wypowiedział Hitler w gronie najbliższych współpracowników 18.I.1942 r., a zanotował je specjalny stenograf Kwatery Głównej, którego

zadaniem było uwiecznianie myśli „Führera".

Stenogramy te pt. *Hitlers Tischgespräche im Führerhauptquartier 1941—42* ukazały się w wydaniu książkowym w Bonn właśnie w dniach Zlotu Berlińskiego. Kupiłem pięknie wydaną książkę i gdy znalazłem w niej wyżej cytowane zdanie, wyobraziłem sobie Trumana, Attlee, Adenauera, de Gasperi, jak czytają tę książkę wzdychając:

„O jakże piękne były owe czasy, kiedy ludzie nie myśleli."

Lecz już nie wrócą...

Edmund Osmańczyk

HISZPANIA I DOLAR

Żałoba hiszpańska trwa już lat dwanaście. Od wiosny 1939 roku, kiedy czołgi hitlerowskie zadały ostatni cios Republice. W maju 1945 roku wolność zatrzymała się na Pirenejach. Czyżby nie starczyło wówczas sił na przebycie tej ostatniej jeszcze hitlerowskiej zapory? Czyżby w euforii, która ogarnęła Europę, zapomniano o hiszpańskim ludzie? Czyżby już wówczas rezerwowano dla Hiszpanii los amerykańskiej bazy? Pytania te i podobne, tutaj retoryczne ozdobniki, tam zadawano sobie ze śmiertelnym znużeniem tysiące razy do przedwczoraj, do wczoraj jeszcze. Bo dzisiaj wiadomo już, że lud Hiszpanii padł ofiarą jeszcze jednej komedii „nieinterwencji". „Nieinterwencji" amerykańskiego kapitału.

W 1945 roku i później, aż do norymberskich wyroków, Franco wyczekiwał odpowiedniej chwili, aby... uciec po prostu, lub w najlepszym wypadku wycofać się na pozycje Primo de Rivera. W Rzymie i w Lizbonie toczyły się gorączkowe targi z pretendentem do tronu. Monarchiści zbyt byli wówczas pewni wygranej, aby można ich było zaspo koić posadą króla dla Don Juana. P pierwszych niepowodzeniach powstał zatory psychologiczne, które spowodo wały przewlekanie się rokowań. Tar gowano się o przyszłą pozycję Caudill o miejsce w hierarchii polityczno-pań stwowej dla Falangi. Don Juan stawia w Lizbonie warunki coraz twardsz warunki coraz bardziej nie do przyjęci dla Franco, który nagle spostrzegł, ż nic mu już nie zagraża ze strony atlan tyckiej. Amerykański kapitał na wy raźniej zamierzał bowiem przeczeka hiszpański kryzys i nie angażować si do czasu po żadnej stronie. Obie bo wiem strony i Franco, i monarchiś dawały Departamentowi Stanu taki same gwarancje nieudolności. O tym ażeby Stany Zjednoczone mogły się 1946 czy 47 roku zaangażować po stro nie hiszpańskiego ludu, po stronie Re publiki, nikt w Departamencie Stan nie myślał. Wprost przeciwnie. Czyż ni dość mieli Amerykanie kłopotów z l kwidowaniem IV Republiki Francu skiej, ażeby stworzyć sobie jeszcze jed no „zarzewie" demokracji? Zapanował więc polityka nieinterwencji.

Wiele już kosztowały Hiszpanię nie interwencje. Za nieinterwencję z la 1936 — 1939 zapłaciło życiem 1.200.00 Hiszpanów poległych na froncie w o bronie Republiki. W latach 1939 — 194 dalszych 400.000 zginęło we frankistow skich kazamatach. Wysokość ofiar po niesionych przez lud hiszpański za nie interwencję z lat 1945 — 1951 nie jes jeszcze ustalona. Zdziesiątkowane gło dem i terrorem wsie, robotnicze dziel nice miast, setki tysięcy gruźlików, nie dożywionych, setki tysięcy skrofulicz nych dzieci... nie usiłujemy wyczerpa listy plag, którymi frankistowski reżim trapi Hiszpanię. A kto potrafi wyrazi tę rozpacz milionów ludzi, którzy żyj od 12 lat bez jutra? Jeden z francuskich

sarzy, który w roku bieżącym odwie-ił Hiszpanię, notu e w swoim dzien-ku podróży, że podczas trzymiesięcz-go tam pobytu tylko jeden raz wi-iał śmiejącego się mężczyznę: na ryn-u w Sewilli — „śmiał się patrząc na ółkujące psy".

Rozpacz może być dumna. Masowe rajki, które w maju roku bieżącego arnęły Hiszpanię, były wstrząsające. Barcelonie, San Sebastian, Bilbao, Pampelunie, w Madrycie cała klasa botnicza manifestowała wolę życia. Bo n właśnie, manifestacją woli życia ły tegoroczne strajki w Hiszpanii. Pampelunie, stolicy Nawarry straj-wali wszyscy, w jakiejkolwiek for-ie zatrudnieni, mieszkańcy miasta. 000 robotników. Pamiętamy, że w ro-1936 w tym właśnie mieście Franco obilizował swoje pierwsze oddziały botnicze w sile 25 000 ludzi. Gdzie podziały pampeluńskie kadry fran-stów? W Madrycie 95% mieszkańców ojkotowało miejskie środki komuni-cyjne. Przez solidarność z klasą ro-tniczą, przez solidarność z narodo-ymi hasłami bojkotowali metro i au-busy także sklepikarze, kupcy, także łaściciele kamienic.

A działo się to w Hiszpanii w dwuna-ym roku panowania terroru.

Skalę terroru frankistowskiego wyra-cyfry. W Hiszpanii służbę bezpie-eństwa pełnią 2 000 000 ludzi. Do upil-wania 28 000 000 narodu potrzeba 00 000 policjantów, urzędników bez-eczeństwa i donosicieli. Dwa miliony tych, nakarmionych przez reżim pil-je 26 milionów głodujących nędzarzy. Na dwumilionową służbę bezpieczeń-wa składają się: wojsko (1 100 000!), ganizacja Akcji Katolickiej (350 000) i langa (400 000). Wojsko pełni funkcje licyjne, Akcja Katolicka i Falanga — nkcje donosicieli.

Budżet bezpieczeństwa (armia i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych) wynosi 50% wszystkich wydatków Hiszpanii. Suma ta nie obejmuje sum wydatkowanych na utrzymanie więzień, obozów karnych (słynnych obozów śmierci) w Afryce i sądownictwo specjalne. Stan dzienny więzień wynosi niezmiennie od lat dwunastu 250 000, a dzienny stan obozów śmierci — 10 000.

Reżim frankistowski wypracował własny nie istniejący nigdzie na świecie system terroru. Wychodzi się tam z założenia, że prócz funkcjonariuszów państwowych, kościelnych i partyjnych każdy Hiszpan jest niepewny politycznie. Każdy musi więc czuć na sobie rękę sprawiedliwości. Aresztuje się więc i więzi „na wyrywki" cały naród. Areszt trwa zależnie od warunków lokalowych (pomieszczeń więziennych) od kilkunastu dni do roku i więcej. Dużą rolę w systemie terroru gra zaskoczenie. Przestrzega się sumiennie pozorów braku logiki. Jednego niepokoi się więzieniem 2—3 razy do roku, innego raz na lat 5 itd.

Rzecz prosta, system terroru jest ogromnie zróżnicowany. Byli działacze republikańscy, podejrzani o sympatie republikańskie, pozbawieni są w ogóle przyszłości. Aresztowani są częściej i na dłuższe okresy, jeśli w ogóle znajdują się na wolności. Poza więzieniem mają obowiązek meldowania się na policji, pozbawieni są możności wykonywania zawodu itd.

Księża i falangiści pełnią funkcje donosicieli. Społeczeństwo po ciężkich doświadczeniach stało się czujne i karne. Niełatwo kogoś złapać na „republikanizmie". Ażeby więc wypełnić kontyngent donosów, szpicle uciekają się do czczych insynuacji.

Niezależnie i równolegle do systemu centralnego wypracowano systemy te-

renowe. W kraju Basków np. Akcja Katolicka prześladuje katolików. Katalonia jest terenem stałej pacyfikacji. Barcelona, San Sebastian, Vitoria, Bilbao — to ojczyste miasta codziennego męczeństwa.

W Hiszpanii panuje głód. Głód jest złym doradcą, jak wiadomo. Terror ma więc być argumentem na nędzę.

Tak jak źródłem terroru tak samo źródłem nędzy jest reżim. Od roku 1936, od roku Republiki, produkcja rolnicza, górnicza i przemysłowa spadła o 30 — 50%. Ten stan rzeczy jest szczególnie drastyczny w produkcji rolnej, bezpośrednim źródle głodu i niedożywienia. Dość powiedzieć, że produkcja zboża spadła o 40% a oliwy o połowę. A przecież Hiszpania była zawsze pierwszym na świecie producentem i eksporterem oliwy. Nie posiadając środków na import niedoborów, wprowadzono i utrzymano od roku 1939 do dziś dnia racjonowanie żywności. Już 12 lat (od 1939 roku) Hiszpan otrzymuje dziennie jedynie 150 gramów czarnego chleba. Racje oliwy i jarzyn, racje mięsa i wina są równie niedostateczne. Czarny rynek zaspokaja więc potrzeby zamożnych. 30% Hiszpanów aprowizuje się na czarnym rynku. Reszta dogorywa na racjach państwowych. Na czarnym rynku można znaleźć wszystko: kilo białego chleba kosztuje 20 pesetów, wówczas kiedy niewykwalifikowany robotnik zarabia od 12 do 20 pesetów dziennie, litr oliwy — 60 pesetów itd. 70% Hiszpanów zarabia miesięcznie od 500 do 1000 pesetów. Oznacza to życie w nędzy. 200 000 pozostaje w ogóle bez środków do życia: — bezrobotni.

Reżim nie czyni nic, aby w jakikolwiek sposób zaradzić temu stanowi rzeczy. Polityka reżimu frankistowskiego sprowadza się jedynie do systematyzowania nędzy i terroru. To jest praktyką frankistowskiego reżimu. Teorią zaś jest ideał Hiszpanii „zjednoczonej, wielkiej i wolnej". Nigdzie bowiem frazeologia, grandilokwencja nie mają takiego zastosowania jak w Hiszpanii frankistowskiej. Naród ginie z nędzy codzienną śmiercią, śmiercią najgorszą bo przewlekłą, a tam u „góry" Falanga i Akcja Katolicka rywalizują między sobą o „ideały". Cóż za znaczenie mają te ideały dla kogokolwiek? Cóż za znaczenie ma spór o pierwszeństwo w dostępie do kredytów państwowych między przemysłem a rolnictwem? W państwie wydającym 50% budżetu na bezpieczeństwo nie ma kredytów ani na rolnictwo, ani na przemysł. Śmiać się chce z tych wiszących w absolutnej próżni „programów" społecznych, ekonomicznych itp.

Reżim frankistowski nie może pochwalić się nawet tym, co by go przecież nic nie kosztowało: wypracowaniem własnej ideologii. U „góry", w całkowitym oderwaniu od narodu, trwa od lat 12 mniej lub bardziej jawna walka o wpływy i idee między Falangą a Akcją Katolicką. Franco opiera się to na jednym skrzydle, które „do błędów potępionych przez kościół zalicza socjalizm i syndykalizm (!)" (z katechizmu wydanego przez Akcę Katolicką), to na drugim („jesteśmy przeciw kapitalizmowi" — oszukańcze hasło Falangi). Gdzie wypada środek ciężkości, wiadomo.

6 lat powojennych (1945 — 1951) pogrążyło naród hiszpański na dno nędzy i sponiewierania. Po to, aby kosztem hiszpańskiego narodu Departament Stanu mógł zaoszczędzić kilkaset milionów. Po cóż się miały angażować Stany Zjednoczone w dramat hiszpański w roku 1945? Czy po to, aby żywić i utrzymywać Hiszpanię? Ameryce niepotrzebny był i niepotrzebny jest hiszpański naród. Czy żeruje na nim Do

ıan, czy żeruje na nim Franco, obo-
tna jest to sprawa dla Departamentu
anu. Byleby tylko nie wróciła Repu-
ika.

Głodowe strajki z maja bieżącego ro-
ı były dla Departamentu Stanu syg-
ałem, że pora już wyciągnąć rękę po
olfram, ołów i bazy. Przewlekanie
ogło bowiem wydać na świat, mimo
rroru, Republikę. Tylko tego Depar-
ment Stanu chciał uniknąć.

Zjechały się już do Madrytu i urzę-
ują od kilku miesięcy komisje i pod-
misje Wall Street. Oblicza się ren-
wność hiszpańskiej ziemi, hiszpańskich
palń. Ustala się sumę subsydiów i
edytów dla reżimu frankistowskiego.

Życzenia Franco są dość wygórowa-
. Milion dolarów „na pierwsze po-
zeby", miejsce w ONZ, udział w Pak-
e Atlantyckim, kto wie, może nawet
anowisko zastępcy dowódcy jakiegoś
yimaginowanego przez Eisenhowera
ontu na mapie Europy... Franco z 1951
ku jest bardzo niepodobny do siebie
roku 1945. Nie prosi, nie życzy sobie,
e żąda. Pozwala sobie na widowisko-
e objawy złego humoru, aresztuje
nerykańskich dziennikarzy itd. Jed-
m słowem przybiera operetkowe po-
, jak przystało na autentycznego fa-
ystę, działa tak właśnie, jak trzeba
iałać na amerykańską wyobraźnię.

Franco wie bowiem, że dzisiaj on także potrzebny jest Departamentowi Stanu. Franco wie, że Departament Stanu także nie ma wyboru. Za bazy trzeba płacić.

Departament Stanu kupuje więc resztki faszystowskiej fortuny. Truman kupuje sobie żywych jeszcze przodków ideologicznych. Kupując ołów i Caudilla, Akcję Katolicką i Falangę, wolfram i Don Juana, Departamentowi Stanu wydaje się, że kupuje Hiszpanię.

Hiszpania nie jest jednak do sprzedania. Dwunastoletnia żałoba sponiewierała, lecz nie upodliła hiszpańskiego narodu. Naród, który od 12 lat wypatruje wolności, nie skusi się na żaden majak, chociażby on był z dolara.

Zbigniew Bieńkowski

SPROSTOWANIE

W poprzednim (9) numerze, na stronicy 169 w artykule Ludwika Grzeniewskiego na skutek opuszczenia jednego wiersza w maszynopisie uległo zniekształceniu zdanie, które powinno brzmieć:

„Zdolny nowelista okazał się rasowym powieściopisarzem, a choć nadal bywa niekiedy powierzchowny, nie brak mu politycznego spojrzenia, pokazał przy tym żywych, prawdziwych ludzi".

SPIS TREŚCI

Str

Stanisław Piętak: Dni przełomu. Po latach. Dla tych... Wycieczka nad morzem . . . . . .

Tadeusz Różewicz: Gabriel Peri. Sen i przebudzenie. . .

Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy . . . . . .

Jerzy Broszkiewicz: Strajk 5

Krzysztof Gruszczyński: Pociąg do Marsylii. Akt III . 11

Barbara Rafałowska: „Żniwa" Nikołajewej 12

Maksym Gorki: Towarzyszu! Jak po raz pierwszy usłyszałem o Garibaldim — przeł. Wacław Rogowicz 13

Jerzy Śliziński: Alojzy Jirasek 13

NA BUDOWIE PLANU SZEŚCIOLETNIEGO: Janusz Weyroch: Oświęcim — Dwory 14

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Szeląg — Benedykt Hertz „Bajki"; Jan Śpiewak — Józef Prutkowski „Cicha lipa"; Alina Osiadacz — Feliks Dzierżyński „Pisma wybrane", „Pamiętnik więźnia"; Roman Zimand — Jerzy Broszkiewicz „Kształt miłości"; Edmund Niziurski — Roman Hussarski „Nowy mur"; Tadeusz Drewnowski — Edmund Osmańczyk „Młode Niemcy" 14

TEATR: Juliusz Żuławski: Na scenach warszawskich . . 1

NA WIDNOKRĘGU: Stanisław Brodzki, Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Edmund Osmańczyk, Zbigniew Bieńkowski 1

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.